

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

ROBERTS

NORA ROBERTS

*Komu
Zaušać?*

NORA ROBERTS

Cisza przed burza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zajazd „Pod Sosnami” stał w ustronnym zakątku Błękitnego Pasma Appalachów. Z szosy należało jechać krętą drogą, potem przez bród tak wąski, że mógł się nim przeprawić zaledwie jeden samochód. Stąd już niedaleko było do hotelu.

Prześliczne położenie skutecznie kryło niedoskonałości niezbyt stylowego, dwupiętrowego budynku. Od fasady ze spłowiełej jasnoróżowej cegły odcinały się wąskie okna z białymi okiennicami. Z czterospadowego dachu, który z upływem czasu przybrał wyblakłą, szarozielonkawą barwę, sterczały trzy wysokie kominy. Szeroki drewniany ganek, na który z każdej strony wychodziły drzwi, opasywał budynek niczym biały fartuszek.

Wokół rozciągał się gładki, dobrze utrzymany trawnik. Granice półhektarowej działki wyznaczały drzewa i ostańce skalne. Zupełnie jakby natura zdecydowała, że nie odda ani kawałka ziemi więcej. Widok zapierał dech w piersiach. Dom i góry spokojnie egzystowały obok siebie, nie ujmując sobie wzajemnie nic z urody.

Autumn zatrzymała samochód na parkingu. Stało tam już pięć aut, wśród których dostrzegła wysłużonego chevy swojej ciotki. Chociaż sezon rozpoczynał się dopiero za kilka tygodni, najwyraźniej w pensjonacie zatrzymało się już kilku gości.

Kwietniowe powietrze ciągle było bardzo rześkie. Żonkile nie zdążyły jeszcze rozkwitnąć, ale krokusy zaczynały powoli więdnąć, a w krzewach azalii można było dostrzec pękające paki. Wszystko już zapowiadało wiosnę. Nawet w otaczających polanę wysokich górach widać było ślady świeżej zieleni. Tylko czekać, aż znikną ponure brzozy i szarości.

Autumn zawiesiła na ramieniu futerał z aparatem, na drugie ramię znacznie mniej ostrożnie zarzuciła torbę. Postanowiła zabrać się ze wszystkim za jednym zamachem, więc w obie dłonie chwyciła po jednej wielkiej walizie, które z niemalym trudem wyciągnęła z bagażnika, i tak obciążona weszła po schodkach. Drzwi, jak zwykle, były otwarte.

W obszernej bawialni nie było żywej duszy, jednak na kominku płonął ogień. Nic się nie zmieniło, myślała, wchodząc do środka.

Na podłodze leżały plecione chodniki, na sofach rozłożono szydełkowe kapy, w oknach wisały perkalowe zasłony, a na półce nad kominkiem wciąż stała ta sama kolekcja porcelanowych figurek.

Pokój o dziwo wyglądał całkiem schludnie, choć nie można było powiedzieć, że panuje w nim porządek. Porozkładane czasopisma, wypełniony po brzegi koszyk z przyborami do szycia, poduszki na parapecie wykuszowego okna tworzyły przyjazną domową atmosferę, która z całym tym rozgardiaszem idealnie pasowała do ciotki.

Widok salonu ucieszył Autumn. Miło jest stwierdzić, że coś, co kochamy, pozostaje takie samo. Rozglądała się wokół, przyglądając dłonią długie, sięgające poniżej pasa włosy, które podczas jazdy potargał wiatr wpadający przez otwarte okno. Przyszło jej do głowy, żeby wyciągnąć szczotkę, ale porzuciła tę myśl, gdy usłyszała kroki w korytarzu.

- O, tu jesteś. - Ciotka powitała ją, jakby Autumn spędziła godzinę na zakupach w supermarkecie, a nie rok w Nowym Jorku. - Dobrze, że zdążyłaś przed obiadem. Dziś mamy twoją ulubioną duszoną wołowinę.

Nie miała sumienia przypomnieć, że było to ulubione danie jej brata, Paula.

- Ciociu Tabby, jak dobrze cię widzieć! - Pocałowała ją w pachnący lawendą policzek.

Ciotka Tabby, choć nosiła imię, jakie zwykle nadaje się pospolitym dachowcom, w niczym nie przypominała kota. Powszechnie uważa się, że koty mają snobistyczną naturę i pogardliwy stosunek do otoczenia, ponadto są prędkie, zwinne i przebiegłe. Ciocia Tabby natomiast znana była w rodzinie z chaotycznej gadaniny i roztrzepania. Zdaniem Autumn, która za nią przepadała, była najbardziej prostoduszną osobą na świecie.

- Wyglądasz prześlicznie - orzekła, przyjrzawszy się ciotce uważnie. Nie było w tym żadnej przesady. Obie miały ten sam głęboki kasztanoworudawy odcień włosów, chociaż u ciotki pojawiło się już wiele siwych pasem, z którymi było jej zresztą bardzo do twarzy. Krótka swobodnie układająca się fryzurka otaczała małą, okrągłą buzię. Wszystko w niej było małe: usta, nos, uszy, a nawet dłonie i stopy. Jasnoniebieskie oczy były trochę zamglone. Gładka skóra wciąż pozbawiona była zmarszczek. Ciotka była okrągłutka, miękka i o dobre piętnaście centymetrów niższa od Autumn, która czuła się przy niej jak chuda tyczka. - Naprawdę prześlicznie - powtórzyła. Znów chwyciła ją w objęcia i ucałowała w drugi policzek. Ciocia Tabby popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Wyrosłaś na piękną dziewczynę. Zawsze wiedziałam, że tak będzie. Tyle że jesteś potwornie chuda. - Poklepała bratanicę po policzku, zastanawiając się, czy duszona wołowina jest wystarczająco kaloryczna.

Autumn nieznacznie wzruszyła ramionami. Po rzuceniu palenia przybrała pięć kilogramów, ale bardzo szybko wróciła do poprzedniej wagi.

- Przygotowałam dla ciebie ten sam pokój, co zwykle - ciągnęła ciocia. - Z okna widać jezioro, choć wkrótce liście zasłonią widok...

- Widziałam na parkingu kilka aut. Czy jest wielu gości? - Próbując rozciągnąć mięśnie, Autumn spacerowała po pokoju pachnącym drzewem sandałowym i olejkiem cytrynowym.

- Jedna para i pięć samotnych osób. W tym Francuz. Przepada za moją szarlotką. Och,

muszę zajrzeć do ciastek z jagodami! Nancy świetnie przyrządza wołowinę, ale na pieczeniu nic a nic się nie zna. A George złapał jakiegoś wirusa.

- Bardzo mi przykro. - Miała nadzieję, że w jej głosie slychać było szczere współczucie. Usilnie próbowała odgadnąć, kim jest George. Ach, tak! To ogrodnik, boy hotelowy i barman w jednej osobie.

- Wciąż mi brak pracowników. Poradzisz sobie z bagażem?

- Nic się nie martw, ciociu. Dam sobie radę.

- Aha, jeszcze jedno. - Ciotka odwróciła się od drzwi, choć Autumn założyłaby się, że jej myśli już krążą wokół jagodowych ciasteczek. - Mam tu dla ciebie niespodziankę... - zaczęła, ale, jak to się często zdarzało, nie dokończyła zdania. - O, widzę, że idzie panna Bond. Dotrzyma ci towarzystwa. Obiad jest o tej samej porze co zawsze. Nie spóźnij się.

Zadowolona, że zarówno bratanica, jak i ciasteczka będą miały należytą opiekę, opuściła bawialnię.

Autumn spojrzała w stronę bocznych drzwi, w których stała Julia Bond. Natychmiast ją rozpoznała. Nie istniała chyba inna kobieta o tak zniewalającej złotej urodzie. Ileż to razy siedziała w zatłoczonej sali, podziwiając na ekranie tę utalentowaną aktorkę. Na żywo wydawała się jeszcze bardziej czarująca.

Drobna, o apetycznych, chociaż nie za bardzo obfitych kształtach, Julia Bond wyglądała jak kwintesencja kobiecości. Kremowe płócienne spodnie i kaszmirowy sweter w żywym niebieskim kolorze znakomicie podkreślały jej ciepłą karnację. Złociste włosy jak blask słońca rozświetlały twarz, oczy miały kolor letniego nieba, a ślicznie wykrojone usta rozciągały się w uśmiechu. Przez chwilę stała nieruchomo, kręcąc w palcach jedwabną apaszkę. Kiedy się odezwała, jej głos był przytłumiony, jak w filmie.

- Ależ cudowne włosy!

Chwilę trwało, nim ta uwaga dotarła do świadomości Autumn. Z pustką w głowie patrzyła, jak słynna Julia Bond wchodzi do zajazdu cici Tabby z taką miną jakby to był nowojorski „Hilton”. Jednak widząc urzekający i naturalny uśmiech aktorki, zdołała zapanować nad sobą i uśmiechnąć się w odpowiedzi.

- Dziękuję. Z pewnością przywykła pani, że ludzie tak się w panią wpatrują. Mimo to bardzo przepraszam.

Julia z gracją usiadła w fotelu, wyjęła długiego cienkiego papierosa i z uśmiechem spojrzała na Autumn.

- Aktorzy uwielbiają, gdy się na nich patrzy. Siadaj, proszę. - Machnęła ręką w stronę sofy. - Mam wrażenie, że wreszcie trafiłam na osobę, z którą będzie można porozmawiać.

Autumn posłusznie usiadła, bezwiednie poddając się urokowi aktorki.

- Choć prawdę mówiąc, jesteś zbyt młoda i za bardzo atrakcyjna - ciągnęła Julia. Odchyliła się do tyłu, krzyżując nogi. Nagle miało się wrażenie, że w miejsce starego fotela ze śladami cerowania na lewym oparciu pojawił się wspaniały tron. - Na szczęście przynajmniej różnimy się kolorytem. Ile masz lat, kochanie?

- Dwadzieścia pięć - odparła bez zastanowienia.

- O, to zupełnie jak ja. Nieustannie mam właśnie tyle.

- Radosny śmiech Julii unosił się i opadał jak fala. Rozbawiona przechyliła głowę na bok, przyglądając się Autumn, którą świerzbiły palce, żeby chwycić za aparat. - Jak ci na imię? Chciałabym też wiedzieć, co cię skłoniło, żeby szukać sosen i samotności.

- Autumn - odpowiedziała na pierwsze z pytań. - Autumn Gallagher. Moja ciotka jest właścicielką pensjonatu.

- Ciotka? - Na twarzy Julii pojawiło się zdumienie.

- Ta urocza, roztrzepana mała kobietka jest twoją ciotką?

- Tak, siostrą mojego ojca. - Uśmiechnęła się, słysząc ten krótki, a tak precyzyjny opis. Odprężona, odchyliła się na oparcie. Z uwagą analizowała obraz, który miała przed oczami, oceniała oświetlenie i głębię.

- Niesamowite - uznała Julia, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Zupełnie jej nie przypominasz. Chociaż nie... włosy. - Obrzuciła Autumn zazdrosnym spojrzeniem. - Wyobrażam sobie, że kiedyś jej włosy były właśnie w tym kolorze. Coś wspaniałego. W dodatku masz ich prawie metr. - Z westchnieniem zaciągnęła się dymem. - A więc przyjechałaś odwiedzić ciotkę?

Jest nie tylko czarująca, lecz również bardzo sympatyczna, uznała Autumn, widząc we wzroku Julii szczere zainteresowanie.

- Przyjechałam na kilka tygodni. Nie widziałyśmy się prawie rok. Prosiła w listach, żebym wpadła, więc postanowiłam wykorzystać urlop.

- Czym się zajmujesz? Jesteś modelką?

- Nie. - Autumn zaśmiała się. - Fotografem.

- Fotografem! - wykrzyknęła Julia z zachwytem. - Bardzo lubię fotografów. Pewno z próżności.

- Sądzę, że oni przepadają za panią z tego samego powodu. - Po uśmiechu aktorki poznała, że sprawiła jej przyjemność.

- Och, kochanie, jakie to miłe!

- Czy przyjechała pani sama, panno Bond? - Nic nie było w stanie powstrzymać

ciekawości Autumn, nawet oszołomienie tym niesamowitym spotkaniem.

- Mów mi po imieniu, proszę, bo inaczej będę musiała pamiętać o tych pięciu latach różnicy między nami. Dobrze ci w tym kolorze - dorzuciła, patrząc na sweter - Autumn. - Nigdy nie mogłam nosić szarych rzeczy. Przepraszam cię, moja droga. Mam słabość do ciuchów. - Uśmiechnęła się ze skruchą. - Przyjechałam tu, bo chciałam połączyć przyjemność z intereselem. W tej chwili mam przerwę między dwoma małżeństwami. Mężczyźni są cudowni, ale mężowie bywają niesamowicie krępujący. Miałaś kiedyś męża?

- Nie. - Nie potrafiła ukryć uśmiechu. Takim tonem Julia równie dobrze mogłaby spytać, czy miała kiedyś cocker - spaniela.

- Ja miałam trzech. - W oczach Julii pojawił się szelmowski błysk. - Trzeci był angielskim baronem. Spędziłam z nim pół roku i całkiem mi to wystarczyło. Potem ślubowałam abstynencję. Oczywiście od małżeństwa, nie od mężczyzn.

- Aż do następnego razu? - bezceremonialnie spytała Autumn.

- Zgadza się - przytaknęła ze śmiechem aktorka. - A tu jestem z Jakiem LeFarre'em.

- Tym producentem?

- Właśnie. - Julia przez chwilę nad czymś się zastanawiała. - Twoja obecność będzie dla nas interesującą odmianą. Pozostali goście uroczego pensjonatu twojej ciotki jak dotąd nie wydawali się zbyt rozrywkowi.

- Tak? - Autumn pokręciła przecząco głową, kiedy Julia poczęstowała ją papierosem.

- No więc najpierw doktor Spicer z żoną - zaczęła Julia, stukając w oparcie fotela idealnie wymodelowanym paznokciem.

Zachowywała się teraz jakoś inaczej, ale chociaż Autumn była wrażliwa na nastroje, zmiana była tak subtelna, że nie potrafiła jej zdefiniować.

- Nudny doktorek? - podsunęła Autumn.

- Nie, jest nawet dość interesujący. Wysoki, dobrze zbudowany, z lekko siwiejącymi skrońmi. Jednym słowem, całkiem przystojny. - Kiedy się uśmiechnęła, przypominała ślicznego, zadowolonego z posiłku kota. - Jego żona jest niska i trochę zbyt przysadzista. Mogłaby nawet uchodzić za atrakcyjną, gdyby nie ponura mina. Nie mam cierpliwości do kobiet, które się zaniedbują, a jednocześnie posyłają mordercze spojrzenia tym, które pielęgnują swoją urodę. Doktor lubi świeże powietrze i spacerować po lesie, a ona snuje się za nim, zrzędząc bez przerwy. - Julia przerwała nagle i obrzuciła Autumn nieufnym spojrzeniem.

- Ty też lubisz spacerować?

- Owszem.

- . No cóż, rzecz gustu... Następnie jest tu Helen Easterman. - Polakierowane

paznokcie znów wybijały rytm na oparciu fotela. Spojrzenie aktorki przeniosło się na okno, jednak Autumn miała wątpliwości, czy góry i sosny faktycznie przyciągnęły jej uwagę. - Twierdzi, że uczy malarstwa, a teraz wzięła wolne, żeby szkicować naturę. Jest dość atrakcyjna, chociaż trochę przejrzała, a do tego ma przebiegłe małe oczka i nieprzyjemny uśmiech. Gości tu także Steve Anderson. - Usta Julii znów rozciągnęły się w leniwym, kocim uśmiechu. Wyraźnie woli opisywać mężczyzn, pomyślała Autumn z rozbawieniem. - Jest zupełnie boski. Typ kalifornijski: szerokie bary, blond włosy, ładne niebieskie oczy. A przy tym nieprzyzwoicie bogaty. Jego ojciec jest właścicielem... tego, no...

- Zakładów Anderson Manufacturing? - odpowiedziała Autumn, za co została nagrodzona pełnym podziwu uśmiechem.

- Dobra jesteś!

- Słyszałam gdzieś, że Steve Anderson zamierza robić karierę polityczną.

- Hm, to do niego nawet pasuje - przytaknęła Julia.

- Ma doskonale maniery i rozbijający chłopięcy uśmiech, a to ogromny atut w polityce.

- To niezbyt pocieszające, że członków rządu wybiera się na podstawie uśmiechu.

- Och, politycy. - Julia wzruszeniem ramion zbyła wszystkich przedstawicieli tego zawodu. - Kiedyś miałam *romans z senatorem*. Paskudna sprawa, ta cała polityka.

- Zaśmiała się na jakieś wspomnienie.

Niepewna, czy ta ostatnia uwaga miała romantyczną, czy też bardziej ogólną naturę, Autumn nie ciągnęła tematu.

- Z tego co słyszę, nie ma tu odpowiedniego towarzystwa dla Julii Bond i Jacques'a LeFarre'a.

Julia zapaliła następnego papierosa i machnęła ręką.

- Przyjechaliśmy tu z powodu kaprysu pewnego pisarza. Kilka lat temu grałam w filmie z jego scenariuszem. Jacques'owi marzy się następna produkcja, a mnie planuje obsadzić w głównej roli. - Zaciągnęła się mocno papierosem. - Chętnie bym przyjęła tę propozycję. Dziś niezwykle trudno o naprawdę dobry scenariusz. Niestety, nasz geniusz jest dopiero w połowie pracy nad książką. W dodatku nie chce się zgodzić na wykorzystanie jej do filmu, choć Jacques twierdzi, że powieść idealnie nadaje się na scenariusz. Pisarz postanowił spędzić tu parę tygodni i popracować w spokoju, a także przemyśleć naszą propozycję. LeFarre wykorzystał swój wdzięk i uzyskał zgodę, byśmy na kilka dni do niego dołączyli. Autumn nie posiadała się ze zdumienia.

- Czy zwykle w taki sposób tropicie pisarzy? Myślałam, że raczej bywa na odwrót.

- Bo tak jest. Jednak Jacques uparł się na ten film i akurat trafił na moment, kiedy łatwo dałam się przekonać. Właśnie kończyłam czytać najgorszy w życiu scenariusz. I tak... - z uśmiechem uniosła dłonie - znalazłam się tutaj.

- Ścigając opornego autora.

- Ta sytuacja ma też dobre strony...

Autumn chętnie zrobiłaby jej zdjęcie z tylnym oświetleniem. Niskie, chylące się do zachodu słońce, mocne kontrasty.

- Dobre strony? - powtórzyła, wracając do rzeczywistości.

- Nasz pisarz jest niesamowicie pociągający. Ma bardzo naturalny, powiedziałabym, nieokrzesany sposób bycia. Czegoś takiego nie da się wypracować, trzeba się z tym urodzić. To cudowna odmiana po angielskich arystokratkach - dodała z łobuzerskim błyskiem w oku. - Wysoki, smagły, z trochę przydługimi i wiecznie potarganymi czarnymi włosami. Ma się nieodpartą ochotę zanurzyć w nich palce. Ale najwspanialsze są jego ciemne oczy, którymi tak umiejętnie potrafi posłać cię do diabła. Arogancki typ. - W jej westchnieniu słysząc było szczery zachwyt. - Arogantom trudno się oprzeć, nie sądzisz?

Autumn mruknęła coś pod nosem, próbując zapanować nad podejrzeniem, jakie zaczęło ją ogarniać. To z pewnością ktoś zupełnie inny, myślała gorączkowo. To może być ktokolwiek...

- No, ale człowiek tak utalentowany jak Lucas McLean ma prawo zachowywać się impertynencko.

Krew odpłynęła z twarzy Autumn. Czowała, jak rysy jej tężeją, a fala prawie zapomnianego bólu ogarnia ciało. Jak to możliwe, że to nadal tak boli? Starannie budowała swój mur, tyle pracy w to włożyła... Czemu rozpadł się w pył zaledwie na dźwięk jego imienia? Czemu jakiś sadystyczny kaprys losu sprowadził Lucasa McLeana, żeby znów mógł ją dręczyć?

- Kochanie, co się stało?

Nagle dotarł do niej zaniepokojony, a jednocześnie zaciekawiony głos Julii. Potrząsnęła głową, próbując pohamować wzburzenie.

- Nic. - Jeszcze raz poruszyła głową i nerwowo przełknęła ślinę. - Zaskoczyła mnie wiadomość, że Lucas McLean jest tutaj. - Wzięła głęboki oddech i spojrzała Julii w oczy. - Znałam go... kiedyś.

- Rozumiem.

Faktycznie rozumiała. Widać było, że pojęła wszystko w mgnieniu oka. Współczucie w jej spojrzeniu walczyło z domysłami, jakie snuła Autumn wzruszyła ramionami,

zdecydowana, że powinna potraktować to z lekceważeniem.

- Wątpię, czy mnie w ogóle pamięta. - Częścią umysłu modliła się, żeby tak właśnie było, podczas gdy druga część pragnęła czegoś wręcz przeciwnego. Czy rzeczywiście zapomniał? Czy mógł zapomnieć?

- Autumn, kochanie. Żaden mężczyzna nie mógłby zapomnieć twojej twarzy. - Julia przyglądała się jej zza obłoku dymu. - Byłaś bardzo młoda, kiedy się w nim zakochałaś, prawda?

- Tak. - Zaczynała już odbudowywać swą ochronną tarczę i pytanie nie zaskoczyło jej. - Zbyt młoda i zbyt naiwna.

- Uśmiechnęła się niepewnie i po raz pierwszy od sześciu miesięcy sięgnęła po papierosa. - Ale szybko się uczę.

- Wygląda na to, że następne dni zapowiadają się całkiem interesująco.

- Cóż, chyba tak - zgodziła się Autumn bez entuzjazmu. Chciała zostać sama. - Muszę zanieść rzeczy na górę - powiedziała, podnosząc się.

- Zobaczymy się przy obiedzie - uśmiechnęła się Julia Autumn przez chwilę walczyła ze swoimi walizkami, po czym klnąc pod nosem, zaczęła wspinać się po schodach. Napięcie powoli ją opuszczało. Do diabła z Lucasem McLeanem, myślała ze złością. Sapiąc z wysiłku i zdenerwowania, wciągnęła wreszcie bagaże na górę i z furią cisnęła je na podłogę pod drzwiami swojego pokoju.

- Cześć, Kocie. Nie było chłopca hotelowego?

Ten głos - a także przezwisko - sprawiły, że z odbudowywanego z takim trudem muru znów wypadło kilka cegieł. Z wahaniem odwróciła się. Na jej twarzy nie było ani śladu cierpienia. Przynajmniej tego zdołała się nauczyć. Lecz w środku czuła ból. Jednak na bezczelne spojrzenie Lucasa odpowiedziała zuchwałym uśmiechem.

- Zajazd „Pod Sosnami” jest pełen znakomitości.

Zauważyła, że nic się nie zmienił. Ciemny, smukły i bardzo męski. Było w nim coś nieokrzesanego. Tę surowość podkreślały gęste czarne brwi i wyraziste rysy twarzy.

W oczach, które były niemal tak czarne jak włosy, kryła się jakaś tajemniczość. Właściwie nie można było powiedzieć, że jest przystojny. Zdaniem Autumn to zbyt mdłe określenie dla Lucasa. Podniecający, zniewalający, niebezpieczny - te słowa pasowały do niego znacznie lepiej.

Nosił się dobrze, z naturalnym wdziękiem. Jego nonszalancja nie była wystudiowana, miał ją we krwi. Kiedy podszedł bliżej, patrząc na nią uważnie, czuła bijącą od niego siłę.

Dostrzegła też jednak, że jest wyczerpany. Pod oczami rysowały się cienie, policzki

pokrywał zarost, a bruzdy na twarzy były głębsze niż zapamiętała. A pamiętała je znakomicie.

- Wyglądasz zupełnie tak samo. - Kiedy patrząc jej w oczy, wziął w palce pasmo kasztanoworudych włosów, zaczęła się zastanawiać, jak mogła w ogóle pomyśleć, że sobie poradziła z tym uczuciem. Chyba nie istnieje kobieta, której po związku z Lucasem udałooby się dojsć do siebie. Zmobilizowała całą siłę woli i spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Natomiast ty wyglądasz koszmarnie - odparła, otwierając drzwi. - Moim zdaniem brak ci snu.

Nim zdążyła wciągnąć walizki do środka i zatrzasnąć drzwi, Lucas oparł się o futrynę.

- Mam problemy z jedną ze swych bohaterek - odparł gładko. - To wysoka, wiotka dziewczyna z kasztanowymi włosami o rudawym poblasku, które falami spływają w dół pleców. Ma wąskie biodra i nogi aż do nieba.

Wzięła się w garść i spojrzała na niego z możliwie obojętną miną.

- Ma dziecinne usta - ciągnął, przenosząc spojrzenie w dół jej twarzy - i mały nosek, który jakoś dziwnie nie pasuje do wysokich kości policzkowych. Jej mleczna skóra ma ciepły odcień, oczy o ciężkich powiekach są obramowane niesamowicie gęstymi rzęsami i mają barwę bursztynowej zieleni, zupełnie jak oczy kota.

W milczeniu, ze znudzoną miną, jakiej z pewnością nie widział u niej trzy lata temu, wysłuchiwała opisu swojej twarzy.

- Jest mordercą czy ofiarą? - spytała od niechcienia. Z satysfakcją spostrzegła, jak uniósł w zdumieniu brwi, po czym gniewnie zmarszczył czoło. „

- Kiedy skończę, przyślę ci egzemplarz. - Jeszcze przez chwilę patrzył na nią badawczo, lecz zaraz jego twarz stała się nieruchoma, jakby ukrył ją za zasłoną. To kolejna cecha, która nie uległa zmianie.

- Koniecznie. - Wciągnęła wreszcie walizki do pokoju i przez chwilę odpoczywała, oparta o drzwi. W jej uśmiechu nie było żadnych emocji. - Muszę cię teraz przeprosić. Miałam długą jazdę i marzę o kąpiel. - Zdecydowanie zamknęła drzwi tuż przed jego nosem.

Trzeba rozpakować rzeczy, przygotować kąpiel, wybrać sukienkę do obiadu. Energicznie ruszyła do działania. Miała nadzieję, że te zajęcia pozwolą jej odzyskać siły, nim pozwoli sobie myśleć i... czuć.

Po kąpiel, gdy wkładała bieliznę i pończochy, była znacznie spokojniejsza. Najgorsze już minęło, uznała. Cóż, najtrudniejsze było to pierwsze spotkanie i początek rozmowy. Ale już się z nim widziała, rozmawiała i jakoś to przeżyła. Ten sukces dodał jej tyle odwagi, że po raz pierwszy od prawie dwóch lat pozwoliła sobie na wspomnienia.

Zlecenie było całkiem proste: miała wykonać zdjęcia autora kryminałów, Lucasa

McLeana. Wynikiem tego zadania było sześć miesięcy nieopisanego szczęścia zakończonego niewyobrażalnym cierpieniem.

Była w Lucasie bezgranicznie zakochana. Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo podobnego. Teraz już wiedziała, że po prostu nikt taki nie istnieje. Był błyskotliwy, interesujący, samolubny i kapryśny. Nie liczył się z nikim. Z początku uwierzyć nie mogła, że wzbudziła jego zainteresowanie, a zaraz potem uniosła ją fala zachwytu, uwielbienia i miłości.

Jego arogancja, jak określiła to Julia, była obezwładniająca. Jego telefony o trzeciej nad ranem traktowała jak najcenniejszy podarunek. Zawsze kiedy brał ją w ramiona, gdy napotykała jego niecierpliwe usta, była równie oszołomiona. Wreszcie jak dojrzały owoc wpadła do jego łóżka i z całym zapalem ofiarowała mu swoją niewinność.

Pamiętała, że nigdy nie powiedział tych słów, które tak bardzo chciała usłyszeć. Powtarzała sobie, że wcale ich nie potrzebuje, że słowa nie są istotne. Zamiast nich pojawiały się nieoczekiwane bukiety róż oraz niespodziewane pikniki na plaży, gdzie pili wino z kartonowych kubków i kochali się do utraty zmysłów.

A kiedy nadszedł koniec, wszystko potoczyło się niezwykle prędko, choć nie można powiedzieć, że bezboleśnie.

Jego roztargnienie i zmienne nastroje kładła na karb problemów, jakie miał w pracy nad książką. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że był po prostu znudzony. Utańczyło się, że zawsze w środę przygotowywała kolację u niego w mieszkaniu. To były ich prywatne domowe wieczory, które bardzo sobie ceniła. W tamtą środę pojawiła się jak zwykle, a widząc Lucasa w smokingu, pomyślała zaledwie, że postanowił uświetnić ich wspólny posiłek.

- Co ty tu robisz, Kocie? - Zadane swobodnym tonem pytanie padło tak niespodziewanie, że stanęła, patrząc na niego bez zrozumienia. - Ach prawda, przecież to środa! - W jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie, jak gdyby przypomniawszy sobie właśnie o przegapionej wizycie u dentysty. - Zupełnie zapomniałem. Niestety, dziś mam inne plany.

- Inne plany? - powtórzyła. Nadal nic do niej nie dotarło.

- Powinienem był zadzwonić i oszczędzić ci podróży. Przepraszam, Kocie, ale właśnie wychodzę.

- Wychodzisz...?

- Umówiłem się. - Przeszedł przez pokój, patrząc na nią Zadrzała. Nikt inny nie miał oczu, które potrafiły spoglądać tak ciepło... ani tak zimno... jak oczy Lucasa McLeana. - Nie utrudniaj, Autumn. Nie chcę cię zranić bardziej niż to konieczne.

Nagle zrozumiała, o czym mówi. Jej oczy wypełniły się łzami. Potrząsnęła głową nie chcąc tego zaakceptować. Tymczasem Lucas wpadł we wściekłość.

- Przestań! Nie mam czasu na łzawe pożegnania. Po prostu przyjmij to do wiadomości. Zapisz jako kolejne doświadczenie. Bóg jeden wie, jak bardzo ci się przyda.

Z przekleństwem na ustach odsunął się i zapalił papierosa. Autumn wciąż stała w miejscu, płacząc bezgłośnie.

- Nie rób z siebie idiotki. - Spokojny, obojętny głos wydał jej się jeszcze gorszy niż wściekłość. Gniew przynajmniej oznaczał uczucia. - Kiedy coś się kończy, należy o tym zapomnieć i iść dalej. Takie jest życie.

- Już mnie nie chcesz? - Stała potulnie, zupełnie jak pies, który ma nadzieję, że znów przypną mu smycz. Nie widziała jego twarzy, bo łzy zamglily jej oczy. Przez chwilę nie odzywał się.

- Nie martw się, Kocie - odparł w końcu okrutnym, beznamietnym tonem. - Inni zechcą.

Odwróciła się na pięcie i wypadła z mieszkania. Musiał minąć rok, zanim przestał pojawiać się z pierwszą myślą każdego ranka tuż po przebudzeniu.

Mimo wszystko przeżyłam, powtórzyła sobie w duchu, wkładając jasnozieloną sukienkę. I będę żyła dalej. Nadal była tą samą osobą, która zakochała się w Lucasie, jednak zdążyła nabrać doświadczenia. Trzeba by znacznie więcej niż jednego Lucasa McLeana, by znów tak się zbłądziła. Podniosła dumnie głowę, wspominając z satysfakcją, jak go dziś potraktowała. Pewno się zdziwił, pomyślała kpiąco. O nie, Autumn Gallagher nigdy już nie pozwoli zrobić z siebie idiotki.

Jej myśli powędrowały do przedziwnie dobranych gości w pensjonacie ciotki. Zastanawiające, czemu bogaci i sławni ludzie zebrali się akurat tutaj, zamiast w jakimś wytwornym kurorcie? Ze wzruszeniem ramion odsunęła te rozważania. Zbliżała się pora obiadu, a ciocia Tabby prosiła przecież o punktualność.

ROZDZIAŁ DRUGI

Byli najbardziej niezwykłą grupą, jakiej można by się spodziewać w pensjonacie w odległym zakątku Wirginii: sławny pisarz, aktorka, producent filmowy, zamożny biznesmen z Kalifornii, znany kardiochirurg z żoną, nauczycielka malarstwa w sukni od St. Laurenta.

Julia zaborczo zawładnęła Autumn i rozpoczęła prezentację. Widać było, że cieszy ją prawo pierwszeństwa, dzięki któremu zdobyła tę główną rolę. Zażenowanie, jakie Autumn czuła w pierwszej chwili, szybko minęło, gdy z rozbawieniem spostrzegła, jak trafnie Julia scharakteryzowała poszczególnych gości.

Doktor Robert Spicer faktycznie był całkiem przystojny. Zbliżał się do pięćdziesiątki i tryskał zdrowiem. Ubrany był w sportowy zielony kardigan z brązowymi skórzanymi łatami na łokciach. Jego żona, Jane, również doskonale odpowiadała opisowi Julii: była - niestety - zbyt przysadzista. Nieznacznym uśmiechem, jaki podczas powitania pojawił się na jej ustach, trwał zaledwie dwie sekundy, po czym znów zastąpiła go pełna niezadowolenia mina. Pani Spicer co chwilę rzucała ponure spojrzenia na męża, który całą uwagę skupiał na Julii.

Obserwując ich, Autumn nie potrafiła wykrzesać współczucia dla Jane i wcale nie potępiała Julii. Nikt przecież nie piętnuje kwiatów za to, że wabią pszczoły. A wdzięk Julii był równie naturalny i tak samo potężny.

Wygląd Helen Easterman, chociaż atrakcyjny, wydawał się zbyt wypracowany i jakby śliski. Czerwona sukienka niekorzystnie wyróżniała się w skromnie urządzonej sali. Twarz pokryta starannym makijażem przypominała maskę. Autumn, która z racji zawodu znała sztuczki z użyciem kosmetyków, instynktownie postanowiła unikać Helen.

Natomiast Steve Anderson wydawał się urzekający. Przystojny Kalifornijczyk, jak to określiła Julia. Autumn podobały się drobne zmarszczki w kącikach jego oczu i niedbały styl. Dziś miał na sobie luźne bawełniane spodnie, ale można było zgadnąć, że równie dobrze będzie się czuł w jedwabnym krawacie.

Julia nie opisała Jacques'a LeFarre'a, a to, co Autumn wiedziała o producencie, pochodziło albo z jego filmów, albo z plotkarskich magazynów. Był niższy, niż sądziła, zaledwie tego wzrostu co ona, ale bardzo muskularny. Miał mocne rysy, a brązowe, zaczesane do tyłu włosy odsłaniały czoło, na którym rysowały się trzy głębokie bruzdy. Autumn przypadł do gustu zadbane wąsy nad górną wargą, a także sposób, w jaki ucałował jej dłoń, gdy zostali sobie przedstawieni.

- Podczas nieobecności George'a pełnię tu rolę barmana - oznajmił Steve z uśmiechem. - Co ci podać, Autumn?

- Koktajl Collinsa, ale z niewielką ilością wódki - rozległ się głos Lucasa.

- Znacznie ci się poprawiła pamięć - rzuciła chłodno, rezygnując z pomysłu, żeby go ignorować.

- Zupełnie jak twoja garderoba. - Przesunął palcem po kołnierzyku jej sukienki. - Pamiętam, że poprzednio ograniczała się do dżinsów i starych swetrów.

- Wydorosłałam - odpowiedziała, nie unikając jego badawczego spojrzenia.

- O, wy się już znacie - wtrącił Jacques. - Fascynujące! Jesteście starymi przyjaciółmi?

- Starymi przyjaciółmi? - powtórzył Lucas, zanim Autumn zdążyła się odezwać. - Czy uważasz, że to właściwe określenie, Kocie?

- Kocie? - Jacques zmarszczył brwi. - Och tak... oczy. *Qui*. - Przyglądał wąsy. - Rzeczywiście pasuje. Jak myślisz, *cherie*? - zwrócił się do Julii, która z wyraźną przyjemnością obserwowała scenę rozgrywającą się przed jej oczami. - Jest urocza, prawda? Głos też ma niezły.

- Autumn pracuje po drugiej stronie kamery - oznajmił Lucas.

Autumn wiedziała, że nie spuszcza z niej wzroku, dlatego z wdzięcznością powitała Steve'a, który podszedł do niej z drinkiem.

- Jest fotografem - dokończył Lucas.

- Jestem coraz bardziej oczarowany. - Jacques ujął dłoń Autumn. - Powiedz tylko, czemu chowasz się za aparatem, skoro powinnaś stać przed obiektywem? Już na widok twoich włosów poeci chwytają za pióra.

Nie ma chyba kobiety odpornej na komplementy wypowiedane z silnym francuskim akcentem. Autumn nie była wyjątkiem.

- Chyba należy zacząć od tego, że nie potrafiłabym odpowiednio długo ustać bez ruchu. - Z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

- Fotografowie bywają bardzo użyteczni - oświadczyła Helen Easterman. Powoli uniosła dłoń i poprawiła gładkie ciemne włosy. - Dobrze, wyraźne zdjęcie może być nieocenionym narzędziem dla... artysty.

Po tej uwadze zapadła niezręczna cisza. W bawialni czuło się napięcie, które tak bardzo nie pasowało do tego przytulnego pokoju. Przez moment Autumn miała wrażenie, że dziwna atmosfera jest wytworem jej wyobraźni. Helen z uśmiechem upiła łyk drinka. Jej oczy przesunęły się po zebranych, na nikim nie zatrzymując się dłużej.

Autumn zauważyła, że między Helen a pozostałymi gośćmi jest jakaś bariera. Czuła, jak bezgłośnie informacje krążą po pokoju, choć nie potrafiłaby powiedzieć, kto je przekazuje i do kogo właściwie są kierowane. Nastrój poprawił się wreszcie, gdy Julia podjęła ożywioną

rozmowę z Robertem.

Do obiadu siadali w dobrych humorach. Autumn zajęła miejsce między Jakiem i Steve'em i z podziwem obserwowała Julię, która jednocześnie flirtowała z Robertem i Lucasem. Jest rewelacyjna, myślała olśniona. Mimo że czuła pewien dyskomfort, gdy spostrzegła, z jaką swobodą Lucas bierze udział w tej zabawie, musiała uznać wyjątkowy talent czarującej aktorki.

Co za ponura baba, pomyślała, przenosząc spojrzenie na Jane, która jadła w posępnym milczeniu. Chociaż kto wie, stwierdziła po namyśle, jak sama zachowywałabym się, gdyby to mój mąż z takim zachwytem wpatrywał się w inną kobietę. Przeszłabym do rękoczynów, zawyrokowała natychmiast. Po prostu wydrapałabym jej oczy. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie okrągłutką Jane mocującą się z wytworną Julią. Podniosła wzrok znad talerza i napotkała spojrzenie Lucasa. Po charakterystycznym uniesieniu brwi poznała, że jest rozbawiony. Odwróciła oczy i zwróciła się do Jacques'a:

- Czy pana zdaniem przemysł filmowy w Ameryce bardzo różni się od europejskiego, panie LeFarre?

- Po prostu Jacques. - Kiedy się uśmiechał, końce jego wąsów unosiły się ku górze. - Tak, oczywiście są pewne różnice. Powiedziałbym, że Amerykanie są bardziej przebojowi.

- Może dlatego, że jesteśmy mieszanką narodowości - zauważyła ze śmiechem. - Zostaliśmy po prostu zamerykanizowani.

- Faktycznie, w Kalifornii czuję się bardzo zamerykanizowany. - Jacques kiwnął głową.

- Nie uznałbym Los Angeles ani południowej Kalifornii za typowy przykład - wtrącił Steve. - Byłaś kiedyś w Kalifornii, Autumn? - Spostrzegła, jak jego oczy prześlizgują się po jej włosach. Ucieszyła się, czując, że jego uwaga sprawia jej wyraźną przyjemność.

- Mieszkałam tam... kiedyś. - Reakcja na zainteresowanie Steve'a oraz pragnienie, by sobie coś udowodnić, sprawiły, że zwróciła spojrzenie na Lucasa. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. - Trzy lata temu przenieśliśmy się do Nowego Jorku.

- Była tu pewna rodzina z Nowego Jorku. - Jeśli nawet Steve zauważył tę wymianę spojrzeń, nie dał po sobie niczego poznać. - Wyjechali dziś rano. Kobieta miała wyjątkowo silną osobowość. Wprost kipiała energią. Zresztą dzięki Bogu - dodał z uśmiechem, który był przeznaczony wyłącznie dla Autumn. - Miała trzech synów. Trojaczki. Mieli po jedenaście lat.

- Koszmarne dzieciaki! - Julia na chwilę odwróciła uwagę od Roberta i wzniosła błękitne oczy do nieba. - Biegały w kółko jak stado małą. Wszystko troiło się w oczach. A

jedli jak słonie.

- Bez biegania i obżarstwa nie ma prawdziwego dzieciństwa - zauważył Jacques. - Julia po przyjściu na świat od razu miała dwadzieścia jeden lat. - Mrugnął znacząco do Autumn.

- Każdy dobrze wychowany człowiek powinien rodzić się po osiągnięciu dojrzałości - odparła Julia ze śmiechem. - Jacques ma fioła na punkcie dzieci - wyjaśniła, zwracając się do Autumn. - Sam ma trzy takie okazy.

Autumn z zainteresowaniem spojrzała na producenta, o którym do tej pory myślała wyłącznie w kontekście jego pracy.

- Ja też przepadam za dziećmi - wyznała. - Jakie to okazy ma pan w domu?

- Chłopców. - Jego ciepłe spojrzenie było wyjątkowo ujmujące. - Siedem, osiem i dziewięć lat. Mieszkają we Francji z moją żoną... to znaczy, z byłą żoną. - Zmarszczył brwi.

- Jacques chce uzyskać prawo do opieki nad tymi potworami. - Twarz Julii wyrażała pełne zrozumienie, choć mogło się zdawać, że słowa temu przeczyły. - Chociaż mocno wątpię w stan twojego umysłu, muszę obiektywnie przyznać, że znacznie lepiej spisujesz się jako ojciec niż Claudette w roli matki.

- Procesy o przyznanie prawa do opieki nad dziećmi to delikatna sprawa - oznajmiła Helen. Małymi oczkami przenikliwie patrzyła na Jacques'a. - Ważne, by żadna... niewłaściwa informacja nie wydostała się na światło dzienne.

Atmosfera przy stole znów zgęstniała. Siedzący obok Autumn Jacques wyraźnie zeszytniał. To jednak nie było wszystko. Czuło się, jak wzdłuż sosnowego stołu zaczynają płynąć jakieś niedobre prądy. Autumn instynktownie odszukała spojrzeniem Lucasa, jednak z jego oczu nie dało się nic wyczytać, a twarz wyglądała jak nieruchoma maska. W przeszłości często widywała ten nieprzenikniony wyraz.

- Pani ciotka wspaniale gotuje, panno Gallegher. - Helen patrzyła na Autumn z zastanawiająco złośliwym uśmiechem.

- O tak - odparła bez zastanowienia. - Ciocia Tabby przywiązuje do jedzenia wielką wagę.

- Ciocia Tabby? - Głęboki śmiech Julii rozproszył wreszcie pełną napięcia atmosferę. - Co za cudowne imię! Lucas, czy wiedziałeś, że Autumn ma ciocię o takim kocim imieniu, gdy nadawałeś jej przydomek Kot?

- Nie znaliśmy się z Lucasem do tego stopnia, żeby rozmawiać o krewnych. - Ucieszyło ją, że jej głos zabrzmiał lekko i obojętnie. Równie dużą przyjemność sprawił jej mars na czole Lucasa.

- Prawdę mówiąc - wtrącił, szybko odzyskując panowanie - byliśmy zbyt zajęci, by zawracać sobie głowę genealogią. - Posłał jej uśmiech, który przeniknął tarczę obronną Autumn. Czowała, jak puls jej przyspiesza. - O czym właściwie wtedy rozmawialiśmy, Kocie?

- Już nie pamiętam - mruknęła. Była na siebie wściekła. Nie zdążyła nawet nacieszyć się zwycięstwem, a znowu zaczęła przegrywać. - To było tak dawno.

Na szczęście w tym momencie do pokoju wkroczyła ciocia Tabby z pysznymi jagodowymi ciasteczkami.

W salonie rozpalono w kominku i włączono muzykę. Gdybym zobaczyła ich w filmie, myślała Autumn, przyglądając się gościom, uznałabym, że to spotkanie starych kolegów. Steve i Robert siedzieli skupieni nad partią szachów. Jane z zaszępioną miną przeglądała jakieś czasopismo. Nie powinna nigdy nosić brązów, uznała Autumn. By dojść do tego wniosku, nie trzeba było czulego na kolory fotografa, podejrzewała jednak, że żona doktora Spicera zawsze wybierze stroje w tej właśnie tonacji.

Lucas rozwalił się na sofie. Nie wiedzieć jakim sposobem, chociaż zawsze wypoczywał w najbardziej nonszalanckiej pozie, nigdy nie wyglądał niechlujnie ani ociężale. Wręcz przeciwnie, widać było, że jest czujny i pełen energii. Autumn wiedziała, że nieustannie obserwuje ludzi, choć nie rzucało się to w oczy. Wcale nie dlatego, że nie chciał ich stawiać w niezręcznym położeniu - to go najmniej obchodziło. Po prostu umiał to robić niezauważalnie. Patrząc na nich, potrafił poznać ich sekrety. Pochłonięty pisarską pracą, czerpał pomysły z życia i w swoich powieściach opisywał znanych sobie ludzi. I był w tym bezlitosny.

Sprawiał wrażenie zaabsorbowanego rozmową, którą prowadził z Julią i Jakiem. Siedzieli po obu jego stronach i mówili z tą swobodą która wynika z dużej zażyłości. Nic dziwnego, należeli przecież do tego samego świata.

To jednak nie jest jej świat, przypomniała sobie surowo. Tylko przez krótki okres udawała, że również do niego należy. Tak jak udawała, że Lucas należy do niej. Miała rację, mówiąc mu, że wydorosłała. Zabawy w udawanie dobre są dla dzieci.

Jednakże w salonie także trwała jakaś gra. Spod sielskiej atmosfery przeświecała warstwa skrępowania i niepokoju. Autumn zawsze była czuła na wszelkie zmiany barwy i temperatury światła, nie miała więc wątpliwości, że się nie myli. Zdaje się, że nie zamierzają zapoznać mnie z regułami, uznała po namyśle. Właściwie była im nawet wdzięczna. Wcale nie miała ochoty włączać się do zabawy.

Wymruczała pod nosem słowa usprawiedliwienia, po czym wymknęła się z bawialni i ruszyła na poszukiwanie ciotki.

Ledwie przestąpiła próg jej pokoju, całe napięcie ulotniło się jak ręką odjął.

- O, Autumn. - Ciocia Tabby zdjęła z nosa okulary i wypuściła je z ręki. Na szczęście były umocowane na łańcuszku, który zwisał z jej szyi. - Smakowała ci wołowina, kochanie?

- Była wspaniała. Dziękuję, ciociu.

- Podczas twojego pobytu będziemy ją przyrządzać raz w tygodniu. - Moim ulubionym spaghetti ciocia pewno raczy Paula, pomyślała Autumn z rozbawieniem. - Muszę sobie to zanotować, bo inaczej zaraz zapomnę. Gdzie się podziały moje okulary? - Mruczając pod nosem, szperała wśród rzeczy na biurku. - Że też nigdy nie leżą tam, gdzie je zostawię.

Autumn uniosła dyndające na łańcuszku okulary i umieściła je na nosie ciotki, która zamrugła zaskoczona.

- Coś takiego! - dziwowała się. - Cały czas tu były. Autumn chwyciła ją w objęcia.

- Uwielbiam cię, ciociu Tabby!

- Zawsze byłeś słodkim dzieckiem. - Starsza pani pogłaskała ją po policzku. W powietrzu znów uniósł się zapach lawendy i talku. - Mam nadzieję, że podoba ci się niespodzianka.

- Z pewnością będę nią zachwycona.

- Jeszcze jej nie widziałaś? - Ciocia z namysłem ściągnęła usta. - Nie, przecież ci jej nie pokazałam. Skąd masz wiedzieć, czy ci się podoba. Jak ci się rozmawiało z panną Bond? Urocza kobieta. Zdaje się, że pracuje w show - biznesie?

- Tak, jest aktorką. Zawsze ją podziwiałam.

- A więc znałaś ją wcześniej? - spytała z roztargnieniem, przekładając papiery na biurku. - Myślę, że pokażę ci teraz, póki pamiętam.

Trudno było nadążyć za jej rozbieganymi myślami. W każdym razie Autumn po tak długiej nieobecności zupełnie straciła wprawę.

- Co mi pokażesz, ciociu?

- Nie mogę ci powiedzieć, bo wszystko popsuję. - Ciocia żartobliwie pogroziła palcem. - Uzbrój się w cierpliwość i chodź ze mną Autumn, która była wysoka, smukła i miała długie nogi, zwykle poruszała się dość zamaszystym krokiem. Teraz musiała zrównać się z ciotką, która mruczając coś pod nosem o bieliźnie stołowej, dreptała śmiesznym truchcikiem. Zupełnie jak zajęczek, gdy wyskakuje na drogę i nie może podjąć decyzji, w którą stronę uciekać.

- No, jesteśmy. - Zatrzymały się przed drzwiami, które według wiedzy Autumn prowadziły do dawnego salonu zdegradowanego do roli składziku środków czyszczących. - I co o tym myślisz? - spytała ciocia, patrząc na Autumn rozpromienionym wzrokiem.

- Czy tam jest moja niespodzianka?

- Och, jaka jestem głupia! - Ciocia z dezaprobatą cmoknęła językiem. - Przecież nie możesz wiedzieć, co tam jest, póki nie otworzę drzwi. - Wygłosivszy tę niewątpliwie trafną uwagę, wyjęła klucz.

Gdy rozbłysło światło, Autumn stanęła jak wryta Tam, gdzie spodziewała się mopów, szczotek i wiader, zastała kompletnie wyposażoną ciemnię. W idealnym porządku stały wszystkie potrzebne urządzenia i odczynniki. Głos uwiązył jej w krtani.

- No i co o tym myślisz? - powtórzyła swoje pytanie ciocia. - Dla mnie to wszystko wygląda zbyt technicznie i naukowo - mówiła, patrząc z podziwem na powiększalnik. - Za żadne skarby nic bym z tego nie zrozumiała.

- Och, ciociu Tabby - Autumn wreszcie odzyskała mowę. - Nie powinnaś...

- Kochanie, czy coś jest nie tak? Nelson mówił, że sama wywołujesz filmy, a firma, która przywiozła te rzeczy, zapewniała, że wszystko będzie w porządku. Chociaż... - Zawahała się. - Ja się naprawdę na tym nie znani.

Miała tak niepewną minę, że Autumn omal nie rozplakała się ze wzruszenia.

- Nie, ciociu. Wszystko jest wspaniałe. - Przytuliła mocno małą, pulchną figurkę. - Miałam na myśli, że nie powinnaś tego dla mnie robić. Tyle kłopotu i wydatków.

- Tylko o to chodzi? - Rozpromieniona ciocia rozejrzała się wokół. - No cóż... Nie było z tym żadnego kłopotu. Ci sympatyczni młodzieńcy przyjechali i sami wszystko zainstalowali. A jeśli chodzi o wydatki... - Wzruszyła ramionami. - Lepiej, żebyś teraz korzystała z moich pieniędzy, a nie dopiero po mojej śmierci. - Mimo rozkojarzenia potrafiła myśleć nieoczekiwanie trzeźwo.

- Ciociu Tabby... - Autumn objęła dłońmi jej twarz. - To najwspanialsza niespodzianka, jaka spotkała mnie w życiu. Dziękuję.

- Baw się dobrze. - Zarumieniła się z zadowolenia, kiedy Autumn ucałowała jej policzki, po czym zostawiła ją samą i drobnym kroczeniem podreptała do swoich zajęć.

Autumn ponad godzinę spędziła w ciemni. Na tym znała się najlepiej. Hobby z dzieciństwa z czasem stało się jej zawodem. Chemikalia i skomplikowana aparatura nie miały przed nią tajemnic. Czy to w laboratorium, czy z aparatem w ręku, wiedziała, kim jest i czego pragnie. To właśnie fotografia nauczyła ją opanowania. A teraz, gdy jej myśli znów zaczynały krążyć wokół Lucasa, umiejętność kontrolowania emocji mogła okazać się bardzo przydatna. Nie była już romantyczną dziewczyną gotową polecieć na każde skinienie palca, lecz rozsądną i cenioną profesjonalistką. Tego powinna się trzymać, jak to robiła przez ostatnie trzy lata. Nie było powrotu do przeszłości.

Przemeblowała ciemnię zgodnie z własnymi upodobaniami i w końcu, czując przyjemne zmęczenie, udała się do kuchni po filiżankę herbaty. Na niebie po okrągłej tarczy księżycy przesuwała się cienka chmurka. Nagle ciałem Autumn wstrząsnął dreszcz. Znów wróciło niemiłe uczucie, które pojawiło się podczas obiadu. Czy to tylko przywidzenia? Znając się, wiedziała, że to możliwe. Ostatecznie wyobraźnia była przecież częścią jej zawodu. Jednak to uczucie było zupełnie inne.

Spotkanie z Lucasem spowodowało, że jej nerwy były napięte do granic wytrzymałości. Zapewne dlatego czuła się tak dziwnie. Po prostu potrzebowała solidnego odpoczynku. I żadnych snów! Wystarczająco dużo było ich trzy lata temu. Wyczerpała wtedy cały zapas marzeń sennych.

W domu zapadła cisza. Wpadający przez okna blask księżycy nie rozpraszał ciemności panujących w bawialni. Przechodząc tamtędy, Autumn usłyszała przytłumione głosy. Zawahała się, czy nie powiedzieć dobranoc, jednak nagle odniosła wrażenie, że słyszy nie zwykłą rozmowę, ale kłótnię. Niewyraźne słowa padały szybko, zapalczywie. Już odchodziła, nie chcąc podsłuchiwać tej prywatnej bitwy, gdy nagle padło dosadne przekleństwo wypowiedziane podniesionym głosem z francuskim akcentem.

Tłumiąc śmiech, weszła na schody. Pewno Jacques stracił wreszcie cierpliwość do upartego jak osioł Lucasa, pomyślała ze złośliwą satysfakcją.

Była już w połowie korytarza, gdy spostrzegła, że się omyliła. Nawet Lucas McLean nie miał takiej mocy, by znaleźć się w dwóch miejscach jednocześnie. W tej zaś chwili bez wątpienia był tu, na piętrze. Stał w progu pokoju, trzymając w objęciach Julię.

Doskonale знаła dotyk jego ramion, pieszczotę ust. Wiedziała, że jego ręka będzie przesuwać się po plecach, póki nie obejmie szyi; że jego palce nie będą delikatne. O nie, w pieszczotach Lucasa z pewnością nie było delikatności...

Nie martwiła się, że może zostać dostrzeżona. Zbyt byli sobą zajęci. Nawet gdyby sufit zwałił się im na głowy, pozostaliby spleceni w uścisku.

Potworny ból wrócił z całą siłą.

Pospiesznie pokonała korytarz, wbiegła do pokoju i zatrzasnąwszy drzwi, dała upust ogarniającej ją zazdrości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Las pachniał orzeźwiająco świeżością. Tylko śpiew ptaków przerywał panującą wokół ciszę. Po wschodniej stronie nieba przemykały białe pierzaste obłoki. Autumn, jako niepoprawna optymistka, patrzyła na nie z nadzieją, ignorując ciemne groźne chmury zbierające się na zachodzie. Promienie wschodzącego słońca, które ciągle jeszcze barwiły czerwienią szczyty gór, zaczynały już blednąć i różowieć, by w końcu ulec błękitowi nieba.

Światło przefiltrowane przez białe chmury było wręcz wymarzone. Liście nie rozwinęły się jeszcze i nie zasłaniały słońca, korony drzew znaczyły się zaledwie punktami zieleni. Od czasu do czasu silny podmuch zginał gałęzie i szarpał włosami Autumn. W powietrzu wyraźnie czuło się wiosnę.

Dostrzegła leśne fiołki, widziała też rudzika, który dreptał zaaferowany w poszukiwaniu dżdżownic. Wiewiórki, szeleszcząc zeszlórocznymi liśćmi, biegały w dół i w górę po pniach drzew.

Umyśliła sobie, że pójdzie aż do jeziora. Liczyła na to, że zdoła uchwycić jelenia przy wodopoju. Nie opierała się jednak, gdy aparat co rusz sam pchał się jej do rąk, zmuszając ją, by się zatrzymała na moment. Potem znów szła spokojnym krokiem, radując się samotnością i pięknem przyrody.

W Nowym Jorku tak naprawdę nigdy nie była sama, chociaż często bywała samotna. Miasto zakłócało jej spokój, naruszało prywatność. Dopiero teraz, w otoczeniu gór i drzew, uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej odosobnienia. Musiała naładować akumulatory, odżyć. Od czasu, gdy opuściła Kalifornię i Lucasa, nie pozwalała sobie na chwile samotności. Musiała zagospodarować pustkę, zappełnić ją ludźmi, pracą, gwarem - czymkolwiek, co mogło zająć jej umysł. Korzystała z rytmu tętniącego życiem miasta, bo tego potrzebowała. Teraz chciała poczuć rytm gór.

W oddali błyszczało jezioro. Odwrócony obraz gór i drzew, które odbijały się w wodzie, sprawiał niesamowicie tajemnicze wrażenie. W pobliżu nie było co prawda jeleni, jednak gdy podeszła bliżej, na przeciwległym brzegu dostrzegła dwie postaci. Urwisko, na którym stanęła, wznosiło się jakieś piętnaście metrów nad doliną, gdzie leżało jezioro. Widok z góry był zachwycający.

Wiatr nie docierał do doliny, bowiem powierzchnia jeziora była spokojna i nieruchoma. Dalej od brzegu nieprzejrzyste wody przybierały coraz ciemniejszą barwę, wskazując niebezpieczne głębiny.

Autumn zapomniała już o spacerowiczach, koncentrując się na głębi ostrości i

właściwej perspektywie. Prawdę mówiąc, nawet gdyby się nimi zainteresowała, odległość była zbyt wielka, by mogła ich rozpoznać.

Zadowolona z pracy, przerwała fotografowanie, żeby zmienić film. Gdy podniosła głowę, nad jeziorem było już pusto. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Wraz ze zmianą światła zniknął nastrój, który pragnęła utrwalić, wolnym krokiem ruszyła więc w drogę powrotną.

Cisza panująca w lesie wydawała się teraz jakaś inna. Słońce wprawdzie świeciło jaśniej, jednak Autumn zaczęła odczuwać dziwny niepokój, którego nie dostrzegła o brzasku. W pewnym momencie obejrzała się nawet przez ramię, lecz zaraz nawymyślała sobie od idiotek. Kto niby miał za nią iść? I po co? Niepokojące wrażenie jednak nie przemijało.

Opuścił ją radosny nastrój, z jakim wyruszała na spacer. Z trudem powstrzymała chęć, aby puścić się biegiem w stronę zajazdu, gdzie byli ludzie i czekała gorąca kawa. Nie bądź dzieckiem, zgromiła się w duchu. Próbując udowodnić sobie, że potrafi zapanować nad nerwami, zatrzymała się, bez pośpiechu nastawiła aparat i zrobiła zdjęcie pracowitej wiewiórki. Lecz kiedy z tyłu rozległ się szmer suchych liści, w panice chciała ruszyć do ucieczki.

- Widzę, Kocie, że nadal nie rozstajesz się z aparatem. Czują, jak krew huczy jej w głowie. Przed nią stał Lucas z dłońmi nonszalancko wciśniętymi do kieszeni dzinsów. Paralizujący strach ścisnął jej gardło. Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu.

- Co ci przyszło do głowy, żeby tak się skradać? - wybuchnęła z furią, gdy już odzyskała mowę. Była wściekła, że dała się tak przerazić, i to w dodatku właśnie jemu. Zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

- Oho, widzę, że wreszcie twój temperament zaczął dorównywać kolorowi włosów - zauważył spokojnie, podchodząc bliżej.

Nie cofnęła się ani o krok. Niech wie, że poza temperamentem ma też dumę.

- Do pasji doprowadza mnie, gdy ktoś psuje mi ujęcie. - To był najprostszy sposób, żeby usprawiedliwić swoją gwałtowną reakcję. Za żadne skarby nie sprawi mu radości i nie da po sobie poznać, jak ją wystraszył.

- Wydajesz się niespokojna.

Sam szatan mógłby u niego brać lekcje uśmiechu, pomyślała z goryczą.

- Czyżby z mojego powodu? - dodał.

Splątane pasma gęstych czarnych włosów wiły się wokół jego pociągłej twarzy. W ciemnych oczach malowała się niezachwiana pewność siebie.

- Nie pochlebiaj sobie - odpaliła. - Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek był miłośnikiem porannych wycieczek. Czyżbyś nagle pokochał przyrodę?

- Zawsze gustowałem w naturze. - Przyglądał się jej uważnie. Na jego ustach igrał uśmiech. - Szczególną słabość mam do pikników.

Znów zaczęła odczuwać nieprzyjemny, bolesny ucisk w żołądku. Tak dobrze pamiętała szorstki piasek pod stopami, cierpki smak wina i unoszący się wokół zapach oceanu. Zmusiła się jednak, żeby wytrzymać spojrzenie Lucasa.

- Ja przestałam je lubić. - Odwróciła się, zamierzając odejść, ale Lucas ruszył razem z nią - Nie idę jeszcze do domu - oznajmiła lodowatym tonem, który z pewnością zniechęciłby każdego innego. Zatrzymała się, żeby zrobić zdjęcie sójki.

- Nie spieszy mi się - odparował swobodnie. - Zawsze lubiłem obserwować cię przy pracy. Fascynuje mnie twoje zaangażowanie. Widziałem twoje zdjęcie spalonej kamienicy w Nowym Jorku. Coś nadzwyczajnego. Proste, mocne i budzące grozę.

Obrzuciła go nieufnym spojrzeniem. Zaskoczył ją ten komplement. Lucas nie był skory do pochwał.

- Dziękuję - bąknęła, kierując obiektyw na grupę drzew. - Twoja powieść nadal sprawia ci kłopoty?

- Większe niż się spodziewałem - mruknął... i nagle wsunął dłoń w jej włosy. - Nigdy nie potrafiłem się im oprzeć, pamiętasz?

Wzruszyła obojętnie ramionami, z uporem patrząc na drzewa.

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby podobne włosy - mówił dalej uwodzicielskim tonem. - A Bóg mi świadkiem, że szukałem. Zawsze jednak albo odcień był inny, albo struktura, albo długość... Są jedyne w swoim rodzaju. Ognisty wodospad w słońcu, który na poduszce staje się olśniewającym rozlewiskiem.

- Opisy zawsze były twoją mocną stroną. - Nie myśląc nawet o tym, co robi, automatycznie nastawiła obiektyw. Mówiła obojętnym, wręcz znudzonym tonem, modląc się jednocześnie w duchu, żeby wreszcie sobie poszedł. Tymczasem Lucas jeszcze mocniej chwycił jej włosy, obrócił ją do siebie gwałtownym ruchem i wyrwał jej z rąk aparat.

- Cholera, nie mów do mnie takim tonem. I nie odwracaj się do mnie plecami. Nigdy więcej nie odwracaj się do mnie tyłem.

Dobrze pamiętała jego złe nastroje i gniewną minę. Kiedyś uległaby im natychmiast. Ale te czasy bezpowrotnie już minęły.

- Przekleństwa mnie nie wystraszą. - Uniosła brodę.

- Lepiej poświęć uwagę Julii.

- A więc to byłaś ty. - W mgnieniu oka jego twarz zmieniła wyraz, a na ustach pojawił się drwiący uśmiech.

- Nie ma powodu do zazdrości, Kocie. To była jej inicjatywa, nie moja.

- Faktycznie, zauważyłam, jak walczyłeś, żeby się uwolnić. - Ledwie skończyła mówić, już żałowała swoich słów. Zdenerwowana, próbowała go odepchnąć, lecz Lucas przytrzymał ją jeszcze mocniej. Jego zapach drażnił zmysły i przypominał o rzeczach, o których wolałaby zapomnieć. - Posłuchaj, Lucas - wycedziła przez zaciśnięte zęby, czując, jak jednocześnie wzbierają w niej gniew i tęsknota. - Zajęło mi pół roku, nim zrozumiałam, jakim jesteś draniem. Przez trzy lata utwierdzałam się w tym przekonaniu. Teraz jestem dużą dziewczynką i twoje wdzięki już na mnie nie działają. Zabieraj te łapy i spadaj!

- Cóż to, Kocie? Nauczyłaś się kąsać? - Nie wyglądał na urażonego. Z wściekłością zauważyła, że jej słowa raczej go rozbawiły. Przesunął spojrzenie na jej usta, po czym znów zajrzał jej w oczy. - Już nie tak uległa, ale nadal fascynująca.

Roześmiał się głośno, gdy dotknięta do żywego tą uwagą, obrzuciła go przekleństwami. Rozwścieczył ją tak bardzo, że zaczęła się z nim szarpać, a wtedy przyciągnął ją brutalnie do siebie i zachłannie objął jej usta swoimi. Żarliwy pocałunek zupełnie ją oszołomił.

Odżyły dawne pragnienia. Zupełnie jakby przez trzy lata głodowała i teraz nagle głód dał o sobie znać z potworną siłą. Bez chwili wahania jej ramiona uniosły się, oplatając szyję Lucasa. Jej wargi rozchyliły się pod naporem jego natarczywych, brutalnych ust. Mimo bólu czuła się jak w raju, a w jej żyłach znów krążyła krew.

Przez chwilę błędził wargami po jej twarzy, po czym z nową gwałtownością ponownie odnalazł jej usta. Podała mu je natychmiast. Minęło wiele czasu, nim uniósł głowę.

- To wcale nie minęło, Kocie - mruknął cicho, przeczesując palcami jej włosy. - Ciągle jeszcze jest w tobie.

Znów poczuła ból i upokorzenie. Oderwała się od niego i zamachnęła z wściekłością, a gdy chwycił jej przegub, próbowała uderzyć go drugą ręką. Refleks Lucasa pozbawił ją jednak nawet tej satysfakcji. Dysząc z wściekłości, próbowała oswobodzić ręce. W gardle czuła dławienie, lecz nie zamierzała się poddać. Nie pozwoli, by ponownie doprowadził ją do łez!

Lucas w milczeniu obserwował, jak walczyła ze sobą, by pohamować wzburzenie. Jedynym dźwiękiem w ciszy panującej wokół był jej urywany oddech. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos był zimny i stanowczy.

- Nawet ty powinieneś wiedzieć, że między pożądaniem a miłością jest duża różnica. To, co widzisz w tej chwili, nie jest tym samym uczuciem, które było we mnie dawniej. Ja cię kochałam, Lucas. Kochałam. - Kiedy powtórzyła te słowa, zabrzmiały jak oskarżenie. Brwi

Lucasa złączyły się, jego oczy patrzyły na nią z uwagą. - Dostałeś wtedy wszystko: moją miłość, niewinność, dumę. A potem cisnąłeś mi je w twarz. Nie możesz ich już odzyskać. Pierwsza umarła, druga przeminęła, a trzecia należy wyłącznie do mnie.

Przez chwilę stali nieruchomo. Wciąż nie spuszczał z niej wzroku, powoli uwolnił rękę Autumn. Nie odezwał się, a z jego twarzy nie można było nic wyczytać. Odwróciła się wolno i odeszła. Nie chciała uciekać po raz drugi. Dopiero gdy upewniła się, że nie idzie za nią, pozwoliła popłynąć łzom. To co powiedziała o dumie i niewinności, było prawdą. Skłamała jednak, mówiąc o miłości. Daleko jej było do śmierci. Nadal w niej żyła i znów boleśnie raniła.

Otarła łzy, gdy dostrzegła ceglana ścianę zajazdu. Nie ma co rozczulać się nad czymś, co dawno minęło. Miłość do Lucasa nie zmieni jej życia, tak jak nie wpłynęła na nie trzy lata temu. Tylko ona sama się zmieniła. Nie pozwoli, by pomyślał, że jest nieszczęśliwa, bezradna i - jak to nazwał - uległa.

O dziwo, rozczarowanie dodało jej sił. Zrozumiała co prawda, że Lucas nadal może ją zranić, jednak z pewnością nie będzie w stanie nią manipulować. Tak czy inaczej, spotkanie z nim okazało się mocnym wstrząsem, nie była więc zachwycona, widząc Helen, która zmierzała ku niej ścieżką z prawej strony.

Gdyby teraz zmieniła kierunek, wyglądałoby to na celowe unikanie spotkania. Zmusiła się do uśmiechu, żeby nie zachować się nieuprzejmie, jednak uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy Helen odwróciła głowę. Pod jej okiem widniał wielki siniec.

- Co się stało? - spytała ze współczuciem.

- Wpadłam na gałąź. - Helen wzruszyła ramionami i przytknęła palce do bolesnego miejsca. - W przyszłości muszę być bardziej ostrożna.

Autumn odniosła wrażenie, że słowa Helen mają jakiś ukryty sens. Być może zdenerwowanie wywołane spotkaniem z Lucasem sprawiło, że stała się zbyt przeczulona... ale czy na pewno? W oczach Helen czaił się gniew, a siniec pod okiem wyglądał raczej na wynik kontaktu z czyjąś pięścią niż gałęzią.

Co za bzdury! - zganiła się w duchu. Któż miałby uderzyć Helen? Zresztą przecież nie chroniłaby napastnika. Nieostrożność podczas przechadzki wydaje się znacznie sensowniejszym wyjaśnieniem.

- Brzydko to wygląda - zauważyła, gdy podjęły spacer w stronę zajazdu. - Powinna pani coś z tym zrobić.

- O, z pewnością tak tego nie zostawię. - Helen uśmiechnęła się do Autumn, obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem. - Znam nawet właściwy sposób. A pani? Poranny

spacer na zdjęcia? - Zmieniła temat, lecz Autumn ciągle jeszcze nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju, jaki wywołała poprzednia uwaga. - Moim zdaniem znacznie ciekawszym tematem od drzew są ludzie. Szczególnie cenię sobie ujęcia robione z zaskoczenia. - Roześmiała się, jakby powiedziała dowcip, zrozumiały tylko dla niej. Autumn, która po raz pierwszy słyszała śmiech Helen, doszła do wniosku, że dźwięk ten wyjątkowo dobrze pasuje do jej uśmiechu. Oba były równie nieprzyjemne.

- Czy była dziś pani nad jeziorem? - spytała, przypomniawszy sobie sylwetki dwóch osób. Ku jej zaskoczeniu, śmiech urwał się raptownie. Helen przeszła ją świdrującym wzrokiem.

- Kogoś tam pani widziała?

- Właściwie nie - zaczęła, zdumiona jej ostrym tonem. - Zobaczyłam co prawda dwie postaci, ale byłam zbyt daleko, by je rozpoznać. Akurat robiłam zdjęcia ze wzniesienia.

- Zdjęcia - powtórzyła Helen. Ściągnęła usta, jakby coś przyszło jej do głowy i nagle znów wybuchnęła nieprzyjemnym śmiechem.

- No, no, cóż za świetny humor u rannych ptaszków.

- Julia schodziła z ganku. Z uniesionymi brwiami przyglądała się policzkowi Helen. - Dobry Boże, co pani sobie zrobiła?

Rozbawienie Helen zniknęło równie gwałtownie, jak się pojawiło. Niechętnie spojrzała na Julię i znów dotknęła palcami opuchlizny.

- Uderzyła mnie gałąź - mruknęła, po czym sztywno weszła po schodkach i zniknęła w środku.

- Powiedziałabym raczej, że czyjaś pięść - mruknęła Julia. Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Autumn:

- Ty też usłyszałaś zew natury? Zdaje się, że wszyscy prócz mnie już o bladym świecie wybrali się na wędrowkę po lasach i górach. I jak tu pozostać przy zdrowych zmysłach, gdy otaczają cię sami szaleńcy?

Autumn nie mogła powstrzymać uśmiechu. Julia błyszczała jak promień słońca. Podczas gdy sama włożyła wytarte džinsy i kurtkę, aktorka ubrana była w zwiewne różowe spodnie i cienką jedwabną bluzeczkę w kwiatowy wzór. Białe sandaalki nie wytrzymałyby nawet krótkiego spaceru po lesie. Nagle zniknął cały żal, jaki czuła do Julii, że udało jej się zainteresować sobą Lucasa.

- Niektórzy zarzuciliby ci lenistwo - zauważyła łagodnie.

- Mieliby rację - przytaknęła Julia pogodnie. - Kiedy nie pracuję, lubię pławić się w nieróbstwie. - Spojrzała podejrzliwie na Autumn. - Coś mi się zdaje, że ty również natknęłaś

się na jakąś wielką gałąź.

- Zagoi się.

- Dzielna dziewczynka. No chodź, opowiedz o tym mamie. - Ujęła ją pod ramię i ruszyła przez trawnik.

- Julio... - Autumn pokręciła głową. Jej uczucia były zbyt intymne. Nie chciała się nimi dzielić.

- Powinnaś się wygadać! - Julia nie przyjęła do wiadomości jej odmowy. - Właściwie nie rozumiem, dlaczego tak cię polubiłam. To zupełnie niezgodne z moją zwykłą polityką. Piękne kobiety zazwyczaj unikają innych pięknych kobiet, szczególnie młodszych.

Oniemiała, słysząc tę uwagę. To niedorzeczne, żeby wykwintna, niezrównana Julia Bond porównywała się akurat z nią!

- W każdym razie do ciebie czuję ogromną sympatię.

- Odwróciła głowę i spojrzała prosto w twarz Autumn.

- Kochanie, to prawda, że jestem potwornie wścibska, ale potrafię także dotrzymać sekretu.

- Ciągle jestem w nim zakochana - wybuchnęła Autumn, wzdychając ciężko, i zanim się zorientowała, zaczęła mówić. Nic nie ukrywała, opowiedziała wszystko od początku do końca i do nowego początku, który nastąpił, gdy poprzedniego dnia Lucas znów pojawił się w jej życiu. Zwierzenia przyszły jej bez wysiłku. Prawie zapomniała o obecności Julii, która była znakomitym słuchaczem.

- Potwór - powiedziała w końcu, choć w jej głosie nie było śladu złości. - Kłopot w tym, że nadal wariujesz na jego punkcie. Wcale się temu nie dziwię - dodała, kiedy Autumn jęknęła z rozpaczą. - Lucas faktycznie jest niesamowicie atrakcyjny. Wczoraj wieczorem miałam okazję poznać niektóre jego zalety i muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie.

Autumn nie potrafiła się dłużej gniewać, słysząc, jakim obojętnym tonem Julia mówi o ich namiętnym pocałunku. Po jej śmiechu poznała, że doskonale wiedziała, jaką walkę z sobą toczy.

- Julio...

- Trzeba przyznać, że ma talent - przerwała jej. - Ale także jest bezczelny, samolubny i od wszystkich wymaga absolutnego posłuszeństwa. Dostrzegam to, bo jestem taka sama. Mam wrażenie, że gdybyśmy zdecydowali się na króciutki romans, natychmiast zaczęlibyśmy skakać sobie do oczu. Nie zdążylibyśmy nawet dojść do łóżka.

Autumn nie potrafiła na to znaleźć odpowiedzi.

- Jacques jest bardziej w moim typie. Tyle że on całkiem gdzie indziej skupił uwagę. -

Julia zmarszczyła w zastanowieniu brwi. - Nieważnie... Musisz się na coś zdecydować. To oczywiste, że Lucas chce, byś do niego wróciła, przynajmniej na tak długo, jak będzie mu wygodnie.

Autumn pominęła milczeniem tę boleśnie prawdziwą uwagę.

- Ponieważ zdajesz sobie z tego sprawę, mogłabyś spokojnie zdecydować się na trzeźwy, ożywczy związek.

- Nie mogę... Nie wierzę, że przeżyłabym jeszcze jeden związek z Lucasem. W dodatku upewniłby się, że ciągle go kocham. - Scena rozstania sprzed trzech lat przesunęła się przed jej oczami jak kadr z filmu. - Nie pozwolę znów się upokorzyć. Duma to jedyne, co mi zostało.

- Miłość i duma nie chodzą w parze. - Julia poklepała ją po dłoni. - Cóż, w takim razie musisz się dobrze uzbroić, nim przystąpi do ataku. Będę ci służyć za tarczę ochronną.

- W jaki sposób?

- Moja droga! - Uniosła brwi, a na jej ustach znów pojawił się koci uśmiech.

Autumn parsknęła śmiechem. To wszystko było zupełnie absurdalne. Spojrzała na niebo. Czarne chmury jednak zwyciężyły. W tej chwili właśnie przesłoniły słońce.

- Chyba będzie padać. - Popatrzyła na dom. Okna były ciemne i opuszczone. Przytłumione światło, z trudem przedzierające się przez chmury, sprawiło, że ganek i okiennice wydawały się szare i ponure. Niebo zrobiło się ołowianoszare, góry wyglądały groźnie i przytłaczająco. Autumn poczuła mrowienie. Odeszła jej ochota, żeby wchodzić do pensjonatu.

Nagle chmury rozstały się. Cienie zniknęły, w oknach znowu odbiło się słońce. Zła, że dała się ponieść nerwom, energicznie ruszyła za Julią do domu.

Tylko Jacques usiadł z nimi do śniadania. Helen nie pojawiła się, a Steve i Spicerowie najwidoczniej jeszcze byli na spacerze. Autumn starała się nie dopuszczać do siebie żadnych myśli o Lucasie. Jak zwykle dopisywał jej wspaniały apetyt. Pochłonęła solidną porcję jajek na bekonie, bułeczek i kawy, wzbudzając zazdrość Julii, która siedziała nad jedną cienką grzanką.

Jacques wyraźnie był czymś zaaferowany. Widząc, z jakim wysiłkiem stara się zachowywać naturalnie, przypomniała sobie przytłumione głosy, które słyszała wczoraj w salonie. Ciekawe, kto mógł go tak rozgniewać?

Julia beztrąsko paplała o jakimś znajomym z przemysłu filmowego. Jest świetną aktorką, myślała Autumn, więc jeśli nawet wie coś o wczorajszej sprzeczce, nie da tego po sobie poznać. Rozmyślała na ten temat podczas posiłku, potem jednak dała sobie spokój.

Ostatecznie to nie jej sprawa, uznała, idąc na poszukiwanie ciotki.

Jak się spodziewała, ciocia Tabby właśnie omawiała z kucharką dzisiejsze menu. Nancy zaplanowała kurczaka, a tymczasem starsza pani upierała się, że miała być wieprzowina. Autumn po cichu naląła sobie filiżankę kawy. Stała przy oknie i patrzyła na ciemne chmury, które wciąż nadciągały z zachodu.

- Udał ci się spacer?

- Mhm... - Odwróciła się od okna, słysząc głos cioci.

- Ranek był taki śliczny. Szkoda, że idzie deszcz. Chociaż przyda się kwiatkom. Jak ci się spało, kochanie?

- Wspaniale. U ciebie zawsze śpię znakomicie.

- To zasługa powietrza. - Twarz cioci rozpromieniła się. - Upiekę dzisiaj moje ciasto czekoladowe. Jego smak zrekompensuje złą pogodę.

- Jest jeszcze kawa, ciociu Tabby? - Do kuchni wszedł Lucas. Najwyraźniej czuł się tu bardzo swobodnie. Autumn nie zdziwiła się, gdy w powietrzu pojawiło się napięcie. Zdążyła już do tego przywyknąć. Zaskoczyło ją natomiast użycie imienia ciotki.

- Oczywiście, kochaneczku. Nalej sobie. - Myśli starszej pani pochłaniało ciasto czekoladowe, machnęła więc tylko ręką w stronę kuchenki. Autumn z coraz większym zdumieniem patrzyła, jak Lucas bezbłędnie zmierza do właściwej szafki z naczyniami i nalewa sobie okazały kubek kawy.

Pił ją oparty niedbale o blat. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, dostrzegła, że w jego oczach nie ma już śladu po niedawnych emocjach.

- To twój aparat, kochanie? - przerwała jej rozmyślenia ciocia.

Spojrzała w dół. Przyzwyczajona, że nikon często wisi na jej szyi, nawet o nim nie pamiętała.

- Tak, oczywiście.

- No, no! Ależ skomplikowany. Ile tu cyferek. - Ciocia oglądała aparat z podziwem, mocno mrużąc oczy. Pewno znów zapomniała, że na łańcuszku ma okulary. - Możesz wziąć sobie mój. Wystarczy, że wciśniesz czerwony guziczek, i zaraz wyskakuje zdjęcie. W razie czego można je powtórzyć, bo od razu wiadomo, czy ucięłaś komuś głowę. No i nie ma potrzeby kręcenia się po omacku w tej całej ciemni. Zupełnie nie rozumiem, jak tam możesz coś zrobić, skoro nic nie widzisz. - Przez chwilę z namysłem stukała palcem w policzek. - Z pewnością przypomnę sobie w końcu, gdzie ja go mogłam położyć...

Autumn z miłością wzięła ciocię w objęcia. Ponad jej siwiejącą głową widziała, że Lucas się uśmiecha. Tym razem jednak był to naturalny, ciepły uśmiech, który tak rzadko

gościł na jego twarzy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i o dziwo wyszła z tego zupełnie bez szwanku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Deszcz zaczął w końcu padać, nie był to jednak spokojny kwietniowy kapuśniaczek. Niebo całkiem się zaciągnęło i w salonie zrobiło się szaro. Wszyscy już wrócili i w pensjonacie znów zebrała się przedziwnie dobrana grupa gości.

Steve, przejęty rolą barmana, udał się do kuchni po kawę. Robert Spicer przysiadł się do Jacques'a i raczył go niezwykle szczegółowym opisem operacji na otwartym sercu. Julia jak zafascynowana zawisła spojrzeniem na jego ustach.

Jane, ubrana w brązowe spodnie i sweter w tym samym ponurym kolorze, z naburmuszoną miną czytała jakąś powieść. Helen, z wielkim sińcem pod okiem, paliła papierosa, mocno się zaciągając. Zdaniem Autumn była teraz niesamowicie podobna do gąsienicy z „Alicji w Krainie Czarów”.

Lucas nie zszedł do salonu. Wiedziała, że siedzi na górze, bębniąc w klawisze swojej maszyny. Miała nadzieję, że zajmie mu to wiele godzin. Może nawet będą mu do pokoju nosić posiłki.

Na zewnątrz zrobiło się prawie ciemno i salon pogrążył się w półmroku. Autumn zdawało się, że wraz ze światłem z pokoju uciekło też ciepło. Ciarki jej przeszły po plecach. Zaskoczyło ją to uczucie strachu, bowiem zawsze lubiła burze. Przez chwilę panowała cisza, po czym nagle rozpętała się nawałnica. Deszcz walił o szyby z gniewną gwałtownością, niebo rozrywały błyskawice.

- Wiosenny deszczyk w górach - zakpił Steve, stając w drzwiach z wielką tacą. Wkoło rozszedł się miły zapach kawy.

- Przypomina to raczej efekty specjalne - stwierdziła Julia. Trzepocząc rzęsami, przysunęła się do Roberta. - Burze są takie groźne. A ja tak lubię się bać.

To przecież kwestia z jej filmu, pomyślała z uznaniem Autumn, z trudem powstrzymując śmiech.

Jane wcale nie wyglądała na rozbawioną. Zwykle była tylko nadąsana, teraz wręcz zionęła wściekłością. Może jednak ma pazury, myślała Autumn, czując, że to by wzbudziło jej sympatię do nieciekawej kobiety.

Błyskawica znów przecięła niebo. Jacques odwrócił się, gdy rozległ się głuchy pomruk.

- Chyba podczas takiej burzy może wysiąść światło?

- To się tu często zdarza.

Obojętna odpowiedź Autumn wywołała całą falę reakcji. Julia zachwyciła się na myśl

o romantycznym świetle świec. Robert oczywiście jej przytaknął. Jacques'owi było to całkiem obojętne. Uniósł ręce w wymownym geście, podkreślając, że gotów jest pogodzić się z losem.

Natomiast Steve i Helen wydawali się nadmiernie poruszeni taką groźbą, chociaż uwagi Steve'a brzmiały trochę łagodniej. Mruknął coś na temat niedogodności, po czym podszedł do okna i zapatrzył się na szalejącą wicherę. Za to Helen była wściekła.

- Nie płacę za to, żeby siedzieć w ciemnościach i jeść zimne posiłki. - Zapaliła następnego papierosa, zaciągnęła się z furią i spojrzała na Autumn. - Taki brak profesjonalizmu jest niedopuszczalny. Pani ciotka będzie musiała odpowiednio to zrekompensować. Z pewnością nie zamierzam żyć jak jaskiniowiec za tak absurdalną cenę.

Machnęła papierosem, gotując się do dłuższego przemówienia, lecz Autumn przerwała jej zdecydowanie:

- Jestem pewna, że moja ciotka z należytą uwagą uwzględni wszelkie pani skargi - powiedziała lodowatym tonem i odwróciła się ostentacyjnie. - Prawdę mówiąc, mamy tu generator - powiedziała do Jacques'a, który patrzył na nią z wyraźną aprobatą. - Mój wuj był równie praktyczny jak ciocia Tabby jest...

- Czarująca - podsunął Steve, zdobywając jej dozą wdzięczność.

- W razie awarii prądu po prostu przełączamy się na generator - ciągnęła. - Dzięki temu niedogodności są ograniczone do minimum.

- Myślę, że i tak poproszę o świece do swojego pokoju - zdecydowała Julia, zapalając papierosa i spoglądając na Roberta spod długich rzęs.

- Julia powinna być Francuzką - rzucił Jacques, uśmiechając się nieznacznie. - Jest niepoprawną romantyczką.

- Zbyt wiele romantyzmu - mruknęła Helen - może okazać się niezdrowe. - Rozejrzała się po pokoju i skupiła wzrok na Julii.

Postawa Julii raptownie uległa zmianie. Figlarny anioł przemówił nagle twardym tonem:

- Moim zdaniem tylko idiotom wydaje się, że są niezwykle mądrzy. - I znów wyglądała jak uosobienie łagodności.

Autumn z niedowierzaniem patrzyła na to przeobrażenie. Które z tych wcieleń było prawdziwą Julią Bond? A może żadne z nich? Nic przecież o niej nie wiedziała. W gruncie rzeczy wszyscy ci ludzie byli jej zupełnie obcy.

W pokoju wciąż panowała niezręczna cisza, gdy nagle w drzwiach stanął Lucas. Najwyraźniej w ogóle nie wyczuł wiszącego w powietrzu napięcia. Autumn spojrzała na niego bezradnie. Ruszył w jej stronę, ignorując innych z typową dla siebie nonszalancją.

Zadrzała, czując, że nie jest w stanie oderwać od niego wzroku. Musiał to zauważyć, bo na jego ustach znów pojawił się ten diaboliczny uśmiech.

- Nie zamierzam cię pożreć, Kocie - mruknął. Wśród dobiegających z zewnątrz odgłosów burzy jego cichy głos dotarł tylko do niej. - Nadal lubisz spacerować w deszczu?

- Patrzył na nią uważnie, ale widać było, że nie czeka na odpowiedź. - Twoja ciocia prosiła, żeby ci to oddać. - Spojrzała na jego wyciągniętą rękę i roześmiała się już zupełnie odprężona. - Dawno nie słyszałem tego dźwięku - zauważył ciepło.

- Nie? - Wzruszyła ramionami, biorąc od niego aparat z czerwonym guziczkiem. - Często się śmieję.

- Ciocia Tabby miała nadzieję, że będzie ci dobrze służył. - Odwrócił się od niej i poszedł nalać sobie kawy.

- Co tam masz? - zaciekała się Julia. Autumn podniosła aparat.

- To, proszę szanownych państwa - mówiła suchym tonem instruktora - jest najnowsze osiągnięcie techniki w dziedzinie fotografii. Wystarczy wcisnąć jeden guziczek, a nasi najbliżsi i przyjaciele znajdą się we wnętrzu tego pudełeczka, by po chwili stamtąd wyskoczyć na odbitce, która jest wywoływana na waszych oczach. Żadnych pomiarów, żadnych światłomierzy. Guziczek działa z szybkością myśli. Poradzi z nim sobie nawet pięcioletnie dziecko.

- Powinni państwo wiedzieć - wtrącił sucho Lucas - że Autumn jest fotograficznym snobem. - Stał pod oknem, pijąc kawę. - Jej zdaniem aparat bez wymiennych obiektywów, superszybkiej migawki i innych niezwykle skomplikowanych funkcji, w ogóle nie jest aparatem, lecz zabawką.

- Też zauważyłam, że ma na tym punkcie obsesję - zgodziła się Julia. - Nosi to czarne pudełko jak inne kobiety biżuterię. Ze wschodem słońca ruszyła w las, fotografując wiewiórki i zajaczki.

Z wesołym uśmiechem Autumn uniosła aparat i zrobiła jej zdjęcie.

- No wiesz, kochana! - Julia odchyliła głowę. - Mogłaś choć poczekać, aż pokażę się z lepszej strony.

- Nie masz lepszej strony - odparła Autumn.

- A ja myślałam, że jesteś słodkim dzieciakiem. - Julia uśmiechnęła się, niepewna, czy nie powinna poczuć się urażona.

Jacques wybuchnął głośnym śmiechem.

- Miałam okazję robić zdjęcia wielu kobietom, panno Bond - powiedziała Autumn poważnym tonem. - Jedną trzeba ustawić lewym profilem do obiektywu, inną prawym,

następną en face, jeszcze inną powinno się fotografować trochę z góry i tak dalej. - Przerwała na chwilę, krytycznym spojrzeniem mierząc śliczną twarz aktorki. - Natomiast pani mogę zrobić zdjęcie z każdej strony, pod każdym kątem i przy każdym świetle. Rezultat zawsze będzie równie wspaniały.

- Jacques... - Julia położyła dłoń na ramieniu, producenta. - Powinniśmy adoptować tę dziewczynę. Ma wręcz nieoceniony wpływ na moje samopoczucie.

- Zwykła zawodowa uczciwość - oznajmiła Autumn. Położyła odbitkę na stole i skierowała obiektyw na Steve'a.

- Powinieneś wiedzieć, że z aparatem w rękę Autumn staje się niebezpieczna. - Lucas podszedł do stołu i z uśmiechem oglądał zdjęcie Julii.

Zmarszczyła brwi, myśląc o zdjęciach, które mu robiła. Krążyła wokół niego, przykuciała, nastawiała ostrość, aż w końcu zmęczony, wyjmował aparat z jej rąk i skutecznie odwracał uwagę Autumn od fotografii.

Lucas dostrzegł jej zamyślenie. Obrzucił ją nieodgadnionym spojrzeniem, wyciągnął rękę i ujął w palce pasmo jej włosów.

- Nigdy nie zdołałaś mnie nauczyć fotografować, co, Kocie?

- Nie - odpowiedziała cicho, walcząc z ogarniającym ją bólem. - Niczego nie zdołałam cię nauczyć. Za to sama zdobyłam niezłe wykształcenie.

- Mnie również udało się opanować tylko proste w obsłudze aparaty. - Steve zbliżył się do stołu, gdzie leżał aparat Autumn. Podniósł go i oglądał, jakby miał do czynienia z przyrządem pochodzącym z innej planety. - Jak to możliwe, że zapamiętujesz, co znaczą te wszystkie liczby?

Przysiadł na oparciu jej fotela. Autumn, wdzięczna, że przerwał jej rozmowę z Lucasem, skwapliwie rozpoczęła lekcję podstaw fotografii. Lucas, wyraźnie znudzony, poszedł dolać sobie kawy. Kątem oka Autumn spostrzegła, że Julia wstaje z sofy i kieruje się w jego stronę. Nie minęła chwila, a już trzymała go pod ramię. Z twarzy Lucasa natychmiast zniknął wyraz znudzenia Autumn zacisnęła zęby i z zapalem kontynuowała swój wykład.

Po chwili oboje opuścili salon. Julia rzekomo postanowiła się zdrzemnąć, Lucas zaś wracał do pracy nad książką Autumn odprowadziła ich wzrokiem do drzwi. Widząc współczujący uśmiech Steve'a, zrozumiała, że oczy ją zdradziły. Przeklinając w duchu, szybko wróciła do nauki ustawiania przysłony.

Popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie. Deszczowy dzień wydawał się nienaturalnie długi i męczący. Burza już odeszła, ale wiatr przybrał na sile i wył z coraz większą mocą. Robert poprawił ogień, który teraz trząskał wesoło w kominku. Ten miły dźwięk być może

rozweseliłby atmosferę w salonie, lecz posępna mina Jane i nerwowy spacer Helen skutecznie to uniemożliwiały. W powietrzu znów czuło się napięcie.

Autumn uniknęła gry w karty, którą zaproponował Steve, i ukryła się w ciemni, gdzie wreszcie mogła się czymś zająć. Ledwie zamknęła drzwi i przekręciła klucz, nasilający się ucisk w skroniach zaczął ustępować.

Ciemnia była czysta i gotowa do pracy. Tu zmysły Autumn nie wyczuwały żadnych natrętnych prądów. Przygotowała wszystko do obróbki filmów. Odmierzyła odczynniki, sprawdziła temperaturę roztworów, ustawiła zegary. Była tak zaabsorbowana, że w ogóle zapomniała o burzy.

Potrafiła pracować w całkowitych ciemnościach. Po omacku wykonywała wszystkie czynności równie sprawnie jak przy włączonym świetle. Nagle wśród przytłumionych odgłosów wichury usłyszała cichy chrobot. Zajęta właśnie ustawianiem minutnika, z początku zignorowała ten dźwięk, rozgniewała się jednak, gdy się powtórzył.

Ktoś chyba poruszył klamką, pomyślała. Ogarnęły ją wątpliwości, czy aby na pewno zamknęła drzwi na klucz. Tego tylko trzeba, żeby jakiś ignorant wlaź tu i wpuścił światło.

- Zostaw te drzwi w spokoju! - krzyknęła. W tym samym momencie zamilkło radio, które przyniosła tu dla towarzystwa. Pewno wysiadł prąd, uznała. Stała przez chwilę nieruchomo, gdy znów usłyszała chrobot.

Czy rzeczywiście ktoś majstruje przy drzwiach, czy może po prostu docierają tu odgłosy z kuchni? Zaintrygowana, postanowiła sprawdzić. Zdażyła już dobrze poznać rozkład pokoju, szła więc pewnym krokiem, gdy nagle zaskoczył ją potworny, rozsadzający czaszkę ból. Zobaczyła oślepiający błysk, a potem znów wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

- Autumn! Autumn, otwórz oczy.

Chociaż przytłumiony głos dobiegał z daleka, wyraźnie słyszała rozkazujący ton. Nie zamierzała mu ulec. Im bliżej była odzyskania przytomności, tym dotkliwiej czuła przejmujący ból. Nieświadomość przynajmniej była bezbolesna.

- Otwórz oczy.

Głos stał się wyraźniejszy i bardziej nalegający. Jęknęła i niechętnie uniosła powieki. Czyjeś ręce odgarnęły włosy z jej twarzy, trochę dłużej zatrzymując palce na policzku. Stopniowo obraz Lucasa stawał się ostrzejszy. Jeszcze przez chwilę zacierał się i bladł, aż wreszcie powrócił całkiem wyraźny i czysty.

- Lucas... - Tylko tyle zdołała powiedzieć, ale to mu wystarczyło.

- Tak już lepiej - ucieszył się. Nim zdażyła zaprotestować, pocałował ją mocno. - Porządnie mnie nastraszyłaś. Coś ty sobie, do diabła, zrobiła?

- Ja? - Uniosła rękę, chcąc przyłożyć dłoń do czoła, gdzie było źródło bólu. - Co się stało?

- Właśnie o to pytam. Nie, nie dotykaj guza. - Przytrzymał jej rękę. - Może cię bardziej rozboleć. Chciałbym się dowiedzieć, jak go sobie nabiłaś i czemu leżysz nieprzytomna na podłodze.

Z trudem zbierała myśli, próbując skoncentrować się na ostatniej rzeczy, którą zapamiętała.

- Jak tu wszedłeś? - zapytała, przypominając sobie zgrzytający dźwięk. - Drzwi nie były zamknięte na klucz? - Powoli docierało do niej, że Lucas trzyma ją w ramionach i mocno przytula do piersi. - Czy to ty majstrowałeś przy drzwiach?

- Ostrożnie - uspokoił ją, gdy próbowała usiąść. Zaciśnęła powieki i czekała, aż ból trochę osłabnie.

- Chyba szłam w stronę drzwi - mruknęła, zastanawiając się, jak mogła być tak niezdarna.

- Szłaś do drzwi i uderzyłaś się tak mocno, że straciłaś przytomność? - Trudno było powiedzieć, czy był zły, czy raczej rozbawiony. - Dziwne. Nigdy nie miałaś nieskoordynowanych mchów.

- Było ciemno - burknęła zawstydzona. - Gdybyś nie majstrował przy drzwiach...

- W ogóle nie dotykałem... - zaczął, ale przerwał, gdy nagle krzyknęła:

- Światło! - Szarpnęła się, próbując oswobodzić się z jego ramion. - Włączyłeś światło!

- Zrobiłem to machinalnie, gdy zobaczyłem cię na podłodze - rzucił oschle. Bez wysiłku powstrzymał szamoczącą się Autumn. - Przede wszystkim musiałem sprawdzić, co ci się stało.

- Mój film! - denerwowała się.

Lucas roześmiał się, najwyraźniej niewiele sobie robiąc z jej oskarżycielskiego tonu.

- Maniaczka...

- Puść mnie! - Gniew dodał jej sił. Odepchnęła jego ręce i z trudem podniosła się na nogi. Potworny ból pozbawił ją jednak równowagi.

- Na miłość boską, Autumn! - Lucas przytrzymał ją za ramiona. - Przestań zachowywać się jak wariatka z powodu kilku głupich zdjęć.

W normalnych warunkach byłaby to po prostu nierozsądna uwaga, jednak w obecnej sytuacji Autumn uznała ją za wypowiedzenie wojny. Ogarnięta furją, obróciła gwałtownie głowę.

- Zawsze uważałeś, że moja praca to tylko jakieś głupie zdjęcia Traktowałeś mnie jak smarkulę, czasami nawet zabawną, lecz w gruncie rzeczy strasznie nudną. A ty przecież nie cierpisz nudy, prawda? - Wściekłym ruchem odgarnęła włosy, które spadły jej na twarz. - Siedzisz nad tymi swoimi książkami, grzejesz się w blasku sławy i na wszystkich patrzysz z góry. Coś ci powiem, Lucas. Nie jesteś jedyną utalentowaną osobą na świecie. Moje umiejętności są równie twórcze, moje zdjęcia dają mi równie dużo satysfakcji i są tak samo dobre jak te twoje głupie książeczki.

Przez chwilę stał nieruchomo ze zmarszczonym czołem. Wreszcie powiedział znużonym głosem:

- W porządku, Autumn. A teraz, skoro już to z siebie wyrzuciłaś, może zgodzisz się wreszcie łyknąć tabletkę aspiryny?

- Zostaw mnie w spokoju! - Strząsnęła rękę, którą położył na jej ramieniu. Odwróciła się, żeby zabrać aparat, który przed rozpoczęciem pracy odłożyła na półkę, ale kiedy spojrzała na stół, znów wybuchnęła gniewem. - Kto ci pozwolił ruszać mój sprzęt? Prześwietliłeś całą rolkę filmu! - warknęła ze złością. - Nie dość, że dłubiąc przy drzwiach, przeszkodziłeś mi w pracy, zapaliłeś światło i wszystko zepsułeś, to w dodatku musiałeś wetknąć łapy w coś, na czym zupełnie się nie znasz!

- Już ci mówiłem, że nie zbliżałem się do drzwi. - Oczy Lucasa niebezpiecznie pociemniały. - Przyszedłem tu, dopiero gdy zgasło światło i włączył się generator. Drzwi były otwarte, a ty leżałaś bez przytomności na środku pokoju. Nie ruszałem żadnego cholernego filmu. - Podszedł bliżej i spojrzał na bałagan na stole. - Nie przyszło ci do głowy, że w ciemnościach mogłaś sama coś zrobić z tym filmem?

- Nie płćć bzdur!

Urażona w dumie zawodowej, zamierzała coś dodać, ale Lucas przerwał jej niecierpliwie:

- Autumn, naprawdę nie wiem, co się stało z twoim filmem. Nie wchodziłem dalej niż do miejsca, w którym leżałaś. Nie zamierzam też przeproszać za włączenie światła. Następnym razem zrobiłbym to samo. - Objął jej szyję i dodał miękko: - Tak się jakoś składa, że twoje zdrowie jest dla mnie ważniejsze niż zdjęcia.

Nagle i jej troska o prześwietlone filmy znacznie osłabła. W tej chwili chciała tylko uwolnić się od Lucasa i uczuć, jakie w niej wywoływał. Reaguję jak automat, pomyślała. Zupełnie jakby jego łagodny głos i delikatne palce zwalniały we mnie jakąś blokadę.

- Jesteś potwornie blada. - Nagle cofnął ręce i wcisnął dłonie do kieszeni. - Myślę, że dobrze będzie, jeśli zobaczy cię doktor Spicer.

- Nie ma potrzeby...

- Do diabła, Kocie! - przerwał jej z furią, znów chwytając ją za ramiona. - Czy musisz spierać się z każdym moim słowem? Nie możesz choć na chwilę zapomnieć o nienawiści, jaką do mnie czujesz?

Potrząsnął nią ze złością. Z bólu zakręciło się jej w głowie. Przez moment miała wrażenie, że twarz Lucasa zaczyna gdzieś odpływać.

Rzucił przekleństwo i przyciągnął ją do siebie. Trzymał w objęciach, póki nie minęła jej ta słabość, po czym szybko wziął ją na rękę.

- Jesteś blada jak upiór - powiedział cicho. - Czy ci się to podoba, czy nie, będziesz musiała zobaczyć się z doktorem. Możesz na nim wyładować swoją złość.

Nim zdążyła się zorientować, ruszył w kierunku jej pokoju. Gniew już z niej wyparował. Czowała wyłącznie tępy, uporczywy ból i ogromne znużenie. Osłabiona, opuściła głowę na jego ramię.

Przyjęła do wiadomości, że nie ma żadnego wyboru, i zamknęła oczy. Nie otworzyła ich, nawet gdy Lucas położył ją na łóżku. Wiedziała jednak, że stoi nad nią, przyglądając się z niepokojem.

Po dźwięku jego kroków poznała, że wszedł do łazienki. Kiedy włączył wodę, zabrzmiało to, jakby huczał wodospad. Uniosła powieki, gdy poczuła, że kładzie mokry ręcznik na jej obolałym czole.

- Leż spokojnie - rzucił sucho. W jego wzroku dostrzegła jakiś dziwny wyraz. - Przyprawdzą Spicera. - Ruszył do drzwi.

- Lucas... - Chłodny okład przywiódł jej na myśl wszystkie miłe rzeczy, jakie kiedyś dla niej robił. Były przecież takie chwile, choć usilnie próbowała o nich nie pamiętać. Wydawało jej się, że tak będzie prościej.

Kiedy się odwrócił, dostrzegła, jak bardzo jest zniecierpliwiony. Co za zbiór sprzeczności, pomyślała. Nieumiarkowany we wszystkim co robi.

- Dziękuję - powiedziała, nie zwracając uwagi na to, że najwidoczniej pragnął już stąd wyjść. - Przepraszam, że się na ciebie wydarłam. Jesteś bardzo miły.

Oparł się o drzwi i rzucił na nią okiem.

- Nie bywam miły. - Jego głos znów wydawał się zmęczony.

Walczyła z pragnieniem, żeby podejść i zetrzeć mu z twarzy wszystkie troski. Widać wyczuł jej myśli, bo jego spojrzenie znacznie złagodniało, a na ustach pojawił się tak rzadki ciepły uśmiech.

- Mój Boże, Kocie... Zawsze jesteś tak niewiarygodnie dobra. Masz w sobie tyle

ciepła.

Chwilę później została sama.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Patrzyła w sufit, gdy do pokoju wszedł Robert. Z powątpiewaniem spojrzała na jego czarną torbę. Do tej pory nigdy nie zainteresowała się, co takiego lekarze noszą w tych niewinnie wyglądających walizczkach.

- Coś podobnego, wizyta domowa - uśmiechnęła się słabo. - Nie sądziłam, że nawet na urlop zabierasz swoją lekarską torbę.

- A ty podróżujesz bez aparatu?

- *Touche*. Punkt dla ciebie.

- Operacja chyba nie będzie konieczna. - Robert usiadł na łóżku i zdjął kompres, który Lucas położył jej na czole. - Hm, zaraz się pojawi śliczny kolorek. Czy masz zamglone widzenie?

- Nie.

Jego zadziwiająco miękkie i delikatne ręce przypominały jej dotyk ojca. Uspokoila się już całkiem i rzeczowo odpowiadała na wszystkie pytania o zawroty głowy i nudności. Zachowuje się teraz jakoś inaczej niż dotychczas, myślała, obserwując twarz Roberta. Eleganckie maniery zastąpił spokojny współczujący ton. Miły głos i spojrzenie idealnie pasują do zawodu, uznała.

- Jak to się stało, Autumn? - spytał, sięgając do torby.

Powiodła wzrokiem za jego ręką. Na szczęście nie wyjął strzykawki, tylko jakąś butelkę i wate.

- Wpadłam na drzwi - odparła, marszcząc żałośnie nos. - W ciemni.

Pokręcił głową ze śmiechem i zaczął przemywać opuchnięte miejsce.

- Nieprawdopodobne.

- Niestety żenująco prawdziwe. Musiałam źle ocenić odległość.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, po czym wrócił spojrzeniem do jej czoła.

- Odniosłem wrażenie, że jesteś osobą, która ma zawsze szeroko otwarte oczy. - Jego głos zabrzmiał dziwnie ponuro, lecz na ustach zaraz pojawił się uśmiech. - To tylko guz - orzekł, biorąc ją za rękę. - Niestety ta diagnoza nie złagodzi bólu.

- W tej chwili jest nadal bardzo męczący, ale na szczęście umilkły już te potworne armaty - odparła siląc się na dowcip.

Ze śmiechem ponownie sięgnął do torby.

- Mam tu coś na mniejsze działa. Niepewnie spojrzała na fiolkę.

- Zamierzałam łyknąć aspirynę.

- Do gaszenia pożaru lasu nie używa się pistoletów na wodę. - Uśmiechnął się i podał jej dwie tabletki. - Zażyj to i odpocznij przez jakieś dwie godziny.

- W porządku. Mam nadzieję, że nie wytniesz mi wyrostka robaczkowego ani nic innego?

- Nie na urlopie. - Począł, aż połknie lekarstwo, po czym przykrył ją kocem. - Odpoczywaj - zalecił i wyszedł.

Kiedy otworzyła oczy, w pokoju panował półmrok. To miał być odpoczynek? - pomyślała, przekręcając się na łóżku. Całkiem straciłam świadomość. Tylko na jak długo? Wiatr wciąż szarpał oknami. Ostrożnie usiadła. Głowa już jej tak nie bolała, ale dotknięcie palcami czoła upewniło ją, że wypadek nie był snem. Następna myśl dotyczyła już konkretów: była potwornie głodna.

Podniosła się, spojrzała do lustra i oceniwszy, że bardzo nie podoba jej się to, co tam widzi, ruszyła na poszukiwanie jedzenia i towarzystwa.

- Autumn? - Pierwszy dostrzegł ją Robert. - Lepiej się czujesz?

Zawahała się zawstydzona, ale głód był zbyt silny, a zapach kurczaka bardzo kuszący.

- O wiele lepiej. - Rzuciła okiem na Lucasa, który przyglądał jej się bez słowa. - Umieram z głodu. - Usiadła przy stole.

- Dobry znak. Coś cię boli?

- Wyłącznie moja duma. - Zaczęła sobie nakładać obiad. - Niezdarność nie jest cechą, którą chciałabym się przechwalać, a wpadanie na drzwi to już zupełny banal. Wolalabym wystąpić z czymś bardziej oryginalnym.

- Zdziwiający. - Jacques uważnie przyglądał się Autumn. - Nie wyglądasz na gapę, która z takim impetem wpada na drzwi, że aż traci przytomność.

- A jednak - parsknęła, biorąc do ust kęs kurczaka i delektując się jego smakiem. - Prawdziwym nieszczęściem jest to, że straciłam dwie rolki filmów, które zrobiłam podczas podróży z Nowego Jorku.

- Zdaje się, że zaczęła się seria wypadków - powiedziała Helen ostrym tonem, obrzucając zebranych nieprzyjemnym spojrzeniem. - Do trzech razy sztuka, jak to się mawia. - Gdy wszyscy milczeli, ciągnęła dalej, dotykając sińca pod okiem: - Trudno powiedzieć, co się jeszcze może wydarzyć.

Autumn zniechęciła ciszę, która zawsze zapadała po uwagach Helen. Pod wpływem impulsu zapomniała o swoich zasadach i zwróciła się do Lucasa:

- Jak byś wykorzystał tę sytuację, Lucas? - W jego twarzy nie dostrzegła żadnej zmiany. On nas wszystkich obserwuje, pomyślała. Uważnie obserwuje... Zlekceważyła

rosnący niepokój i ciągnęła: - Dziewięć osób... nie, właściwie dziesięć, wliczając kucharkę, z dala od świata, w samotnym zajeździe, szalejąca wichura Elektryczność już wysiadła, telefon pewno też przestanie działać.

- Już nie działa - wtrącił Steve.

- Och! - westchnęła dramatycznie.

- A bród z całą pewnością jest nie do przebycia. - Robert puścił do niej oko, włączając się do zabawy.

- Co byś jeszcze dodał? - spytała, patrząc na Lucasa.

- Morderstwo.

Wymówił te trzy sylaby zupełnie obojętnie, ale oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. Autumn właściwie takiej odpowiedzi oczekiwała, ale gdy już padła, poczuła ciarki.

- Choć niewątpliwie - ciągnął Lucas - dla książek, które piszę, to wszystko jest zbyt oczywiste.

- Czyż życie czasami nie bywa oczywiste? - odezwał się Jacques, unosząc kieliszek ze złocistym winem.

- Mam wrażenie, że potrafiłabym to dobrze zagrać - włączyła się Julia. - Płynę ciemnymi korytarzami w powiewnych białych szatach. Świeca, którą niosę, migoce w ciemnościach, gdzie kryje się morderca z jedwabnym szalem, którym zamierza pozbawić mnie życia.

- Mielibyśmy piękne zwłoki - zgodziła się Autumn.

- Dziękuję, moja droga. - Julia odwróciła się do Lucasa. - Wolę jednak pozostać wśród żywych, przynajmniej do sceny finałowej.

- Jaki typ morderstwa byś tu zastosował? - spytał Jacques. - Wolałbyś zbrodnię w afekcie czy z zemsty? Porywczą reakcją porzuconego kochanka czy raczej zbrodniczy czyn zaplanowany przez zimny, wyrachowany umysł?

- Ciocia Tabby mogłaby przyprawić trucizną jedzenie i wykańczać nas po kolei - zasugerowała Autumn, nabierając na widelec tłuczone ziemniaki.

- Martwa ofiara staje się bezużyteczna. - Helen ponownie zwróciła na siebie uwagę. - Morderstwo jest zwykłym marnotrawstwem. Więcej można zyskać, kiedy człowiek żyje. Żyje i jest uległy. - Spojrzała z ukosa na Lucasa. - Nie mam racji, panie McLean?

Autumn nie podobał się uśmiech, jaki mu posłała. Zimny i wyrachowany, powtórzyła w myślach słowa Jacques'a. Tak, ta kobieta właśnie taka jest. Przeniosła spojrzenie na Lucasa. Jego twarz miała znudzony wyraz, którym świetnie potrafił przekazać, co myśli o rozmówcy. „Idź do diabła” - mówiła jego mina.

- Nie uważam, by morderstwo można nazwać marnotrawstwem - powiedział w końcu. Znow mówił obojętnie, ale Autumn, która świetnie go znała, dostrzegła istotną zmianę w spojrzeniu. Z jego oczu zniknęła nuda. Stały się lodowate. - Świat wiele by zyskał, eliminując niektóre jednostki. - Uśmiechnął się zimno.

Odnosiła wrażenie, że nie jest to już rozmowa teoretyczna. Na twarzy Helen pojawił się strach. Przecież to tylko zabawa, przekonywała siebie gorączkowo, rzucając okiem na Julię. Aktorka uśmiechała się, lecz w jej uśmiechu nie było zwykłego ciepła. Wyraźnie bawiło ją przyglądanie się Helen, która wyglądała jak ćma trzepocząca się na szpilce. Kiedy jednak zauważyła, że Autumn patrzy na nią z trwożnym niedowierzaniem, pospiesznie zmieniła temat rozmowy.

Po obiedzie znow zebrali się w salonie, jednak burza, która nadal szalała, wyraźnie działała wszystkim na nerwy. Tylko Julia i Lucas pozostali niewzruszeni. Autumn zauważyła, jak siedli w kącie, wyraźnie sobą zafascynowani. Od czasu do czasu głęboki śmiech Julii zagłuszał odgłosy deszczu.

Spicerowie siedzieli na sofie w pobliżu kominka. Ich rozmowa sprawiała wrażenie domowej kłótni. Kiedy postanowili opuścić salon, twarz Jane nie była już posępna, lecz najzwyczajniej nieszczęśliwa. Julia nawet nie spojrzała w ich kierunku. Przysunęła się bliżej do Lucasa i szepnęła mu na ucho coś, co wywołało jego śmiech. Autumn uznała, że ona również chce stąd wyjść.

Wcale nie chodzi o Lucasa, tłumaczyła sobie, idąc korytarzem. Po prostu muszę powiedzieć dobranoc cioci Tabby. Julia robi przecież tylko to, na czym mi zależy: zajmuje uwagę Lucasa. Odepchnęła niemiłe myśli i otworzyła drzwi.

- Autumn, kochanie! Lucas mówił, że nabiłaś sobie guza. - Ciocia wstała od rachunków z pralni i przyjrzała się bratanicy. - Musisz bardziej uważać, kochanie.

- Na pewno będę. Ciociu Tabby... jak dobrze znasz Lucasa? Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek mówiła do gości po imieniu. - Wiedziała, że do ciotki trzeba mówić prosto z mostu. Inaczej rozmowa będzie przypominać czytanie „Wojny i pokoju” w ciemnym pokoju, jednym słowem ból głowy i kompletny brak zrozumienia.

- Och, to zależy... Tak, to zależy. - Ciocia zapatrzyła się w jakiś punkt na suficie, co oznaczało, że myśli. - Powiedzmy pani Nollington. Każdego września zajmuje narożny pokój. Ja mówię do niej Frances, a ona do mnie Tabitha. Bardzo miła kobieta. Wdowa, z Karoliny Północnej.

- Lucas nazywa cię ciocią Tabby - wpadła jej w słowo Autumn, zanim na dobre rozwinęła się opowieść o Frances Nollington.

- Oczywiście, kochanie. Dużo osób tak do mnie mówi. Na przykład ty.

- Tak, ale...

- A także Paul i Will - wyliczała beztrąsko. - I chłopiec, który dostarcza nam jajka. I... jeszcze kilka osób. Tak, całkiem sporo. Smakował ci obiad?

- Bardzo, ciociu. - Autumn postanowiła, że będzie wytrwała. - Lucas czuje się tu jak u siebie w domu.

- To wspaniale! - Patrzyła na bratanicę rozradowanym wzrokiem. - Staram się, żeby wszyscy goście czuli się jak w domu. Trochę mi wstyd, że muszą za to płacić, ale... - Opuściła wzrok na rachunki i zaczęła coś mrużyć pod nosem.

Dam sobie spokój, zdecydowała Autumn. Pocałowała ciotkę w policzek i zostawiła ją z ręcznikami, poszewkami i stosem rachunków.

Zrobiło się późno, nim skończyła sprzątać w ciemni.

Tym razem zostawiła drzwi otwarte i włączyła wszystkie światła. Przez ścianę słyszała deszcz uderzający o kuchenne okno, lecz poza tym w domu panowała cisza.

To nieprawda, poprawiła się. W starych domach nigdy nie jest zupełnie cicho. Zawsze coś szeleści lub skrzypi, ale odgłosy trzeszczącego drewna nie przeszkadzały jej, wręcz je lubiła. Z przyjemnością kręciła się po ciemni, opróżniała kuwety, odstawiała butelki. Z westchnieniem wrzuciła zniszczony film do kosza.

Trochę zabolalo, ale cóż mogła na to poradzić. Postanowiła, że jutro wywoła zdjęcia, które robiła dziś rano: jeziorko, wschodzące słońce, drzewa odbite w wodzie. To poprawi jej humor. Czując przyjemne zmęczenie, wyprostowała plecy i uniosła włosy, odsłaniając szyję.

- Pamiętam, jak robiłaś to każdego ranka.

Serce skoczyło jej do gardła. Obróciła się gwałtownie, a włosy zawirowały razem z nią. Odgarnęła je z twarzy i spojrzała na Lucasa.

Stał w drzwiach z filiżanką kawy w ręku, beztrąsko patrząc jej w oczy.

- Podnosiłaś zebrane włosy, a potem pozwalałaś, by opadły luźno na plecy. Byłem chory, jeśli nie zanurzyłem w nich ręk. - Głos Lucasa był niski i dziwnie chropawy.

- Zastanawiałem się nawet, czy robisz to umyślnie, żeby mnie doprowadzić do szaleństwa. - Przyglądał się jej z namysłem, po czym uniół filiżankę do ust. - Choć oczywiście to nie było celowe. Nigdy nie spotkałem kobiety, która z taką niewinnością potrafiłaby podniecić mężczyznę.

- Co ty tu robisz? - Jej głos drżał, więc pytanie nie zabrzmiało tak stanowczo, jak zamierzała.

- Wspominam.

Zaczęła przestawiać odczynniki, chociaż dopiero je uporządkowała.

- Zawsze potrafiłeś właściwie dobrać słowa. - Stojąc do niego tyłem, łatwiej było jej zachować spokój. Ze szczególną uwagą obejrzała butelkę z przerywaczem. - Pewno w twoim zawodzie to konieczne.

- W tej chwili nie piszę. Wolała udać, że go nie zrozumiała.

- Nadal masz problemy z książką? - Odwróciła się. Jego twarz nosiła ślady napięcia i wyczerpania. Z wysiłkiem ukryła ogarniające ją współczucie. - Pewno lepiej ci pójdzie, jeśli porządnie się wyśpisz. Kawa ci nie pomoże.

- Możliwe. - Dopił zawartość filiżanki. - Lepiej jednak pić ją niż bourbona.

- Sen byłby jeszcze lepszy. - Obojętnie wzruszyła ramionami. Ostatecznie, co ją obchodziły nawyki Lucasa? - Idę na górę. - Ruszyła w jego stronę, ale nadal stał nieruchomo, zasłaniając sobą drzwi. Zatrzymała się gwałtownie. Wiedziała, że są sami. Na parterze nie było już nikogo.

- Lucas. - Westchnęła, mając nadzieję, że uzna to za oznakę zniecierpliwienia, a nie uległości. - Jestem zmęczona. Daj spokój.

Jego oczy zapłonęły gniewem. Chociaż starała się zachować spokój, czuła, że kolana się pod nią ugięły. Znow wrócił tępy, pulsujący ból głowy. Kiedy Lucas odsunął się na bok, wyłączyła światła i pospiesznie wysunęła się na korytarz. Zrozumiała, że nie zdoła mu umknąć, kiedy chwycił ją za rękę.

- Przyjdzie czas, Kocie - mruknął - kiedy nie będziesz mogła tak łatwo ode mnie odejść.

- Przestań mi wreszcie grozić swoją męskością. - Rozgniewana, zapomniała o ostrożności. - Na mnie to już nie działa.

- Mam tego dość! - Jednym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie.

Jego usta były brutalne, gniewne, gwałtowne. Kiedy próbowała się wyrwać, przycisnął ją plecami do ściany, przytrzymując jej ręce po bokach. Opór Autumn zaczął słabnąć. Nienawidziła się za to równie mocno, jak nienawidziła jego. Mimo że już przestała się szarpać, usta Lucasa nie złagodniały. Całował ją zapamiętale, a gniew między nimi ciągle był równie wrzący.

Serce waliło jej jak młotem. Czuła też mocno bijące serce Lucasa. Przerazała ją ta namiętność i własne pragnienia. Nigdy nie zdołam uwolnić się od niego, przemknęło jej przez głowę. Nie ma jak uciec... Nie ma gdzie się ukryć... Zadygotała ze strachu i... pożądania.

W końcu odsunął się od niej. Oczywiście miał tak czarne, że nie widziała w nich nic prócz własnego odbicia. I nagle potrzęsął nią tak mocno, że z trudem łapała oddech.

- Uważaj, jak daleko się posuwasz - powiedział ostro. - Pamiętaj, że nie miewam skrupułów i potrafię radzić sobie z ludźmi, którzy podejmują ze mną walkę. - Przerwał, lecz jego palce ciągle wbijały się w jej skórę. - Jeśli nie będziesz ostrożna, wezmę cię, choćby siłą.

Panicznie przerażona, wyrwała się z jego ramion i popędziła na górę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bez tchu dopadła drzwi. Jakim prawem znów to robi? - pomyślała, walcząc ze łzami. Nie powinnam mu na to pozwolić. Czemu ponownie pakuje się do mojego życia? I to właśnie w chwili, gdy już zaczęłam się od niego uwalniać? Kłamczucha! - usłyszała swój wewnętrzny głos. Nigdy nie przestałaś o nim myśleć. Ani na moment. Ale w końcu przestanę, odparła zarzut. Zaciśnęła pięści, próbując odzyskać oddech. Kiedyś wreszcie o nim zapomnę.

Słyszając kroki Lucasa na schodach, po omacku sięgnęła do klamki. Nie miała ochoty go widzieć. Wystarczy, że będą musieli spotkać się jutro.

Coś było nie w porządku. Wiedziała o tym, ledwie przekroczyła próg ciemnego pokoju. Mocny zapach perfum sprawił, że zakręciło jej się w głowie. Wymacała kontakt, a gdy zabłysło światło, wydała zduszony jęk.

Szuflady komody i szafa były wywrócone do góry nogami, ubrania leżały porozrzucane po całym pokoju. Niektóre zostały poszarpane i podarte, inne po prostu zwalone na stos. Biżuterię wyjęto z kasetki i także rozsypano po podłodze. Wszystko oblane było perfumami i obsypane pudrem. Każda jej rzecz, nawet najdrobniejszy przedmiot, została zniszczona.

Stała jak wryta, z przerażeniem i niedowierzaniem patrząc na ten chaos. To nie mój pokój, próbowała się przekonać. Musiałam wejść do cudzego pokoju. Niestety... Zielona bluzka, której wyrwano rękaw, była gwiazdkowym prezentem od Willa. W kącie leżały zniszczone sandały, które zeszłego lata kupiła w małym sklepiku w pobliżu Piątej Alei.

- To niemożliwe. - Kręciła głową, jakby w ten sposób mogła się pozbyć niesamowitego widoku.

- Dobry Boże! - Z tyłu dobiegł ją głos Lucasa.

- Nie rozumiem - powiedziała, odwracając się. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Rozłożyła bezradnie ręce. - Dlaczego?

Podszedł do niej i kciukiem startł łzę z jej policzka.

- Nie wiem, Kocie. Najpierw trzeba dowiedzieć się, kto to zrobił.

- Tyle w tym złości... - Chodziła wśród zniszczonych ubrań i ciągle miała wrażenie, że to sen. - Nikt nie miał powodu, żeby mi to zrobić. Trzeba kogoś bardzo nienawidzić, żeby tak mu to okazać. A przecież aż do wczorajszego wieczoru nikt mnie nawet nie znał.

- Oprócz mnie.

- To nie w twoim stylu. - Przycisnęła palce do skroni, próbując coś zrozumieć. - Ty zraniłbyś mnie w bardziej bezpośredni sposób.

- Dzięki.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi, nieświadoma tego, co powiedziała. Lucas z gniewnym marsem na czole wpatrywał się w nią uważnie. Szybko odwróciła oczy. Nie miała teraz głowy, żeby zastanawiać się nad humorami pana McLeana. I wtedy to zobaczyła.

- O nie!

Opadła na kolana, po stosach porzrzucanych rzeczy przedarła się na czworakach do łóżka i zaczęła rozgarniać pościel. Kiedy wyciągała aparat, ręce jej się trzęsły. Obiektyw był strzaskany, wyłamane zamknięcie aparatu wisiało smętnie na jednym zawiasie. Wyrwany film - oczywiście prześwietlony - ciągnął się jak ogon latawca. Z głuchym jękiem objęła aparat i wybuchnęła płaczem.

Ubrania i świecidełka nic dla niej nie znaczyły, lecz nikon był czymś znacznie ważniejszym niż zwykła lustrzanka. To nim robiła swoje pierwsze profesjonalne zdjęcia.

Nagle jej twarz znalazła się tuż przy piersi Lucasa. Gorzko płacząc, nie oponowała, gdy ją do siebie przytulił. Nie odzywał się, nie próbował pocieszać, trzymał ją tylko delikatnie w silnych ramionach.

- Och, Lucas - westchnęła, odrywając się w końcu od niego. - To takie bezsensowne. Jeśli ktoś chciał mnie skrzywdzić, nie mógł zrobić tego skuteczniej.

Zacisnęła palce na aparacie i nagle poczuła ogarniającą ją furję. Zniknęły łzy i beznadziejna rozpacz. Nie będzie tu siedzieć i szlochać, musi natychmiast coś zrobić. Wztknęła aparat w ręce Lucasa i zerwała się na nogi.

- Poczekaj. - Chwycił jej rękę, nim zdążyła wypaść z pokoju. - Gdzie idziesz?

- Wyciągnąć wszystkich z łóżek - warknęła, wrywając rękę. - A później przetrząść komuś kark.

Niełatwo było ją uspokoić. Udało mu się, dopiero gdy otoczył ją ramionami i mocno przytrzymał.

- Wierzę, że byłabyś do tego zdolna. - Podziw w jego głosie tym razem nie sprawił jej przyjemności.

- Zaraz zobaczysz - parsknęła.

- Najpierw się uspokój. - Przyciągnął ją mocniej, gdy próbowała się uwolnić.

- Chcę...

- Wiem, czego chcesz, Kocie, i wcale mnie to nie dziwi. Ale zanim coś zrobisz, musisz się zastanowić.

- O czym tu myśleć - odpałała. - Ktoś za to zapłaci.

- Całkiem słusznie. Tylko kto?

Jego rozsądek był denerwujący, lecz mimo to trochę ostudził jej emocje.

- Jeszcze nie wiem.

- Teraz już lepiej. - Uśmiechnął się i pocałował ją lekko. - Schowaj na razie pazurki, Kocie. Najpierw spróbujmy zorientować się, o co tu chodzi. Pójdziemy zapukać do niektórych drzwi.

Pokój Julii był tuż obok, więc Autumn tam skierowała swoje kroki. Myślała już całkiem trzeźwo. Trzeba działać systematycznie, nakazała sobie, czując rękę Lucasa na ramieniu. W porządku, będę systematyczna. Przynajmniej do czasu, gdy dowiemy się, kto to zrobił. A wtedy...

Mocno zapukała do drzwi. Po chwili zrobiła to jeszcze raz i wreszcie odezwał się senny głos Julii.

- Wstawaj, Julio - zażądała Autumn. - Chcę z tobą pomówić.

- Autumn, moja droga. - Julia najwidoczniej mocniej wtuliła się w poduszkę. - Nawet mi jest potrzebny sen dla urody. Bądź tak dobra i idź sobie.

- Wstawaj - powtórzyła ostro. - I to już!

- Boże, ależ jesteś opryskliwa. Przecież to ty mnie wyciągasz z łóżka, a nie na odwrót.

Po chwili stanęła w drzwiach w białym koronkowym szlafrocisku. Chmura rozczochranych złotych włosów zasłaniała jej twarz, powieki były ciężkie, oczy pociemniałe od snu.

- No więc wstałam. - Julia uśmiechnęła się zmysłowo do Lucasa i podniosła dłoń, żeby poprawić włosy. - Robimy jakąś imprezę?

- Ktoś zdemolował mój pokój - poinformowała ją Autumn prosto z mostu.

Julia natychmiast oderwała oczy od Lucasa i przeniosła wzrok na nią.

- Co? - Szczery niepokój zastąpił zalotną minę.

- Moje ubrania są rozrzucone po całym pokoju i porwane, aparat zniszczony.

- To jakieś szaleństwo! - Julia nie opierała się już w prowokacyjnej pozie o drzwi. - Chcę to zobaczyć. - Ruszyła do pokoju Autumn i zdumiona zamarła w progu. - Coś potwornego! - Objęła Autumn. - Tak mi przykro.

W jej głosie znalazło się wszystko: szczerłość, współczucie, wstrząs. Autumn chciała wierzyć w jej uczucia, ale nie mogła zapomnieć, że Julia jest aktorką.

- Kto mógł to zrobić? - Julia z gniewem odwróciła się do Lucasa.

- Właśnie zamierzamy się dowiedzieć. Obudźmy teraz pozostałych. - Przez ułamek sekundy Autumn odniosła wrażenie, że spojrzeli na siebie porozumiewawczo, ale po chwili wszystko wróciło do normy.

- No to ruszajmy - rzuciła Julia niecierpliwie. - Ja pójde po Spicerów, ty obudz Jacques'a i Steve'a, a ty - zwróciła się do Autumn - Helen.

Mówiła tak zdecydowanym tonem, że Autumn bez cienia protestu ruszyła korytarzem. Lucas ma rację, myślała, pukając energicznie do drzwi Helen. Zanim się kogoś powiesi, trzeba go osądzić.

Załomotała ponownie. Nie pozwoli się ignorować. Za plecami słyszała ruch. Goście pensjonatu wychodzili na korytarz i oglądali zniszczenia w jej pokoju.

- Helen! - krzyknęła, tracąc cierpliwość. - Wyjdź tu do nas! - Popchnęła drzwi. Przynajmniej będzie miała satysfakcję, że faktycznie wyciągnie kogoś z łóżka. Bezlitośnie włączyła światło. - Helen!

Jednakże Helen nie było w łóżku. Autumn wpatrywała się w nią zbyt zaskoczona, żeby czuć przerażenie. Helen Easterman leżała na podłodze, lecz nie spała. Sen już nie był jej potrzebny. Czy to krew? - zdumiała się Autumn, robiąc krok do przodu, i dopiero wtedy dotarł do niej sens tego, co widziała.

Strach ścisnął ją za gardło, odbierając głos. Powoli zaczęła się cofać. To jakiś koszmarny sen, myślała. To nie może być prawda. Słowo, które Lucas powiedział tak obojętnym tonem, wróciło teraz echem. Morderstwo. Kręcąc głową, nie przestawała się cofać, póki nie poczuła za plecami ściany. Nie, to z pewnością musi być jakaś gra. Usłyszała przerażony głos wzywający Lucasa, nieświadoma, że to ona krzyczy. I nagle poczuła na oczach błogi dotyk jego rąk. A potem usłyszała ostre polecenie:

- Zabierzcie ją stąd.

Ktoś ją objął i wyprowadził z pokoju.

- O mój Boże! - szepnął Steve.

Kiedy Autumn otworzyła oczy, zobaczyła, że jego skóra ma barwę popiołu. Walcząc z ogarniającą ją słabością, ukryła twarz na jego piersi. Kiedy się wreszcie obudzę? - myślała.

Z trudem docierało do niej, co się wokół dzieje. Słyszała, że coś mówią: rozpoznała stłumiony szept Julii, chropawy głos Jane, francusko - angielską wymowę Jacques'a. Po chwili dołączył do nich głos Lucasa: spokojny, chłodny, trzeźwy:

- Nie żyje. Została zasztyletowana. Telefon ciągle jest uszkodzony, więc pojedę do miasteczka wezwać policję.

- Zabita? Zamordowana? - Podniesiony głos Jane cichł z każdą sylabą.

Autumn podniosła głowę. Jane stała mocno przytulona do męża.

- Lucas, myślę, że na wszelki wypadek nikt z nas nie powinien sam opuszczać pensjonatu. - Robert odetchnął głęboko, tuląc do siebie żonę. - Musimy liczyć się z

konsekwencjami.

- Ja z nim pojadę. - Głos Steve'a był napięty i niepewny. - Z przyjemnością odetchnę świeżym powietrzem.

Lucas kiwnął głową na zgodę, po czym, patrząc na Autumn, odezwał się do Roberta:

- Czy możesz dać jej coś na sen? I chyba lepiej, gdyby dziś spała u Julii.

- Nic mi nie jest - zdołała wykrztusić Autumn. - I nie chcę nic tykać. - To nie był sen, lecz rzeczywistość. Musiała się z tym pogodzić. - Nie przejmujcie się mną. - Przygryzła wargi, czując, że jest na skraju hysterii.

- Chodź, kochanie. - Julia odsunęła Steve'a. - Zejdziemy teraz na dół. Zajmę się nią.

- Chcę... - zaczął Lucas.

- Powiedziałam, że się nią zajmę - ucięła ostro. - Róbcie swoje. Nim zdążył zaprotestować, sprowadziła Autumn po schodach. - Usiądź - poleciła, podchodząc z nią do sofy. - Przyda ci się drink.

- Tak, dzięki.

- Trochę lepiej? - spytała po chwili, patrząc, jak Autumn podnosi kieliszek.

- Chyba tak. - Odetchnęła głęboko. - To się naprawdę dzieje? Ona tam leży?

- Naprawdę. _ Julia opróżniła swój kieliszek. Rumieńce powoli wracały na jej twarz. - Ta suka w końcu doprowadziła kogoś do ostateczności!

Autumn oniemiała słysząc zaciekłość w głosie aktorki.

- Jesteś silną dziewczyną - mówiła Julia już spokojniej. - Przeżyłaś szok, ale wiem, że się nie rozsypiesz.

- Nie, oczywiście - odparła, chociaż sama nie do końca w to wierzyła.

- To straszne, ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Zabił ją ktoś z nas.

Oczywiście Autumn zdawała sobie z tego sprawę, jednak wciąż nie chciała przyjąć tej wiedzy do wiadomości. Teraz jednak, gdy Julia to powiedziała, nie dało się już od tego uciec. Kiwnęła tylko głową i jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Zresztą dostała to, na co zasłużyła.

- Julio! - Jacques patrzył na przyjaciółkę z przerażeniem i naganą.

- Och, Jacques, świetnie że jesteś! Poczęstuj mnie tym okropnym francuskim papierosem. Autumn też dobrze zrobi, jeśli go zapali.

- Julio! - powtórzył, machinalnie spełniając jej prośbę. - Nie wolno ci tak mówić!

- Nie jestem hipokrytką - Zaciągnęła się papierosem, wzdrygnęła, lecz zaraz znów włożyła go do ust, - Nie cierpiałam jej. Zresztą policja szybko odkryje, że wszyscy jej nienawidziliśmy.

- *Nom de Dieu!* Jak możesz mówić o tym tak spokojnie? - wybuchnął Jacques. - Ta kobieta nie żyje. Zamordowano ją w najbardziej okrutny sposób. Na Boga, żałuję, że to widziałem.

Autumn zaciągnęła się gwałtownie, próbując odepchnąć obraz, który znów pojawił się jej przed oczami.

- Wybacz mi. - Jacques usiadł obok i otoczył ją ramieniem. - Nie powinienem ci tego przypominać.

- Julia ma rację. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Do salonu wszedł Robert. Jego krok stracił zwykłą lekkość. Poruszał się wolno, z trudem ciągnąc nogi.

- Podałem Jane środek na uspokojenie. - On także sięgnął po brandy. - Zapowiada się długa noc.

W salonie zapadła cisza. Paląc papierosa, Jacques przemierzał nerwowo pokój. Robert rozpałił w kominku, jednak jasny, trzaskający ogień, nie przyniósł wcale ciepła. Autumn czuła, że jej ciało wciąż pokrywa gęsia skórka.

Julia siedziała nieruchomo, głęboko wciągając dym. Jedynie po jej palcach, bębniących po oparciu fotela, można było poznać, jak bardzo jest wzburzona. Stukanie pokrytych różowym lakierem paznokci, strzelanie płomieni, szum wiatru, nie rozpraszały jednak upiornej ciszy.

Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi frontowych, które nagle otworzyły się z trzaskiem. Autumn czuła, że jeszcze chwila, a napięte do granic wytrzymałości nerwy puszczą. Marzyła, żeby wreszcie zobaczyć twarz Lucasa. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko go zobaczę, powtarzała sobie w myślach.

- Nie można przeprowić się przez bród - oświadczył krótko, wchodząc do pokoju. Ściągnął przemoczoną kurtkę i poszedł nalać sobie brandy.

- Tak bardzo źle? - Robert przeniósł spojrzenie z Lucasa na Steve'a i ponownie na Lucasa. Najwyraźniej stanowisko dowodzenia zostało już obsadzone.

- Najpewniej przez dzień czy dwa będziemy odcięci. - Lucas pociągnął spory łyk brandy i zapatrzył się w okno. - Jeśli deszcz ustanie do rana. - Odwrócił się plecami do okna i przez dłuższą chwilę mierzył Autumn badawczym wzrokiem. I znów, sobie tylko znanym sposobem sprawił, że odniosła wrażenie, iż w salonie poza nimi nie było nikogo innego. Musiała coś powiedzieć. Wszystko jedno co, cokolwiek...

- Są telefony - odezwała się. - Jutro powinni naprawić linię.

- Nie licz na to. W samochodzie słyszeliśmy wiadomości radiowe. Ta burza jest powrotnym podmuchem tornada. Wichura pozbawiła prądu całą tę część stanu. - Zapalił

papierosa i wzruszył ramionami. - Musimy czekać.

- To może potrwać. - Steve opadł na sofę obok Autumn. Jego twarz ciągle była szara. -
Całe dni...

- Wspaniale. - Julia podeszła do Lucasa. Wyjęła papierosa z jego palców i zaciągnęła
się. - Co w takim razie mamy, do diabła, robić?

- Przede wszystkim zamkniemy i opieczujemy pokój Helen. - Wciąż nie spuszczać
wzroku z Julii, zapalił następnego papierosa. - A potem spróbujemy trochę się przespać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Robiło się już szaro, gdy Autumn wreszcie zasnęła. Przeleżała noc z otwartymi oczami, słuchając spokojnego oddechu Julii. Chociaż zazdrościła jej odpoczynku, uparcie walczyła z sennością. Bała się, że po zamknięciu oczu znowu zobaczy pokój Helen. Jednak kiedy w końcu powieki same opadły, nic jej się nie przyśniło. Wyczerpana, zapadła w stan całkowitej nieświadomości.

Obudziła ją panująca w pokoju cisza. Nagle stwierdziła, że ma otwarte oczy i siedzi na łóżku. Zdezorientowana rozejrzała się wokół. Wszędzie porozwieszane były jedwabne apaszki i złote łańcuszki, na toaletce stała cała bateria eleganckich buteleczek, wytworne pantofle na niewiarygodnie wysokich obcasach leżały rzucone na podłodze. Bałagan w pokoju przywrócił jej pamięć.

Wzdychając ciężko, zwlokła się z łóżka. Zamierzała ubrać się w dżinsy i bluzę, którą miała na sobie wczoraj. Nie chciała wkładać żadnej z innych swoich rzeczy, nawet jeśli coś przetrwało włamanie do jej pokoju. Na jej ubraniu leżała kartka. Elegancki, pochyły charakter pisma z pewnością należał do Julii.

Kochanie, weź sobie majtki, jakąś bluzkę lub sweter. Spodnie pewno nie będą pasować do twojej figury ołówka.

Dobrze, że nie nosisz biustonosza, bo myśl, że twój biust miałby wypełnić mój stanik, wydaje się dość zabawna. J. Roześmiała się, czytając liścik. To zresztą pewnie było zamiarem Julii, pomyślała z wdzięcznością. Ze sterty koronkowej bielizny w pastelowych kolorach wyciągnęła parę majteczek. Włożyła też sweter Julii, podciągając rękawy do łokcia. Zresztą i tak niewiele dalej sięgały. Na korytarzu starannie ominęła wzrokiem drzwi do pokoju Helen.

- Myślałem, że będziesz spała dłużej. Zatrzymała się u stóp schodów, czekając, aż Steve do niej dołączy. Wyglądał starzej niż poprzedniego dnia.

- Dzięki Bogu trochę mniej pada - powiedział, dotykając palcem jej policzka.

- Wiedziałałam, że coś się zmieniło. To właśnie cisza mnie obudziła. Gdzie... - Przerwała, nim wymówiła imię Lucasa. - Gdzie są wszyscy?

- W salonie. Ale najpierw śniadanie. Ja jeszcze nie jadłem, a ty z pewnością nie możesz już sobie pozwolić na utratę wagi.

- Jak miło, że mi o tym przypomniałeś. - Skrzywiła się żartobliwie. Nie przyszło jej to łatwo, ale skoro Steve tak bardzo starał się zachowywać normalnie, ona też powinna się postarać. - Proponuję w takim razie, żebyśmy zjedli w kuchni.

Ciocia Tabby jak zwykle o tej porze wydawała polecenia Nancy. Widząc ich,

wyciągnęła ramiona i wzięła Autumn w swoje pachnące lawendą objęcia.

- Och kochanie, co za okropna tragedia. Nie wiem, co o tym sądzić. Lucas powiedział, że ktoś zabił to biedactwo, ale to przecież niemożliwe, prawda? - Odsunęła się i spojrzała badawczo w twarz Autumn. - Nie spałaś dobrze, kochanie. Nic dziwnego. Siadajcie i jedzcie. To najlepsze, co można zrobić.

Jeśli trzeba, ciocia potrafi być bardzo konkretna, pomyślała Autumn z podziwem. Patrzyła, jak krząta się po kuchni, mrużąc coś do Nancy. Tutaj wszystko wydawało się takie proste i zwyczajne: skwierczenie bekonu i jajek, zapach kawy. To rzeczywiście najlepsze, co mogli zrobić. Jedzenie i rutynowe czynności przywracają porządek, a wtedy znów można jasno myśleć.

Steve siedział naprzeciwko, pijąc kawę, podczas gdy Autumn bez apetytu grzebała w talerzu. Przerwała w końcu milczenie. Pytania, jakie zadawała, były banalne i nieistotne, Steve jednak chętnie podjął rozmowę. Uzmysłowała sobie, że w ten sposób oboje podtrzymują się na duchu.

Okazało się, że bardzo dużo podróżuje. Wielokrotnie przemierzał kraj, wykonując przeróżne zadania jako przedstawiciel firmy swojego ojca. Majątek traktował z nonszalancją właściwą ludziom, którym na niczym nie zbywało, ale zdawał sobie sprawę, że zawdzięcza go rodzinnemu przedsiębiorstwu. O ojcu wyrażał się z wielkim szacunkiem i miłością.

- To człowiek sukcesu, ale przy tym jest bardzo prostoduszny. - Uśmiechnął się, wzruszając ramionami. - Ma też bardzo surowe zasady.

- A co myślisz o twojej karierze politycznej?

- Popiera mnie. Zawsze powtarzał: „Rób, co chcesz, obojętne, czy to zrobił dobrze”. - Znowu się uśmiechnął. - A ponieważ jestem w tym rzeczywiście dobry, obojętne, czy będziemy zadowoleni.

- Praca polityka chyba nie jest prosta. - Spojrzała na niego wyczekująco.

- Nie, ale... - Pokręcił głową. - Nie zachęcaj mnie, bo zaraz wygłoszę przemówienie. - Skończył drugą filiżankę kawy. - Będę miał ich wystarczająco dużo, kiedy wrócę do Kalifornii i rozpocznę kampanię.

- Właśnie dotarło do mnie, że wszyscy jesteście z Kalifornii: ty, Lucas, Julia i Jacques.

- Spicerowie również - wtrąciła ciocia Tabby. - Doktor Spicer mówił mi, że przyjechali z Kalifornii. Taki ciepły, słoneczny stan. No dobrze, muszę teraz iść na górę. Autumn, przeniosłam cię do pokoju obok Lucasa. To okropne, co się stało z twoimi rzeczami. Wezmę je do prania.

- Pomogę ci, ciociu.

- Nie trzeba, kochanie. Zajmą się tym w pralni. Uśmiechanie się do cioci było

znacznie prostsze, niż sądziła.

- Miałam na myśli sprzątanie w pokojach.

- Och... - Wyraźnie zbita z tropu podniosła oczy. - Naprawdę to doceniam, tylko... przy tobie wszystko mi się pomiesza. - Ze skruszoną miną pogłaskała bratanicę po policzku i pośpiesznie wyszła z kuchni.

Nie pozostawało nic innego, jak dołączyć do reszty w salonie.

Deszcz osłabł, lecz patrząc na mokrą szybę, Autumn miała wrażenie, że siedzą tu jak za więziennymi kratami. Rozpaczliwie brakowało jej słońca.

- Chyba już czas, żebyśmy porozmawiali - odezwała się nagle Julia. - Inaczej doprowadzimy się do szaleństwa. Steve zaraz wydepcze dziury w podłodze, Robert prawie wyczerpał zapas drewna do kominka, a ty się przekręcisz - spojrzała na Jacques'a - jeśli wypalisz jeszcze jednego papierosa. - Wbrew temu, co mówiła, sama też zapaliła.

- Jeśli nie chcemy udawać, że Helen sama się zasztyletowała, musimy przyjąć, że zabił ją ktoś z nas.

Zapadła cisza, którą przerwał chłodny, spokojny głos Lucasa:

- Samobójstwo można od razu wykluczyć. - Widział, jak Autumn przyciska czoło do szyby. - I trzeba jasno powiedzieć, że każdy z nas miał sposobność, żeby to zrobić. Czyli, wyłączwszy Autumn i jej ciotkę, sześć osób.

Kiedy odwróciła się od okna, wszystkie spojrzenia były skierowane na nią.

- Dlaczego mielibyście mnie wykluczać? Powiedziałeś przecież, że wszyscy mieliśmy sposobność.

- Motyw, Kocie. Jesteś jedyną osobą w tym gronie, która nie miała motywu.

- Motyw? - Brzmiało to jak wzięte z jego powieści.

- Jaki niby motyw mógł mieć ktokolwiek z nas?

- Szantaż. - Lucas zapalił papierosa, spokojnie wytrzymując jej spojrzenie. - Helen była niczym pijawka. Szantażowanie ludzi traktowała jak zawód. Zdawało jej się, że w naszej szóstce odkryła żyłę złota. - Patrzył teraz prosto w oczy Autumn. - Przeliczyła się.

- Szantaż... - wymamrotała, nie odrywając od niego wzroku. - Ty... ty to wymyśliłeś. To po prostu jeden z twoich scenariuszy.

Nie - powiedział po chwili milczenia.

- Skąd to wszystko wiesz? - zażądał wyjaśnień Steve.

- Skoro szantażowała ciebie, nie znaczy wcale, że my także byliśmy jej ofiarami.

- Bystry jesteś - przerwała Julia, kładąc rękę na dłoni Lucasa. - Nie miałam pojęcia, że poza naszą trójką przyssała się jeszcze do kogoś. - Rzuciła okiem na Jacques'a.

- Widzę, że znaleźliśmy się w doborowym towarzystwie.

Gdy Autumn jęknęła cicho, uwaga Julii skoncentrowała się na niej.

- Nie ma się czemu tak dziwić - powiedziała - - Większość z nas ma jakieś sekrety, które niekoniecznie chcielibyśmy wyciągać na widok publiczny. Możliwe, że sama bym jej płaciła, gdyby zagroziła mi czymś bardziej interesującym. - Wydęła lekceważąco usta. - Jednak nie przestraszyła mnie myśl o ujawnieniu romansu z żonatym senatorem. - Uśmiechnęła się do Autumn. - Mówiłam ci o nim, prawda? Nie jestem zbyt przeczulona na punkcie swoich przygód, więc kazałam jej iść do diabła. Choć - dodała, uśmiechając się nieznacznie - macie na to tylko moje słowo.

- Przestań sobie robić żarty, Julio. - Jacques przetarł dłonią oczy.

- Przepraszam. - Wstała z sofy, przysiadła na oparciu jego fotela i uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu.

- To szaleństwo. - Autumn rozglądała się po zgromadzonych, jakby nie rozumiała, o czym mówią - Co tu wszyscy robicie? Czemu tu przyjechaliście?

- To proste. - Lucas także się podniósł. - Zaplanowałem pobyt tutaj z własnych powodów. Helen dowiedziała się o tym. Była wyjątkowo utalentowana w zdobywaniu informacji. Odkryła, że Julia i Jacques zamierzają do mnie dołączyć. Pewno skontaktowała się z resztą z was i załatwiła to tak, żeby zgromadzić wszystkich swoich... klientów w jednym czasie.

- Wydajesz się dobrze zorientowany - mruknął Robert, bez sensu poprawiając polana w kominku.

- Nie było trudno się w tym połapać - odparował Lucas. - Wiedziałem, co ma na naszą trójkę, bo rozmawialiśmy o tym z sobą. Kiedy spostrzegłem, ile uwagi poświęca Andersonowi i wam, zrozumiałem, że was również stara się wydoić.

Jane nagle się rozpląkała. Głośne, gwałtowne spazmy wstrząsały jej ciałem. Autumn ruszyła w jej kierunku. Zamarła w połowie pokoju. Oskarżycielskie spojrzenie Jane zatrzymało ją jak cios w szczękę.

- Mogłaś to zrobić równie łatwo jak każdy z nas. Ciągłe szpiegowałeś, wszędzie chodziłaś za nami z tym swoim aparatem. - Głos Jane podniósł się histerycznie. W tym momencie nie wydawała się mdła ani nudna. Jej oczy błyszczały dziko. - Nie możesz dowieść, że tego nie zrobiłaś. Ja byłam z Robertem. On wam to powie. - Robert uspokajająco otoczył żonę ramieniem. - Groziła, że ci wszystko powie... O tym, że zaczęłam znów grać, o przegranych pieniądzech - mówiła Jane, łkając. Przyłgnęła do piersi męża, który nie przestawał głąskać jej po włosach, mrużąc słowa pociechy. - Ale ja powiedziałam ci wszyst-

ko sama. Nie mogłam już jej płacić i wczoraj ci o tym opowiedziałam... Ale jej nie zabiłam, Robercie. Powiedz im, że jej nie zabiłam.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy o tym wiedzą. Chodź, Jane. Jesteś zmęczona. Pójdziemy na górę.

Nie przestając mówić, prowadził ją przez pokój. Kiedy spojrzał na Autumn, wyczytała w jego oczach przeprosiny i prośbę o zrozumienie. Nagle stało się widoczne, jak bardzo kochał żonę.

Odwróciła głowę. Rozumiała upokorzenie Jane i żal jej było Roberta. Czuła, jak ze zdenerwowania drżą jej ręce.

- Myślę, że drink wszystkim zrobi dobrze - odezwała się Julia, idąc do barku. - Tobie przede wszystkim. - Nalała solidną porcję sherry i włożyła kieliszek w ręce Autumn. - Mam wrażenie, że Autumn dostaje się wszystko co najgorsze. To niesprawiedliwe, co, Lucas? - Zanim odwróciła się z powrotem do barku, przez chwilę patrzyła mu w oczy. - Jest jedyną osobą, której jest przykro, że Helen nie żyje.

- Była jak sęp - mruknął Jacques. - Ale nawet sępy nie zasługują na to, by je mordowano. - Odchylił się w fotelu, biorąc od Julii kieliszek. Kiedy siadała, wziął ją za rękę. - Prawdopodobnie miałem najbardziej istotny motyw. - Pociągnął solidny łyk z kieliszka. Spojrzał na Autumn, jakby to do niej kierował swoje słowa. - Zagrażała kobiecie, którą kocham, i moim dzieciom. Informacje, jakie zdobyła, mogły zaprzepaścić moje szanse na wygranie procesu. Nic dla niej nie znaczyło piękno tego związku. Helen i tak zrobiłaby z niego coś brudnego i ohydneho.

Autumn zacisnęła dłonie na kieliszku. Chciała powiedzieć, żeby przestał, że nie chce tego słuchać ani brać w tym udziału. Niestety już została wplątana.

- Gdy przyjechała z tym swoim przebiegłym uśmiechem i złym spojrzeniem, miałem ochotę zacisnąć ręce na jej szyi i rozbić pięścią twarz. Tak jak ktoś to zrobił.

- Właśnie... Ciekawe kto. - Julia z namysłem przygryzła wargę. - Ktoś, kto ją uderzył, musiał być wściekły. Może wystarczająco wściekły, by zabić. - Przesunęła wzrok po ich twarzach.

- Tego ranka byłaś w pensjonacie - odezwała się Autumn. Jej głos zabrzmiał dziwnie słabo.

- Rzeczywiście. - Julia posłała jej uśmiech. - A w każdym razie tak ci powiedziałam. Leżałam w łóżku, a to dość kiepskie alibi. - Poprawiła się w fotelu. - Policja na pewno będzie chciała wiedzieć, kto podbił Helen oko. Autumn, ty z nią wracałaś. Może kogoś zauważyłaś?

- Nie... - Spojrzała z ukosa na Lucasa. W jego ciemnych oczach czały się

zniecierpliwienie i gniew. Znała go zbyt dobrze, by nie rozpoznać tych sygnałów. Spuściła wzrok na kieliszek. - Nie, ja... - Boże, jak ma to powiedzieć? I co o tym myśleć?

- Sądzę, że Autumn ma już dość. - Steve zacisnął rękę na jej ramieniu. - Ta sprawa jej nie dotyczy. Nie zasłużyła na to, żeby w tym uczestniczyć.

- Biedne dziecko. - Jacques przyjrzał się jej spiętej, pobladłej buzi. - Myślisz pewno, że weszłaś do gniazda żmij. Idź się zdrzemnąć, zapomnij o nas choć na chwilę.

- Chodź, Autumn. Odprowadzę cię na górę. - Steve wyjął kieliszek z jej dłoni i odstawił go na stół.

Idąc z nim do drzwi, jeszcze raz spojrzała na Lucasa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W milczeniu weszli na schody. Autumn próbowała otrząsnąć się z odrętwienia. Nadal nie była w stanie pogodzić się z tym, co usłyszała. Steve pospiesznie prowadził ją korytarzem, zatrzymał się dopiero pod drzwiami obok pokoju Lucasa.

- Steve... - Patrzyła mu badawczo w twarz. - Czy to prawda? To co powiedział Lucas? Czy Helen rzeczywiście was szantażowała? - Gdy dostrzegła w jego oczach zażenowanie, dodała: - Nie chcę być wścibska, ale...

Wolno wypuścił powietrze z płuc.

- W obecnej sytuacji to już nie jest wścibstwo. Nie masz nic wspólnego z naszymi sprawami, lecz mimo to zostałam w nie wmieszana.

Prawie się roześmiała, gdy usłyszała, że mówi to, o czym przed chwilą myślała. Wmieszana... Tak właśnie było.

- McLeana trafił w sedno. Helen miała informacje dotyczące pewnego kontraktu, który zawarłem. Wszystko było oczywiście zgodne z prawem, chociaż... - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Chodzi o problem etyczny, który w druku nie wyglądałby zbyt dobrze. Tak już jest, że jeśli chcesz zostać politykiem, musisz się zabezpieczyć na wszystkich frontach.

- Zabezpieczyć się? Cóż, pewno tak... - Ścisnęła palcami skronie.

- Helen mi groziła. Nie podobało mi się to, ale... nie do tego stopnia, żeby kogoś mordować. - Odetchnął głęboko. - Chociaż niewiele mi to pomoże. Mało prawdopodobne, żeby ktoś z nas się przyznał.

- Doceniam, że mi wszystko opowiedziałeś. - W oczach Steve'a dostrzegła ciepły błysk, jednak jego twarz była spięta i zmęczona. - Z pewnością niełatwo ci o tym mówić.

- Mam nadzieję, że trochę ci to pomogło. Zresztą już niedługo będzie trzeba wyjaśnić wszystko policji - zauważył ponuro. Machinalnie odgarnął jej włosy. - Mówienie o tym oczyszcza atmosferę. Ale chyba na razie masz dosyć. - Uśmiechnął się, gdy nagle zorientował się, że rękę wsunął w jej włosy. - Pewno jesteś do tego przyzwyczajona. Trudno im się oprzeć. Marzyłem, żeby ich dotknąć od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Nie gniewasz się?

- Nie. - Nie była zaskoczona, gdy nagle ją objął i poczuła jego usta na swoich. To był delikatny pocałunek, który nie tyle ją podniecał, co ukoił. Odprężona starała się go oddać, na ile tylko mogła.

- Pójdiesz teraz trochę odpocząć? - spytał cicho, tuląc ją do siebie.

- Przynajmniej spróbuję. Dziękuję. - Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć, ale jej

wzrok przyciągnęło coś za nim. W drzwiach sąsiedniego pokoju stał Lucas. Przyglądał im się przez chwilę, po czym bez słowa zniknął w środku.

W pokoju położyła się na białej narzucie, która przykrywała łóżko. Ze zmęczenia kręciło jej się w głowie, ciało miała jak odrętwiałe, jednak sen nie nadchodził. Jej myśli krążyły wokół gości pensjonatu.

Jacques i Spicerowie budzili jej głębokie współczucie. Nie mogła zapomnieć wyrazu oczu Jacques'a, gdy opowiadał o swoich dzieciach. Pamiętała też, jak Robert tulił płaczącą żonę. Julii z pewnością niepotrzebne było niczyje współczucie. Autumn nie miała wątpliwości, że wielka gwiazda potrafi o siebie zadbać. Steve także wydawał się umiarkowanie zirytowany groźbami Helen. Czowała, że o niego również nie trzeba się martwić. On potrafi sobie radzić w trudnych sytuacjach.

Inna sprawa z Lucasem. Zachęcał wszystkich do mówienia o swoich sekretach, jednak to, czym jego szantażowała Helen, nadal pozostawało tajemnicą. Wydawał się bardzo opanowany, lecz Autumn wiedziała, jak znakomicie potrafi ukrywać wszelkie uczucia. Był też nieugięty, a czasami wręcz groźny. Kto mógł wiedzieć to lepiej od niej?

A okrutny? Tak, zdecydowała. Lucas z pewnością mógł być okrutny. Ciągle nosiła po nim blizny. Ale morderstwo? Nie potrafiła wyobrazić sobie, żeby Lucas miał rzucić się na Helen Easterman z ostrym narzędziem. Z nożyczkami... Starła się usunąć ten obraz z pamięci, ale doskonale pamiętała, jak leżały na podłodze przy ciele Helen. Nie, nie uwierzy, żeby był do tego zdolny. Nie chciała w to wierzyć...

Nie mogła zresztą uwierzyć, by ktokolwiek z nich mógł to zrobić. Czy umieliby ukryć taką ohydłą zbrodnię, taką nienawiść za podkrążonymi oczami i wstrząśniętymi twarzami?

Jednakże... ktoś z nich był zabójcą.

Musi przestać o tym myśleć. Przynajmniej na razie. Zalecenie Steve'a było bardzo rozsądne: powinna odpocząć. Mimo to podniosła się z łóżka, podeszła do okna i zapatrzyła się w padający deszcz.

Pukanie wyrwało ją z zadumy. Podskoczyła zdenerwowana i otaczając się ramionami w obronnym geście, odwróciła się do drzwi. W gardle jej zaschło, a serce waliło jak młotem. Uspokój się! - nakazała sobie. Nikt nie zamierza cię skrzywdzić.

- Proszę. - Z ulgą usłyszała swój spokojny głos.

Do pokoju wszedł Robert. Wydawał się chory i tak wyczerpany, że zapominając o strachu, machinalnie wyciągnęła do niego ręce. Chwycił jej dłonie, patrząc na nią badawczo.

- Powinnaś coś zjeść - powiedział. - Utratę wagi zawsze najpierw widać na twarzy.

- Wiem. Moje delikatne zmarszczki szybko zmieniają się w głębokie bruzdy. Ty także

nie wyglądasz najlepiej.

Westchnął ciężko.

- Chciałem cię przeprosić za żonę.

- Daj spokój. Wiem, że nie chciała tego powiedzieć. Wszyscy jesteśmy załamani.

- Żyła w strasznym napięciu, zanim... - Przerwał. - Teraz zasnęła. A jak twoja głowa?

- Odgarnął jej włosy i obejrzał siniec na czole. - Już nie boli?

- Nie, nic mi nie dolega. - Niefortunny wypadek w ciemni wydawał się śmiesznie błahy wobec dramatu, który teraz przeżywali. - Czy mogę ci jakoś pomóc, Robercie?

Przez chwilę wpatrywał się w nią zrozpaczonym wzrokiem, zaraz jednak odwrócił oczy.

- Ta kobieta zmieniła życie Jane w piekło. Gdybym o tym wiedział, już dawno bym z tym skończył. - Zaczął krążyć po pokoju. - Dręczyła ją, wyciskała z niej każdy grosz. Korzystała z jej słabości i zachęcała do hazardu, żeby tylko zdobyć pieniądze. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, a przecież powinienem... Wczoraj Jane opowiedziała mi o wszystkim. Zamierzałem dziś rano rozprawić się z tą całą Easterman. - Zacisnął pięści. - Niech mi Bóg wybaczy, ale tylko dlatego żałuję, że jest już martwa.

- Robercie... Każdy czułby to samo - powiedziała ostrożnie. - To była zła kobieta. Skrzywdziła kogoś, kogo kochasz. - Widziała, że jego napięcie ustępuje i pięści zaczynają się rozluźniać. - Może to niewłaściwe, ale nikt nie będzie jej oplakiwać.

- Przykro mi, że zostałaś w to uwikłana. - Jego oczy znów były łagodne. - Pójdę zajrzeć do Jane.

Przez chwilę patrzyła za nim, po czym opadła na krzesło. Znów czuła się kompletnie wyczerpana. Kiedy skończy się to szaleństwo? Jeszcze niedawno siedziała bezpiecznie w swoim mieszkaniu na Manhattanie. Nawet nie znała ludzi, którzy teraz pochłaniali jej myśli. Prócz jednego.

Ledwie zdążyła o nim pomyśleć, drzwi się otworzyły. Lucas podszedł do niej, marszcząc czoło.

- Powinnaś coś zjeść - rzucił prosto z mostu. Uznała, że ma dość słuchania tej rady.

- Niemal słychać, jak spadają z ciebie kolejne kilogramy - mówił dalej. - Naprawdę jesteś za chuda.

- Uwielbiam pochlebstwa. - Bezceremonialne wejście i aroganckie słowa wyzwoliły w niej energię. - Nie nauczyłeś się pukać?

- Zawsze podobała mi się twoja szczupła figura, Kocie. Z pewnością to pamiętasz. - Poderwał ją na nogi i przytulił do siebie, nie zważając na gniew, który pojawił się w jej

spojrzeniu. - Anderson zdaje się także odkrył twój urok. Czy przyszło ci do głowy, że możesz całować mordercę?

Mówił cicho, spoglądając na nią z rozbawieniem i głaszcząc po plecach. Czowała, że go pragnie, co jeszcze bardziej wzmogło jej gniew.

- Być może obejmuje mnie w tej chwili.

Zacisnął rękę na jej włosach tak mocno, że krzyknęła. Żartobliwe spojrzenie zniknęło, w jego oczach pojawiła się dzika furia.

- Chciałabyś, żeby tak było, co? Ucieszyłabyś się, gdybym gnił w więzieniu albo jeszcze lepiej zawisł na szubienicy. - Wzmocnił uchwyt. Chciała pokręcić głową, ale nie mogła nią nawet ruszyć. - Czy to byłaby wreszcie wystarczająca kara za to, że cię zostawiłem? Jak bardzo mnie nienawidzisz, Kocie? Czy aż tak, żeby samodzielnie pociągnąć za dźwignię?

- Nie... Lucas, proszę... Nie chciałam...

- Diabła tam, nie chciałaś! Bez trudu obsadziłabyś mnie w roli mordercy. Potrafisz wyobrazić sobie, jak stoję nad Helen z nożyczkami w zakrwawionych rękach?

- Przestań! - Przerażona zacisnęła powieki. - Proszę cię, przestań!

Lucas nagle zmienił nastrój. Kiedy ściszył głos, czowała, jak po plecach przebiegają jej lodowate ciarki.

- Mógłbym użyć rąk i zrobić to bardziej czysto. - Długie, szczupłe palce otoczyły jej szyję.

- Lucas... - Otworzyła oczy.

- Zobacz, jak prosto - ciągnął, patrząc w jej rozszerzone ze strachu źrenice. - I szybko, jeśli się wie, jak to zrobić. To w moim stylu, co? Jak to powiedziałeś? Bardziej bezpośrednio, zgadza się?

- Robisz to tylko, żeby mnie przerazić - powiedziała drżącym głosem. Czemu chce, żeby myślała o nim jak najgorzej, by uwierzyła, że jest zdolny do takich potworności? - Zostaw mnie, Lucas. Wyjdź stąd!

- Wyjść? - Przesunął dłoń, obejmując jej kark. - Chyba tego nie zrobię, Kocie. - Zbliżył do niej twarz. - Skoro mam wisieć za morderstwo, chcę przedtem wziąć sobie tyle, ile tylko można.

Przykrył jej usta swoimi. Była bardziej przerażona niż wtedy, gdy zapaliła światło w pokoju Helen. Z jej gardła wydarł się jęk, serce tłukło się w piersi. Próbowwała się wyrwać, lecz Lucas trzymał ją tak mocno, że nie zdołała się poruszyć. Wsunął dłoń pod jej sweter.

- Jak ktoś tak chudy może jednocześnie być taki miękki? - wymruczał, nie odrywając

od niej ust. Te słowa, których tyle razy słuchała w przeszłości, przyniosły nową falę bólu. Podniecenie Lucasa przerażało ją. - Boże, jak ja cię pragnę - jęknął, całując jej szyję. - Cholera, nie chcę już dłużej czekać!

Kiedy przewrócił ją na łóżko, resztką sił próbowała z nim walczyć, jednak Lucas tylko przycisnął jej ręce do boków.

- Możesz drapać i gryźć ile chcesz, Kocie. Przekroczyłem już granicę.

- Będę krzyczeć! - wysapała z trudem. - Jeśli spróbujesz mnie dotknąć, zacznę krzyczeć.

- Nie będziesz.

Udowodnił to natychmiast, zamykając jej usta pocałunkiem. Ich ciała tak idealnie do siebie pasowały. Zrozpaczona, jeszcze raz wygięła plecy, próbując się bronić, ale kiedy ręce Lucasa wędrowały po jej ciele, bezbłędnie odnajdując wszystkie tajemne miejsca, które odkrył trzy lata temu, zaczęła słabnąć pod wpływem jego dzikiej żądz, która zawsze dodawała żaru ich miłości. Zbyt dobrze ją znał. Zanim sięgnął do zatrzaska dzinsów, wiedziała, że mimo całego wysiłku, nie zdoła ukryć swego pożądanego. Gdy przesunął usta na jej szyję, zamiast krzyczeć, jęknęła z rozkoszy.

Znów odnosił zwycięstwo, a ona nie potrafiła go powstrzymać. Łzy popłynęły jej po policzkach, gdy uświadomiła sobie, że za chwilę Lucas dowie się, jak jest żałośnie wierna w swoim uczuciu. Teraz już nawet jej duma będzie należeć do niego.

I nagle się zatrzymał. Podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć, i zamarł. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że dostrzegła na jego nieruchomej twarzy skurcz bólu. Uniósł rękę i czubkiem palca zatrzymał łzę, która toczyła się po skroni, po czym z cichym przekleństwem zsunął się z jej ciała.

- Nie chcę znów brać za to odpowiedzialności - mruknął. Podniósł się i stanął w oknie.

Usiadła na łóżku i oparła głowę na kolanach, ukrywając twarz. Obiecała sobie, że Lucas nigdy już nie zobaczy, jak płacze. Nie przez niego. Już nigdy przez niego. Cisza, która zapadła, zdawała się nie mieć końca.

- To już się nie powtórzy - powiedział wreszcie. - Masz na to moje słowo.

Wydawało jej się, że słyszy długie, ciężkie westchnienie, a po chwili jego kroki, gdy znów zbliżył się do łóżka. Nie podnosząc głowy, mocniej zacisnęła powieki.

- Autumn, ja... Boże... - Dotknął jej ręki, ale zwinęła się jeszcze mocniej.

Znowu zapadła cisza, w której słychać było wyłącznie szum deszczu.

- Koniecznie coś zjedz, kiedy już odpocznesz - odezwał się w końcu. W jego głuchym głosie słychać było napięcie. - Dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

Słyszała, jak wychodzi i cicho zamyka drzwi. Ciągle zwinięta w kłębek, położyła się na łóżku. I w końcu, znużona płaczem, zapadła w sen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Było już ciemno, gdy się przebudziła. Sen przyniósł jej tylko chwilową ulgę. Nic się nie zmieniło. Chociaż nie, pomyślała, rozglądając się po pokoju. Po chwili wiedziała już, skąd wrażenie, że się myli. Zrobiło się zupełnie cicho. Na niebie pojawił się księżyc, widać też było błyszczące tu i ówdzie gwiazdy. Przestało padać.

Nie zapalając światła, poszła do łazienki obmyć twarz. Przez dłuższą chwilę przyciskała do oczu mokry ręcznik. Miała nadzieję, że opuchlizna nie jest tak duża, jak jej się zdawało, jednak nie odważyła się spojrzeć w lustro. Kiedy poczuła głód, uznała, że to zdrowy objaw.

Szła na bosaka, więc jej kroki nie mąciły ciszy. I dobrze, pomyślała z zadowoleniem. Nie pragnęła towarzystwa. Jednak kiedy przechodziła obok salonu, doleciał ją szmer głosów. A więc nie była sama. Na tle okna rozpoznała sylwetki Julii i Jacques'a. Nim zdążyła cofnąć się w cień, Julia odwróciła się, raptownie przerywając rozmowę.

- Wreszcie wychynęłaś. Myśleliśmy, że nie zobaczymy cię do rana. - Podeszła do niej i objęła po przyjacielsku w pasie. - Chodźmy zobaczyć, czy ciocia Tabby coś ci zostawiła.

- Usiądź, kochana - zarządziła Julia, kiedy znalazły się w kuchni. - Zaraz przygotuję ci ucztę. Z obiadu zostało trochę przepysznej zupy, a potem zrobię ci swoją specjalność: omlet z serem.

Z przyjemnością przyglądała się Julii, która zaczęła się krzątać. Szło jej to bardzo sprawnie, a rozmowa, którą zaczęła, na szczęście nie wymagała od Autumn wielkiego wysiłku.

Po chwili Julia postawiła na stole szklankę mleka.

- Wypij to. Musisz odzyskać rumieńce.

Po mleku pojawił się gorący rosół, do którego zabrała się ze znacznie większym zapalem. Czowała, że powoli odzyskuje siły.

- Grzeczna dziewczynka - pochwaliła Julia, stawiając przed nią omlet. - Zaczynasz wreszcie wyglądać jak człowiek. - Pijąc kawę, patrzyła, jak Autumn zabiera się do omletu. - Cieszę się, że wreszcie udało ci się odpocząć. Ten dzień wydawał się nie mieć końca.

Autumn dopiero teraz dostrzegła ciemne sińce pod pięknymi oczami. Ogarnęło ją poczucie winy.

- Przepraszam. Powinnaś się położyć, a nie skakać wokół mnie.

Julia sięgnęła po papierosa.

- Poczekam, aż poczuję się naprawdę zmęczona. Mam zamiar z całym

wyrachowaniem wykorzystać twoje towarzystwo i zatrzymać cię tu jak najdłużej. A tak przy okazji... - Spojrzała na Autumn przez obłok dymu. - Nie jestem pewna, czy najmądrzej robisz, kręcąc się po domu sama.

- O co ci chodzi? - Autumn zmarszczyła brwi.

- Włamano się przecież do twojego pokoju.

- No tak, ale... - Po tym, co się wydarzyło później, omal nie zapomniała o splądrowanym pokoju. - Prawdopodobnie zrobiła to Helen.

- Wątpię - odparła spokojnie Julia. - Helen z pewnością nie zostawiłaby po sobie bałaganu. Już się nad tym zastanawialiśmy.

- My?

- To znaczy ja - poprawiła się Julia. - Sądzę, że osoba, która podarła twoje ubrania, próbowała coś znaleźć, a potem starała się ukryć swój cel i stąd te zniszczenia.

- Niby czego można u mnie szukać? - zdziwiła się Autumn. - Nie mam nic, co mogłoby aż tak kogoś zainteresować.

- Na pewno? Myślałam też o twoim wypadku w ciemni.

- Wpadłam na drzwi. - Machinalnie dotknęła sińca na czole.

- Czyżby? - Julia odchyliła się na krześle. - Nie byłabym tego pewna. Lucas mówił, że słyszałaś, jak ktoś majstruje przy drzwiach. A jeśli... A jeśli ktoś otworzył je gwałtownie i uderzył cię nimi?

- Były zamknięte - upierała się Autumn. Zaraz jednak przypomniała sobie, że Lucas znalazł ją w otwartej ciemni.

- Moja droga, są przecież klucze. - Julia uważnie patrzyła na Autumn. - Nad czym się zastanawiasz?

- Były otwarte, kiedy Lucas... - Przerwała, kręcąc głową. - Nie, to śmieszne. Niby czemu ktoś miałby to zrobić?

- Interesujące pytanie... A co powiesz o prześwietlonym filmie?

- Film? - Czują, że pogrążają się w tym koszmarze coraz bardziej. - Zwykły wypadek.

- To nie ty go prześwietliłaś, Autumn. Jesteś zbyt doświadczona. Obserwowałam, jak pracujesz. Ruchy masz płynne, pewne. Jesteś zawodowcem. Nie zniszczyłabyś nieświadomie filmu.

- No nie - zgodziła się Autumn. Spojrzała Julii prosto w oczy. - Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Może ktoś nie chciał, żebyś wywołała jakieś zdjęcie? Film w twoim pokoju też został prześwietlony.

- Na razie wszystko rozumiem. - Odsunęła talerz z resztkami omletu. - Ale tylko do tego punktu. Nie robiłam zdjęć, których ktoś mógłby się obawiać. Fotografowałam wyłącznie krajobraz. Drzewa, zwierzęta, jezioro.

- Widać ta osoba nie była tego pewna. - Julia szybkim ruchem zgasła papierosa. - Ktoś, kto tak się boi twoich zdjęć, żeby ryzykować włamanie do pokoju, a potem pozbawić cię przytomności, jest z pewnością niebezpieczny. Tak bardzo, że może zamordować. Może też zaatakować cię ponownie, jeśli uzna to za konieczne.

- Jane? Oskarżyła mnie o szpiegowanie, ale nie mogłaby przecież...

- Dlaczego nie? - Głos Julii znów stał się twardy. - Zrozum, że każdy doprowadzony do ostateczności człowiek staje się zdolny do morderstwa. Absolutnie każdy!

Autumn przypomniała sobie wyraz twarzy Lucasa, gdy objął palcami jej szyję.

- Jane była na skraju załamania - ciągnęła Julia. - Twierdzi, że wyznała Robertowi całą prawdę, ale jaki masz na to dowód? Albo Robert, wściekły na Helen za to, przez co musiała przejść jego żona. Bardzo ją kocha.

- Tak, wiem... - Widziała przecież jego gniew, gdy opowiadał o tragicznych przejściach Jane.

- Jest też Steve. - Julia zaczęła bębnić palcami po stole. - Mówi, że Helen miała tylko mało znaczącą informację o jakimś kontrakcie. Jednak mogło to zagrażać jego politycznej karierze. A Steve jest bardzo ambitny.

- Ale...

- Z kolei w przypadku Lucasa - Julia nie pozwoliła sobie przerwać - chodzi o bardzo delikatną sprawę rozwodową. Helen była w posiadaniu materiałów, które jej zdaniem zainteresowałyby męża pewnej damy. - Zapaliła następnego papierosa. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. - Lucas znany jest ze swojego wybuchowego temperamentu.

- O Lucasie można powiedzieć wiele rzeczy i nie wszystkie będą miłe, lecz z pewnością nikogo by nie zabił - powiedziała Autumn zdecydowanie.

Julia uśmiechnęła się i podniosła papierosa do ust.

- I w końcu ja - podjęła po chwili. - Twierdzą, że nie zabiłam Helen, ale jestem przecież aktorką. Bardzo dobrą aktorką. Na potwierdzenie talentu mam Oscara. Mój gwałtowny temperament nie jest tajemnicą. Mogłabym ci przedstawić całą listę reżyserów, którzy potwierdzą, że jestem zdolna do wszystkiego. - Strząsnęła odruchowo popiół. - Chociaż gdybym to ja zabiła, inaczej bym wszystko rozegrała. Przede wszystkim sama znalazłabym ciało, krzyknęłabym przeraźliwie, po czym efektownie zemdlą. Niestety popsułaś mi tę scenę.

- To nie jest zabawne, Julio.

- Nie jest - zgodziła się, rozcierając palcami skronie.

- Tak czy inaczej, prawda jest taka, że ja również mogłam zabić Helen. Jesteś zbyt ufna.

- Gdybyś ją zamordowała - odparowała Autumn - po co próbowałabyś mnie ostrzec?

- Zwykły bluff. - Uśmiech Julii sprawił, że Autumn poczuła, jak skóra jej cierpnie. - Nie powinnaś nikomu ufać. Nawet mnie.

Była świadoma, że Julia próbuje ją przestraszyć, ale nie zamierzała poddać się nastrojowi. Spojrzała aktorce prosto w oczy.

- Nie wymieniłaś jeszcze Jacques'a.

Julia zatrzepotała rzęsami i spuściła wzrok. Zgasła papierosa tak energicznie, że złamała filtr.

- Zgadza się. Twoim zdaniem Jacques pewno nie różni się od nas wszystkich, ale ja wiem... - Kiedy podniosła oczy, w jej spojrzeniu widać było bezgraniczne oddanie.

- Z całą pewnością wiem, że nie potrafiłby nikogo skrzywdzić.

- Kochasz go.

Julia uśmiechnęła się ciepło.

- Nawet bardzo, ale nie tak, jak myślisz. - Podniosła się, wyjęła drugą filiżankę i nałala im obu kawy. - Znam Jacques'a od dziesięciu lat. Jest jedyną osobą na świecie, która obchodzi mnie bardziej niż ja sama. Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi... Być może dlatego, że nigdy nie zostaliśmy kochankami.

Próbowałaby go osłaniać, myślała, przyglądając się aktorce. Zrobiłaby wszystko, żeby go chronić.

- Mam słabość do mężczyzn - podjęła Julia - i nie uznaję żadnych ograniczeń. Z Jakiem jednak albo miejsce, albo czas nigdy nie były właściwe. W końcu przyjaźń okazała się zbyt cenna, żeby ryzykować jej utratę w sypialni. Jacques jest dobrym, miłym człowiekiem. Małżeństwo z Claudette było największym błędem, jaki popełnił.

- W jej głosie pojawiły się ostre tony. - Ze względu na dzieci długo próbował ratować związek, ale w końcu okazało się to ponad jego siły. Niestety zamiast starać się o rozwód, podając któraś z naprawdę istotnych przyczyn, pozwolił, aby to ona wystąpiła z pozwem.

- I Claudette przyznano dzieci.

- Właśnie. Omal nie umarł, gdy zapadł wyrok. Uwielbia swoje dzieci. Zresztą muszę przyznać, że jak na małe potworki, są całkiem słodkie. - Przestała bębnić o stół i sięgnęła po kawę. - Rok temu Jacques wystąpił o przyznanie mu opieki nad synami. Niedługo potem

kogoś poznał. No i wtedy pojawiła się Helen.

Autumn pokręciła głową.

- Czemu się nie pobiorą?

Julia z gracją odchyliła się na krzesło, wzdychając z rozbawieniem.

- O niczym bardziej nie marzą. Chcą się pobrać, sprowadzić chłopców do Ameryki i dorobić się jeszcze tylu dzieci, ilu tylko zdołają. Niestety życie nie jest takie proste. Jacques jest wolny, ale ona musi jeszcze kilka miesięcy czekać na rozwód. - Przez chwilę piła stygnącą kawę.

- Póki nie zakończy się sprawa o dzieci, nie mogą oficjalnie ze sobą zamieszkać. Wynajęli więc mały domek na wsi. Helen to odkryła. Resztę możesz sobie dopowiedzieć.

Gdy Helen zjawiła się tutaj, cierpliwość Jacques'a wyczerpała się. Któregoś wieczoru pokłócili się. Oświadczył jej, że nie zapłaci już ani centa. Jestem pewna, że bez względu na to, ile zdołała z niego wyciągnąć, i tak przekazałaby swoje rewelacje Claudette. Oczywiście za odpowiednio wysoką cenę.

Autumn przyglądała się Julii bez słowa. Piękna twarz aktorki przybrała bezwzględny wyraz, głos stał się lodowaty. Nagle Julia podniosła wzrok i roześmiała się, wyraźnie rozbawiona.

- Autumn, można w tobie czytać jak w otwartej książce! - Znow stała się uroczą, pełną ciepła kobietą. - Właśnie myślisz, że jednak mogłam zamordować Helen. Nie ze względu na siebie, lecz po to, by chronić Jacques'a.

Świtało już, gdy Autumn wreszcie zapadła w niespokojny sen pełen dręczących majaków. Z początku były to jakieś szepty i cienie, które umykały, gdy próbowała je uchwycić. Cienie poruszały się, kształty wyostrzały się na krótko, by zaraz znow się rozmyć. Walczyła z nimi, chcąc z nich wydobyć wyraźne obrazy. I nagle cienie zniknęły, głosy zabrzmiały głośno, a kształty stały się uchwytne.

Jane rozgniata stopą jej aparat.

- Szpieg! - krzyczy. W jej oczach czai się szaleństwo, w rękę trzyma nożyczki, którymi celuje w Autumn. Trzask aparatu brzmi jak strzał. - Szpieg!

Autumn próbuje uciec. Kolory, wirując, rozmywają się na chwilę i nagle pojawia się Robert.

- Dręczyła moją żonę! - Przytrzymuje Autumn ramieniem tak mocno, że zaczyna jej brakować tchu. - Powinnaś coś zjeść - mówi łagodnie. - Utratę wagi zawsze najpierw widać na twarzy. - Uśmiecha się, lecz jego uśmiech nie jest szczery. Autumn wyrывa się i nagle znajduje się na korytarzu.

Podchodzi do niej Jacques.

- Moje dzieci - mówi drżącym głosem, wyciągając do niej zakrwawioną rękę. Przerażona odwraca się i wpada na Steve'a.

- Polityka. - Na jego twarzy pojawia się wesoły, chłopięcy uśmiech. - To nie osobistego, chodzi wyłącznie o politykę. - Chwyta ją za włosy i okręca wokół jej szyi. - Zostałaś w to wmieszana. - Pętla z włosów zaciska się coraz mocniej. Jego uśmiech nie jest już wesoły. - Jaka szkoda!

Odpycha go i wbiega do pokoju. Julia, ubrana w biały koronkowy peniuar, stoi odwrócona plecami.

- Julio! - woła Autumn. - Pomóż mi...

Julia obraca się powoli. Jej usta rozciągają się w kocim uśmiechu, a biały szlafroczek jest poplamiony krwią.

- To blef, moja droga. - Odrzuca głowę i zanosi się śmiechem.

Autumn zatyka uszy dłońmi i ucieka.

- Wracaj do mamy! - woła za nią Julia, nie przestając się śmiać.

Drogę zagrządzają jej drzwi. Autumn otwiera je i wpada do pokoju. Niestety to pokój Helen. Przerażona odwraca się, ale drzwi już się za nią zatrzasnęły. Kiedy gwałtownie wali w nie pięściami, dźwięk jest dziwnie przytłumiony. Ogarniają paniczny strach. Nie może tu zostać. Za żadne skarby nie zostanie w tym pokoju. Postanawia wydostać się przez okno.

To jednak nie jest pokój Helen, lecz jej własny. Kraty w oknie są z szarych smug deszczu, lecz gdy podchodzi bliżej, woda tężeje. Szarpie się z kratami, ale nie chcą się poddać. Nagle staje za nią Lucas. Ze śmiechem odciąga ją od okna.

- Możesz drapać i gryźć, Kocie.

- Lucas, proszę! - W jej głosie pojawiają się histeryczne nuty. - Kocham cię. Pomóż mi się stąd wydostać.

- Za późno, Kocie. - W jego oczach widać gniew i rozbawienie. - Ostrzegałem, żebyś nie przeciągała struny.

- Nie, to z pewnością nie ty. - Przytula się mocno, a Lucas całuje ją namiętnie. - Kocham cię. Zawsze cię kochałam. - Poddaje się jego pocałunkom. Wreszcie jest bezpieczna.

I w tym momencie dostrzega, że Lucas trzyma nożyczki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Usiadła na łóżku. Ciało miała pokryte zimnym potem. Walcząc z sennym koszmarem, skopała pościel, jej jedynym przykryciem była wilgotna koszulka. Próbując się ogrzać, podciągnęła koc i otuliła się nim szczelnie. To tylko sen, powtarzała sobie, czekając, by majaki odpłynęły. Nie ma się czego bać.

Był już ranek, słońce zalewało pokój. Wraz z odejściem nocy kraty w oknie zniknęły. Telefony wkrótce zostaną naprawione, woda w strumieniu opadnie, przyjedzie policja. Do wieczora albo najpóźniej do jutra wszystko będzie jasne. Powoli zaczynała się odprężyć i przestała ścisnąć kurczowo koc.

Po rozmowie w kuchni rozbudzona wyobraźnia wymknęła się spod kontroli. Julia opisała wszystko jak w filmowym scenariuszu. Jednakże Autumn była przekonana, że dwa wypadki, które jej się przydarzyły, nie miały żadnego związku z sobą, a tym bardziej ze śmiercią Helen. Muszę w to wierzyć, powtarzała sobie, bo inaczej zwariuję.

Trochę uspokojona, spróbowała wszystko przemyśleć na trzeźwo. Morderstwo było niezaprzeczalnym faktem i zostało popełnione z przyczyn osobistych. Nie była w żaden sposób związana z tymi ludźmi, a wypadek w ciemni był wynikiem jej niezręczności. To chyba najrozsądniejsze wyjaśnienie. Co do jej pokoju... Wzdrygnęła się. Z pewnością to Helen go splądrowała. W pensjonacie nie było nikogo, kto mógłby żywić do niej wrogie uczucia.

Prócz Lucasa. Pokręciła zdecydowanie głową, lecz nie zdołała pozbyć się tej myśli. Prócz Lucasa... Zadrżała i mocniej otuliła się kocem.

Nie, to bez sensu. Przecież to Lucas ją porzucił, a nie odwrotnie. Ona go kochała, a on nic do niej nie czuł. Starając się zlekceważyć nagłe uczucie słabości, mimo wszystko spróbowała wyobrazić sobie Lucasa w roli mordercy.

Od chwili przyjazdu odnosiła wrażenie, że Lucas żyje w stresie. Widziała, że brak mu snu, jest spięty i wyczerpany. Dawniej zdarzało się, że podczas pracy nad powieścią pił dużo kawy i mało sypiał, nigdy jednak nie było po nim tego widać. Myślała, że wykorzystuje nagromadzone zapasy energii. Nie, nigdy wcześniej nie widywała u Lucasa zmęczenia.

Szantaż musiał bardzo dać mu się we znaki. Wiedziała, że sam nie robiłby sobie nic z gróźb Helen. Widocznie jednak kobieta, którą ten szantaż mógł skrzywdzić, wiele dla niego znaczy. Poczowała ukłucie bólu.

Czemu Lucas przyjechał do zajazdu „Pod Sosnami”? Czemu wybrał miejsce oddalone od jego domu prawie o cały kontynent? Żeby pracować? Nonsens. W trakcie pracy nad

powieścią nigdy nie podróżował. Najpierw zbierał materiały, a gdy już zaplanował fabułę, zakopywał się w swoim domu przy plaży. Miałby przyjechać do Wirginii, żeby pracować w spokoju? Z pewnością nie. Potrafił pisać w wagonie metra w godzinie największego szczytu. Nie było drugiego człowieka, który potrafił tak się odgradzić od ludzi, jak Lucas McLean.

Musi być więc inny powód. Czy możliwe, że Helen nie była reżyserem, lecz pionkiem w czyimś scenariuszu? Może Lucas zwabił ją do tego zakątka i zebrał ludzi, którzy mieli powód, żeby ją znienawidzić? Był wystarczająco sprytny i przewidujący, by to zaplanować. Jak trudno byłoby dowiedzieć, kto z całej szóstki dokonał zbrodni. Lucas mówił o motywie i sposobności, a to pasowało do każdego z nich. Wszyscy byli równie podejrzani...

Sceneria także pasuje, myślała, patrząc na drzewa i góry za oknem. W oczywisty sposób nadawała się na miejsce zbrodni. A życie, jak to ujął Jacques, często bywa całkiem oczywiste.

Nie będę się nad tym zastanawiać, postanowiła, gdy obrazy, które widziała we śnie, znów zaczęły ją nękać. Podniosła się z łóżka, wciągnęła dżinsy i sweter pożyczony od Julii. Nie zamierzała kolejnego dnia spędzać na rozpamiętywaniu swoich wątpliwości i obaw. Nie do niej należy rozwiązanie zagadki śmierci Helen. Wkrótce zajmie się tym policja.

Kiedy schodziła na dół, czuła się znacznie różnie. Po śniadaniu wybierze się na długi spacer, który oczyści jej umysł. Świadomość, że będzie można wreszcie wyjść z domu, dodała jej energii.

Straciła trochę pewności, gdy u stóp schodów zobaczyła Lucasa.

- Lucas! - zawołała i zbierając się na odwagę, pokonała resztę schodów. Musiała uzyskać odpowiedzi na dręczące ją pytania. Ciągle zbyt wiele dla niej znaczył... Zatrzymała się na dolnym stopniu, żeby patrzeć mu prosto w twarz. W jego oczach dostrzegła zniecierpliwienie. - Czemu tu przyjechałeś? - spytała szybko. - Dlaczego wybrałeś właśnie zajazd „Pod Sosnami”? - Miała nadzieję, że będzie mogła uwierzyć w powód, który jej poda.

Na jego twarzy mignął grymas, lecz zniknął, nim zdołała go odczytać.

- Powiedzmy, że chciałem tu pisać. Inny powód został już wyeliminowany.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Wyeliminowany... Czy tak właśnie mógł nazwać morderstwo? Patrząc, jak ściągnął brwi, domyśliła się, że twarz ją zdradziła.

- Kocie...

- Nie! - Uciekła, nim zdążył coś dodać.

Pozostali siedzieli już przy śniadaniu. Za milczącą zgodą nikt nie wspominał Helen. Udawali, że słońce dobrze wpłynęło na nastrój.

Najwięcej mówiła Julia, która jak zwykle wyglądała uroczo i świeżo. Jej głos był

spokojny, a nawet wesoły. Wydawało się, że dwa okropne dni nie wywarły żadnego wpływu na jej sposób bycia.

- Kuchnia twojej ciotki - Jacques spojrzał na Autumn - jest doprawdy wyśmienita. - Nabił na widelec pulchny leciutki naleśnik. - Zadziwia mnie to, bo wydaje się tak uroczo roztargniona, a mimo to pamięta różne drobiazgi. Dziś rano powiedziała, że zachowała dla mnie kawałek szarlotki. Zapamiętała, jak bardzo smakuje mi to ciasto. Pocałowałem w podzięce jej dłoń, a wtedy odeszła, uśmiechając się i mrucząc coś o ręcznikach i czekoladowym puddingu.

Śmiech, który wywołało opowiadanie Jacques'a, zabrzmiał zupełnie naturalnie. Żeby przeciągnąć tę chwilę normalności, Autumn podjęła temat:

- Znacznie lepiej pamięta gusty swoich gości niż własnej rodziny. Uznała, że przepadam za duszoną wołowiną, więc by sprawić mi przyjemność, obiecała, że będzie ją podawać raz w tygodniu. A tak naprawdę to ulubione danie mojego brata, Paula. Nie mam pojęcia, jak by ją nakłonić do zrobienia spaghetti.

- Czy twoja rodzina często tu przyjeżdża? - spytał Jacques.

- Teraz już nie. Kiedy byłam małą, spędzaliśmy tu zawsze jeden miesiąc wakacji.

- Na włóczeniu się po lasach - rzuciła drwiąco Julia.

- To też - odparowała Autumn, naśladując jej pobłażliwe spojrzenie. - Ale również na biwakach, kąpaniu się w jeziorze i pływaniu łódką.

- Łódki... - wtrącił nagle Robert. - Żeglowanie to dla mnie największa frajda. Prawda, Jane? - Poklepał żonę po dłoni i przeniósł spojrzenie na Steve'a. - Ty z pewnością też musisz sporo czasu spędzać na żaglach?

Steve ze smutkiem pokręcił głową.

- Niestety, żaden ze mnie żeglarz. Nawet pływać nie umiem.

- Chyba żartujesz! - Julia z niedowierzaniem obrzuciła jego muskularne ramiona. - Wyglądasz, jakbyś mógł pokonać kanał La Manche.

- Nie przepłynąłbym nawet brodzika dla dzieci - wyznał zupełnie niezmięszony. - Rekompensuję to sportami lądowymi. Mógłbym się zrehabilitować, gdybyśmy mieli tu kort tenisowy.

- No cóż... - Jacques rozłożył ręce. - Na razie możesz się wykazać podczas pieszych wycieczek. Appalachy są naprawdę piękne. Mam nadzieję, że kiedyś przywiozę tu swoje dzieci - zakończył z posępną miną.

- Miłośnicy przyrody! - Drwiący śmiech Julii szybko rozproszył ponury nastrój. - Ja tam za nic nie opuściłabym Los Angeles. Wasze góry i wiewiórki obejrzę sobie na zdjęciach

Autumn.

- Musisz poczekać, aż ich trochę dorobię - rzuciła lekkim tonem. - Strata filmu to dla mnie potworne przeżycie, mimo to próbuję być dzielna. Zresztą... mogłam przecież stracić wszystkie cztery rolki, a nie tylko trzy. Pocieszam się tym, że zdjęcia, które robiłam nad jeziorem, są najlepsze. Światło było rewelacyjne, a cienie...

Przerwała, przypominając sobie tamten ranek. Stała na urwisku, patrząc na błyszczące jezioro, drzewa odbijające się w wodzie i... sylwetki dwóch osób spacerujących na drugim brzegu. Tego ranka spotkała w lesie Lucasa, a później Helen. Helen z podbitym okiem...

- Autumn?

Głos Jacques'a wyrwał ją z zadumy.

- Przepraszam, co mówiłeś?

- Czy coś się stało?

- Nie, tylko tak sobie... - Napotkała jego zaciekawione spojrzenie. - Nie.

- Jacques, pamiętasz tego okropnego człowieka, który pojawiał się ze swoim aparatem i ciągle próbował mnie fotografować? Jak on się nazywał? W końcu nawet go dość polubiłam. - Julia umiejętnie skierowała uwagę na siebie.

Autumn miała nadzieję, że nikt nie spostrzegł jej zmieszania. Wpatrywała się w naleśniki z syropem tak intensywnie, jakby spodziewała się znaleźć tam rozwiązanie wszystkich tajemnic. Czowała, że Lucas jej się przygląda, lecz nie odważyła się podnieść wzroku.

Pragnęła zostać sama, zastanowić się, poukładać niezborne myśli, które krążyły jej po głowie. Z trudem dotrwała do końca śniadania, z roztargnieniem słuchając toczącej się rozmowy.

- Muszę poszukać cioci Tabby - mruknęła, gdy uznała, że może już wstać od stołu, nie wzbudzając zdziwienia. - Przepraszam.

Dotarła właśnie do drzwi kuchni, gdy dogoniła ją Julia.

- Autumn, muszę z tobą porozmawiać. - Zaciśnęła szczupłe palce na jej ramieniu. - Chodźmy do mojego pokoju.

- Dobrze. - Po wyrazie twarzy Julii poznała, że nie warto się opierać. - Najpierw jednak chcę się zobaczyć z ciocią. Pewno się niepokoi, bo wczoraj nie wpadłam do niej przed snem. Przyjdę za kilka minut. - Niezła ze mnie aktorka, pomyślała, słysząc swój spokojny głos. Dla poprawienia wrażenia zdobyła się nawet na uśmiech.

Julia w milczeniu zajrzała jej w oczy i po chwili cofnęła rękę.

- W porządku. Przyjdź, jak już będziesz mogła.

- Oczywiście.

Poszła do kuchni. Ciocia Tabby i Nancy zajęte były planowaniem obiadu, więc niepostrzeżenie przemknęła do sieni. Zdjęła kurtkę, którą zostawiła na wieszaku w dniu, gdy rozpętała się burza, sięgnęła do kieszeni i wymacała kasetę z filmem. Przez chwilę stała, trzymając film w zaciśniętej dłoni.

W końcu wsunęła go do kieszeni swetra, szybko włożyła wysokie buty, chwyciła kurtkę i tylnymi drzwiami wypadła z domu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Powietrze splukane deszczem było bardzo ostre. Pąki, które fotografowała kilka dni temu, choć były większe i grubsze, ledwie zaczynały pękać, pokazując delikatną zieleń ukrytych w nich liści. Jeszcze poprzedniego dnia marzyła o przestrzeni, teraz jednak pragnęła jak najprędzej znaleźć się pod osłoną drzew. Nie zatrzymując się, biegła w stronę lasu. Zwolniła, dopiero gdy otoczyła ją kojąca cisza.

Nasiąknięta deszczem ziemia ugięła się pod stopami jak gąbka. Wokół widać było ślady wichury. Szła ostrożnie, omijając połamane gałęzie. Słońce grzało coraz mocniej, zdjęła więc kurtkę i przerzuciła ją przez gałąź. Skoncentrowała się na dźwiękach lasu, czekając, aż będzie zdolna jasno myśleć. Włożyła rękę do kieszeni i zacisnęła dłoń na filmie. Wczorajsza rozmowa z Julią nagle nabrała przerażającego sensu.

Tamtego ranka Helen musiała spacerować nad jeziorem. Podbite oko prawdopodobnie było rezultatem gwałtownej kłótni z kimś, kto spostrzegł Autumn na urwisku. Chcąc zdobyć film, zaryzykował włamanie do ciemni i pokoju. Widocznie uznał, że zdjęcia stanowią dla niego zbyt wielkie zagrożenie. Na takie ryzyko mógł się zdecydować wyłącznie zabójca, pomyślała. I niestety, z jakiej strony by na to nie spojrziała, wszystko wskazywało na Lucasa.

To jego spotkała chwilę przedtem, nim zobaczyła Helen. On też pochylał się nad nią, gdy leżała nieprzytomna na podłodze. W nocy, gdy zamordowano Helen, znów zniemacka pojawił się w progu ciemni. Potrząsnęła głową, próbując znaleźć w swoim rozumowaniu jakies nieścisłości. Niestety film, który trzymała w ręku, zdawał się wszystko potwierdzać.

Lucas musiał zobaczyć ją, gdy pojawiła się na urwisku. Stała w pełnym świetle, doskonale widoczna. Kiedy zatrzymał ją w lesie, próbował odnowić ich dawne stosunki. Znał ją zbyt dobrze i zdawał sobie sprawę, że gdyby spróbował zabrać film, jej wrzask postawiłby na nogi dwa hrabstwa. Dlatego też sięgnął po bardziej subtelne środki. Nie mógł wiedzieć, że zdążyła już zmienić kasetę.

Postanowił zagrać na jej uczuciach. Gdyby mu uległa, w stosownym momencie zniszczyłby film. Przyznała w duchu, że pewno w ogóle nie spostrzegłaby straty. Nie zdołał przeprowadzić swojego planu, bo tym razem to ona go odtrąciła.

Udawał, że mnie pragnie, pomyślała z bólem. Powinna pamiętać, że przestał jej pragnąć już dawno temu. Kiedy brał ją w ramiona i całował, myślał wyłącznie o tym, jak się ratować. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: ona nigdy nie przestała go kochać, natomiast on nawet nie zaczął.

Mimo wszystko nie mogła pogodzić się z myślą, że mógłby z zimną krwią

zamordować Helen. Dobrze przecież pamiętała, jaki potrafił być delikatny i wielkoduszny, jakie miał wspaniałe poczucie humoru. Za to między innymi tak łatwo było go pokochać. I za to - między innymi - kochała go do tej pory.

Jakaś dłoń chwyciła jej ramię. Obróciła się z okrzykiem strachu i stanęła twarzą w twarz z Lucasem. Odskoczyła gwałtownie.

- Gdzie jest ten film, Autumn? - Jego głos był przerażająco lodowaty.

Krew odpłynęła z jej twarzy. Nadal nie chciała pogodzić się z takim rozwiązaniem, Lucas jednak nie pozostawiał jej wyboru. Czowała, że serce jej pęka.

- Film? - Kręcąc głową, zrobiła dwa kroki do tyłu.

- Jaki film?

- Dobrze wiesz, jaki - rzucił niecierpliwie, patrząc na nią spod zmrużonych powiek. - Daj mi czwartą rolkę.

- Dlaczego?

- Przestań udawać idiotkę! - powiedział gniewnie. - Nieważne po co. Daj mi film.

Rzuciła się do ucieczki. Nie chciała go dłużej słuchać, wołała dalej żyć w niepewności. Nie zdążyła przebiec trzech metrów, gdy chwycił ją za rękę.

- Ty się mnie boisz... - Ze zdumieniem wpatrywał się w jej twarz. Przytrzymując mocno jej rękę, przyciągnął ją do siebie.

- Lucas, proszę... - Nie mogła opanować drżenia. - Nie rań mnie już bardziej.

Gwałtownie zabrał rękę. Widać było, że z trudem stara się nad sobą panować.

- Już cię nie dotknę, ani teraz, ani nigdy więcej. Powiedz tylko, gdzie jest film. Potem odejdę z twojego życia na zawsze.

Musiała jeszcze raz spróbować.

- Lucas, to nie ma sensu. Czy nie możesz...

- Nie przeciągaj struny!

- Lucas! - Zachwiała się, zaskoczona jego krzykiem.

- Czy masz pojęcie, kretynko, jak niebezpieczna jest ta rolka filmu? Naprawdę myślisz, że pozwolę ci ją zatrzymać? - Zrobił krok w jej stronę. - Mów, gdzie jest! Mów, bo klnę się na Boga, że ją z ciebie wyduszę!

- W ciemni - rzuciła bez chwili namysłu.

- W porządku. Gdzie? - Wyraźnie zaczął się odprężyć. Głos też miał spokojniejszy.

- Na dolnej półce, tam gdzie sprzęt do obróbki filmów.

- Wiele mi to wyjaśnia - zakpił, wyciągając rękę. - Idziemy.

- Nie! - Odskoczyła pospiesznie. - Nigdzie z tobą nie pójdę. Tam jest tylko jeden film.

Znajdziesz go. Przecież inne też znalazłeś. Zostaw mnie, Lucas. Na miłość boską, zostaw mnie w spokoju!

Znów zaczęła biec, ślizgając się na błocie. Tym razem nie próbował jej zatrzymać.

Nie miała pojęcia, jak daleko oddaliła się od zajazdu, nie wiedziała też, gdzie jest. Zatrzymała się i spojrzała w niebo, na którym nie było ani jednej chmurki. Co miała teraz zrobić?

Powinna wrócić do pensjonatu. Gdyby pierwsza dotarła do ciemni, mogłaby się zamknąć, wywołać film, powiększyć dwie sylwetki znad jeziora i wreszcie poznać prawdę. Znów dotknęła ręką znienawidzonej kasety. Wcale nie chciała znać prawdy. Wiedziała, że nie będzie w stanie oddać go w ręce policji. Bez względu na to, co Lucas zrobił i co jeszcze zrobi, nie mogłaby go zdradzić. Jednak się mylił, pomyślała, wspominając jego słowa. Nigdy nie pociągnęłyby za dźwignię...

Wyciągnęła z kieszeni rolkę. Wyglądała tak niewinnie. Stojąc tamtego ranka na urwisku i patrząc na wschodzące słońce, również czuła się niewinna i wolna. Nigdy więcej nie zazna takiego uczucia, jeśli zrobi to, co musi... A musi przeświecić błonę.

Omam nie roześmiała się. Lucas McLean był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł sprawić, że sprzeniewierzy się własnemu sumieniu. Kiedy będzie po wszystkim, tylko oni będą znali prawdę. Stanie się wówczas równie winna jak on.

Zrób to szybko, pomyślała, zaciskając spoconą dłoń. Zrób to szybko, a potem możesz się zastanawiać. Masz na to całe życie.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła otwierać plastikowe pudełeczko. Jakiś ruch na ścieżce za jej plecami sprawił, że pospiesznie wsunęła film z powrotem do kieszeni.

Czy możliwe, że Lucas tak szybko przeszukał ciemnię? - zdziwiła się. Teraz już wiedział, że go okłamała. W pierwszym odruchu chciała znów rzucić się do ucieczki, postanowiła jednak poczekać. Wcześniej czy później i tak dojdzie do tego spotkania.

Na widok Steve'a poczuła ulgę, którą szybko zastąpiło uczucie irytacji. Nie miała ochoty na bezsensowne pogawędki.

- Cześć! - Jego radosny uśmiech nie poprawił jej nastroju, ale mimo to także postarała się uśmiechnąć. Skoro ma grać przez resztę życia, czemu nie zacząć już teraz?

- Wzięłeś sobie do serca radę Jacques'a? - Uwierzyć nie mogła, że jej głos brzmi zupełnie normalnie. Czy będzie potrafiła tak żyć?

- Taa... Widzę, że też chciałaś się wyrwać z pensjonatu. - Steve zaczerpnął głęboki oddech i rozprostował ramiona. - Boże, jak cudownie znaleźć się znowu na świeżym powietrzu. Jacques ma rację - ciągnął, patrząc na góry przeświecające przez nagie gałęzie

drzew. - Te piękne widoki przypominają że życie toczy się dalej.

- Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać. - Mimowolnie wsunęła rękę do kieszeni.

- Twoje włosy tak ślicznie błyszczą w słońcu. - Steve przesuwając w palcach kasztanowe pasmo. Przestraszyła się trochę, widząc rozmarzony wyraz jego oczu. Nie miała siły na romantyczne sceny.

- Wydaje mi się, że ludzie częściej zauważają moje włosy niż mnie - rzuciła swobodnie. - Czasem aż mnie kusi, żeby je obciąć.

- Och, nie! Są niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju - mówił, zaglądając jej w oczy. - Przez te dni dużo o tobie myślałem. Także jesteś wyjątkowa.

- Steve... - Próbowała się odwrócić, choć i tak nie mogłaby odejść, bo ciągle trzymał rękę w jej włosach.

- Pragnę cię, Autumn.

Powiedział to tak łagodnie, z taką pokorą...

- Przepraszam, Steve. - Spojrzała na niego błagalnie.

- Bardzo mi przykro...

- Nie przepraszaj. - Musnął jej usta. - Jeśli mi tylko pozwolisz, sprawię, że będziesz szczęśliwa.

- Steve, proszę. - Oparła dłonie o jego pierś. Gdyby to był Lucas, myślała z żalem. Gdyby tylko Lucas chciał tak na mnie spojrzeć... - Nie mogę.

Westchnął głęboko, ale ciągle jej nie puszczał.

- To McLean, tak? Czemu wreszcie nie dasz sobie z nim spokoju?

- Nawet nie wiesz, ile razy zadawałam sobie to pytanie. Nie potrafię na nie odpowiedzieć. Wiem tylko, że go kocham.

- Tak, to widać. - Marszcząc brwi, odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. - Wielka szkoda, Autumn. To komplikuje sprawę. Teraz mnie jest przykro.

Spuściła wzrok na ziemię. Niepotrzebne jej było współczucie.

- Steve, doceniam to, ale naprawdę chcę być sama.

- Chcę dostać film, Autumn. Zaskoczona poderwała głowę.

- Film? Nie rozumiem.

- Doskonale rozumiesz. - Nadal głąskał jej włosy. - Mówię o zdjęciach jeziora, które robiłaś, gdy byliśmy tam z Helen. Muszę je mieć.

- Ty? Ty i Helen? - Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Patrzyła na niego wstrząśnięta.

- Tego dnia pokłóciliśmy się. Helen zażądała ode mnie sporej kwoty. Jej pozostałe

źródła nagle zaczęły wysychać. Julia po prostu wyśmiała i zapowiedziała, że nie da ani centa. Jacques również postanowił, że nie będzie już więcej płacił za milczenie. Na Lucasa, prawdę mówiąc, nigdy nic nie miała, raczej liczyła, że zdoła go zastraszyć. Tymczasem on posłał ją do diabła i w dodatku zagroził, że wnieśnie oskarżenie. To ją na chwilę wytrąciło z równowagi - mówił z ponurym uśmiechem. - Z pewnością zdawała sobie sprawę, że Jane jest już u kresu wytrzymałości. No więc... skierowała uwagę na mnie. - W jego oczach rozbłysł gniew. - Chciała, żebym w ciągu dwóch tygodni dał jej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Albo ćwierć miliona, albo opowie o wszystkim mojemu ojcu.

- Ale... mówiłeś przecież, że to nie było nic ważnego. - Na krótką chwilę odwróciła wzrok. Niestety na ścieżce za jego plecami nie było nikogo.

- Nie powiedziałem ci wszystkiego. - Uśmiechnął się przeproszająco. - Wtedy jeszcze nie mogłem się przyznać. Teraz na tyle zatarłem ślady, że policja nie powinna niczego odkryć. Tak naprawdę chodziło o defraudację.

- Defraudację? - Ręka Steve'a wplątana w jej włosy z każdą chwilą była bardziej przerażająca. Pozwól mu mówić, powtarzała sobie. Niech opowiada jak najdłużej. Z pewnością ktoś wreszcie nadejdzie.

- W gruncie rzeczy to była pożyczka. Prędzej czy później te pieniądze i tak będą moje. - Wzruszył ramionami. - Po prostu wziąłem je trochę wcześniej. Niestety mój ojciec nie widziałby tego w ten sposób. Mówiłem ci o nim, prawda? Ma surowe zasady. Natychmiast wykopałby mnie za drzwi i przestałby mi płacić. Nie mogłem do tego dopuścić. Mam kosztowne przyzwyczajenia.

- Dlatego postanowiłeś ją zabić - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Nie miałem wyboru. Nie zdobyłbym takiej kasy w ciągu zaledwie dwóch tygodni. - Mówił to tak spokojnie, że przez ułamek sekundy jego wyjaśnienie wydało jej się prawie rozsądne. - Omal nie zabiłem jej tego ranka nad jeziorem. Nie chciała mnie słuchać. Straciłem panowanie i uderzyłem ją tak mocno, że straciła przytomność. Gdy zobaczyłem, jak leży na ziemi, zrozumiałem, że chcę, by umarła.

Nie próbowała mu przerywać. Czowała, że Steve ma jeszcze wiele do powiedzenia. Niech mówi, zaczęła znów powtarzać swoje zaklęcie, hamując pragnienie, żeby się wyrwać i rzucić do ucieczki.

- Pochyliłem się nad nią - ciągnął. - Już sięgałem do jej gardła, gdy dostrzegłem ciebie na urwisku. Wiedziałem, że to ty, bo twoje włosy lśniły w słońcu. Domyślałem się, że z takiej odległości nie rozpoznasz mnie, ale musiałem się upewnić. Dopiero później zorientowałem się, że w ogóle nie zwracałaś na nas uwagi.

- Nie, ledwie was spostrzegłam. - Kolana zaczęły się pod nią uginać. Zrozumiała, że za dużo jej powiedział. O wiele za dużo...

- Zostawiłem Helen i obszedłem jezioro. Liczyłem na to, że cię spotkam, ale Lucas był pierwszy. To była bardzo wzruszająca scena.

- Obserwowałeś nas? - Mimo paralizującego strachu, ogarnął ją gniew.

- Byliście sobą zbyt zajęci, by mnie zauważyć. - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - W każdym razie wtedy właśnie dowiedziałem się, że robiłaś zdjęcia Cóż, musiałem pozbyć się tego filmu, Autumn. Był dla mnie zbyt wielkim zagrożeniem. Nie chciałem cię skrzywdzić. Od samego początku uważałem, że jesteś bardzo atrakcyjna.

Zając, który biegł po ścieżce, zboczył gwałtownie i umknął w głąb lasu. Z dala dobiegało słabe wołanie przepiórki. W tym zwykłym naturalnym otoczeniu słowa Steve'a wydawały się zupełnie nierealne.

- Ciemnia...

- Tak. Byłem zadowolony, że straciłaś przytomność od uderzenia drzwiami. Inaczej musiałbym ogłuszyć cię latarką. Kiedy zobaczyłem rolkę filmu, byłem pewien, że mam już wszystko pod kontrolą. Możesz sobie wyobrazić, co czułem, gdy opowiadałaś później, że straciłaś dwa filmy, na których były zdjęcia z podróży do Nowego Jorku. Nadal nie wiem, co się stało z tą drugą rolką.

- Lucas ja prześwietlił. Włączył światło, kiedy mnie znalazł. - I nagle pojawiła się ta myśl. Lucas jest niewinny.

- Cóż, w tej chwili nie ma to właściwie znaczenia - zauważył Steve. - Wiedziałem, że nie mogę tak po prostu wyjąć filmu z aparatu, bo możesz zacząć się zastanawiać. Naprawdę jest mi przykro, że musiałem zniszczyć twoje rzeczy i rozbić aparat. Wiem, ile dla ciebie znaczył.

- W domu mam jeszcze jeden. - Starła się mówić możliwie obojętnym tonem, ale widać wypadło to słabo, bo Steve tylko się uśmiechnął.

- Prosto od ciebie ruszyłem do pokoju Helen. Kiedy wszedłem, powiedziała, że jej podbite oko będzie mnie kosztować dodatkowe sto tysięcy. Wiedziałem już, że będę musiał ją zabić. Z początku myślałem, że ją uduszę. Ale nagle dostrzegłem nożyczki. To było o wiele lepsze. Każdy mógłby użyć nożyczek, nawet mała Jane. Chwyciłem je i przestałem myśleć, aż było już po wszystkim. - Wzdrygnął się.

Uciekaj! Szybko! - pomyślała Autumn. Jednak w tym momencie ręka Steve'a zacisnęła się mocniej na jej gęstych włosach.

- To było straszne, ale najtrudniej było tam zostać. Wytarłem do czysta uchwyt

nożyczek, podarłem koszulę i wrzuciłem ją do toalety. Była cała we krwi. Kiedy wróciłem do siebie, wziąłem prysznic i położyłem się do łóżka. Pamiętam, jak mnie zdziwiło, że wszystko zajęło mniej niż dwadzieścia minut. Miałem wrażenie, że to całe lata.

- To musiało być potworne przeżycie - mruknęła Autumn, lecz Steve zdawał się nie dostrzegać jej ostrego tonu.

- Rzeczywiście, ale wszystko zdawało się układać pomyślnie. Nikt nie mógł udowodnić, gdzie był w czasie morderstwa. Burza, awaria telefonów i prądu... Wszystko działało na moją korzyść. Każdy z nas miał powód, żeby usunąć Helen. Prawdę mówiąc, myślę, że Julia i ja będziemy najmniej podejrzani w tej sprawie. Policja z pewnością zwróci przede wszystkim uwagę na Jacques' a, bo miał najmocniejszy motyw, a także na Lucasa, z powodu jego porywczosci.

- Lucas nie mógłby nikogo zabić - wtrąciła spokojnie.

- Policja wkrótce to zrozumie.

- Nie byłbym taki pewien. - Uśmiechnął się złowrogo.

- Sama miałaś co do tego wątpliwości.

Niestety miał rację. Dlaczego nikt nie nadchodzi? - myślała w panice.

- Dziś rano zaczęłaś mówić o czterech rolkach filmu i zdjęciach, które robiłaś nad jeziorem. Nie miałem wątpliwości, w którym momencie przypomniałaś sobie, co wtedy zobaczyłaś.

A już sądziłam, że mam talent aktorski, pomyślała w przyływie czarnego humoru.

- Pamiętałam wyłącznie, że nad jeziorem byli jacyś ludzie.

- Ale szybko skojarzyłaś fakty.

Siłą się powstrzymała, żeby nie odchylić głowy, kiedy palcem obwodził kontur jej policzka.

- Widać było, że ciągle cierpisz z powodu McLeana - ciągnął. - Miałem jednak nadzieję, że zdołam zdobyć twoje uczucia. Gdyby mi się to udało, mógłbym zabrać film, nie robiąc ci krzywdy.

Czuła, że skończył mówić.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Cholera, Autumn. Będę musiał cię zabić.

W ten sam sposób zwykł mówić jej ojciec: „Cholera, Autumn. Będę musiał dać ci klapsa”. Mało brakowało, a zaczęłyby chichotać.

- Tym razem nie będą mieli wątpliwości, Steve. - Jej głos nadal był spokojny, choć cała się trzęsła. Gdyby zechciał jej wysłuchać...

- Nie sędzę. - Mówił to tak, jakby rozważał inne wyjście. - Dopilnowałem, żeby nikt mnie nie zauważył. Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. Nikt nawet nie zorientował się, że wyszłaś z domu. Sam nie byłbym tego pewien, gdybym nie zobaczył, że nie ma twojej kurtki i butów. - Wzruszył ramionami, jakby chciał jej pokazać, że w jego rozumowaniu jest więcej logiki. - Kiedy zorientują się, że cię nie ma i wszyscy ruszymy na poszukiwania, sam pójde w tę stronę. Zatrę wszelkie ślady tak dokładnie, że nikt nic nie znajdzie, No dobrze, Autumn. Muszę mieć ten film. Powiedz, gdzie go włożyłaś.

- Nie powiem. - Podniosła głowę. Póki nie wie, gdzie jest film, nie może jej zabić. - Kiedy go odnajdą, będą wiedzieli, że to ty.

Prychnął niecierpliwie.

- Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś zaczęła mówić od razu. Nie chciałbym cię skrzywdzić bardziej niż to konieczne. Mogę to zrobić szybko, ale jeśli będzie trzeba, potrafię zadać ci ból.

Zamachnął się tak szybko, że nie zdążyła się uchylić. Cios rzucił ją na drzewo. Ból rozsadzał jej głowę, przed oczami wszystko wirowało. Próbując zachować równowagę, przywarła do pnia. Steve szedł w jej stronę.

O nie! Nie będzie czekać, aż znów ją uderzy. Wystarczy, że zrobił to już dwa razy. Kopnęła go ze wszystkich sił, dobrze celując poniżej pasa. Kiedy padł na kolana, pognęła przez las.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Biegła na oślep. Uciekaj! To była jedyna myśl, jaka kołatała jej się po głowie. Dopiero po chwili, gdy minęła pierwsza fala paniki, zorientowała się, że oddala się nie tylko od Steve'a, ale także od pensjonatu. Teraz jednak było już za późno, by zawracać. Musiała skoncentrować się na tym, żeby nie stracić przewagi. Zboczyła ze ścieżki i wbiegła w gęstwinię.

Nie obejrzała się, gdy usłyszała za sobą jego kroki. Oddech Steve'a wydawał się krótki i urywany, ale był stanowczo za blisko. Przyspieszyła tempo. Rzuciła się do przodu i jeszcze raz skręciła. Buty zapadały się w miękkim gruncie. Powtarzała sobie, że nie może upaść, bo wtedy dopadłby ją natychmiast. Miała wrażenie, że czuje, jak zaciska ręce na jej gardle.

Bez wahania przeskoczyła pień, który nagle zagroził jej drogę. Pośliznęła się, lądując w błocie, ale zaraz znów rzuciła się do przodu. Steve też się pośliznął. Słyszała chłupot, gdy stracił równowagę, potem stłumione przekleństwo. Zakręciło jej się w głowie z radości, że zdobyła kolejnych kilka sekund przewagi.

Przestał się liczyć czas i kierunek ucieczki. Ta pogoń wydawała się nie mieć początku ani końca. Autumn nie mogła myśleć rozsądnie. Pamiętała tylko, że musi biec. Jej oddech stał się chrapliwy, nogi miała jak z gumy.

Nagle dostrzegła jezioro. Woda lśniła w promieniach słońca. W przeblysku świadomości przypomniała sobie rozmowę przy śniadaniu. Steve nie umie pływać. Jej wyścig miał więc jednak jakiś cel.

Podczas szaleńczego biegu przez las oddaliła się od miejsca, gdzie zbocze schodziło łagodnie w stronę brzegu. Tu był klif wznoszący się pionowo ponad dziesięć metrów nad brzegiem. Mimo to bez wahania ruszyła na dół. Próbując zachować równowagę, jak jaszczurka przywarła do klifu, wpijając się palcami w skałę. Kaleczyła się o ostre kamienie, nogi ślizgały się po błocie. Sweter był w strzępach. Ale strach był większy niż ból. Jezioro zapewniało schronienie. Bezpieczeństwo. Zwycięstwo.

Wiedziała, że Steve dobiegł już do urwiska. Słyszała stukot butów na skale, na głowę posypał się deszcz strąconych kamyków. Ostatnie trzy metry pokonała jednym skokiem. Nogi się pod nią ugięły, nie wytrzymując siły uderzenia. Przewróciła się, lecz zaraz, potykając się i zataczając, pobiegła w stronę brzegu.

Słyszała jeszcze, że Steve za nią woła, i ostatkiem sił rzuciła się do jeziora. Lodowata woda dodała jej energii. Rozgarniała ją rękami, żeby szybciej oddalić się od brzegu.

I nagle, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, straciła cały rozpęd. Ciężkie buty zaczęły ją

ciągnąć w dół, fala zakryła głowę. Krztusząc się i młócąc ramionami wodę, walczyła, żeby wydostać się na powierzchnię. Płuca rozrywał ból, gdy próbowała nabrać powietrza. Ręce stały się ciężkie, a ruchy coraz słabsze. Podskakiwała jak korek, to w górę, to w dół. Oczy zaczęła zasnuwać mgła. Ciągłe jeszcze walczyła, próbując się opierać, jednak woda okazała się równie strasznym wrogiem jak ten, przed którym starała się uciec.

Usłyszała czyjeś łkanie i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona wzywa pomocy. Wiedziała jednak, że nikt jej nie uratuje. Nie miała już chęci do walki. Czy jej się zdaje, czy rzeczywiście słyszy muzykę? Miała wrażenie, że dociera do niej gdzieś z dołu, przywołuje ją do siebie. Poddała się i pozwoliła, żeby woda otuliła ją jak kochanek.

Ktoś zadawał jej ból, jednak Autumn nie protestowała. Ciemność spowijała jej umysł i tłumiała cierpienie. Mocny ucisk w piersi i szarpanie nie były bardziej uciążliwe niż delikatne szczygnięcie. Jęknęła z niechęcią, kiedy powietrze przedarło się do jej płuc.

Do jej świadomości dotarł głos Lucasa. Wydawał się dziwnie nienaturalny. Przerażony? Tak, nawet w tych ciemnościach potrafiła to rozpoznać. Jakie to dziwne, słyszeć panikę w głosie Lucasa. Powieki miała ciężkie, a ciemność wokół nie przestawała jej kusić. Jednak chciała mu to powiedzieć. Wreszcie zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Smugi światła przedzierały się do jej świadomości przez mgłę.

Z mgły wyłoniła się twarz Lucasa. Z jego włosów lała się woda. Zimne krople spadały na policzki Autumn. Tylko wargi miała ciepłe, jakby przed chwilą zabrał swoje usta. Patrzyła na niego, próbując wydobyć głos.

- O Boże, Autumn. - Ścierał wodę z jej policzków, choć z jego włosów wciąż spływały następne krople. - O Boże... Już dobrze, słyszysz? Wszystko będzie dobrze. Teraz zabiorę cię do pensjonatu. Rozumiesz?

W jego głosie brzmiała rozpacz. Dostrzegła ją także w jego spojrzeniu. Chciała go jakoś pocieszyć, ale brakowało jej siły. Znów zaczęły ją spowijać ciemności. Powstrzymała je na chwilę, gdy wreszcie udało jej się wydobyć głos.

- Myślałam, że to ty ją zabiłeś. Przepraszam.

- Och, Kocie. - Wydawał się taki zmęczony. Poczowała, że delikatnie muska jej usta, a po chwili nie czuła już nic.

Niewyraźne głosy docierały do niej z jakiegoś tunelu. Nie chciała ich słuchać. Najbardziej pragnęła spokoju. Próbowwała zakopać się głębiej w ciemnościach, ale Lucasa nigdy nie obchodziły potrzeby innych ludzi. Jego głos, niespodziewanie wyraźny i oczywiście rozkazujący, wdarł się do jej samotni.

- Zostanę z nią, póki się nie obudzi. Nie zostawię jej.

- Przecież ślaniaż się na nogach. - Robert mówił zupełnie inaczej, cicho i łagodnie. - Ja zostanę z Autumn. Przecież na tym polega moja praca. Prawdopodobnie przez całą noc będzie się budzić i znów wracać w stan nieświadomości. Nie będziesz wiedział, co robić.

- W takim razie mi powiedz. I tak przy niej zostanę.

- Oczywiście, kochany. - Zdecydowana postawa cioci Tabby zaskoczyła Autumn nawet w tych zamglonych ciemnościach. - Lucas zostanie tutaj, doktorze Spicer.

Mówił pan, że powinna przede wszystkim odpocząć i trzeba czekać, aż się sama obudzi.

- Pamiętaj, żebyś zawołał, gdybyś mnie potrzebował.

- Głęboki głos Julii przetoczył się nad nią jak obłok mgły.

Chciała dowiedzieć się, co się dzieje. Co właściwie robią w jej świecie? Próbowwała coś powiedzieć, ale tylko jęknęła. Na czole poczuła chłodną dłoń.

- Cholera, daj jej coś przeciwbólowego!

Czy to był głos Lucasa? - zdziwiła się. Taki drżący? Ciemności znów zgęstniały, pochłaniając głosy. Pozwoliła się im unieść.

Czarną, miękką jak aksamit zasłonę nagle oświetlił księżyc. Twarz Lucasa wydawała się dziwnie realna. Chłodną ręką dotykał jej policzka.

- Kocie, słyszysz mnie?

Choć było to bardzo trudne, z całych sił próbowała skupić na nim spojrzenie.

- Tak. - Zamknęła oczy i znów odpłynęła w ciemność. Kiedy ponownie uniosła powieki, nadal tam był. Gardło miała obolałe i wyschnięte. Przełknęła z trudem.

- Czy umarłam?

- Nie, Kocie, nie umarłaś.

Lucas wlał jej do ust jakiś chłodny płyn. Znów przymknęła oczy, próbując coś sobie przypomnieć. Po chwili dała spokój.

I nagle poczuła potworny ból, który przetoczył się przez jej ciało, obejmując ręce i nogi. Usłyszała, jak ktoś jęknął żałośnie. I znów nad sobą zobaczyła twarz Lucasa oświetloną bladym blaskiem księżyca.

- To boli - poskarżyła się.

- Wiem. - Usiadł obok niej i przytknął filiżankę do jej warg. - Spróbuj trochę wypić.

Miała wrażenie, że płynie gdzieś w przestrzeni, unosi się jak balonik. Kiedy znów odzyskała świadomość, ból nie był już tak dotkliwy.

- Sweter Julii - wymruczała, otwierając oczy. - Jest podarty. To chyba ja go podarłam. Muszę jej kupić nowy.

- Nie martw się o to, Kocie. Odpoczywaj. Głaskał jej włosy. Przytuliła się do jego ręki, szukając pocieszenia w dotyku, i ponownie odpłynęła.

- Z pewnością jest bardzo cenny - szepnęła godzinę później. - A ja przecież nie potrzebuję nowego statywu. Julia pożyczyła mi ten sweter. Powinnam być ostrożniejsza.

- Julia ma dziesiątki swetrów. Nie martw się, Kocie. Uspokojona zamknęła oczy. Wiedziała jednak, że na nowy statyw trzeba będzie poczekać.

- Lucas. - Blask księżycy zastąpiło szare światło świtu.

- Jestem tu.

- Dlaczego?

- Dlaczego co, Kocie?

- Dlaczego tu jesteś?

Ale znów się gdzieś rozmył i nie usłyszała odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Światło Słoneczne raziło ją w oczy. Przywykła do ciemności Autumn zamrugła na znak protestu.

- Zostaniesz tym razem z nami, czy wpadłaś tylko na chwilę? - Julia poklepała ją delikatnie po policzku. - No, wracają ci kolory i skóra jest już chłodna. Jak się Czujesz?

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Pusto - powiedziała w końcu.

- Wierzę, szczególnie gdy pomyślę o twoim żołądku - roześmiała się Julia.

- Czuję zupełną pustkę. Szczególnie w głowie. - Rozejrzała się po pokoju. - Czy byłam chora?

- Napędziłaś nam strachu. - Julia przysiadła na łóżku i spojrzała na nią uważnie. - Nie pamiętasz?

- Chyba... coś mi się śniło. - Usiłowała sobie przypomnieć, ale nie potrafiła zebrać myśli. - Był tu Lucas. Rozmawiałam z nim.

- Tak. Mówił, że przez całą noc odzyskiwałaś i traciłaś świadomość. Od czasu do czasu coś mówiłaś. Czy naprawdę myślałaś, że pozwolę ci zrezygnować z nowego statywu? - Pocałowała Autumn w policzek i przez chwilę trzymała ją w objęciach. - Boże, kiedy Lucas cię przyniósł, myśleliśmy... - Wyprostowała się, kręcąc głową.

Autumn zauważyła, że oczy Julii są wilgotne. Zacisnęła na chwilę powieki, ale nadal przypominała sobie tylko jakieś oderwane fragmenty.

- Nie przyszłam do twojego pokoju, chociaż obiecałam.

- Rzeczywiście, nie przyszłaś. Powinnam cię od razu tam zaciągnąć. Nic by się wtedy nie stało. - Podniosła się.

- Wygląda na to, że oboje z Lucasem daliśmy się pochłonąć tym wielkim zielonym oczom. Aż trudno powiedzieć, ile czasu straciliśmy na szukanie tego cholernego filmu, zanim postanowił wrócić po ciebie.

- Nie rozumiem. Dlaczego... - Wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć włosy, i zauważyła bandaże. - Czemu mam je na rękach? Skaleczyłam się?

- Już wszystko dobrze. Lepiej, żeby Lucas ci to wyjaśnił. Będzie wściekły, że się obudziłaś akurat wtedy, gdy go posłałam po kawę.

- Julio...

- Dość tych pytań. - Sięgnęła po szlafrok i otuliła Autumn jedwabiem, zakrywając inne bandaże.

Na ich widok znów pojawiły się jakieś niejasne wspomnienia. Co się z nią działo?

- Julio...

- Leż spokojnie i odpoczywaj. Ciocia Tabby już szykuje dla ciebie zupę. - Ponownie pocałowała Autumn.

- Coś ci jeszcze powiem. - Spojrzała na nią ze swoim kocim uśmiechem. - Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny przechodził piekło, ale za bardzo mu nie ułatwiał.

O co jej, do diabła, chodzi? - zastanawiała się, patrząc w zdumieniu na drzwi, za którymi zniknęła Julia. Uznała, że leżąc w łóżku, nie znajdzie odpowiedzi, więc spróbowała wstać. Miała wrażenie, że wzbudziła protest każdego mięśnia, każdego stawu. Prawie już się poddała pragnieniu, żeby wrócić do pościeli, ale ciekawość była silniejsza. Na miękkich nogach dotarła do lustra.

- Dobry Boże! - Wyglądała jeszcze gorzej, niż się czuła. Siniak na skroni nie był osamotniony. Wzdłuż policzka ciągnęła się ciemna smuga, do tego miała na twarzy kilka zadrapań. Nagle przypomniała sobie szorstką korę pod swoimi dłońmi. Podniosła rękę i spojrzała na bandaż.

- Co ja sobie zrobiłam? - Pospieszenie zawiązała szlafrok, żeby nie patrzeć na pozostałe okaleczenia.

Drzwi się otworzyły i w lustrze zobaczyła, że do pokoju wchodzi Lucas. Wyglądał, jakby nie spał od kilku dni. Bruzdy na twarzy pogłębiły się jeszcze bardziej, poszarzała skórę na policzkach i brodzie pokrywał zarost. Tylko oczy miał takie same. Ciemne i piękne.

- Wyglądasz potwornie - powiedziała, nie odwracając się. - Powinieneś się wyspać.

Zaśmiał się i przeciągnął dłońmi po zmęczonej twarzy.

- Mogłem się tego spodziewać. - Uśmiechnął się tym rzadkim uśmiechem z przeszłości. - Nie powinnaś wstawać, Kocie. W każdej chwili możesz stracić równowagę.

- Nic mi nie jest. Czy raczej nie było, dopóki nie spojrzałam w lustro. - Odwróciła się do niego. - Omal nie zemdlałam.

- Jesteś - zaczął spokojnym, cichym głosem - najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Uprzejmość wobec cierpiącego. - Odwróciła wzrok.

- Chętnie posłuchałabym jakichś wyjaśnień. Mam straszny mętlik w głowie.

- Robert mówił, że tak często bywa po... - Głos mu się załamał. - Po tym, co się wydarzyło - dokończył, wciskając rękę do kieszeni.

- Ale co się właściwie wydarzyło? Nie bardzo pamiętam. Biegłam... - Zajrzała mu w oczy, szukając potwierdzenia. - Przez las, potem w dół po klifie. Ja... - Pokręciła głową. Nadal

potrafiła uchwycić zaledwie jakieś strzępki. - Podarłam sweter Julii.

- Boże! Uczępiłaś się tego cholernego swetra! - Zaskoczył ją ten wybuch. - Omal nie utonęłaś, a myślisz wyłącznie o nim.

- Jezioro. - Usta jej drżały. Nagle wszystko odżyło w pamięci. Oparła się plecami o komodę. - Steve. To był Steve. To on zabił Helen. Gonił mnie. Nie dałam mu filmu. - Starła się zachować spokój. - Okłamałam cię. Miałam go w kieszeni. Uciekałam, ale był tuż za mną.

- Kocie. - Chciała się cofnąć, ale Lucas otoczył ją ramionami. - Nie myśl o tym. Cholera, nie powinienem ci tego mówić w taki sposób. - Przycisnął policzek do jej włosów. - Chyba nic nie robię jak należy.

- Muszę to sobie przypomnieć. - Wyrwała mu się z ramion. Chciała zebrać wszystkie szczegóły w całość. Może wtedy pozbędzie się strachu. - Znalazł mnie w lesie niedługo po tym, jak odszedłeś. Tego dnia, gdy robiłam zdjęcia, był z Helen nad jeziorem. Wszystko mi opowiedział. Przyznał się, że ją zabił.

- Już o tym wiemy - przerwał jej Lucas ostro. - Kiedy go przyprowadziliśmy, wyśpiewał wszystko. Dziś rano zabrała go policja. Wzięli też twój film. Jacques znalazł go na ścieżce.

- Pewno wypadł mi z kieszeni. To było niesamowite. - Zmarszczyła brwi, wspominając scenę w lesie. Wydawała się taka nierealna. - Przepraszał, że musi mnie zabić. A potem, gdy powiedziałam, że nie oddam filmu, uderzył mnie tak mocno, że zobaczyłam gwiazdy.

Lucas odwrócił się gwałtownie i w milczeniu patrzył przez okno.

- Kiedy znów się zbliżył, kopnęłam go z całej siły w najczulsze miejsce.

Musiałam się przesłyszeć, pomyślała, gdy Lucas zaklął pod nosem. Nigdy nie wyrażał się tak wulgarnie.

- Zobaczyłem cię, gdy ruszyłaś w dół klifu - powiedział nagle, ciągle patrząc przez okno. Głos miał szorstki, ochryply. - Nie mam pojęcia, jakim cudem dotarłaś na dół, nie roztrzaskując czaszki... Biegłem za tobą przez las. Kiedy skierowałaś się w stronę jeziora, skręciłem, żeby przeciąć drogę Andersonowi. Widziałem, jak pędzisz w dół po skałach. Nie wierzyłem, że wyjdiesz z tego żywa. Wołałem za tobą, ale gnałaś prosto do brzegu. Do-rwałem Andersona, nim wskoczyłaś do wody.

- Słyszałam wołanie. Byłam pewna, że to Steve. - Przycisnęła zabandażowaną dłoń do skroni. - Myślałam wyłącznie o tym, żeby znaleźć się w wodzie, zanim mnie dogoni. Pamiętałam, że nie umie pływać. Ale kiedy nie mogłam utrzymać się na powierzchni, spanikowałam.

- Kiedy z nim skończyłem, ty miotałaś się w wodzie. Nie wiem nawet, jak po tym morderczym biegu, w ciężkich jak ołów buciorach udało ci się dotrzeć tak daleko. Dzieliło nas jeszcze jakieś dziesięć metrów, gdy poszłaś na dno. Myślałem... Kiedy cię wyciągnąłem, myślałem, że nie żyjesz. Byłaś blada jak śmierć i nie oddychałaś, a w każdym razie tak mi się zdawało.

- Pamiętam, jak woda kapła ci z włosów - mruknęła Autumn. - Potem wydawało mi się, że umarłam.

- Niewiele brakowało. - Gwałtownie się wzdygnął. - Wypompowałem z ciebie kilka litrów wody. Odzyskałaś świadomość tylko na krótki moment i przeprosiłaś mnie za podejrzenie, że to ja zabiłem Helen.

- Przepraszam, Lucas. Nie powinnam była...

- Nie? A niby dlaczego? Nietrudno zgadnąć, czemu doszłaś do takich wniosków. Żądając oddania filmu, utwierdziłem cię w tym przekonaniu.

- Wiele rzeczy, które mówiłaś, nasunęło mi podejrzenia... Kiedy kazałaś mi oddać film, chciałam, żebyś powiedział cokolwiek... Ale byłeś taki wściekły.

- A ja zamiast coś wyjaśnić, jak zwykle napadłem na ciebie. Typowe dla mnie, prawda, Kocie? - Odetchnął głęboko. - To kolejna sprawa, za którą winien ci jestem przeprosiny. Nagromadziło się ich całkiem sporo. Wolisz, żebym zebrał je razem, czy raczej wymieniał jedną po drugiej?

Nie chciała, żeby ją przeproszał. Przede wszystkim zależało jej na wyjaśnieniach.

- Czemu chciałaś dostać film? Skąd wiedziałaś?

- Miałem nadzieję, że kiedy zabiorę film, będziesz bezpieczna. A poza tym... - Cień przemknął po jego twarzy. - Sądziłem, że wiesz... że pamiętasz, co jest na filmie i starasz się osłaniać Andersona.

- Osłaniać? Niby czemu miałabym to robić?

- Miałem wrażenie, że go lubisz.

- Wydawał się miły - powiedziała wolno. - Zresztą chyba nie tylko mnie. Ale przecież ledwo go znałam. Jak się później okazało, nie znałam go wcale.

- Ja jednak źle oceniłem twoją życzliwość i wziąłem ją za coś więcej. Byłem wściekły, że dostał coś, czego mnie nie chciałaś dać. Zaufanie, przyjaźń, uczucie.

- Pies ogrodnika? - rzuciła lodowatym tonem. Kąciki ust mu zadrgały.

- Skoro chcesz tak to nazwać.

- Przepraszam. - Z westchnieniem odgarnęła włosy. - Odbiegamy od tematu. Wydawało ci się, że kryję Steve'a. To jestem w stanie zrozumieć. Skąd jednak wiedziałaś, że

on tego potrzebuje?

- Zebraliśmy z Julią wszystkie fakty. Byliśmy prawie pewni, że to on jest zabójcą.

- Ty i Julia. - Spojrzała na niego z rosnącym zainteresowaniem. - Musisz mi to jaśniej wytłumaczyć. Mam wrażenie, że ciągle trochę wolno myślę.

- Omówiliśmy z Julią informacje, które Helen wykorzystywała do szantażu. Aż do chwili morderstwa tak naprawdę byliśmy zainteresowani tylko sprawą Jacques'a. Nie obchodziły nas groźby, jakie rzucała pod naszym adresem. Po jej śmierci uznaliśmy, że zabójstwo i włamanie do twojego pokoju są ze sobą powiązane. - Przerwał na chwilę, patrząc na nią z niepokojem. - Autumn, połów się, proszę. Jesteś bardzo blada.

- Nie, nic mi nie jest. - Pokręciła głową, starając się nie przywiązywać wagi do ciepłej nuty, jaką usłyszała w jego głosie. - Proszę, mów dalej.

- Nie wierzyłem, że mogłaś sama zniszczyć film lub uderzyć się aż do utraty przytomności. Przeprowadziliśmy proces eliminacji. Nie zabiłem Helen, wiedziałem też, że nie zrobiła tego Julia. Tego wieczoru siedziałem u niej w pokoju, słuchając wykładu na temat mojego zachowania wobec kobiet. Wyszędłszy od niej, od razu udałem się do ciebie. Przed wizytą u Julii spotkałem Helen na korytarzu, więc nawet gdyby Julia planowała zabójstwo, mało prawdopodobne, żeby miała dwa identyczne białe szlafroki. A jeden z nich musiałby mieć ślady krwi.

- No tak - mruknęła Autumn, zastanawiając się jednocześnie, jaki to wykład wygłosiła spowita w koronkowy szlafrok filmowa gwiazda.

- Jacques'a znam od wielu lat. Nie byłby zdolny do morderstwa. Oboje z Julią wyeliminowaliśmy też Spicerów. Robert zbyt poświęca się dla ratowania życia, by móc je komuś odebrać, a Jane prędzej utonęłaby we własnych łzach. Został Anderson. Z całkiem prywatnych powodów chciałem, żeby to był on. Nasza nieustraszona Julia zwałowała ciotki Tabby klucz i przeszukała jego pokój, licząc, że znajdzie koszulę, którą miał tego wieczoru na sobie. Mało brakowało, a udusiłbym ją, kiedy mi o tym powiedziała. Niezwykła kobieta.

- Tak. - Przez chwilę nie była pewna, które uczucie jest silniejsze: zazdrość czy sympatia. W końcu sympatia zwyciężyła. - Jest naprawdę wspaniała.

- Koszuli jednak tam nie było. Julia twierdzi, że ma niezawodne oko, jeśli chodzi o garderobę, więc wierzyłem, że się nie pomyliła. Zdecydowaliśmy, że należy cię ostrzec, ale bez wchodzenia w szczegóły. Rozmowę z tobą miała przeprowadzić Julia, bo nie było wątpliwości, że jej prędzej zaufasz.

- Nieżle jej poszło... Tak mnie wystraszyła, że całą noc śniły mi się koszmary.

- Przepraszam. Wtedy myśleliśmy, że to najlepszy sposób. Byliśmy przekonani, że

film jest już zniszczony, ale nie chcieliśmy ryzykować.

- Mogłabym sama o siebie zadbać, gdybyście mi powiedzieli prawdę.

- Obawiam się, że nie. Twoja twarz zawsze wszystko zdradza. Tego ranka przy śniadaniu, gdy zaczęłaś mówić o czwartej rolce, widać było po twoich oczach, że zaczynasz sobie coś przypominać.

- Gdybym była przygotowana...

- To moja wina. Od początku do końca to był mój pomysł. Powiniennem być wszystko zrobić inaczej. Gdyby nie ja, nie skrzywdziłby cię.

- Nieprawda. - Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, gdy wyciągnął ją z wody, i ogarnęło ją poczucie winy. - Gdyby nie ty, byłabym martwa.

- Dobry Boże, Kocie! Nie patrz tak na mnie, bo nie zdołam dotrzymać słowa. - Odwrócił się. - Pójdę po Roberta, powinien cię zbadać.

- Lucas... - Nie zamierzała pozwolić, by wyszedł, zanim nie opowie jej wszystkiego. - Dlaczego tu przyjechałeś? Tylko nie mów, że postanowiłeś pisać akurat w Wirginii. Znam... to znaczy pamiętam twoje nawyki.

Odwrócił głowę, ale nie zdejmował dłoni z klamki.

- Mówiłem ci już, że ten drugi powód przestał istnieć. Dajmy temu spokój.

Nie dała się zbyć.

- To pensjonat mojej ciotki. Twój przyjazd, choć oczywiście nie bezpośrednio, związany jest ze wszystkim, co się tu wydarzyło. Mam prawo wiedzieć, czemu wybrałeś właśnie to miejsce.

Przez kilka sekund patrzył na nią uważnie, po czym znów wcisnął dłonie do kieszeni.

- W porządku... Myślę, że nie mam prawa unosić się honorem. Zresztą po tym, jak cię potraktowałem, zasługujesz na zadośćuczynienie. - Patrzył jej prosto w oczy. - Przyjechałem tu ze względu na ciebie. Wiedziałem, że albo zdobędę cię z powrotem, albo oszaleję.

- Mnie? - Roześmiała się. - Proszę, wymyśl coś lepszego. - Widziała, że zadrżał. - Nie chciałeś mnie wtedy i teraz też nie chcesz.

- Nie chciałem cię?! - Odwrócił się tak gwałtownie, że strącił wazon, który roztrzaskał się na podłodze. - Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie, jak bardzo cię pragnąłem. Wtedy i przez wszystkie te lata. Pragnąłem cię tak, że omal nie zwariowałem.

- Powiedziałeś, że mnie nie chcesz! - napadła na niego z furią - Nigdy nic dla ciebie nie znaczyłam. Powiedziałeś, że to koniec. Po prostu odepchnąłeś mnie jak niepotrzebny przedmiot.

- Wiem, co zrobiłem. Pamiętam, co powiedziałem. Nienawidziłem się za to. Miałem

nadzieję, że zaczniesz krzyżeć, szaleć, że ułatwisz mi rozstanie. A ty po prostu stałaś i łzy płynęły ci po twarzy. Nigdy tego nie zapomnę.

Spojrzała mu w twarz.

- Czemu niby miałbyś mówić, że mnie nie chcesz, skoro to nie była prawda?

- Bo mnie przerażałaś.

Powiedział to tak naturalnie, że z wrażenia opadła na łóżko.

- Ja? Ja ciebie przerażałam?

- Nie zdajesz sobie sprawy, co ze mną robiłaś. Cała twoja słodycz, wielkoduszność...

Nigdy mnie o nic nie prosiłaś, a czułem się, jakbyś żądała wszystkiego. - Znow zaczął chodzić po pokoju.

- Lucas... - Wodziła za nim zdumionym spojrzeniem.

- Miałem wrażenie, że mnie opętałaś. Pomyślałem, że jeśli cię odepchnę, zranię tak dotkliwie, że mnie zostawisz, będę uratowany. Im więcej dostawałem, tym bardziej cię potrzebowałem. Budziłem się w środku nocy i przeklinałem cię, że nie jesteś przy mnie. I zaraz przeklinałem siebie, że tak cię potrzebuję. Musiałem się od ciebie uwolnić. Nawet przed samym sobą nie potrafiłem przyznać, że cię kocham.

- Kocham... Ty mnie kochałeś?

- Kochałem wtedy, kocham teraz i już przez resztę życia. - Wziął głęboki oddech. - Nie byłem w stanie ci tego powiedzieć. Nie chciałem w to wierzyć. - Zatrzymał się i spojrzał na nią. - Przez te trzy lata właściwie nie spuszczałem cię z oka. Kiedy dowiedziałem się o zajeździe i twoich związkach z tym domem, zacząłem tu od czasu do czasu wpadać. Gdy już zrozumiałem, że nie dam sobie bez ciebie rady, ułożyłem plan. Opracowałem go bardzo szczegółowo. - Uśmiechnął się ironicznie.

- Plan? - W głowie jej się kręciło.

- Nietrudno było nakłonić ciocię Tabby, żeby cię zaprosiła. Byłem przekonany, że jej nie odmówisz. To mi wystarczyło. Byłem taki pewny siebie. Wydawało mi się, że wystarczy, bym dał ci sygnał, a ty rzucisz mi się w ramiona. Jak za dawnych czasów... Będiesz znów moja i zanim się połapiesz, wezmę z tobą ślub. Byłem dumny jak paw, że jestem taki cholernie sprytny.

- Ślub? - Uniosła brwi.

Ale Lucas mówił dalej, jakby jej nie słyszał.

- Nie musiałbym się bać, że cię znowu stracę. Po prostu nigdy nie dałbym ci rozwodu. Tymczasem ty, zamiast paść mi w ramiona, zadarłaś nosa i kazałaś mi spadać. To jednak niczego mnie nie nauczyło. Uznałem, że skoro kochałaś mnie kiedyś, mogę sprawić, że

pokochasz mnie ponownie. Jednakże... potrafię radzić sobie z gniewem, ale nie z oziębłością... - Przerwał, jakby zabrakło mu słów. - Nie zdawałem sobie sprawy, że ktoś może aż tak mnie zranić. Zobaczyłem cię wreszcie, byłem tak blisko, ale nie mogłem cię dostać. Chciałem ci wyznać, ile dla mnie znaczysz, ale kiedy tylko znalazłem się blisko ciebie, zachowywałem się jak szaleniec. I wreszcie wczoraj, kuląc się ze strachu, poprosiłaś, żebym cię więcej nie krzywdził... Nawet nie wiesz, jak się wtedy czułem.

- Lucas...

- Pozwól mi skończyć. Nic nie pomagało, że Julia rugała mnie bez ustanku. Im bardziej się opierałaś, tym gorzej cię traktowałem. Podczas każdej rozmowy, każdego spotkania, robiłem coś źle. Tego dnia, w twoim pokoju... - Zawiesił głos. Widziała, że walczy ze sobą. - Omal cię nie zgwałciłem. Byłem wściekły z zazdrości po tym, jak zobaczyłem cię z Andersonem. A gdy dostrzegłem łzy w twoich oczach... przysięgłem sobie, że nigdy już nie pozwolę, byś przeze mnie płakała. Szedłem właśnie do ciebie, gotów cię prosić, błagać, zaklinać... Kiedy zobaczyłem, że go całujesz, coś we mnie pękło. Wyobraziłem sobie wszystkich mężczyzn, z którymi byłaś w ciągu tych trzech lat. I tych, którzy jeszcze będą w twoim życiu.

- Nigdy z nikim nie byłam, tylko z tobą...

Twarz mu się nagle zmieniła. W miejsce z trudem powstrzymanego gniewu pojawiła się niepewność.

- Dlaczego? - spytał, wpatrując się w nią intensywnie.

- Bo za każdym razem, gdy próbowałam z kimś się związać, pamiętałam, że to już nie będziesz ty.

Przymknął oczy w przypiływie bólu i stanął plecami do niej.

- Kocie... Nigdy nie zrobiłem nic, czym mógłbym sobie na ciebie zasłużyć.

- Tak... - Podniosła się z łóżka i stanęła za nim. - Lucas... Jeśli chcesz być ze mną, po prostu mi o tym powiedz. Wyjaśnij, dlaczego... Poproś. Chcę to usłyszeć.

- Dobrze. - Odwrócił się i podniósł rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka, zaraz jednak wsunął dłoń do kieszeni. - Pragnę z tobą być, bo życie bez ciebie jest nie do zniesienia. Potrzebuję cię, bo jesteś i zawsze byłaś czymś najlepszym, co mogło mnie spotkać. Kocham cię z tylu powodów, że można by o tym mówić godzinami. Proszę, przyjmij mnie z powrotem. Wyjdź za mnie.

Pragnęła rzucić się w jego ramiona, ale nagle przypomniała sobie słowa Julii: „Nie ułatwiaj mi.” Więc tylko się uśmiechnęła.

- Zgoda - powiedziała.

- Zgoda? - Uniósł niepewnie brwi. - Zgoda na co?

- Wyjdę za ciebie. Tego przecież chciałeś?

- Tak, do cholery, ale...

- Zwyczaj nakazuje, żebyś mnie teraz pocałował. Delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

- Kocie, musisz być tego absolutnie pewna, bo nigdy nie pozwolę ci odejść. Przyjmę to, nawet jeśli robisz to wyłącznie z wdzięczności, chciałbym jednak, żebyś wiedziała, na co się decydujesz.

Przechyliła głowę.

- Wiesz o tym, że cię podejrzewałam. Myślałam, że to ty będziesz na zdjęciach z Helen. Kiedy Steve mnie znalazł, właśnie zamierzałam prześwietlić film. Pamiętasz, jaką świętością jest dla mnie błona fotograficzna?

Uśmiechając się szeroko, objął dłońmi jej twarz.

- Mówisz o jedenastym przykazaniu?

- Nie będziesz wystawiał niewywołanego filmu na światło. A teraz... - objęła go ramionami - pocałujesz mnie wreszcie, czy mam cię do tego zmusić?

NORA ROBERTS

W kręgu podejrzeń

ROZDZIAŁ 1

Wszystkie potrzebne rzeczy miał w plecaku. Łącznie z pistoletem kaliber 38. Jeśli wszystko pójdzie gładko, nie będzie musiał zrobić z niego użytku.

Roman wyciągnął papierosa ze zgniecionej paczki schowanej w kieszeni na piersi i odwrócił się tyłem do wiatru, żeby zapalić. Ośmioletni chłopiec biegał niefrasobliwie wzdłuż relingu, nie przejmując się kompletnie nawoływaniem matki. Roman poczuł sympatię do malca. Było bardzo zimno. Wiejący od Zatoki Puget przejmujący wiatr zupełnie nie przypominał wiosennej bryzy, ale widok, jaki Roman miał przed oczami, zapierał dech w piersiach. Za szklaną ścianą kabiny widokowej było znacznie zaciszniej, lecz wrażeń nie dałoby się nawet porównać.

Rozdokazywany dzieciak został wreszcie schwytyany przez blondynkę o zaróżowionych policzkach, której nos z każdą chwilą był bardziej czerwony. Do uszu Romana dotarły odgłosy awantury, kiedy kobieta ciągnęła chłopca do ciepłego pomieszczenia. Przemknęło mu przez myśl, że nader rzadko zdarza się spotkać zgodną rodzinę. Oparł się o barierkę i leniwie palił papierosa, podczas gdy prom lawirował wśród wysepek.

Panorama Seattle skryła się już za linią horyzontu, ale nadal można było dostrzec imponujące góry stanu Waszyngton. Roman miał wrażenie, że jest zupełnie sam, chociaż co odważniejsi pasażerowie wychodzili przespacerować się po pokładzie albo siadali na drewnianych ławkach, żeby trochę się opalić. Wołał miasto z jego ruchem ulicznym, tłokiem i gorączkowym pośpiechem. Z jego anonimowością. Preferował wielkomiejskie życie. Nie potrafił zrozumieć, skąd się brało to nieustanne poczucie niezadowolenia, kładące mu się ciężarem na sercu.

Praca. Przez ostatni rok obwiniał za to swą pracę. Akceptował związane z nią napięcie, wręcz o nie zabiegał. Życie pozbawione napięcia wydawało mu się nazbyt uładzone, bezbarwne i pozbawione celu. Ostatnio jednak i tego było mu mało. Ciągłe przenosił się z miejsca na miejsce, niewiele zabierał ze sobą, a jeszcze mniej za sobą zostawiał.

Pora z tym skończyć, uznał, przyglądając się mijanej łodzi rybackiej. Ale czym się zająć? Z niesmakiem wypuścił z płuc kłęb dymu. Mógłby założyć własną firmę. Przez chwilę bawił się tą myślą. Mógł też podróżować. Objechał już, co prawda, cały świat, ale gdyby wybrał się w drogę jako zwyczajny turysta, pewnie byłoby zupełnie inaczej.

Jakiś śmiałek wyszedł na pokład z kamerą. Roman odruchowo odwrócił się i odszedł, żeby nie znaleźć się w kadrze. Była to zapewne przesadna ostrożność. Tak samo zbyteczna jak nieustanna czujność i pozornie niedbała postawa, skrywająca napięcie i przyczajoną gotowość do błyskawicznej akcji.

Pasażerowie nie zwracali specjalnej uwagi na Romana, choć niektóre kobiety zerkały raz po raz w jego stronę.

Był wysokim mężczyzną o szczupłej, sprężystej sylwetce boksera wagi lekkiej. Pod luźną

marynarką i wygodnymi dzinsami kryła się imponująca muskulatura. Nie miał nakrycia głowy i wiatr rozwiewał gęste czarne włosy, odsłaniając śniadą, szczupłą twarz o zapadniętych policzkach i ostrych rysach. Był nieogolony. Jasne, intensywnie zielone oczy przydawałyby pewnie łagodności jego twarzy, gdyby nie ich przenikliwe, ostre spojrzenie. Teraz malowało się w nich jeszcze znużenie.

Wszystko wskazywało na to, że czekało go żmudne dochodzenie.

Rozległ się dzwonek pokładowy i Roman podniósł plecak. Trzeba wykonać zadanie, obojętnie - rutynowe czy nie. Zrobi, co do niego należy, sporządzi raport i weźmie dwa tygodnie urlopu, żeby zastanowić się spokojnie, w jaki sposób spędzić resztę życia.

Zszedł na brzeg z tłumem innych pasażerów. Słodki, oszałamiający aromat kwiatów przytłumił wilgotny zapach oceanu. Niektóre z dziko rosnących kwiatów były tak duże jak męska pięść. Roman mimowolnie podziwiał kolor i piękno róż, choć dość rzadko zatrzymywał się, by je powąchać.

Auta zjeżdżały kolejno z rampy, rozwożąc pasażerów promu do domów bądź na zwiedzanie wyspy. Kiedy pokłady całkowicie opustoszeją, na prom wsiądą następni podróżni, chcący przeprowić się na którąś z okolicznych wysp albo wybrać się na dłuższą wycieczkę w chłodniejsze rejony Kolumbii Brytyjskiej.

Roman zapalił następnego papierosa i rozejrzał się niedbale - ładne kolorowe ogródki, urocze hotele i restauracje, kierunkowskazy do przystani promowej i na parkingi.

Teraz to już tylko kwestia czasu. Minął kawiarenkę, choć miał ochotę na filiżankę kawy, i poszedł prosto na parking.

Bez trudu zlokalizował białą - niebieską furgonetkę z wymalowanym na boku szyldem reklamującym zajazd. Jego zadanie polegało na wkręceniu się najpierw do furgonetki, a potem do zajazdu. Jeżeli wszystko zostało przygotowane w najdrobniejszych szczegółach, zadanie będzie banalnie proste. Jeżeli nie, Roman znajdzie inny sposób wykonania zlecenia.

Pochylił się i udał, że wiąże but, aby zyskać na czasie. Samochody, jeden po drugim, wjeżdżały na prom i ustawiono je na pokładzie, a wpuszczeni wcześniej piesi zajęli już miejsca w kabinie pasażerskiej. Na parkingu zostało najwyżej dwanaście aut, wliczając w to furgonetkę. Przez następne kilka chwil Roman powoli rozpinał guziki marynarki. Wreszcie dostrzegł tę kobietę.

Długie blond włosy nie były rozpuszczone, jak na dołączonym do akt zdjęciu, lecz splecione w warkocz. W promieniach słońca zdawały się mieć bardziej nasyconą, złocistą barwę. Połowę twarzy dziewczyny zasłaniały okulary przeciwsłoneczne o bursztynowych szklach i grubych oprawkach. Mimo to Roman był pewien, że się nie pomylił. Rozpoznał delikatną linię szczęki, niewielki prosty nos i pełne kształtne usta.

Informacje okazały się ściśle. Kobieta mierzyła około stu sześćdziesięciu centymetrów,

ważyła pięćdziesiąt pięć kilogramów, miała szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Ubrała się niedbale - w dżinsy i zarzucony na niebieską bluzkę gruby, kremowy, robiony na drutach sweter. Kolor bluzki idealnie pasował do barwy jej oczu. Nogawki dżinsów wetknęła w cholewki zamszowych butów do kostek. W uszach miała proste kolczyki z kryształkami.

Szła zdecydowanym krokiem osoby zmierzającej prosto do celu. Duża, płócienna torba wisiała na jej ramieniu, a w ręku podzwaniały kluczyki do samochodu. W jej chodzie nie było za grosz kobiecej kokieterii, a jednak przyciągał męskie spojrzenia. Długi sprężysty krok, lekkie kołysanie bioder, głowa uniesiona wysoko, wzrok utkwiony przed siebie.

Tak, ta dziewczyna niewątpliwie wzbudzała zainteresowanie mężczyzn. Roman rzucił papierosa. Podejrzewał, że doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Zaczekał, aż podeszła do furgonetki, i dopiero wówczas ruszył w jej stronę.

Charity przestała nucić finał IX symfonii Beethovena, spojrzała na prawe przednie koło i zakląła. Nie zdawała sobie sprawy, że jest obserwowana, więc kopnęła ze złością oponę i ruszyła na tył furgonetki po podnośnik.

- Jakiś problem?

Drgnęła tak gwałtownie, że o mało nie upuściła podnośnika na własną stopę. Obejrzała się przez ramię.

Niezadowolony klient Taka była jej pierwsza myśl na widok Romana. Mrużył oczy, bo raziło go słońce. Jedną ręką przytrzymał szelkę plecaka, drugą wsunął do kieszeni. Charity przycisnęła rękę do serca, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze bije, i uśmiechnęła się.

- Same problemy. Złapałam gumę. Przed chwilą odwiozłam na prom czteroosobową rodzinę, w tym dwoje niespełna sześciolletnich dzieci, które nadają się wyłącznie do poprawczaka. Mam nerwy w strzępach, hydraulika jest w rozdziale szóstym, ale tylko po niemiecku, a mój pomocnik wygrał na loterii. A co u ciebie?

W aktach sprawy Roman nie znalazł wzmianki, że głos tej kobiety jest jak kawa ze śmietanką, taka esencjonalna, mocna jak szatan kawa, którą można dostać jedynie w Nowym Orleanie. Zanotował to sobie w pamięci, po czym ruchem głowy wskazał oponę.

- Chcesz, żebym zmienił koło?

Charity poradziłyby sobie z tym sama, ale nigdy nie odrzucała oferowanej pomocy. Zresztą doszła do wniosku, że mężczyzna zrobi to szybciej, a wyglądał na człowieka, któremu przydałoby się te pięć dolarów za sprawnie wykonaną robotę.

- Będę bardzo wdzięczna. - Wręczyła mu podnośnik i wyjęła z torby napój cytrynowy. Wymiana koła zajmie pewnie cały czas, jaki Charity przeznaczyła na lunch. - Przypląnąłeś ostatnim promem?

- Tak. - Roman nie przepadał za nieobowiązującymi pogawędkami, ale w razie potrzeby był

w nich równie wprawny jak w posługiwaniu się lewarkiem. Umiał również wykorzystywać życzliwość kobiet. - Trochę się włóczę po świecie. Teraz postanowiłem przyjechać tutaj, może będę miał szczęście zobaczyć wieloryby.

- W takim razie wybrałeś odpowiednie miejsce. Wczoraj widziałam z okna stado wielorybów. - Charity oparła się o furgonetkę i wystawiła twarz do słońca. Od czasu do czasu zerknęła jednak na ręce mężczyzny. Pracował szybko i zręcznie. Był silny. Ceniła ludzi, którzy dobrze wykonywali swoją robotę, choćby najprostszą. - Jesteś na wakacjach?

- Nie, po prostu podróżuję. Po drodze podejmuję się różnych dorywczych prac. Może znasz kogoś, komu przydałby się pomocnik?

- Możliwe. - Obserwowała, jak zdejmował przebite koło. Kiedy wyprostował się i oparł dłoń na kole, zapytała:

- Jakiej pracy szukasz?

- Wszystko jedno. Gdzie masz zapas?

- Zapas? - Jeśli patrzyła mu w oczy dłużej niż dziesięć sekund, popadała w stan przypominający hipnozę.

- Koło. - Kącik ust Romana uniósł się leciutko, jakby w niechętnym uśmiechu. - Przydałoby się koło z porządną oponą.

- Racja. Zapas. - Charity pokiwała z politowaniem głową nad własną głupotą. - Jest z tyłu samochodu. - Odwróciła się, żeby pójść po koło, i wpadła na Romana.

- Przepraszam.

Podtrzymał ją za łokieć, żeby się nie potknęła. Przez chwilę stali na zalanym słońcem parkingu.

- Nic się nie stało. Wyciągnę koło.

Kiedy mężczyzna zniknął we wnętrzu furgonetki, Charity odetchnęła głęboko parę razy, żeby się uspokoić. Nawet nie przypuszczała, że można mieć aż tak napięte nerwy.

- Uważaj na... - Skrzywiła się, bo już było za późno. Roman przykucnął i próbował usunąć z kolana resztki wiśniowego lizaka. Nagle Charity wybuchnęła serdecznym śmiechem, równie głębokim jak timbre jej głosu.

- Przepraszam. Pamiątka z wyspy Orcas od pięcioletniego Jimmy'ego „Niszczyciela” MacCarthy'ego.

- Wolałbym chyba podkoszulek z nadrukiem.

- Każdy by wolał. - Usunęła ze spodni Romana lepką masę. owinęła resztki lizaka w chusteczkę higieniczną i schowała do torby. - Jesteśmy ośrodkiem wakacyjnym dla rodzin - wyjaśniła, kiedy Roman wygramolił się z furgonetki, taszcząc koło zapasowe. - Prawie wszyscy lubią dzieci, ale po wizycie takiej parki młodocianych potworów jak bliźniaki Jimmy i Judy

zaczynam się zastanawiać nad zmianą profilu firmy. Lubisz dzieci?

Roman osadził koło na bolcach i dopiero wtedy popatrzył na Charity.

- Lubię, ale na odległość. Roześmiała się z wyraźną aprobatą.

- Skąd pochodzisz?

- Z St. Louis. - Mógł podać tuzin różnych odpowiedzi. Sam nie rozumiał, dlaczego tym razem powiedział prawdę. - Rzadko tam wracam.

- Masz rodzinę?

- Nie.

Powiedział to takim tonem, że Charity postanowiła powściągnąć wrodzoną ciekawość. Nie potrafiła naruszyć cudzej prywatności, tak jak nie umiała rzucić na ziemię owiniętego w chusteczkę lizaka.

- Ja urodziłam się tutaj, na wyspie Orcas. Co roku obiecuję sobie, że wezmę półroczny urlop i wyjadę w wielką podróż. Wszystko jedno dokąd. - Wzruszyła ramionami.

Roman dokręcał ostatnią śrubę.

- Jakoś nigdy się nie udało. Zresztą tu jest naprawdę pięknie. Jeśli nie masz innych zobowiązań, to przekonasz się, że zostaniesz dłużej, niż planowałeś.

- Możliwe. - Roman wyjął podnośnik i wyprostował się. - Jeśli znajdę pracę i kąć do spania.

Charity nie podjęła decyzji pod wpływem impulsu. Obserwowała tego mężczyznę uważnie od blisko piętnastu minut, rozważając wszystkie za i przeciw. Rozmowa z kandydatem do pracy zwykle trwa krócej. Miał silne ramiona i inteligentne, a nawet przenikliwe spojrzenie. Jego plecak i ubiór wskazywały na to, że znalazł się pod wozem. Jej imię, Charity, oznaczało miłosierdzie, i nim właśnie się w życiu kierowała, zresztą od dziecka uczono ją pomagać ludziom w potrzebie. Jeśli w dodatku mogła za jednym zamachem rozwiązać jeden ze swych najbardziej palących problemów...

- Znasz się na pracach remontowych? - zapytała.

- Tak. Nie najgorzej - odparł z pewnym przymusem, bo jego myśli poszybowały w całkiem niespodziewanym kierunku.

Na widok miny Romana brwi Charity powędrowały w górę.

- Miałam na myśli posługiwanie się narzędziami. Młotkiem, piłą, śrubokrętem. Znasz się może na stolarce, radzisz sobie z drobnymi naprawami w domu?

- Jasne. - Poszło łatwo, wręcz zadziwiająco łatwo. Niespodziewanie poczuł lekkie wyrzuty sumienia.

- Jak już mówiłam, mój pomocnik wygrał na loterii, i to sporo. Jest teraz na Hawajach, kontempluje kostiumy bikini i zajada się *poi*. Życzę mu jak najlepiej, ale wyjechał w samym środku remontu zachodniego skrzydła zajazdu. - Wskazała ręką logo firmy na drzwiach furgonetki. - Jeśli potrafisz sobie poradzić z pędzlami i papierem Ściernym, to mogę ci zaproponować pokój z

wyżywieniem i pięć dolarów za godzinę.

- Wygląda na to, że oboje znaleźliśmy rozwiązanie naszych problemów.

- Świetnie. - Wyciągnęła do niego rękę. - Jestem Charity Ford.

- DeWinter. - Uścisnął jej dłoń. - Roman DeWinter.

- W takim razie wskakuj. Romanie - zaprosiła i szeroko otworzyła drzwi furgonetki.

Wcale nie wyglądała na naiwną i łatwowierną, pomyślał Roman, siadając obok niej w samochodzie. Wiedział jak nikt inny, że pozory mogą mylić. Znalazł się przecież tam, gdzie zamierzał, i to bez specjalnego zachodu.

Charity wyprowadziła wóz z parkingu, a on zapalił papierosa.

- Dziadek zbudował ten zajazd w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku - powiedziała i opuściła szybę w samochodzie. - Latami rozbudowywali modernizował budynek, ale to nadal jest zwyczajny zajazd i nawet w broszurach reklamowych nie ośmielilibyśmy się nazwać go pensjonatem. Mam nadzieję, że nastawiłeś się na coś skromnego.

- To mi odpowiada.

- Mnie również. Przeważnie.

Gaduła to on nie jest, pomyślała Charity z uśmiechem. Była zresztą z tego zadowolona. Z powodzeniem mogła mówić za dwoje.

- To dopiero początek sezonu, więc mamy sporo wolnych miejsc. - Wystawiła łokieć przez otwarte okno i pogodnie wzięła na siebie cały ciężar prowadzenia rozmowy, W promieniach słońca jej kolczyki rozbłysły wszystkimi kolorami tęczy. - Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby rozejrzeć się po okolicy. Z Góry Konstytucji rozciąga się szczególnie malowniczy widok. Jeśli lubisz turystykę pieszą, to znajdziesz tu niwelacyjne szlaki do wędrówek górskich.

- Myślałem, żeby spędzić trochę czasu w Kolumbii Brytyjskiej.

- To żaden, problem. Mamy prom do Sidney. Nieźle zarabiamy na wycieczkach krajoznawczych.

- Jacy: my?

- Zajazd. Pop, czyli mój dziadek, wybudował w latach sześćdziesiątych pół tuzina domków. Oferujemy grupom turystycznym specjalne pakiety usług. Wynajmujemy domki ze śniadaniem i obiadową wliczonymi w koszty. Warunki są tam dość prymitywne, ale turyści bardzo to lubią. Co najmniej raz w tygodniu przyjeżdża jakaś grupa. W sezonie trzy razy częściej.

Skręciła w wąską drogę i zredukowała prędkość do pięćdziesięciu.

- To ty prowadzisz zajazd? - Roman doskonale znał odpowiedź na to pytanie, ale czuł, że byłoby dziwne, gdyby nie zapytał.

- Tak. Pracowałam tu, odkąd sięgam pamięcią. Kilka lat temu dziadek zmarł i przejęłam po nim zajazd. - Charity zamilkła na chwilę. Śmierć dziadka ciągle jeszcze bolała; zapewne będzie tak

już zawsze. - Kochał go. Nic tylko samo miejsce, ale możliwość spotykania codziennie nowych ludzi, dbania o to, by czuli się tu jak w domu.

- Domyślam się. że nieźle sobie radzicie.

- Jakoś leci. - Charity wzruszyła ramionami. Okrążyli zatoczkę, w której las ustępował szerokiej przestrzeni błękitnej wody. Linia brzegowa wyspy była czysta i odcinała się od jasnej wody ciemnymi barwami zieleni i brązy. Wysoko na klifie rysowały się sylwetki kijku domów. Po gładkiej tafli zatoki sunęła łódka, połyskując białymi żaglami. - Takie widoki można spotkać w każdym miejscu na wyspie. Chwytają za serce nawet stałych mieszkańców.

- I sprzyjają interesom.

- Na pewno nie przeszkadzają. - Spojrzała na Romana. - Naprawdę chciałbyś zobaczyć wieloryby?

- Wypadałoby, skoro już tu jestem. Zatrzymała furgonetkę i wskazała dłonią klify.

- Jeżeli masz cierpliwość i dobrą lornetkę, to tam jest najlepszy punkt obserwacyjny. Leży na naszym terenie. Jeśli chcesz przyjrzeć im się dokładniej, musisz wsiąść do łodzi. - Roman nie odezwał się, więc znowu na niego spojrzała. Poczowała nagłe skrępowanie, bo mężczyzna nie patrzył na wodę czy las, lecz na nią.

Roman przyglądał się rękom Charity. Silne, zręczne, a nie przesadnie wąskie dłonie. Teraz zaczęła dość nerwowo wystukiwać palcami rytm na kierownicy. Znowu przyspieszyła, z wprawą prowadząc furgonetkę krętą drogą. Naprzeciwko pojawił się drugi samochód, Charity, nie zmniejszając prędkości, pozdrowiła kierowcę ruchem ręki.

- To Lori, jedna z naszych kelnerek. Pracuje na rannej zmianie, żeby być w domu, kiedy dzieci wrócą ze szkoły. W zajeździe na stałe zatrudniamy dziesięcioro pracowników, a w sezonie letnim przyjmujemy jeszcze pięć, sześć osób do pomocy.

Objechali jeszcze jedną zatoczkę i przed nimi pojawił się zajazd. Dokładnie odpowiadał wyobrażeniom Romana, choć w rzeczywistości miał więcej uroku niż na zdjęciach, które oglądał przed przyjazdem na wyspę. Drewniany biały budynek z bladoniebieskimi futrynami łukowatych lub owalnych okien. Urocze wieżyczki, wąskie ścieżki i szeroka półkolista weranda. Gładki trawnik schodzący wprost na brzeg. Wrzynający się w wodę wąski, rozchybotany pomost, do którego przywiązana była mała motorówka, kołysząca się lekko na falach.

Był też płytki staw, a nad nim młyn. Rozgarniana młyńskim kotem woda chlupotała dźwięcznie. Po zachodniej stronie, pomiędzy rzadziej rosnącymi drzewami, zauważył domki, o których opowiadała Charity. Wszędzie dokoła pełno było kwiatów.

- Z tyłu za domem jest większy staw. - Charity podjechała na wysypany żwirem placyk, na którym stało już sporo samochodów, choć na parkingu zmieściłoby się jeszcze drugie tyle. - Hodujemy w nim pstrągi. Ścieżki prowadzą do domków numer jeden, dwa i trzy, a stamtąd rozwid-

lają się do numerów cztery, pięć i sześć. - Wsiadła z furgonetki i zaczęła na Romana, - Prawie wszyscy korzystają z tylnego wejścia. Później oprowadzę cię po całym terenie ośrodka, jeśli oczywiście będziesz miał ochotę, ale najpierw trzeba cię zakwaterować.

- Ładnie tu - powiedział spontanicznie i całkowicie szczerze. Na kwadratowym tylnym ganku stały dwa bujane fotele i białe krzeselko, które przydałoby się odmalować, bo farba zaczynała się łuszczyć. Roman odwrócił się, żeby sprawdzić, jaki widok miały przed oczami gość usadowiony w pustych teraz fotelach. Las i woda jak okiem sięgnąć. Cudownie. Kojąco. Uroczo. Nagle stanął mu przed oczami schowany w plecaku pistolet. Pozory mylą, przypomniał samemu sobie raz jeszcze.

Charity obserwowała go ze zmarszczonym czołem. Roman zdawał się chłonąć to, co widzi. Dziwne, ale mogłaby przysiąc, że gdyby za pół roku ktoś zapytał go o to, co teraz miał przed oczami, opisałby to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Roman przeniósł spojrzenie na nią ale wrażenie pozostało. Tylko jeszcze bardziej intensywne i bardziej osobiste. Wiatr wzmógł się, zdawał się dzwonić w dzikich dzwoneczkach, rosnących w zawieszonych pod okapem donicach.

- Jesteś artystą? - zapytała go niespodziewanie.

- Nie. - Uśmiech odmienił jego twarz, dodał jej uroku. - Dlaczego ci to przyszło do głowy?

- Zastanawiałam się tylko.

Doszła do wniosku, że powinna strzec się jego uśmiechu. Roman miał rozbijający uśmiech, a należał do mężczyzn, przed którymi lepiej było stale mieć się na baczności.

Podwójne przeszklone drzwi prowadziły do przestronnego pokoju, w którym unosił się zapach lawendy i węgla drzewnego. Królowały tu dwie długie, miękkie kanapy i przepastne fotele ustawione przy wielkim, kamiennym kominku, na którym trzaskały płonące polana. Tu i ówdzie ustawiono antyki: biurczko z trzema zabytkowymi kałamarzami, dębowy wieszak na kapelusze, kredens z wypolerowanymi do połysku rzeźbionymi drzwiczkami. W rogu pokoju stał szpinet z pozółkłymi ze starości klawiszami. Dwa łukowate okna w przeciwległej ścianie były tak szerokie, że widoczna przez nie woda zdawała się należeć do wystroju wnętrza. Przy stoliku pod oknem dwie kobiety grały w scrabble.

- Kto dziś wygrywa? - zainteresowała się Charity. Obie podniosły głowy znad planszy i spojrzały na nią rozpromienione.

- Na razie idziemy łeb w łeb. - Kobieta siedząca po prawej, na widok Romana zalotnie potrząsnęła włosami. Mogłaby być jego babcią, ale pospiesznie zdjęła okulary i wyprężyła chuderlawe ramiona. - Nie wiedziałam, że przywieziesz nowego gościa, moja droga.

- Ja też nie wiedziałam - przyznała Charity i podeszła do kominka, żeby dorzucić polano do ognia. - Pan Roman DeWinter, panna Lucy i panna Millie.

- Witam panie. - Na twarzy Romana znów pojawił się uroczy uśmiech.

- DeWinter... - Panna Lucy postanowiła jednak włożyć okulary, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie. - Czy nie znaliśmy kiedyś jakiegoś DeWintera, Millie?

- Nie przypominam sobie. - Millie uśmiechała się, gotowa do flirtu, chociaż bez okularów widziała Romana wyłącznie jako rozmazany cień. - Czy byt już pan kiedyś w tym zajeździe, panie DeWinter?

- Nie, proszę pani. Jestem tu po raz pierwszy.

- Będzie Pan zachwycony. - Millie westchnęła lekko. Jak ten czas leci! Wydawało jej się, że to zaledwie wczoraj pewien przystojny młody człowiek ucałował jej dłoń i poprosił, by wybrała się z nim na spacer. Dzisiaj mężczyźni mówią do niej: proszę pani. Z ociąganiem wróciła do gry.

- Te panie przyjeżdżają do nas od niepamiętnych czasów - wyjaśniła Charity Romanowi, kiedy wyszli na korytarz.

- Są kochane, ale muszę cię przestrzec przed panna Millie. Podobno swego czasu miała nie najlepszą reputację, a nawa i dziś żaden przystojny mężczyzna nie umknie jej uwagi.

- Będę się miał na baczności.

- Podejrzewam, że zawsze to robisz. - Wyjęta pęk kluczy i otworzyła jedno z drzwi. - Tędy przechodzi się do zachodniego skrzydła. - Szybkim krokiem ruszyła w głąb korytarza, energiczna i kompetentna. - Jak widzisz, remont był już nieźle zaawansowany, kiedy George wygrał na loterii. Stolarka została rozebrana. - Wskazała sterty desek porządnie ułożone wzdłuż świeżo pomalowanej ściany. - Trzeba jeszcze dokończyć renowację drzwi. Oryginalne okucia są w tej skrzynce.

- Ile pokoi mam do zrobienia?

- W tym skrzydle są dwie jedyńki, dwójka i apartament rodzinny. W różnym stopniu zaawansowania remontu. - Charity prześliznęła się obok opartych o ścianę drzwi i weszła do pomieszczenia. - Możesz zająć ten pokój. Jest prawie skończony.

Pokoik był niewielki, ale bardzo jasny. Zachlapanie farbą okno wychodziło na młyńskie koło. Na łóżku brakowało pościeli, a podłoga wymagała cyklinowania. Świeżo położona tapeta sięgała od sufitu do białej listwy, poniżej była tylko surowa ścianka gipsowa.

- Na razie niezbyt tu pięknie - stwierdziła Charity.

- Mnie odpowiada - - Roman bywał już w miejscach, przy których ten pokoik wyglądał jak królewski apartament w najwyższej klasy hotelu.

Charity odruchowo zajrzała do garderoby i przyległej do pokoju łazienki, notując w pamięci, co jeszcze pozostało w nich do zrobienia.

- Jeśli chcesz, możesz zacząć od tego pokoju. Mnie wszystko jedno. George miał własny system pracy. Nigdy nie zdołałam pojąć, na czym on polegał, ale w ostatecznym rozrachunku wszystko było zrobione jak należy.

Roman wsunął kciuki do kieszeni dżinsów.

- Masz plan robót?

- Jasne.

Przez następne pół godziny oprowadzała go po zachodnim skrzydle i pokazywała, co jeszcze powinno zostać wykonane. Roman słuchał, z rzadka rzucał jakąś uwagę i przyglądał się wyposażeniu. Przed przyjazdem tutaj starannie przestudiował plany zajazdu i wiedział, że rozkład pokoi w tym skrzydle dokładnie odpowiadał rozkładowi pomieszczeń w skrzydle wschodnim. Mieszkając tutaj, miał łatwy dostęp do głównej części budynku.

Przyjrzał się pomalowanym do połowy ścianom, rozłożonym wszędzie płachtom malarskim i doszedł do wniosku, że przyjdzie mu przyłożyć się do roboty. Uznał to za dodatkowy plus czekającego go zadania. Lubił pracę fizyczną, a rzadko kiedy miał na nią czas.

Instrukcje Charity były jasne i precyzyjne. Ta kobieta wyraźnie wiedziała, czego chce, i potrafiła to wyegzekwować. To mu się podobało. Był pewien, że panna Ford dobrze wykonywała swoją pracę. Niezależnie od tego, czy było nią prowadzenie ośrodka wypoczynkowego, czy też... coś całkiem innego.

. - Co jest na górze? - wskazał widoczne na końcu korytarza schody.

- Moje pływające mieszkanie. Pomyślimy o nim po zakończeniu remontu pokoi hotelowych. - Przez chwilę stała w milczeniu, pobrzękując tytko kluczami. Pozwoliła myślom odpłynąć daleko. - Co o tym sądzisz? - zapytała wreszcie.

- O czym?

- O pracy.

- Masz narzędzia?

- W szopie po drugiej stronie parkingu.

- Poradzę sobie.

- Oczywiście.

Nie miała wątpliwości, że Roman rzeczywiście sobie poradzi. Stali w ośmiobocznym saloniku apartamentu rodzinnego. Był pusty, jeśli nie liczyć sterty materiałów i płacht malarskich. I cichy. Uświadomiła sobie nagle, że znaleźli się bardzo blisko siebie i że do jej uszu nie dociera żaden dźwięk. Poczuli się nieswojo, więc sięgnęła po pęk kluczy i zdjęła z kółka jeden z nich. - To do twojego pokoju.

- Dzięki. - Roman wetknął go do kieszeni dżinsów. Odetchnęła głęboko. Z niewiadomych względów czuła się tak, jakby z zamkniętymi oczami rzuciła się w nieznane.

- Jadłeś już lunch?

- Nie.

- Zaprowadzę cię do kuchni. Mae da ci coś do jedzenia. - Charity ruszyła do wyjścia nieco

zbyt szybko. Pragnęła uciec od wrażenia, że jest tu z Romanem całkiem sama. Wzruszyła ramionami ze zniecierpliwieniem. Nie bądź głupia, powiedziała sobie. Nie należała do bezradnych kobiecików, a jednak odetchnęła z ulgą, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

Poprowadziła go na dół po schodach, a potem przez opustoszały hol do obszernej, utrzymanej w pastelowych barwach jadalni. Na wszystkich stolikach stały wazony z mlecznego szkła z bukietami świeżych kwiatów. Duże okna wychodziły na morze, a przy południowej Ścianie, jakby dla stworzenia iluzji wodnego świata, zostało ustawione akwarium.

Charity zatrzymała się na chwilę i uważnie zlustrowała pomieszczenie. Sprawdzała, czy wszystkie stoliki nakryto już do obiadu. Dopiero potem pchnęła Wahadłowe drzwi i weszła do kuchni.

- Mówię ci, że trzeba dodać bazylii.

- Wcale nie!

- Pamiętaj, niezależnie od tego, co sądzisz, nie przyznawaj racji żadnej z nich - powiedziała Charity półgłosem, po czym przywołała na usta najpiękniejszy uśmiech. - Moje panie, przyszedłam do was głodnym mężczyzną.

Kobieta, która pilnowała garnka, uniosła do góry łyżkę cedzakową. Zerknęła na Romana z ukosa.

- Siadaj - rzuciła, pokazując mu kciukiem długi, drewniany stół.

- Mae Jenkins, Roman DeWinter.

- Witam panią.

- A to Dolores Rumsey. - Druga kobieta trzymała w rękach słój z ziołami. Skinęła Romanowi głową i przysunęła się do garnka.

- Nie zbliżaj się! - warknęła Mae ostrzegawczo. - Daj temu człowiekowi kawałek kurczaka.

. Dolores, pomrukując pod nosem, ruszyła po talerz.

- Roman dokończy remont rozpoczęty przez George'a - wyjaśniła Charity. - Będzie mieszkał w zachodnim skrzydle.

- Nie pochodzisz stąd. - Mae spojrzała na Romana takim wzrokiem, jakim niania mierzy pulchne niemowlę.

- Nie.

- Wyglądasz mi na głodomora, pewnie bez trudu mógłbyś pochłonąć kilka przeciętnych porcji - oświadczyła z lekką dezaprobatą i naląła mu kawy.

- Które zawsze tutaj znajdziesz - wtrąciła Charity, występując w roli rozjemcy. Skrzywiła się lekko, kiedy Dolores z łoskotem postawiła przed Romanem talerz z zimnym kurczakiem i z sałatką ziemniaczaną.

- Trzeba mocniej przyprawić - oznajmiła, patrząc na gościa takim wzrokiem, jakby ośmielał

się jej przeciwstawić. - A ona nie słucha.

Roman uznał, że najlepiej będzie przywołać uśmiech na twarz i trzymać język za zębami. Mae nie zdążyła zareagować na zaczepkę Dolores, bo znowu stuknęły wahadłowe drzwi.

- Czy spragniony mężczyzna może tu dostać filiżankę kawy? - Nowo przybyły zatrzymał się w pół kroku i obrzucił Romana pełnym zaciekawienia spojrzeniem.

- Bob Mullins, Roman De Winter. Zatrudniłam go do remontu zachodniego skrzydła. Bob jest moją prawą ręką, A właściwie jedną z wielu prawych rąk.

- Witamy na pokładzie. - Bob podszedł do kuchenki i nalał sobie kawy. Wrzucił do filiżanki trzy kostki cukru, co Mae skwitowała pełnym 'dezaprobaty cmoknięciem. Najwyraźniej nic zrobiło to na rum najmniejszego wrażenia.

Był wysoki i szczupły, miał z metr osiemdziesiąt pięć, a na pewno nie ważył więcej niż osiemdziesiąt kilogramów. Jasnobrązowe włosy były krótko przycięte przy uszach i zaczesane do tyłu, odsłaniając wysokie czoło.

- Pochodzisz ze wschodu? - zapytał pomiędzy jednym łykiem kawy a drugim i uśmiechnął się, kiedy Mae machnięciem ręki odgoniła go od kuchenki.

- Tak - odparł Roman.

- Wyjaśniłeś z dostawcą warzyw sprawę tej budzącej wątpliwości faktury? - przerwała Charity.

- Tak, wszystko już załatwione. Pod twoją nieobecność odebrałem kilka telefonów. Masz trochę papierów do podpisania.

- Zaraz się za to wezmę. - Zerknęła na zegarek, po czym przeniosła spojrzenie na Romana. - Gdybyś chciał o coś zapytać, będę w biurze. Wchodzi się do niego z holu.

- Dam sobie radę.

- Dobrze.

Roman obszedł cały teren należący do zajazdu, zanim wziął się za przenoszenie narzędzi do zachodniego skrzydła. Nad stawem spotkał obejmującą się parę, najwyraźniej nowożeńców. Widział też mężczyznę grającego z synkiem w piłkę na małym boisku do koszykówki. Panie, jak zaczął już nazywać w duchu wiekowe siostrzyczki, porzuciły grę w scrabble i siedziały na werandzie, rozmawiając. Czteroosobowa rodzina wysiadła z samochodu combi i, najwyraźniej kompletnie wykończona, podreptała w stronę domków. Mężczyzna w czapeczce do krykieta wszedł na pomost z kamerą filmową na ramieniu.

Słychać było głośny śpiew ptaków i odległy warkot motorówki. Uszu Romana dobiegł też płacz dziecka i dźwięki sonaty fortepianowej Mozarta.

Gdyby osobiście nie sprawdził wszystkich faktów, gotów byłby przysiąc, że trafił w niewłaściwe miejsce.

Postanowił zacząć remont od apartamentu rodzinnego. Ostro zabrał się do roboty. Był ciekaw, kiedy nadarzy mu się okazja wejścia do mieszkania Charity.

Praca fizyczna zawsze go uspokajała. Po dwóch godzinach zrobił krótką przerwę na odpoczynek. Zerknął na zegarek i postanowił podjąć kolejną, tym razem niepotrzebną wyprawę do szopy. Charity wspomniała, że codziennie o piątej po południu w pokoju, który nazywała wspólnym salonem, serwowano wino. Postanowił wykorzystać okazję, by nieco przyjrzeć się gościom.

Po drodze stanął na chwilę przy drzwiach swojego pokoju. Wewnątrz ktoś się poruszył. Roman ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do pokoju.

Charity wyszła z łazienki, nucąc jakąś melodię. Właśnie rozwiesiła czyste ręczniki i wzięła się za ścielenie łóżka.

- Co robisz?

Stłumiła okrzyk i cofnęła się odruchowo. Potem opadła na łóżko i z trudem łapała oddech.

- Mój Boże! Nie rób tego więcej, Romanie. Wszedł do pokoju, nie spuszczał z niej podejrzliwego spojrzenia.

- Pytałem, co robisz?

- To chyba oczywiste. - Poglądziła ręką stertę pościeli.

- Pełnisz też rolę pokojówki?

- Czasami. - Charity wygładziła prześcieradło. - Masz już w łazience mydło i ręczniki - poinformowała. Przechyliła głowę i spojrzała na Romana, - Chyba powinieneś zrobić z nich użytek.

- Z wprawą odwinęła wierzchnie prześcieradło. - Pracowałeś?

- Po to tu jestem.

Z pomrukiem zadowolenia wsunęła rogi prześcieradła pod materac w nogach łóżka. Tak samo robiła babcia Romana, kiedy był dzieckiem.

- W szafie schowałam dodatkową poduszkę i koc. - Charity przeszła na drugą stronę łóżka. Obserwował ją z uznaniem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział kobietę ścielącą łóżko.

- Nie potrafisz być beczynna?

- Jestem z tego znana. - Rozłożyła na łóżku białą kołdrę, jak dla nowożeńców. - Jutro oczekujemy przyjazdu grupy turystów, więc wszyscy są dziś bardzo zajęci.

- Jutro?

- Tak, Przyplyną pierwszym promem z Sidney. - Z satysfakcją strzepnęła poduszkę. - Czy ty

- .

Urwała, bo odwróciła się energicznie i wpadła wprost na Romana. Odruchowo przytrzymał ją za biodra, a ona zacisnęła ręce na jego ramionach. Roman odkrył, że pod puszystym, długim swetrem kryje się szczupłe ciało, znacznie smuklejsze, niż się spodziewał. Oczy Charity były

nieprzyzwoicie błękitne, niemal zbyt wielkie. Pachniała tak jak jej zajazd, lawendą i palącym się drewnem. Ten zapach obiecywał strudzonemu podróżnemu wypoczynek i ukojenie, Roman, skuszony rym sugestywnym aromatem, nie puszczał bioder Charity, choć wiedział, że nie powinien jej dotykać.

- Czy ja - co? - Przyciągnął ją jeszcze odrobinę bliżej. Charity zapomniała o bożym świecie. Wpatrywała się w Romana bez ruchu i bez słowa, jakby ogłuszona przepływającymi przez jej ciało doznaniem. Mimowolnie zacisnęła palce na jego koszuli. Wyczuwała siłę i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to ją pociąga.

- Chcesz czegoś? - zapytał Roman.

- Co?

Miał w głowie tylko jedną myśl: pocałować ją, zawładnąć jej ustami. Rozkoszować się jej smakiem, dać się porwać namiętności.

- Pytałem, czy czegoś chcesz? - Wsunął dłonie pod sweter i przesunął je w górę, na talię Charity.

Szarpnęła się do tyłu, jakby porażona dotykiem gorących dłoni Romana.

- Nie. - Chciała odejść, umknąć z tego pokoju, ale jej ciało nawet nie drgnęło. Walczyła z narastającą paniką. Nagle, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, puścił ją. O dziwo, poczuła rozczarowanie. - Ja tylko..., - Zacerpnęła głęboko tchu i poczekała chwilę, by się uspokoić. - Chciałam tylko zapytać, czy znalazłeś wszystko, czego potrzebujesz.

- Wygląda na to, że tak - odparł Roman, nie przestając patrzeć Charity w oczy.

Zacisnęła wargi, żeby zwilżyć usta.

- To dobrze. No, nie przeszkadzam ci więcej, zresztą ja też mam jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Przytrzymał jej rękę, zanim zdążyła się cofnąć. Może to nie było zbyt mądre, ale znowu zapragnął jej dotknąć.

- Dziękuję za ręczniki.

- Proszę.

Roman odprowadził wzrokiem wychodzącą Charity, która - wiedział to doskonale - była równie roztrzęsiona jak on. W zamyśleniu sięgnął po papierosa.

Mógł to wykorzystać. Mógł zbliżyć się do niej i umiejętnie grać na jej emocjach. Poczł nagły niesmak i zapalił zapałkę.

Miał tu do wykonania ważne zadanie i nie mógł sobie pozwolić na myślenie o Charity Ford inaczej niż jako o osobie, która ułatwi mu osiągnięcie celu.

Zaciągnął się dymem i zaklął.

ROZDZIAŁ 2

Świtało. Niebo na wschodzie wyglądało fantastycznie. Roman stał na skraju wąskiej drogi z rękami w tylnych kieszeniach spodni. Rzadko miał czas rozkoszować się takimi pięknymi porankami, kiedy powietrze było jeszcze chłodne i krystalicznie czyste. Tutaj człowiek mógł odetchnąć pełną piersią, wyrzucić z głowy wszystkie troski.

Obiecał sobie pół godziny odpoczynku, trzydzieści minut samotności i spokoju. Słońce wynurzyło się spośród skłębionych chmur, nadając im olśniewające barwy i kształty. Miał ochotę zapalić papierosa, ale powstrzymał się. Chciał jeszcze przez chwilę wciągać w płuca czyste, przesiąknięte zapachem morza powietrze.

Odległe szczekanie psa podkreślało jeszcze atmosferę tego miejsca. Mewy wyleciały już na pierwszy posiłek i krążyły nisko nad wodą, rozcinając ciszę ostrymi, przenikliwymi okrzykami. Lekki wiatr roznosił aromat wiosennych kwiatów.

Dlaczego właściwie zawsze był taki pewien, że woli ruch i hałas wielkich miast?

Kiedy tak stał w bezruchu, sarna wysunęła się ostrożnie z lasu i czujnie uniosła łeb - To jest właśnie wolność, pomyślał niespodziewanie. Znać swoje miejsce i zadowolić się nim. Łania wyszła spośród drzew i niemal tanecznym krokiem ruszyła w stronę kępy wysokiej trawy. W ślad za nią pospieszył niezgrabnie jelonek na tyczkowatych nogach. Roman obserwował spokojnie pasące się zwierzęta.

Był podenerwowany. Próbował wchłonąć w siebie panujący dokoła spokój, jednak nie opuszczał go niepokój. To nie było miejsce dla niego. Właściwie nigdzie nie czuł się naprawdę u siebie. Miedzy innymi dlatego właśnie tak świetnie nadawał się do swojej pracy. Bez korzeni, bez rodziny, bez kobiety, która czekałaby na jego powrót. To mu odpowiadało.

Mimo to zajmując się wczoraj stolarka, wyciskając swe piętno na przedmiotach, które miały trwać latami, odczuwał ogromną satysfakcję. Próbował sobie wmówić, że chodzi mu tylko o maksymalne uwiarygodnienie kamuflażu. Powtarzał sobie, że jeżeli wykaże się zdolnościami i pracowitością, to zostanie zaakceptowany.

Już został zaakceptowany.

Charity mu zaufała. Dała mu dach nad głową, wyżywienie i pracę, bo uważała, że tego potrzebuje. Wydawała się osobą całkowicie pozbawioną wyrachowania. Coś zaiskrzyło pomiędzy nimi poprzedniego wieczora, chociaż dziewczyna nie zrobiła absolutnie nic, żeby to sprowokować czy przedłużyć. Nie było w niej za grosz właściwiej wszystkim kobietom - Roman był o tym święcie przekonany - kokieterii.

Znów naszła go chęćka na papierosa, ale stłumił ją. Wychodził z założenia, że kiedy człowiek czegoś za bardzo chce, powinien sobie tego odmówić.

Pragnął Charity. Przez jedną, oszalałamiącą chwilę poprzedniego dnia ogarnęła go ślepa

żądza. A to poważny błąd. Zdołał zdławić własne pragnienia, ale cały czas czaiły się tuż pod powierzchnią, gotowe znów wyrwać się spod kontroli. Jak wtedy, gdy Charity wróciła aa noc do swego pokoju i po chwili dobiegły z góry dźwięki muzyki Szopena. I jeszcze później, kiedy obudził się w środku nocy w wiejskiej ciszy i zaczął marzyć...

Gdyby spotkali się w innym miejscu i w innych okolicznościach, mogliby cieszyć się sobą, póki wzajemna fascynacja by się nie wypaliła. Jednak Charity była wyłącznie elementem prowadzonej przez niego sprawy.

Gdzieś w pobliżu rozległ się tupot biegnących stóp i Roman wrócił do rzeczywistości. Łania, spięta tak samo jak on, szybko umknęła wraz ze swym młodym pomiędzy drzewa. Roman z przyzwyczajenia przypiął rano pistolet do nogi tuż nad kostką, ale po niego nie sięgnął. Gdyby broń okazała się potrzebna, znalazłaby się w jego dłoni w ułamku sekundy. Na razie czekał, żeby zobaczyć, kto biegnął o świcie opustoszałą leśną drogą.

Charity oddychała szybko, bardziej ją zmęczyło szybkie tempo narzucone przez psa niż pięciokilometrowy bieg. Ludwig wyrwaj do przodu, szarpał w prawo i w lewo. Ciągnął smycz. To, należało do codziennej rutyny, do której oboje - pani i pies - przywykli. Mogła oczywiście okiełznać temperament psa, ale nie chciała psuć mu zabawy. Kluczyła więc wraz z nim i dostosowywała krok do narzucanego przez ulubieńca tempa, przechodząc od szybkiego biegu do lekkiego truchtu i z powrotem.

Zawahała się na widok Romana, ale Ludwig wyrwał się do przodu, więc tylko mocniej zacisnęła w dłoni smycz i pobięła za nim.

- Dzień dobry! - zawołała i pośliznęła się, starając się zatrzymać niemal w miejscu, bo pies rzucił się ze szczekaniem ku nieznanemu mężczyźnie. - On nie gryzie.

- Wszyscy tak mówią. - Roman pochylił się i podrapał zwierzę za uszami. Ludwig natychmiast położył się do góry brzuchem, domagając się głaskania. - Dobry piesek.

- Dobry, ale okropnie rozpuszczony - dodała Charity. - Ze względu na gości muszą go zamykać, ale jada jak król. Wcześniej wstałeś.

- Ty też.

- Uważam, że Ludwigowi należy się rano porządny spacer, skoro tak grzecznie znosi zamknięcie.

Ludwig postanowił widocznie okazać pani swoje uznanie, bo zrobił pędem rundę wokół Romana, omotując jego nogi smyczą.

- Niestety, nie zdołałam mu wytłumaczyć, na czym polega chodzenie na smyczy. - Charity westchnęła i pochyliła się, żeby uwolnić Romana i powstrzymać harce psa.

Lekka, zapinana na suwak bluza rozsunęła się, odsłaniając dopasowany podkoszulek, który pomiędzy piersiami pociemniał od potu. Związane z tyłu proste włosy uwydatniały regularne rysy

twarży. Zaróżowiona po biegu skóra wydawała się niemal przezroczysta. Romana kusilo, by dotknąć Charity i przekonać się, czy także teraz uda mu się wywołać jej natychmiastową reakcję.

- Ludwig, bądź choć przez chwilę spokojny - roześmiała się Charity i pociągnęła psa. Podskoczył i polizał twarz swojej pani.

- Niezbyt posłuszny - zauważył Roman.

- Rozumiesz już, dlaczego muszę go zamykać. Jest świecie przekonany, że może bawić się ze wszystkimi.

Charity, odplątując smycz, przesunęła dłonią po nodze Romana. Złapał ją za nadgarstek i oboje zamarli. Czuł, że puls Charity gwałtownie przyspieszył. Ta szybka, niemożliwa do ukrycia reakcja podziałała na niego niezwykle podniecająco. Chciał tylko, by nie odkryła przytroczonej do nogi broni, a tymczasem stali bez ruchu na środku opustoszałej drogi, a pies starał się za wszelką cenę wcisnąć pomiędzy nich.

- Drzysz - stwierdził z niepokojem, ale nie puścił jej ręki. - Zawsze tak reagujesz na dotyk mężczyzny?

- Nie. - Zmieszana Charity nie poruszyła się, zdawała się czekać na to, co nastąpi. - Przydarzyło mi się to po raz pierwszy.

Ta odpowiedź sprawiła mu w pierwszej chwili ogromną przyjemność, ale zaraz przywołał się do porządku.

- W takim razie powinniśmy bardziej uważać, prawda? - Puścił jej rękę i wstał.

Charity również się wyprostowała, choć znacznie wolniej i ostrożniej, bo nic miała pewności, czy zdoła utrzymać równowagę. Roman był wściekły. Starał się tego nie okazywać.

- Ostrożność nie jest moją najmocniejszą stroną.

- A moją tak - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

- Widzę. - Zaniepokoił ją nagły błysk w oczach Romana, ale nie zwykła owijać w bawełnę, - Pewnie musiałeś nauczyć się panowania nad sobą, skoro masz w twarzy taki rys okrucieństwa. Na kogo jesteś taki wściekły?

Nic spodobało mu się, że został rozszyfrowany. Nie spuszczał wzroku z twarzy Charity, pochylił się, żeby pogłaskać Ludwiga, który opierał się przednimi łapami o jego kolano.

- W tej chwili na nikogo - skłamał. Był zły, ale na siebie.

Charity pokręciła głową.

- Masz prawo do tajemnic, co nie oznacza, że ja przestanę się zastanawiać, dlaczego tak bardzo złości cię to, że na mnie reagujesz.

Roman, od niechcenia omiół wzrokiem drogę. Nikogo, jakby byli jedynymi ludźmi na wyspie.

- Chciałabyś, żebym coś z tym zrobił? Tu i teraz? Zrozumiała, że byłby do tego zdolny,

jeżeli zostanie sprowokowany, to zrobi to, na co ma ochotę. Poczwała dreszcz emocji, a przecież macho to nie był jej wymarzony typ mężczyzny. Może dla innych kobiet stanowił ucieleśnienie fantazji, ale nie dla Charity Ford. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Dzięki. Jestem pewna, że to wspaniała propozycja, jednak muszę wracać, żeby zadysponować śniadaniem. - Walcząc z rozdokazywanym psem, oddaliła się dystyngowanym - miała nadzieję - krokiem.

- Charity?

- Tak? - Odwróciła głowę i obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Masz rozwiązane sznurowadło. Odeszła z wysoko podniesioną głową.

Roman uśmiechnął się do jej sztywno wyprostowanych pleców i wsunął kciuki do kieszeni. Ta kobieta miała rzeczywiście piekielnie efektowny chód. A na domiar złego zaczynał ją lubić.

Zainteresowali go członkowie grupy wycieczkowej. Roman mógł swobodnie poruszać się po pierwszym piętrze, wpadać do kuchni na kawę i pogaduszki ze zwalistą Mae i kościstą Dolores. Nie spodziewał się, że zostanie zaprzęgnięty do pracy, a jednak wręczono mu stos obrusów. Nie pozostawało więc mu nic innego, jak wyciągnąć z tej sytuacji maksimum korzyści.

Charity, ubrana w jaskrawoczerwony podkoszulek z logo zajazdu, umieściła starannie złożoną serwetkę w szklaneczce. Roman przyglądał się, jak zręcznie wygładza obrus.

- Gdzie mam to zanieść?

- Zaczynaj od rozłożenia ich na stolikach. Najpierw biały, a na wierzch morelowy, na ukos.

Widzisz? - Pokazała mu gestem nakryty już stół.

- Jasne. - Roman zaczął rozkładać obrusy. - Ilu osób spodziewasz się na śniadaniu?

- Piętnastu uczestników wycieczki. - Obejrzała szklankę pod światło i zadowolona odstawiła ją na stół. - Ta grupa ma śniadanie wliczone w cenę noclegu. Plus oczywiście goście zajazdu. Zdarzają się też osoby, które przychodzą bez uprzedzenia, żeby coś zjeść. - Zerknęła na zegarek i podeszła do następnego stolika. Postawiła z boku talerz z cienko pokrojonym chlebem i sięgnęła po następny. - Śniadanie podajemy pomiędzy siódmą trzydzieści a dziesiątą. Tłoczno robi się w porze lunchu i obiadu.

Dolores wpadła do jadalni ze stertą porcelanowych talerzy i zaraz uciekła, wezwana przez Mae. Wahadłowe drzwi nie zdążyły się za nią zamknąć, a już wbiegła przez nie kobieta, którą minęli poprzedniego dnia na drodze. Niosła na tacy stertę sztucców.

- Jasne - mruknął Roman pod nosem.

Charity pospiesznie wydała instrukcje kelnerce, skończyła nakrywać kolejny stół i podeszła do ustawionej przy drzwiach tablicy. Starannym, eleganckim pismem zaczęła kaligrafować jadłospis.

Dolores, której sterczące, sztywne jak druty rude włosy i nadąsane usta przywodziły

Romanowi na myśl chuderlawego kurczaka, wpadła przez wahadłowe drzwi do jadalni i wzięła się pod boki.

- Nie muszę tego znosić.
- Czego nic musisz znosić? - zapytała spokojnie Charity, nie przerywając pisania.
- Staram się najlepiej, jak umiem, ale mówiłam ci już, że nie czuję się dobrze.

Dolores nigdy nie czuje się dobrze, pomyślała Charity, dopisując do listy potraw omlet z szynką i serem. Szczególnie kiedy nie uda jej się postawić na swoim.

- Tak, Dolores.
- Czuję taki ucisk w piersiach, że ledwo oddycham.
- Aha.
- Pół nocy nic spałam, ale rano przyszłam do pracy jak zwykle.

. - Doceniam twoje poświęcenie, Dolores. Wiesz, jak bardzo na tobie polegamy.

- Cóż... - Udobruchana Dolores obciągnęła fartuch. - W pracy zawsze będziesz mogła na mnie liczyć, ale musisz powiedzieć tamtej babie - co wskazała kciukiem do tyłu, na drzwi do kuchni - żeby przestała się mnie czepiać.

- Porozmawiam z nią, Dolores. Zdobądź się jeszcze na odrobinę cierpliwości. Wszyscy jesteśmy dzisiaj trochę przemęczeni, bo Mary Alice znowu zachorowała.

- Zachorowała! - parsknęła pogardliwie Dolores. - Tak się to teraz nazywa?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Charity nie przerywała pisania i słuchała kucharki jednym uchem.

- Skoro jest taka chora, to dlaczego jej samochód stał przez całą noc na podjeździe u Billa Perkina. Przy moim stanie zdrowia...

Charity przerwała wypisywanie menu.

- Później o tym porozmawiamy - ucięła. Dolores spokorniała i wycofała się do kuchni.

Charity zwróciła się do kelnerki.

- Lori?

- Prawie gotowe.

- Dobrze. Zajmij się stałymi gośćmi. Przyjdę ci pomóc, kiedy rozlokuję wycieczkę.

- Nie ma sprawy.

- Będę w recepcji z Bobem. - Odrzuciła warkocz do tyłu. - Przyślij po mnie, gdybyś nie dawała sobie rady. Roman...

- Chciałabyś, żebym podawał do stołu?

- Potrafisz? - Spojrzała na niego z wdzięcznością, i uśmiechnęła się.

- Tak sądzę.

- Dziękuję. - Spojrzała na zegarek i szybko wyszła z jadalni.

Nieoczekiwanie Roman znalazł zadowolenie w podawaniu do stołu. Panna Millie flirtowała z nim na całego. Zapach domowej szarlotki z cynamonem oraz stonowane dźwięki muzyki poważnej, którym towarzyszył cichy szmer rozmów, sprawiały, że każdy musiał się odprężyć. Roman posłusznie nosił tace, a utarczki słowne Mae i Dolores wydawały mu się raczej zabawne niż irytujące.

Kiedy sprzątał ze stolików pod oknem, autokar wycieczkowy właśnie podjechał pod frontowe wejście. Policzył przyjezdnych i uważnie się im przyjrzał. Przewodnik, wysoki mężczyzna w białej koszuli, prowadził grupę do zajazdu, a uśmiech nie schodził z jego okrągłej, rumianej twarzy. Roman przeszedł na drugą stronę jadalni, żeby rzucić okiem na kłębiących się w holu ludzi.

Grupa składała się z kilku par i rodzin z małymi dziećmi. Przewodnik, który, jak już Roman wiedział, nazywał się Block, powitał Charity radosnym uśmiechem i podał jej listę gości.

Ciekawe, czy Charity wiedziała, że Block odsiadywał w Laevenworth karę za oszustwo. Czy zdawała sobie sprawę, że człowiek, z którym właśnie beztrosko żartowała, zdołał uniknąć powtórnego wyroku tylko dzięki kruczkom prawnym?

Kiedy Charity przydzieliła pokoje turystom i rozdała wszystkim klucze, dwóch gości podeszło do recepcji, żeby wymienić pieniądze. Jak zauważył Roman, jeden wymieniał pięćdziesiąt, a drugi sześćdziesiąt dolarów kanadyjskich. Asystent Charity podał im dolary amerykańskie.

Nie minęło dziesięć minut, a cała grupa rozsiadła się w jadalni w oczekiwaniu na śniadanie. W ślad za nimi zjawiała się Charity, zawiązując po drodze fartuszek. Wyciągnęła bloczek i zaczęła przyjmować zamówienia.

Wcale się nie spieszyła. Rozmawiała z gośćmi, uśmiechała się i odpowiadając na pytania, jakby miała dużo czasu do dyspozycji. Poruszała się jednak sprawnie i zręcznie. Na prawej ręce niosła trzy talerze, w lewej dzbanek z kawą którą nalewała po drodze gościom, równocześnie zagadując jedno z dzieci.

A jednak coś ją nurtowało, Roman nie miał co do tego wątpliwości. Czyżby rano wydarzyło się coś, co umknęło jego uwagi? Jeśli to dotyczy przestępczego procederu, powinien to odkryć i wykorzystać do swoich celów. Właśnie dlatego został zainstalowany tutaj, w zajezdzie.

Charity podeszła do czteroosobowego stolika, żeby dolać gościom kawy, pożartowała z łysym mężczyzną i ruszyła w stronę Romana.

- Chyba najgorsze już za nami.

- Czy jest coś, czego nie potrafiłabyś zrobić sama?

- Próbuję trzy mać się z dala od kuchni. To trzygwiazdkowa restauracja. - Rzuciła tęskne spojrzenie na dzbanek kawy. Przyjdzie na to czas później. - Chcę ci podziękować, że włączyłeś się

do pracy.

- Nie ma o czym mówić. - Roman uświadomił sobie nagle, że chciałby zobaczyć na twarzy Charity szczerzy uśmiech. - Dostałem rewelacyjne napiwki. Panna Millie wsunęła mi piąta.

- Wpadłeś jej w oko w tym pasie z narzędziami. Odpocznij teraz trochę, zanim weźmiesz się za remont zachodniego skrzydła.

- Dobrze.

Skrzywiła się, słysząc brzęk tłuczonego szkła.

- Chyba dziecko Snyderów nie miało ochoty na sok pomarańczowy - - Ruszyła, żeby uprzątnąć bałagan i przyjąć przeprosiny rodziców.

W recepcji było pusto. Pomocnik Charity albo przebywał w biurze, albo roznosił bagaże gości. Romanowi przemknęło przez głowę, żeby wsunąć się za biurko i zajrzeć do ksiąg, ale uznał, że to może poczekać. Pewne sprawy lepiej załatwiać pod osłoną nocy.

Godzinę później Charity szła do zachodniego skrzydła. Udało jej się ukryć zniecierpliwienie, kiedy po drodze natknęła się na gości z pierwszego piętra. Z uśmiechem pogawędziła przez parę minut ze starszym małżeństwem, ale kiedy tylko skręcili za róg, pozwoliła sobie na serię pełnych tłumionej wściekłości przekleństw. Miała ochotę coś kopnąć.

Roman stanął w drzwiach i obserwował zbliżającą się korytarzem Charity.

- Jakiś problem?

- Tak - warknęła. Minęła go, zrobiła kilka kroków i obróciła się na pięcie. - Mogę znieść niekompetencję, a nawet głupotę. Mogę nawet czasami przymknąć oko na odrobinę lenistwa. Nie dopuszczę jednak, by mnie oszukiwano.

- Rozumiem.

- Mogła mi przecież powiedzieć, że chce wziąć wolny dzień albo inną zmianę. Dałoby się to jakoś zorganizować. Wolą mnie okłamać. Zadzwoiła w ostatniej chwili, że jest chora i nie przyjdzie. To już piąty dzień nieobecności w pracy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Zaczęłam się nawet o nią martwić. - Charity odwróciła się i wreszcie uległa pokusie: kopnęła w drzwi. - Nienawidzę, jak się ze mnie robi idiotkę. Nie cierpię, gdy się mnie oszukuje.

- Mówisz o kelnerce... Mary Alice? - Roman bez trudu dodał dwa do dwóch.

- Oczywiście! - Odwróciła się gwałtownie, - Przyjechała tu trzy miesiące temu i błagała mnie o pracę. Mamy w tym okresie martwy sezon, ale zrobiło mi się jej żal, więc ją przyjąłem. A teraz sypia z Billem Perkinem, a mnie częstuje historyjkami o chorobie. Muszę ją wyrzucić. - Charity głośno westchnęła - Głowa mi pęka na samą myśl, że mam kogoś zwolnić.

- I to cię tak dręczyło przez cały ranek?

- Myślałam o tym od chwili, gdy Dolores wspomniała o Billu. - Już spokojniejsza zaczęła rozcierać pulsujące bólem czoło pomiędzy oczami. - Potem musiałam zająć się rozlokowaniem

gości, pomoc w wydawaniu posiłku i dopiero mogłam zadzwonić do Mary Alice, żeby się z nią rozprawić. Płakała - Charity rzuciła Romanowi żalosne spojrzenie. - Wiedziałam, że się rozpłaczę.

- Powinnaś połknąć aspirynę i przestać o tym myśleć.

- Już wzięłam.

- Pozwól aspirynie zaciąć działać. - Ku własnemu zaskoczeniu, Roman ujął twarz Charity w dłoń i zaczął masować jej skronie okrężnymi ruchami kciuków. - Za dużo masz na głowie.

Odchyliła głowę i pozwoliła powiekom opaść. Instynktownie zrobiła krok do przodu.

- Romanie. - Westchnęła z ulgą, bo ból ustąpił. - Mnie również podobasz się w tym pasie z narzędziami.

- Czy na pewno wiesz, co mówisz?

Przyjrzała się jego pełnym ustom. Z pewnością potrafiły być nieustępliwe i żądać posłuszeństwa, kiedy spoczęły na kobiecych wargach.

- Niezupełnie. - Te uczucia były dla niej nowe i napełniały ją lękiem. - Może to lepiej.

- Nie. - Roman zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, ale nie mógł się oprzeć pokusie dotknięcia jej warg, - Zawsze lepiej znać konsekwencje własnego postępowania, zanim przystąpi się do akcji.

- A więc wracamy do ostrożności we wzajemnych stosunkach.

- Tak.

Wycofał się w porę. Powinna być mu wdzięczna, a tymczasem czuła się odtrącona. Przecież sam to wszystko zaczął. I sam zakończył.

- W ten sposób omija cię wiele przyjemności, nie sądzisz?

- I wiele rozczarowań.

- Możliwe. Jeśli tak wolisz, to trudno, twój wybór. - Ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą - Więcej mnie nie dotykaj. Bo ja zwykłam kończyć to, co zaczęłam. - Zajrzała do pokoju i powiedziała - Wykonałeś kawał dobrej roboty. Pozwolę ci do niej wrócić.

Roman przeklinał w duchu Charity, z furią szlifując papierem ściernym stolarkę okienną. Jakim prawem wzbudziła w nim poczucie winy za to, że pragnął zachować dystans?! Unikanie związków uczuciowych nie było jedynie nawykiem; było kwestią przetrwania. Tylko samobójca mógłby wiązać się z każdą kobietą, która go pociągała.

Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, za kilka dni stąd wyjedzie.

Zobaczył przez okno Charity, zmierzającą tym swoim pewnym, zdecydowanym krokiem do furgonetki. W ręku miała kluczyki. Za nią szli nowożeńcy, trzymali się za ręce, chociaż każde z nich niosło walizkę.

Domyślił się, że Charity odwiezie ich na przystań. To dawało mu godzinę na przeszukanie jej mieszkania.

Potrafił dokładnie, centymetr po centymetrze, przetrząsnąć pokój, nie zostawiając śladów. Zaczął od najbardziej oczywistego schowka - od biurka w małym saloniku. W domowym zaciszu ludzie bardzo często zachowywali się niefrasobliwie. Wyćwiczone oko bez trudu odnajdowało beztrzesko pozostawione strzępy papieru z nagryzmołonymi notatkami czy podejrzone nazwiska w notesie z adresami.

Miał przed sobą stare, mahoniowe biurko z kilkoma rysami i okrągłymi śladami po szklance. Dwa mosiężne uchwyty były obluzowane. W całym pokoju panował idealny porządek. Papiery osobiste - polisy ubezpieczeniowe, rachunki i korespondencja - zostały umieszczone po lewej stronie, a dokumenty ośrodka zajmowały trzy szuflady po prawej stronie biurka.

Wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że całkiem przyzwoity dochód zajazdu inwestowany był w dwie części w rozwój firmy. Nowa pościel, wyposażenie łazienek, modernizacja. Piec, którego Mae tak zazdrośnie strzegła, został zainstalowany dopiero pół roku temu.

Charity wyznaczyła sobie zadziwiająco skromne wynagrodzenie. Mimo dokładnego sprawdzania Roman nie znalazł żadnych dowodów na to, że korzysta z finansów zajazdu, by regulować własne wydatki.

Kryształowo uczciwa. Przynajmniej z pozoru.

Na blacie biurka umieszczono misę z potpourri, podobnie zresztą jak we wszystkich pokojach hotelowych. Obok zauważył oprawione w ramkę zdjęcie Charity stojącej w towarzystwie niedużego siwowłosego mężczyzny na tle młyńskiego koła.

Roman domyślił się, że to jej dziadek, ale to nie postać starszego pana przykuła teraz jego uwagę. Wpatrywał się w twarz Charity. Miała włosy związane w koński ogon i workowaty, poplamiony na kolanach kombinezon. Pewnie pracowała w ogrodzie. Trzymała całe naręczce letnich kwiatów. Jej twarz wyrażała beztrzeskę, ale wolną ręką troskliwie podtrzymywała staruszka.

O czym wtedy myślała i co zrobiła potem? Rozzłościł się na siebie i odwrócił wzrok od fotografii. Zauważył notatki skreślone na kartce ręką Charity: „Oddać próbki tapet. Nowe zameczki do komody. Wezwać stroiciela pianina. Zrobić naprawy w mieszkaniu”.

Roman nie znalazł niczego, co w jakikolwiek sposób wiązałoby się ze sprawą, która sprowadziła go do zajazdu. Zostawił biurko w spokoju i metodycznie przeszukał resztę saloniku.

Potem wszedł do przyległej sypialni. Łóżko ze wspartym na czterech słupkach baldachimem było zasłane białą koronkową narzutą i zarzucone pikowanymi poduszkami. Obok stał piękny, stary fotel na biegunach, którego gładkie, wypolerowane poręczce lśniły. W fotelu siedział wielki, fioletowy miś w złotych szelkach.

Baldachim nadawał łóżku romantyczny charakter. Charity zostawiła otwarte okno i wpadający przez nie powiew lekko poruszał delikatnymi zasłonami. To był typowo kobiecy pokój,

a jednak te koronki, poduszeczki, delikatne aromaty i pastelowe barwy zdawały się wabić mężczyznę, budzić w nim pragnienia, skłaniać do marzeń. Roman zapragnął spędzić tu choć jedną noc. Zanurzyć się w tej delikatności i zaznać ukojenia.

Wyglądził zmarszczkę na dywaniku ręcznej roboty i pełen niesmaku do samego siebie zajrzał do toaletki Charity.

Znalazł kilka sztuk biżuterii, niewątpliwie odziedziczonej. Z irytacją pomyślał, że powinny leżeć w sejfie. Zobaczył też flakonik perfum. Z góry wiedział, jak będą pachniały. Znał przecież zapach skóry Charity. Już wyciągnął rękę po buteleczkę, kiedy uświadomił sobie, co robi. Perfumy nie należały do sfery jego zainteresowań. Miał szukać dowodów.

Nagle wzrok Romana przyciągnął pakiet listów. Od kochanka? Niespodziewanie poczuł ukłucie zazdrości. Śmieszne!

Doszedł do wniosku, że to ten pokój doprowadza go do szału, i ostrożnie rozwiązał cienką jedwabną wstążeczkę, którą były przewiązane listy. Z widniejącej na liście daty wywnioskował, że korespondencja pochodziła z okresu, gdy Charity chodziła do college'u w Seattle. Wszystkie listy pisane były przez dziadka i świadczyły o jego ogromnej miłości i sporej dozie poczucia humoru. Zawierały dowcipne opisy drobnych wydarzeń, z życia codziennego zajazdu.

Ubrania Charity były całkiem zwyczajne, jeśli nie liczyć kilku wiszących w szafie sukienek. Znalazł solidne buty, poplamione trawą trampki, dwie pary eleganckich pantofli na obcasach i śmieszne puchate kapcie w kształcie słoni. Obuwie, podobnie jak wszystko w pokoju, było porządnie, metodycznie ustawione. Nawet na szafie Roman nie znalazł śladu kurzu.

Nocny stolik. Budzik, słoiczek kremu do rąk, dwie książki. Tomik poezji i kryminał. W szufladce natrafił na zapas czekolady i przenośny odtwarzacz stereo z płytą Szopena, W całym pokoju rozstawione były w różnym stopniu wypalone świece. Na jednej ze ścian wisiał obraz przedstawiający wzburzone morze, utrzymany w głębokich granatach i szarościach. Na innej kolekcja zdjęć wykonanych przeważnie w zajeździe. Wiele przedstawiało dziadka Charity. Roman zajrzał za jedno z nich. Znalazł tylko prostokąt ciemniejszej farby. Nic więcej.

Pokoje były czyste. Roman stał na środku sypialni, wdychał zapach wosku ze świec, potpourri i perfum. Nawet gdyby Charity przewidywała rewizję, nie mogłaby staranniejszymi wysprzątać mieszkania. Po godzinnych poszukiwaniach Roman dowiedział się tylko, że była osobą doskonale zorganizowaną, lubiła wygodne ubrania i muzykę Szopena, miała słabość do czekolady i kryminałów.

Dlaczego był tym tak zafascynowany?

Skrzywił się, schował ręce do kieszeni i starał się zdobyć na obiektywizm, z czym dotychczas nie miał najmniejszych problemów. Inne dowody wskazywały na udział Charity w pewnym podejrzanym procederze. Natomiast poczynione przez Romana w ciągu ostatnich

dwudziestu czterech godzin obserwacje świadczyły, że była osobą szczerą, uczciwą i ciężko pracującą.

I w co tu wierzyć?

Otworzył drzwi w przeciwległej ścianie i wyjrzał na mały ganeczek, z którego zewnętrznymi schodami można było zejść nad staw. Miał ochotę wyjść na świeże powietrze i odetchnąć pełną piersią, ale wrócił, skąd przyszedł.

Zapach sypialni Charity prześladował go jeszcze przez wiele długich godzin.

ROZDZIAŁ 3

Mówiłam ci, że ta dziewczyna to nic dobrego.

- Wiem, Mae.

- Mówiłam, że popełniasz błąd, przyjmując ją do pracy.

- Tak, Mae. - Charity powstrzymała westchnienie.

- Jeśli będziesz nadal przyjmowała wszystkie przybłądy, to wreszcie się doigrasz.

- To też już mówiłaś. - Charity z trudem oparła się pokusie podniesienia głosu.

Z pomrukiem satysfakcji Mae skończyła polerować do połysku swą największą dumę i radość - ośmiopalnikową kuchenkę gazową. Owszem, teoretycznie to Charity kierowała ośrodkiem, ale Mae miała własne zdanie w kwestii tego, na czyich barkach spoczywa największa odpowiedzialność.

- Masz stanowczo zbyt miękkie serce - stwierdziła surowo. Ponieważ jednak serdecznie lubiła młodą pracodawczynię, więc naląła jej szklankę mleka i ukroiła gruby kawałek pysznego ciasta z podwójną czekoladą. - Zajadaj. W dzieciństwie moje łakocie zawsze poprawiały ci nastrój.

Charity usiadła przy stole i wsadziła palec w czekoladową polewę.

- Przecież dałabym jej wolny dzień.

- Wiem. - Mae pogładziła ramię Charity. - Jesteś niezwykle wspaniałomyślna.

- Nienawidzę, jak się ze mnie robi idiotkę. - Charity skrzywiła się i odgryzła kęs ciasta. Była przekonana, że czekolada okaże się znacznie skuteczniejszym lekiem na ból głowy niż cała buteleczka aspiryny. Ale czy zdoła uciszyć wyrzuty sumienia? - Jak sadzisz, czy Mary Alice dostanie inną pracę? Musi przecież płacić czynsz.

- Takie jak ona spadają na cztery łapy. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby wprowadziła się do tego chłopaka Perkinów. Nie ma co się nią przejmować. Uprzedziłam cię, że ta dziewczyna nie popracuje nawet pół roku.

Charity wpełchnęła kolejny kawał ciasta do ust.

- Mówiłaś - potwierdziła niewyraźnie.

- A ten mężczyzna, którego przyprowadziłaś do domu? Charity przełknęła łyk mleka.

- Nazywa się Roman De Winter.

- Dziwaczne nazwisko. - Mae rozejrzała się po kuchni, wyraźnie rozczarowana, że nie pozostało już nic do zrobienia. - Co o nim wiesz?

- Potrzebował pracy.

Mae wytarła zaczerwienione ręce o fartuch.

- Pewnie cała masa złodziei kieszonkowych, nałogowych oszustów i seryjnych morderców również potrzebuje pracy.

- On nie jest seryjnym mordercą - stwierdziła stanowczo Charity. Na wszelki wypadek nie wypowiedziała się jednak o pozostałych ewentualnościach.

- Może tak, a może nie.

- To obieżyświat. - Wzruszyła ramionami i odgryzła kolejny kawałek ciasta. - Moim zdaniem nie wędruje bez celu. Doskonale wie, dokąd zmierza. Tak czy owak, George tańczy hula - hula na Hawajach, więc potrzebowałam kogoś do pomocy. Roman dobrze sobie radzi.

Mae postanowiła odbyć wyprawę do zachodniego skrzydła, żeby przekonać się o tym na własne oczy, ale w tej chwili co innego zaprzętało jej głowę.

- On się na ciebie gapi.

Charity wodziła czubkiem palca po rancie szklanki, żeby choć trochę zyskać na czasie.

- Wszyscy na mnie patrzą. Ciągłe jestem na widoku.

- Nie udawaj idiotki, młoda damo. Pudrowałam ci tyłek, kiedy jeszcze latałaś z pieluchą.

- A co to ma do rzeczy? - Charity uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Patrzy? - Wzruszyła ramionami. - Ja też na niego pauzę. - Mae znacząco uniosła brwi. - Przecież ciągle mi powtarzasz, że potrzebuję mężczyzny.

- Są mężczyźni i mężczyźni - orzekła Mae. - Ten na oko nie robi złego wrażenia. Pracy też się nie boi. Niejedno przeżył, moje dziecko, bez dwóch zdań.

- Pewnie wolałabyś, żebym się spotykała z Jimmym Loggermanem.

- To mięczak.

Charity wybuchnęła śmiechem, a potem oparła brodę na rękach.

- Miałaś rację. Naprawdę poczułam się lepiej. Zadowolona Mae odwiązała fartuch. Była przekonana, że Charity to rozsądna dziewczyna, postanowiła jednak mieć Romana na oku.

- To dobrze. Nie jedz już więcej ciasta, bo brzuch cię rozboli i przez całą noc nic zmrzysz oka.

- Tak jest, psze pani.

- I nie zostawiaj mi w kuchni bałaganu - dodała, wciągając luźny zakiet.

- Nie zostawię, psze pani. Dobranoc, Mae.

Kiedy za kucharką zatrzasnęły się drzwi. Charity wydała głębokie westchnienie. Wraz z

odejściem Mae dobiegał końca kolejny pracowity dzień. Zapewne goście leżeli w łóżkach albo kończyli grę w karty. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, aż do rana będzie spokój.

Ostatnio coraz częściej zastanawiała się nad zainstalowaniem wanny do masażu wodnego - Mogłaby dzięki temu przyciągnąć do ośrodka część klienteli sanatoriów. Sprawdziła też koszt zakupu solarium i oczami duszy widziała już salę w południowym skrzydle. Zimą goście mogliby przyjeżdżać na kąpiele w gorącej wodzie z bąbelkami, a wieczory spędzać przy ogniu płonącym w kominku ze szklaneczką rumowego ponczu w ręku.

Charity sama chętnie skorzystałaby z takich kąpielei w te nieliczne zimowe dni, kiedy w zajeździe było pusto.

Od dawna zamierzała również otworzyć sklep z pamiątkami, w którym miejscowi artyści i rzemieślnicy mogliby oferować turystom swoje wyroby. Nic szczególnie okazałego. To powinien być niewielki pawilon pasujący stylem do zajazdu.

Ciekawe, czy Roman zostanie tu wystarczająco długo, żeby powierzyć mu to zadanie. Rozsądek nakazywał Charity nie wiązać z nim planów. Niemal od początku ten mężczyzna wzbudził jej żywe zainteresowanie. Może zafrapowało ją to, że tak bardzo się od niej różnił? Małomówny, podejrzliwy, samotny.

A jednak... może to tylko gra jej wyobraźni, ale Charity wydawało się, że Roman jej potrzebuje, choć pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Dotychczas nie zaznała tylu emocji, co w obecności Romana. Nie pytał, nie prosił, tylko brał to, na co miał ochotę. Zdawała sobie sprawę, że nie potrafi on uszanować kobiecych pragnień. Byłoby więc lepiej, znacznie lepiej, gdyby ograniczyli się do kontaktów zawodowych. Przyjaźń, tak, ale na dystans, i na pewno nie miłość. Jaka szkoda, że tak trudno jej się do tego stosować.

Roman obserwował, jak Charity przesuwiała okruszki ciasta po talerzu. Jej włosy były rozpuszczone i potargane, jakby przeczesane tylko od niechcienia palcami po zdjęciu gumki. Bose, skrzyżowane w kostkach stopy położyła na stojącym naprzeciwko krześle.

Była rozluźniona. Nie przypominała tryskającej energią kobiety, którą miał przed oczami przez cały dzień. Żałował, że nie leżała w łóżku, głęboko uśpiona. Wołałby uniknąć kontaktu z nią, bo musiał zajrzeć do biura.

Zdawał sobie sprawę, że powinien wycofać się niezauważony. Nie mógł zrozumieć, co tak bardzo go poruszyło w scenie, aa którą patrzył, co spowodowało jego niepokój? W kuchni było ciepło, w powietrzu unosił się aromat ciasta i używanych przez Mae środków czystości o zapachu leśnym i cytrynowym. Nad zlewem wisiał koszyk, z którego niemal kipiała jakaś bujna, zielona roślina. Każdy centymetr był wyszorowany do połysku. Ogromna lodówka cicho szumiała.

Charity rozsiadła się wygodnie, jakby czekała tu na niego, by uciąć sobie z nim miłą pogawędkę.

To obłąd! Roman nie życzył sobie, by jakakolwiek kobieta czekała na niego, a szczególnie ta kobieta.

Jednak nie ukrył się w mroku jadalni, choć wystarczyło się wycofać. Zrobił krok do przodu i stanął w pełnym świetle.

- Myślałem, że ludzie na wsi wcześniej chodzą spać i bardzo rano wstają.

Charity drgnęła zaskoczona, ale szybko się opanowała. Zaczynała przywykać do jego cichego, niemal kociego sposobu poruszania się.

- Przeważnie lak. Mae uraczyła mnie czekoladą i cennymi radami. Chcesz ciasta?

- Nie.

- To dobrze. Gdybyś chciał, ukroiłabym i sobie, a polem odchorowałabym obżarstwo. Nie mam za grosz silnej woli. A może masz ochotę na piwo?

- Tak. Dziękuję.

Charity leniwie podniosła się miejsca, podeszła do lodówki i zaproponowała mu kilka gatunków piwa. Wybrane przez Romana naląła do szklanki.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapyła półgłosem. Łapczywie pociągnął piwa, jakby umierał z pragnienia.

- Masz piękną twarz - odparł Roman. Rozsiadł się wygodnie i sięgnął po papierosa, a ona wyjęła z szuflady popielniczkę i zajęła miejsce obok niego.

- Z radością przyjmuję komplementy, jakie zdarza mi się usłyszeć, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- To jest najczęstszy powód, dla którego mężczyźni przyglądają się kobietom. - Wypił kolejny łyk piwa - Miałś pracowity wieczór.

Charity postanowiła zrezygnować z drążenia tematu.

- Owszem. Muszę szybko znaleźć nową kelnerkę. Nie miałam dotychczas okazji podziękować ci za pomoc podczas obiadu.

- Żaden problem. Przeszedł ci ból głowy? Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Nie kpił z niej.

Wydawało jej się nawet, choć nie potrafiłaby wyjaśnić, skąd wzięło się to przekonanie, że tym pytaniem pragnął ją przeprosić. Postanowiła przyjąć te dziwne przeprosiny.

- Tak. dziękuję. Awantura z tobą pozwoliła mi oderwać myśli od Mary Alice, a czekoladowe ciasto Mae dokonało reszty. - Zastanawiała się przez chwile, czy nie zaparzyć sobie herbaty, ale lenistwo zwyciężyło i zrezygnowała, - A jak tobie minął dzień?

Uśmiechnęła się do niego, oferując przyjaźń, której Roman nie mógł odrzucić, chociaż nie powinien jej przyjmować.

- Nieźle. Panna Millie twierdziła, że drzwi jej pokoju się zacinają więc udałem, że je

naprawiam.

- Czym ją uszczęśliwiłeś.

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Chyba jeszcze nikt nie patrzył na mnie tak lubieżnym wzrokiem.

- Wyobrażam sobie. - Charity przechyliła głowę na bok, jakby chciała przyjrzeć się Romanowi z innej perspektywy. - Nie chciałabym urazić twojego ego, ale spojrzenie panny Mille należałoby przypisać raczej jej krótkowzroczności niż pożądaniu. Jest tak próżna, że za żadne skarby świata nie założyłaby okularów w obecności mężczyzny powyżej dwudziestki.

- Ja jednak nadal uważam, że przyglądała roi się pożądliwie - oświadczył. - Powiedziała mi, że od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego przyjeżdża tu dwa razy do roku. - Roman nie był w stanie zrozumieć, jak można ciągle wracać w to samo miejsce.

- Ona i panna Lucy są naszymi stałymi gośćmi. W dzieciństwie byłam przekonana, że należą do rodziny.

- Od dawna prowadzisz zajazd?

- Właściwie w taki czy inny sposób przez całe dwadzieścia siedem lat życia. - Charity odchyliła się i uśmiechnęła. Umiała się szybko odprężyć i lubiła widzieć wokół siebie wypoczętych, rozluźnionych ludzi. Roman sprawiał takie wrażenie. Siedział z wyciągniętymi pod stołem nogami i szklanką piwa w ręku. - W gruncie rzeczy nie interesuje cię historia mojego życia, prawda?

Wydmuchnął z ust smugę dymu.

- Nie powiedziałbym. - Chciał posłuchać jej wersji wydarzeń, które znał już z akt osobowych.

- Więc dobrze. Urodziłam się tutaj. Moja mama zakochała się późno. Dobiegała już czterdziestki, kiedy przyszłam na świat. Była wątła, pojawiły się komplikacje. Po jej śmierci wychowywał mnie dziadek, więc dzieciństwo spędziłam tutaj, w zajazdzie. Oczywiście poza okresami, gdy wysyłał mnie do szkoły. Kocham to miejsce. - Rozejrzała się po kuchni. - W szkole tęskniłam za nim i za dziadkiem. Nawet podczas studiów w college'u. Tęskniłam tak bardzo, że przyjeżdżałam do domu na każdy weekend. Dziadek chciał, żebym zobaczyła trochę świata, zanim osiadę tu na stałe. Miałam podróżować, wnieść nowe pomysły. Zobaczyć Nowy Jork, Nowy Orlean, Wenecję. Nie wiem.. - Słowa zamarły jej na ustach.

- Dlaczego do tego nie doszło?

- Dziadek zachorował. Dopiero na ostatnim roku studiów dowiedziałam się jak poważnie. Chciałam natychmiast rzucić naukę i wrócić do domu, ale bardzo się tym zmartwił. Postanowiłam więc najpierw zrobić dyplom. Żył jeszcze trzy lata, ale to było... trudne. - Charity nie chciała opowiadać o łzach i przerażeniu ani o zmęczeniu, gdy musiała prowadzić zajazd i jednocześnie opiekować się chorym. - Był najdzielniejszym i najlepszym człowiekiem na świecie. I tak

nieodłącznie związanym z zajazdem, że ciągle jeszcze wydaje mi się, iż w każdej chwili może stanąć w drzwiach pokoju albo przeciągnąć palcem po meblach, żeby sprawdzić, czy nie ma na nich kurzu.

Roman milczał, zastanawiając się nie tylko nad tym, co Charity powiedziała, ale i nad tym, co pominęła. Widział w jej dokumentach adnotację: ojciec nieznany. Trudna sytuacja, szczególnie w małej miejscowości. Ostatnie sześć miesięcy choroby dziadka pociągnęło za sobą takie wydatki na leczenie, że zajazd stanął na skraju bankructwa. Nie wspomniała o tym ani słowem; nie zauważył także u niej najmniejszych oznak zgorzknienia.

- Czy nie myślałaś nigdy, żeby sprzedać zajazd i przeprowadzić się w inne strony?

- Nie. Nadal od czasu do czasu marzę o Wenecji. Jest wiele miejsc na świecie, które chciałabym odwiedzić, ale pod warunkiem, że potem mogłabym wrócić tutaj. - Wstała, żeby przynieść mu następne piwo. - Kiedy prowadzi się taki zajazd, spotyka się ludzi ze wszystkich stron świata. Słyszysz się opowieści o przeróżnych miejscach.

- To ci zastępuje podróże?

Te słowa sprawiły jej przykrość, może dlatego, że były prawdziwe.

- Możliwe. - Postawiła butelkę przy łokciu Romana i odniosła swoje nakrycie do zlewu. Najeżyła się, choć zdawała sobie sprawę, że jest przeczulona na tym punkcie. - Niektórzy z nas muszą być nudziarzami.

- Wcale nie powiedziałem, że jesteś nudna.

- Nie? Sądzę, że muszę wydawać się nudna komuś, kto nigdzie nie zagrzewa miejsca i włóczy się po całym świecie. Taka zasiedziała, prosta, naiwna prowincjuszka.

- Bądź łaskawa nie wkładać cudzych słów w moje usta.

- Muszę cię wyręczać, bo z ciebie każde słowo trzeba wyrywać siłą. Zgaś światło, jak będziesz wychodził.

Złapał ją za rękę, żeby nic uciekła z kuchni, i niemal natychmiast tego pożałował. Stało się. Bliskość Charity natychmiast wywołała reakcję łańcuchową. Aż się palił, by robić z nią rzeczy, o których żadne z nich nie zapomniałoby do końca życia.

- Dlaczego się rozzłościłaś?

- Nie wiem. Najwyraźniej nie mogę rozmawiać z tobą dłużej niż dziesięć minut i nie wpaść we wściekłość. A ponieważ zwykle nic miewam problemów w kontaktach z ludźmi, więc podejrzewam, że to twoja wina.

- Zapewne masz rację.

Uspokoila się trochę. To naprawdę nie jego wina, że nigdzie nie wyjeżdżała.

- Spędziłaś tu niespełna czterdzieści osiem godzin, a już trzy razy się z tobą pokłóciłam. To mój rekord życiowy.

- Ja nie prowadzę takiej statystyki.

- Nie wierzę. Podejrzewam, że o niczym nie zapominasz. Byłeś policjantem?

Wiele wysiłku kosztowało Romana zachowanie kamiennej twarzy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Powiedziałeś, że nie jesteś artystą. Takie było moje pierwsze wrażenie. - Odprężyła się, choć Roman nie wypuszczał jej ręki z dłoni. Nie potrafiła zbyt długo się gniewać. - Patrzysz na ludzi w taki sposób, jakbyś notował w myślach ich rysopis, próbując zauważyć znaki szczególne. Czasami wydaje mi się, że zaraz poddasz mnie przesłuchaniu. Może jesteś pisarzem? Hotelarze zazwyczaj nieźle potrafią określić zawód gościa.

- Tym razem nie trafiłaś.

- W takim razie powiedz, kim jesteś.

- W tej chwili złotą rączką. Wzruszyła ramionami.

- Następną cechą ludzi zajmujących się hotelarstwem jest szacunek dla cudzej prywatności.

Jeżeli okażesz się seryjnym mordercą. Mae będzie mi tym suszyć głowę do końca życia.

- Zasadniczo zwykłem mordować tylko jedną osobę naraz.

- To dobra wiadomość - zażartowała, ale poczuła niepokój, że być może tym razem powiedział prawdę. - Nadal mnie trzymasz za rękę.

- Wiem.

- Mam cię prosić o pozwolenie odejścia? - Próbowała zapanować nad głosem.

- Nie trudź się.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Czego chcesz, Romanie?

Wstał. Instynktownie zrobiła krok do tyłu.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Też tak sędzę. - Wolną rękę wsunął w jej włosy. Były tak miękkie, jak sobie wyobrażał, i tak gęste. - Wolę żałować tego, co zrobiłem, niż tego, czego nie zrobiłem.

- Ja wołałabym w ogóle niczego nie żałować.

- Za późno. - Charity głośno nabrała powietrza, kiedy przyciągnął ją do siebie. - Tak czy inaczej, oboje będziemy żalowali.

Celowo był wobec niej szorstki. Potrafił okazywać czułość, choć bardzo rzadko to robił. Charity położyła Romanowi dłoń na piersi w odruchowym geście protestu. Nie odpychała go jednak, choć przewidywał, że będzie próbowała z nim walczyć. Odpowiadała na mocny, niemal brutalny pocałunek z namiętnością łagodzoną nieco przez uległość.

Miał kompletną pustkę w głowie. To było przerażające doświadczenie dla człowieka, który starał się kontrolować w każdej sytuacji. Zakończył pocałunek. Dla własnego, a nie dla jej dobra.

Miał doskonale rozwinięty instynkt samozachowawczy. Oddychał szybko, urywanie. Próbował zmusić się, by ją puścić, zrobić krok do tyłu i odejść, ale stał w miejscu jak wmurowany.

Zaklął w duchu w ostatniej, daremnej próbie wyrwania się spod uroku Charity i... jego usta znów spoczęły na jej wargach. To wcale nie zaprowadzi go do nieba. Zmierzał prostą drogą do piekła.

Charity pragnęła dać mu ukojenie, ale Roman jej na to nie pozwolił. Jak poprzednio pociągnął ją za sobą w namiętność, zapomniawszy o wszystkim poza pożądaniem.

Jego wargi były nieustępliwe. Bez wahania otworzyła się przed nim, skwapliwie przyjmowała to, co zechciał jej ofiarować i wspaniałomyślnie dawała wszystko, czego zażądał.

Oparła się plecami o gładką, chłodną powierzchnię lodówki, przyparta do niej przez szczupłe, muskularne męskie ciało. Gdyby to było możliwe, przyciągnęłaby go jeszcze bliżej.

Szorstka od zarostu twarz Romana drażniła jej skórę, powodując rozkoszny dreszcz, jakiego Charity jeszcze dotąd nie знаła. Roman jęknął i jeszcze bardziej pogłębił pocałunek.

Zapagnęła jego dotyku. Chciała mu o tym powiedzieć, szepnąć prosto w usta, wyrazić tę nową, nieznaną dotychczas potrzebę, ale zdołała wydobyć z siebie tylko gardłowy pomruk. Całe jej ciało pulsowało tęsknotą za spełnieniem.

Roman oderwał się od Charity, bo zrozumiał nagie, że znalazł się niebezpiecznie blisko granicy, której nie wolno mu przekroczyć.

- Idź do łóżka, Charity.

Nie ruszyła się z miejsca. Bała się, że gdyby spróbowała zrobić krok, kolana by się pod nią ugięły. Roman stał nadal tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Kiedy spojrzała mu w oczy, rozumiała, że jest znowu równie chłodny i niedostępny jak zwykle.

- Tak po prostu?

Słyszał w jej głosie ból i pragnął wierzyć, że sama była sobie winna. Wyciągnął rękę po piwo, ale szybko z niego zrezygnował, gdy zauważył jej drzenie. Zrozumiał, że powinien jak najszybciej wyprawić tę dziewczynę z kuchni. Zanim znowu po nią sięgnie.

- Nie jesteś odpowiednią kobietą na szybki numer na kuchennej podłodze.

- Istotnie. - Charity odetchnęła głęboko i odsunęła się. Zawsze odważnie stawiała czoło rzeczywistości, nawet tej niezbyt przyjemnej. - Czy tylko na tyle mogłabym liczyć, Romanie?

Zacisnął dłonie.

- Tak - odparł. - A na co innego?

- Rozumiem. - Nie odrywała wzroku od jego twarzy i szczerze żałowała, że nie potrafi go zniecierpliwiać. - Żal mi ciebie.

- Niepotrzebnie.

- Nie przejmuj się moimi uczuciami. Romanie. Zastanów się nad własnymi. Naprawdę mi

cię żal. Niektórzy ludzie tracą rękę, nogę czy oko. Muszą uporać się z tą stratą, w przeciwnym razie popadną w rozgoryczenie. Nie wiem, jaką stratę ty poniosłeś, bo nie widać jej gołym okiem, ale musiała cię spotkać tragedia. - Roman milczał. Charity nie spodziewała się odpowiedzi. - Nie zapomnij zgasić światła.

Po jej odejściu zaczął szukać zapalek. Musiał zapalić, żeby odzyskać panowanie nad myślami - i rękami - zanim będzie mógł przystąpić do przeszukania biura.

Niemal dwie godziny później przeszedł kilkaset metrów, żeby skorzystać z aparatu telefonicznego na najbliższej stacji benzynowej. Droga była pusta, niewielka miejscowość tonęła w ciemnościach. Zerwał się wiatr, niosąc zapach deszczu. Roman miał nadzieję, że nie rozpada się przed jego powrotem do zajazdu.

Wystukał numer i przez chwilę czekał na połączenie.

- Conby.

- DeWinter.

- Późno dzwonisz.

Roman nie zawracał sobie głowy patrzeniem na zegarek. Wiedział, że na Wschodnim Wybrzeża jest trzecia nad ranem.

- Obudziłem cię?

- Czy mam rozumieć, że udało ci się wkręcić?

- Tak, dzięki przygotowanej przez nasze służby wygranej na loterii dla miejscowego majster - klepki. Pod pretekstem remontu mogę dostać się do wszystkich pomieszczeń. Panna Ford jest... bardzo ufna.

- Takie otrzymałem informacje. Łatwowierność nie jest równoznaczna z brakiem ambicji. Masz coś?

Okropne poczucie winy, pomyślał Roman, zapalając zapalając zapalając. Wyjątkowo paskudne.

- Jej mieszkanie jest czyste. - Zamilkł i przytknął płomień do papierosa. - Obecnie w zajazdzie nocuje grupa turystów, przeważnie Kanadyjczyków. Znalazłem trochę pieniędzy z wymiany walut. Nie więcej niż setkę.

- To za mało, żeby interes się opłacał - oznajmił jego rozmówca po krótkiej przerwie.

- Wziąłem z biura listę gości hotelowych. Mam nazwiska i adresy.

Nastąpiła kolejna, nieco dłuższa przerwa i ze słuchawki zaczęły dobiegać odgłosy świadczące, że rozmówca sięgnął po przybory do pisania.

- Dyktuj.

Roman odczytał wszystkie nazwiska z listy, którą wcześniej skopiował.

- Przewodnikiem grupy jest Block. Przyjeżdża regularnie raz w tygodniu i zostaje na jeden bądź dwa noclegi, w zależności od wybranej przez grupę trasy.

- To wycieczki turystyczne. - Tak.

- Mamy tam swojego człowieka. Ty skoncentruj się na tej Ford i jej personelu. - Roman słyszał, jak długopis Conby'ego postukuje o notatnik. - Muszą mieć współnika w ośrodku, inaczej nie mogliby tego zorganizować. Ona pasuje najlepiej.

- Nie pasuje.

- Słucham?

Roman zgasił papierosa obcasem.

- Powiedziałem, że nie pasuje. Dokładnie ją prześwieciłem. Ma nie więcej niż trzy tysiące na rachunku bieżącym. Nadwyżki finansowe przeznaczają na rozbudowę i utrzymanie ośrodka.

- Rozumiem. Myślisz, że nasza panna Ford nigdy nie słyszała o kontaktach w banku szwajcarskim?

- Powiedziałem ci już, że to nie ten typ, Conby. To fałszywy trop.

- Ja tu jestem od wyznaczania kierunków śledztwa, DeWinter. Ty masz własną robotę. Nie muszę ci chyba przypominać, że rozwikłanie tej sprawy zajęło nam prawie rok. Biuro chce zakończyć ją jak najprędzej i tego właśnie od ciebie oczekuję. Jeśli masz jakieś problemy osobiste, powiedz mi o tym od razu.

- Nie. - Roman wiedział doskonale, że osobiste problemy były w tej pracy niedopuszczalne.

- Jeśli nie szkoda ci czasu i pieniędzy na telefony, to proszę bardzo, mnie nie zależy. Odezwę się do ciebie.

- Czekam.

Roman odwiesił słuchawkę. Wykrzywił się szpetnie do aparatu i dla poprawienia nastroju wyobraził sobie minę wyrwanego z najgłębszego snu Conby'ego. Takim jak on rzadko się to zdarzało. Pewnie zerwie biednego urzędniczynę z łóżka o szóstej rano, każe mu przepuścić podyktowaną przez Romana listę przez komputerową bazę danych, a sam zasiądzie z poranną kawą przed telewizorem, obejrzy program „Today” i poczeka na wyniki w swym komfortowym domu na przedmieściach Waszyngtonu.

Pracę w terenie i brudną robotę zostawiał innym.

W taki sposób były prowadzone dochodzenia, uświadomił sobie Roman, ruszając w drogę powrotną do zajazdu. Ostatnio miał tego coraz bardziej dosyć.

Kiedy Charity usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, spojrzała na zegarek. Minęła pierwsza. Deszcz zaczął padać mniej więcej pół godziny temu i wszystko wskazywało na to, że w ciągu nocy przybierze na siłę.

Zachodziła w głowę, dokąd Roman chodził.

To jego rzecz, powiedziała sobie wreszcie w duchu, i odwróciła się na drugi bok w nadziei, że monotonny szum deszczu ukołysze ją do snu. Dopóki rzetelnie wypełniał swoje obowiązki, mógł

chodzić, gdzie chciał i robić, co chciał. Jeżeli lubił spacerować w deszczu, to nie jej sprawa.

Jej matka zakochała się w obieżyświacie, we włóczędze, któremu oddała duszę i ciało. Zaszła w ciążę i została sama. Charity wiedziała, że matka miesiącami czekała na jego powrót. Zmarła w szpitalu kilka dni po urodzeniu dziecka. Zdradzona, porzucona, zhańbiona.

Charity poznała cały bezmiar jej wstydu dopiero po śmierci dziadka. Odkryła schowany przez niego pamiątnik matki. Spaliła go po przeczytaniu, nie ze wstydu, lecz z litości. Zawsze już myślała o matce jako o kobiecie, która przez całe życie szukała miłości i nigdy jej nie znalazła.

Ale ona nie przypomina matki, powtarzała sobie, leżąc bezsennie w łóżku i wsłuchując się w szum deszczu. Była mniej wrażliwa i silniejsza. Choć także w jej życiu pojawił się włóczęga.

Roman mówił, że mogłaby tego pożałować. Charity bała się, że niezależnie od tego, co się między nimi wydarzy - bądź nie wydarzy - będzie miała powody do żalu.

ROZDZIAŁ 4

Deszcz siąpił przez cały ranek. Przyniósł ze sobą ochłodzenie i ponury nastrój, który udzielił się wszystkim. Chmury wisiały tuż nad wodą, nadając okolicy różne odcienie szarości. Krople bębniły w dach i w okna; od czasu do czasu zrywał się wiatr i łomotał okiennicami.

Wczesnym rankiem Roman obserwował, jak Charity, okutana w nieprzemakalną kurtkę z kapturem, wyszła na codzienny spacer z Ludwigiem. Widział, jak wróciła po czterdziestu minutach, kompletnie przemoczona. Weszła do domu kuchennymi drzwiami i po chwili z jej pokoju zaczęły dobiegać dźwięki muzyki. Wybrała spokojny, melodyjny utwór, w którym dominowały skrzypce. Romanowi zrobiło się żal, gdy muzyka umilkła.

Do jego pokoju na piętrze nie docierały odgłosy z kuchni, ale bez trudu wyobraził sobie panujące tam zamieszanie. Mae i Dolores sprzeczały się pewnie o wafle czy drożdżówki. Charity, jak zwykle, wypła w przelocie łyk kawy i pobiegła, aby pomóc kelnerkom przy nakrywaniu do stołu. I oczywiście wykaligrafowała na tablicy jadłospis.

Miała jeszcze wilgotne włosy po długim spacerze w deszczu, ale spokojnym głosem łagodziła codzienne narzekania Dolores. Kiedy pierwsi goście, zejdą na śniadanie, powita ich serdecznym uśmiechem, zwróci się do każdego po imieniu i sprawi, że wszyscy poczują się jak w domu najlepszego przyjaciela.

Czy rzeczywiście jest osobą tak prostolinijną, na jaką wygląda? Z jednej strony bardzo chciał, żeby okazało się to prawdą. Z drugiej jednak uważał, że to niemożliwe. Każdy człowiek ukrywał coś przed światem. Od panienci na poczcie, która marzy o karierze urzędniczki, po rekina finansjery, który planuje rozkręcenie kolejnego interesu. Dlaczego ona miałaby być inna?

Poza tym, jak to możliwe, że kobieta o spokojnych oczach i łagodnym głosie zapłonęła nagle tak gwałtowną namiętnością? Może udawała?

Roman zirytował się. Do furii doprowadzała go własna bezradność wobec emocji, jakie wyzwalala w nim bliskość Charity. *To* w pełni zrozumiale, że wydawała mu się pociągająca. Prowadził samotne, burzliwe życie. Oczywiście sam je sobie wybrał, bo właśnie to mu odpowiadało. Nic jednak dziwnego, że frapowała go kobieta reprezentująca wszystko, czego był zawsze pozbawiony. I czego nigdy nie pragnął, uprzytomnił sobie jasno, przybijając odstający gzyms.

Postanowił przeczekać poranny rozgardiasz. Kiedy Charity zajmie się pracą biurową, on zejdzie do kuchni i poprosi Mae o śniadanie. Ta kobieta nie miała do niego za grosz zaufania, a szkoda. Uznał, że wiedziała bardzo dużo o funkcjonowaniu zajazdu. Roman nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Tak. powinien spróbować oczarować Mae. Dzięki temu będzie mógł ograniczyć kontakty z Charity. Na pewien czas.

- Mizernie dziś wyglądasz.

- Bardzo ci dziękuję - odparła Charity, tłumiąc ziewnięcie, i nalala sobie kolejną filiżankę kawy, „Mizernie” to niewłaściwe określenie. Była kompletnie wykończona. Po zaledwie orzech godzinach snu jej ciało odmawiało posłuszeństwa. Mogła podziękować za to Romanowi, pomyślała i odsunęła od siebie filiżankę.

- Siadaj. - Mae wskazała głową miejsce przy siole.

- Usmażę ci jajecznicę.

- Nie mam czasu. Ja...

- Siadaj - powtórzyła Mae, machając w powietrzu drewnianą łyżką. - Powinnaś dodać sobie energii.

- Mae ma rację - poparła ją Dolores. - Człowiek nie może funkcjonować wyłącznie na kawie. Potrzebuje protein i węglowodanów. - Położyła na stole jagodziankę.

- Gdybym nie dbała o systematyczne dostarczanie organizmowi protein, byłabym słaba jak niemowlę. Oczywiście lekarze nie chcą mi tego powiedzieć, ale jestem pewna, że cierpię na hydroglikemię.

- Hipoglikemię - poprawiła Charity.

- Właśnie. - Dolores wyraźnie podobało się brzmienie tego słowa. Troska o stan zdrowia Charity wydawała jej się równie ważna jak dbałość o własną kondycję. - Powinnaś dodać parę plasterków chrupiącego bekonu, Mae. Takie jest moje zdanie.

- Już się robi.

Przegłosowana Charity usiadła potulnie przy stole. Te kobiety całymi dniami darły ze sobą koty, ale kiedy jednoczyły się we wspólnym działaniu, tworzyły monolit nie do pokonania.

- Nie jestem wcale mizerna - zaoponowała. - Po prostu nie najlepiej spałam w nocy.

- Ciepła kąpiel przed snem - poradziła jej Mae, pilnując skwierczącego na patelni bekonu. - Nie gorąca, podkreślam. Letnia.

- Z solami kąpielowymi. Bez piany i olejków zapachowych - dodała Dolores, nalewając szklankę soku. - Nie ma to jak stare, dobre sole *do* kąpeli. Prawda. Mae?

- Nie zawadzą - burknęła Mae, tak przejęta troską o Charity, że zapomniała o kłótniach z Dolores. - Za ciężko pracujesz, dziewczyno.

- To prawda - zgodziła się z nią Charity, bo tak było najłatwiej. - Nie mam czasu, żeby usiąść i spokojnie zjeść śniadanie, bo muszę znaleźć nową kelnerkę, by w przyszłości już tak ciężko nic pracować. Dałam ogłoszenie do dzisiejszej gazety porannej, więc zaraz zaczną się telefony.

- Kazałam Bobowi wycofać to ogłoszenie - oznajmiła Mae, wbijając jajko na patelnię.

- Co?! Dlaczego? - uniosła się Charity. - Do licha, Mae! Jeśli sądzisz, że przyjmę na powrót Mary Alice po tym, jak...

- Nic podobnego. I nie krzycz na mnie, moja panno.

- Jaka drażliwa. - Dolores mlasnęła językiem z dezaprobatą. - Tak bywa, kiedy człowiek za ciężko pracuje.

- Przepraszam, Mae, ale zamierzałam przez kilka najbliższych dni przeprowadzić wstępne rozmowy ze zgłaszającymi się kandydatkami, żeby pod koniec tygodnia przyjąć kogoś do pracy.

- Moja bratanica porzuciła wreszcie swojego męża nicponia i wróciła z Toledo do domu. - Odwrócona plecami do Charity, Mae podniosła bekon, żeby obciekł z tłuszczu, zanim położy go na jajkach. - Dobra dziewczyna z tej Bonnie. Przez kilka lat, kiedy jeszcze chodziła do szkoły, pracowała tutaj w czasie wakacji.

- Tak, pamiętam. Wyszła za męża za muzyka występującego w jednym z kurortów.

Mae skrzywiła się i zaczęła nakładać jajka.

- Saksofonista - powiedziała, jakby to tłumaczyło wszystko. - Zmęczyło ją życie w wiecznych rozjazdach i kilka tygodni temu wróciła do domu. Rozgląda się za pracą.

Charity westchnęła i przeczesała palcami grzywkę.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Bo wcześniej nie potrzebowałam nikogo do pracy. - Mae postawiła talerz przed Charity. - Teraz to się zmieniło.

- Kiedy Bonnie mogłaby zacząć?

Mae uśmiechnęła się i z jeszcze większą energią zaczęła polerować już i tak błyszczącą powierzchnię kuchenki.

- Powiedziałam jej, żeby przyszła dziś po południu. Będziesz mogła się jej przyjrzeć. I wcale nie wymagam, żebyś ją zatrudniła, jeżeli nie spełni twoich oczekiwań.

- W takim razie zgoda. - Charity wzięła do ręki widelec Zadowolona, że jedna z pilnych

spraw już została załatwiona, wyciągnęła nogi pod stołem i oparła stopy o stojące naprzeciwko krzesło. - Okazuje się, że mam jednak czas, żeby spokojnie zjeść śniadanie.

Roman pchnął wahadłowe drzwi i o mało nie zaklął na głos. Był przekonany, że w kuchni nie zastanie Charity, a tymczasem siedziała przy stole i zjadała śniadanie. Na jego widok uśmiech zniknął z jej twarzy. Opuściła nogi i usiadła prosto, po czym wróciła do jedzenia. Roman zrezygnował ze śniadania w kuchni i z pogawędki z kucharkami. Postanowił zadowolić się kawą.

- Zastanawiałam się, co się z tobą dzieje - odezwała się Mae i ponownie sięgnęła do lodówki po bekon.

- Nie chcę ci zawracać głowy - powiedział Roman. - Pomyślałem, że wezmę kubek kawy na górę.

- Musisz przecież coś zjeść. - Dolores nakryła dla niego do stołu naprzeciwko Charity. - Prawda, Mae? Człowiek nie powinien brać się do roboty bez porządnego śniadania.

Mae nalala kawy do kubka.

- On wygląda na takiego, co może pracować i z pustym brzuchem.

Święta prawda, pomyślała Charity. Wiedziała, że późno wrócił do zajazdu, a kiedy schodziła na dół, by zająć się śniadaniem, już był na nogach. Na pewno nie spał dłużej niż ona, ale nie wyglądał na zmęczonego.

- Wyżywienie jest częścią twojej zapłaty, Romanie - zauważyła Charity oficjalnym tonem. Straciła apetyt, ale wzięła do ust kawałek bekonu. - Jestem pewna, że Mae zostało jeszcze trochę naleśników, jeżeli wolisz je od jajek.

- Z przyjemnością zjem jajka - oznajmił, ale nie usiadł przy stole. Tym razem nie wyczuwał w kuchni ciepłej, przyjaznej atmosfery, która zwykle tu panowała. Oparł się o blat też przy przygotowującej mu śniadanie Mae i sączył kawę.

Charity udawała, że nie widzi karcącego spojrzenia Dolores. Nie mogła jednak znieść przedłużającego się, pełnego napięcia milczenia.

- Mae, przygotuj na popołudnie ciasteczka i kanapki do herbaty. Pewnie deszcz będzie padał przez cały dzień i trzeba zorganizować w salonie tańce. - Śniadanie coraz mniej ją nęciło, więc wyjęła z kieszonki koszuli notes. - Jeżeli podamy tacę z serami, to powinno wystarczyć pięćdziesiąt kanapek. Przygotujemy termos herbaty i drugi z gorącą czekoladą.

- Na którą?

- Chyba na trzecią. O piątej podamy wino dla wszystkich, którzy jeszcze będą w salonie. Twoja bratanica może od razu włączyć się do pomocy.

Charity zapisała coś w notesie.

Roman zauważył, że jest przemęczona. Błada, z podkrążonymi oczami, wyglądała zadziwiająco krucho. Niezbyt starannie związała wilgotne włosy w koński ogon i kilka kosmyków

wysunęło się z gumki. Zapraǳnął odgarnąć je ze skroni Charity i przywrócić żywy kolor jej policzkom.

- Dokończ jajecznicę - nakazała Mae. Potem zwróciła się do Romana: - Twoje śniadanie też już gotowe.

- Dziękuję. - Usiadł przy stole, choć nie mniej niż Charity pragnął znaleźć się na drugim końcu świata.

- Podaj mi sól - poprosił Roman.

Charity przesunęła solniczkę w jego stronę. Ich palce otarły się leciutko o siebie i Charity gwałtownie cofnęła rękę.

- Dziękuję.

- Proszę. - Zanurzyła widelec w jajecznicę. Wiedziała, że nie zdoła uciec z kuchni, póki nie opróżni talerza do czysta. Postanowiła więc zrobić to jak najszybciej.

- Ładny dziś dzień - zagaił Roman, żeby zmusić Charity, by znowu na niego spojrziała. Zrobiła to i w jej oczach dostrzegł gniewny błysk. Wolał jednak to niż poprzednią chłodną uprzejmość.

- Ja lubię deszcz.

- Toteż właśnie powiedziałem - przypomniał, łamiąc bułkę - że ładny dziś dzień.

- Farby do sufitu, ścian i stolarki są w magazynie w piwnicy. Wszystkie puszki podpisane, więc nie będziesz miał problemów z ustaleniem, która farba do którego pokoju - poinformowała Charity.

- Dobrze.

- Pędzle, rolki i inne potrzebne rzeczy też tam znajdziesz. Wszystko leży na stole po prawej stronie od schodów.

- Znajdę.

- Dobrze. W domku numer cztery cieknie kran.

- Rzucę na to okiem.

Wolałaby, aby nie przyjmował poleceń z niewzruszonym spokojem. Chciałaby, żeby był równie spięty i wytrącony z równowagi jak ona.

- W apartamencie numer dwa we wschodnim skrzydle skrzypi okno.

- Naprawię - zapewnił.

- Świetnie.

Zauważyła nagle, że Dolores przestała zrzędzić i gapi się na nią szeroko otwartymi oczami. Nawet pochyłona nad makutrą Mae zmarszczyła czoło z dezaprobatą. Charity odsunęła talerz. Uświadomiła sobie, że wydawała Romanowi rozkazy niczym sierżant rekrutowi.

Wyjęła z kieszeni pęk kluczy. Wzięła go rano, bo zamierzała drobniejsze naprawy wykonać

osobiście.

- Nie zapomnij odnieść ich do biura, jak skończysz. Przy każdym jest karteczka, do których drzwi pasuje.

- Dobrze, proszę pani. - Roman wsunął pęk kluczy do kieszeni na piersi, nie przestając patrzeć Charity w oczy.

- Coś jeszcze?

- Dam ci znać. - Wstawiła talerz do zlewa i wyszła z kuchni.

- Co w nią wstąpiło? - zainteresowała się Dolores. - Wyglądała, jakby chciała urwać komuś głowę.

- Źle spała - Mae nie chciała przyznać, jak bardzo zmartwiło ją zachowanie Charity. Czowała się trochę niezręcznie, jak matka nieznośnego dziecka, które znów zrobiło komuś przykrość.

Odstawiła miskę, w której ucierała masło z cukrem, Wzięła dzbanek z kawą i podeszła do Romana.

- Charity nie była dziś sobą - wyjaśniła i nalała mu drugą filiżankę. - Ostatnio jest bardzo przepracowana.

- Mam dość grubą skórę - zbagatelizował sprawę, choć czuł się dotknięty. - Może powinna część obowiązków przekazać innym.

- Ona?! - Mae poczuła ulgę, że Roman nie narzeka.

- To wbrew jej naturze. Czuje się osobiście odpowiedzialna, jeżeli któryś z gości uderzy się w palec. Jest taka sama jak jej dziadek. - Wrzuciła do maktury laskę wanilii i wróciła do ucierania. - Do wszystkiego musi przyłożyć rękę, a najchętniej obie, i to aż po łokcie. Oczywiście poza gotowaniem. - Szeroka twarz Mae zmarszczyła się w uśmiechu. - Przepędzałam ją z kuchni, kiedy była mała, a i teraz przepędzę, jeśli będzie trzeba.

- Dziewczyna nie umie nawet ugotować wody, żeby nie spalić garnka - wtrąciła Dolores.

- Umiałyby, gdyby chciała. - Ujęła się za podopieczna Mae, odwróciła się do Romana i prychnęła. - Od tego ma mnie i jest dość bystra, by zdawać sobie z tego sprawę. Do wszystkiego innego, od malowania ganku po gromadzenie księgozbioru, musiała wtrącić swoje trzy grosze. Poczująca się do odpowiedzialności.

Roman postanowił skorzystać z okazji i pociągnąć kucharkę za język.

- To cecha godna szacunku. Od dawna dla niej pracujesz?

- W czerwcu będzie dwadzieścia osiem lat, jak tu jestem. Ona jest tu dopiero od ośmiu. -

Wskazała ruchem głowy Dolores.

- Od dziewięciu - sprostowała Dolores. - W tym miesiącu minie dziewięć.

- Wygląda na to, że kto zacznie tu pracować, zostaje na stałe.

- Strzeliłeś w dziesiątkę - potwierdziła Mae.

- Wobec tego zajazd ma lojalny, pracowity personel.

- Przy Charity to nietrudne. - Mae odmierzyła proszek do pieczenia. - Tylko dziś rano była w paskudnym nastroju.

- Rzeczywiście wyglądała na przemęczoną - przyznał Roman. - Może powinna dziś dać sobie spokój z pracą.

- Mało prawdopodobne.

- Wydaje się, że wszystko w gospodarstwie idzie jak w zegarku.

- Ona zawsze potrafi sobie znaleźć jakieś łóżko do pościelenia.

- Bob doskonale sobie radzi z księgowością.

- Ale ona i tak wtyka nos do wszystkich ksiąg i sprawdza każdą kolumnę. - W głosie Mae zabrzmiała niekłamana duma. Wsypała mąkę do miski. - To nie oznacza, że nie ufa swoim pracownikom - dodała. - Robi to dla własnego spokoju. Chce mieć pewność, że wszystkie rachunki zostały opłacone w terminie i że nie pomyłono zamówień. W razie błędu miałyby pretensję do siebie, a nie do pracownika.

- I pewnie nic nie umknie jej uwagi.

- Jej uwagi? - Mae parsknęła śmiechem i włączyła mikser. - Ona wie o każdej serwetce, która wróciła z pralni poplamiona. Patrz, gdzie smarkasz! - ofuknęła Dolores, która znów podniosła chusteczkę do twarzy. - Napij się gorącej wody z cytryną.

- Gorącej herbaty z miodem - poprawiła Dolores.

- Z cytryną. Miód zaklei ci gardło.

- Mama zawsze dawała mi gorącą herbatę z miodem - obstawała przy swoim Dolores.

Kiedy Roman wychodził z kuchni, nadal spierały się na ten temat.

Większą część dnia spędził z zachodnim skrzydle. Praca fizyczna pomagała mu w myśleniu. Kilkakrotnie słyszał kroki przechodzącej w pobliżu Charity, ale żadne z nich nie miało ochoty na towarzystwo drugiego. Roman doszedł do wniosku, że z dala od Charity mógł zdobyć się na większy obiektywizm.

Rozmowa z Mae potwierdziła tylko jego spostrzeżenia i otrzymane wcześniej informacje. Charity Ford kontrolowała wszystko, co działo się w zajeździe. Logika wskazywała więc na to, że albo uczestniczyła w przestępczym procederze, albo wręcz nim kierowała.

A jednak... jak powiedział poprzedniej nocy Conby'emu, miał co do udziału Charity poważne wątpliwości.

Robiła wszystko, żeby zajazd prosperował. Nie oszczędzała się. Widywał ją przy najrozmaitszych robotach, począwszy od rozsadzania geranium, na rąbaniu drewna do kominków skończywszy. Ciężka praca najwyraźniej sprawiała jej satysfakcję, chyba że tak udatnie potrafiła udawać zadowolenie.

Nie wyglądała mu na osobę, która marzy o łatwych pieniądzach. Problem w tym, że Conby

opierał się tylko na faktach. Natomiast Roman ufał instynktowi. Został tu przysłany, by udowodnić winę Charity, nie jej niewinność, tymczasem wystarczyły zaledwie dwa dni, żeby zmienić nastawienie.

Nie chodziło o to, że podejrzana okazała się bardzo atrakcyjną kobietą. Wielokrotnie bez skrpułów pograżał piękne kobiety. Chodziło o sprawiedliwość, w którą Roman DeWinter wierzył bez zastrzeżeń.

Musiał być pewny, że uczucia, jakie w nim budziła Charity, nie miały wpływu na jego wnioski. W pracy człowiek nie mógł dopuścić, by powodowały nim emocje.

Skąd się wzięło jego przekonanie o niewinności Charity? Po namyśle doszedł do wniosku, że ta dziewczyna, jej zajazd i panująca tu atmosfera tworzyły nierozzerwalną całość. Bardzo chciał wierzyć, iż tacy ludzie i takie miejsca istnieją naprawdę.

Postanowił zrobić sobie chwilę odpoczynku zarówno od pracy, jak i od męczących rozważań.

W salonie Charity położyła stertę płyt na stoliku przed panną Millie i panną Lucy.

- Jaki uroczy pomysł! - Panna Lucy poprawiła okulary i przyjrzała się naklejkom. - Staromodna herbatka tańcząca. - Z jednego z apartamentów we wschodnim skrzydle dochodziło monotonne zawodzenie dziecka. Panna Lucy spojrzała w tamtą stronę ze współczuciem. - Jestem pewna, że wszyscy chętnie wezmą w niej udział.

- W deszczowy dzień młodzi ludzie nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Wpadają w chandrę. O, spójrz! - Panna Millie wzięła do ręki płytę na 45 obrotów. - Rosemary Clooney. Czy to nie rozkoszne?

- Wybierzcie swoje ulubione płyty, - Charity patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jak mogła myśleć o zabawie, skoro ciągle miała przed oczami spojrzenie, jakim obrzucił ją rano siedzący naprzeciw niej przy stole Roman? - Zostawiam to wam.

Długi bufet i mały podręczny stoliczek zostały opróżnione, żeby zrobić miejsce na zakąski i napoje chłodzące. Jeśli mogła ufać Mae - a zawsze dotąd mogła - to lada chwila przyśle z kuchni smakowity poczęstunek.

Ciekawe, czy Roman przyjdzie. Może usłyszy muzykę i wślizgnie się po cichu do salonu? Może spojrzy na nią tak, że Charity zapomni o całym świecie?

Chyba zaczyna wariować. Spojrzała na zegarek Za kwadrans trzecia. Goście zostali zawiadomieni i przy odrobinie szczęścia wszystko powinno być już gotowe, gdy zaczną się schodzić. Panie dyskutowały gorąco o Perrym Como. Charity nie włączyła się do rozmowy, tylko zaczęła ciągnąć kanapę.

- Co robisz?! Charity aż podskoczyła.

- Jeśli nadal będziesz poruszać się jak duch, Romanie, zacznę po ważniej rozważać sugestię

Mae, że jesteś włamywaczem.

- Po prostu sapałaś tak głośno, że nie słyszałaś moich kroków.

- Wcale nie sapałam. Jestem zajęta więc bądź tak dobry i zejdz mi z drogi...

Zrobiła raki ruch ręką jakby chciała go przepędzić, ale Roman złapał ją mocno za przegub.

- Zapytałem, co robisz.

Charity próbowała wyrwać mu rękę i równocześnie zapanować nad złością. Jeśli Roman chce się kłócić, myślała, to ona z prawdziwą przyjemnością uczyni zadość jego pragnieniom.

- A jak sadzisz? Przesuwam kanapę.

- Nic z tego.

Charity potrafiła w razie potrzeby zrobić wyniosłą minę.

- Słucham?

- Powiedziałem, że nie przesuniesz kanapy. Jest za ciężka.

- Dziękuję za troskę, ale przesunęłam już ją w przeszłości. - Ściszyła głos, bo zaważyła, że starsze panie rzucają jej zaciekawione spojrzenia. - Jeśli zejdziesz mi wreszcie z drogi, przesunę ją znowu.

Roman ani myślał się ruszyć.

- Naprawdę musisz wszystko robić sama?

- O co ci chodzi?

- Gdzie twój asystent?

- Pojawił się problem z komputerem. Bob zna się na tym lepiej ode mnie, więc on użera się z oprogramowaniem, a ja przesuwam meble. A teraz....

- Gdzie to ma stanąć?

- Nie prosiłam cię o...

- Pytałem, gdzie chcesz to przesunąć. - Roman złapał już za drugi koniec kanapy.

- Pod ścianę.

- Co jeszcze?

Charity przyglądała spódnicę.

- Dałam ci przecież listę zadań na dzisiaj.

Stali nadal po przeciwnych korkach kanapy. Roman włożył ręce do kieszeni, żeby nie ulec pokusie wzięcia Charity w ramiona.

- Już wszystko zrobiłem.

- Kran w czwórce?

- Wymieniłem uszczelkę.

- Okno w dwójce?

- Dopasowałem.

- Malowanie? - Charity zaczynała już tracić cierpliwość.

- Pierwsza warstwa farby musi wyschnąć. - Przechylił głowę na bok. - Chcesz sprawdzić?

Charity wypuściła z płuc powietrze. Nie mogła się na niego złościć, skoro wykonał wszystkie zlecenia.

- Jesteś cholernie wydajny w pracy, DeWinter.

- Zgadza się. Złapałaś oddech ?

- Co masz na myśli?

- Dziś rano wyglądałaś na przemęczoną. - Przesunął wzrokiem po sylwetce Charity. Ciemna, śliwkowa suknia sięgała do kostek. Rząd malutkich srebrnych guziczków ciągnął się od szyi aż do samego dołu i Roman mimowolnie zastanowił się, ile czasu zajęłoby mu ich odpinanie. W uszach Charity błyszczały srebrne, ekscentryczne kolczyki, które zauważył w jej szufladzie, kiedy przeszukiwał pokój. - Teraz nie robisz już wrażenia wyczerpanej - dodał, spoglądając w oczy Charity.

Odetchnęła głęboko, bo uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech od chwili, gdy Roman zaczął się jej przyglądać. Uznała, że nie ma teraz czasu, by pozwolić temu mężczyźnie - czy raczej uczuciom, jakie w niej wyzwał - odrywać się od pracy.

- Jestem zbyt zajęta, żeby odczuwać zmęczenie. - Z ulgą spojrzała na kelnerkę, która ostrożnie schodziła po kilku stopniach z tacą w rękach. - Postaw to na bufecie, Lori.

- Następna partia już idzie.

- Świetnie. Muszę tylko... - Urwała, bo pierwsi zmoknięci goście stanęli w drzwiach salonu. Zrezygnowana odwróciła się do Romana. Skoro i tak nie zamierzał zejść jej z drogi, mogła przynajmniej wykorzystać jego obecność. - Bądź łaskaw zwinąć dywan i wynieść go do zachodniego skrzydła. Potem możesz tu wrócić i wziąć udział w zabawie.

- Dzięki. Może skorzystam.

Zanim Roman zdążył wynieść dywan, Charity przywitała gości, wzięła od nich płaszcze i nastawiła muzykę. W ciągu piętnastu minut zdołała zainicjować ogólną zabawę.

Jakby była do tego stworzona, pomyślał Roman. W naturalny sposób znajdowała się w centrum uwagi i poprawiała ludziom nastrój. Natomiast jego miejsce było na uboczu.

- Panie DeWinter. - Roztaczająca wokół siebie woń bzu panna Millie podała mu filiżankę i spodeczek. - Powinien pan napić się herbaty - Nie ma to jak herbata, by rozproszyć smutek deszczowego dnia.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się do jej zamglonych oczu. Jeżeli nawet ta krótkowzroczna starsza pani zauważyła, że jest w ponurym nastroju, to naprawdę powinien wziąć się w garść.

- Uwielbiam potańcówki. - Westchnęła panna Millie melancholijnie, obserwując kilka par tańczących w rytm bluesowej ballady Clooney. - Kiedy byłam młodą dziewczyną, o niczym innym

nie myślałam. Na jednej poznałam męża. To było prawie pięćdziesiąt lat temu. Tańczyliśmy godzinami.

- Ma pani ochotę zatańczyć?

Słaby rumieniec wypłynął na jej policzki.

- Marzę o tym, panie DeWinter.

Charity przyglądała się, jak Roman prowadzi pannę Millie na parkiet. Ogarnęło ją wzruszenie. Próbowwała znów obudzić w sobie gniew, ale poniosła sromotną klęskę. Zachował się naprawdę sympatycznie. Wątpiła, by herbatki i marzycielskie starsze damy były w jego stylu, ale nie ulegało wątpliwości, że panna Millie długo będzie wspominać tę chwilę.

Każda kobieta zachowałaby w pamięci taniec z przystojnym, tajemniczym mężczyzną w deszczowe popołudnie jak zasuszoną czerwoną różę pomiędzy kartami książki. Z westchnieniem zagoniła gromadkę dzieci do pokoju telewizyjnego i włożyła do magnetowidu taśmę z filmem Disneya.

Roman kątem oka obserwował Charity.

- To było urocze - szepnęła panna Millie, gdy muzyka ucichła.

- Co? - zapytał wyrwany z zamyślenia Roman, ale szybko się poprawił: - Cała przyjemność po mojej stronie. - Dopełnił szczęścia panny Millie, skradając na jej dłoni szarmancki pocałunek. Ale jeszcze zanim odprowadził starszą panią do siostry, już o niej zapomniał i wrócił myślą do Charity.

Ze śmiechem dawała się właśnie prowadzić jakiemuś starszemu panu na parkiet. Muzyka zmieniła się. To był latynoamerykański utwór. Charity wykonywała na parkiecie skomplikowane, szybkie kroki, jakby przez całe życie nie robiła nic innego, tylko tańczyła w taki gorących rytmów.

Spódnica załopotiała, owinęła się wokół nóg i ponownie zafurkotała przy gwałtownym obrocie. Ukłucie zazdrości zirytowało Romana. Czuł się jak głupiec. Mężczyzna, z którym tańczyła Charity, z powodzeniem mógłby być jej ojcem.

Zanim melodia dobiegła końca, Roman zdołał uporać się z zazdrością, ale ustąpiła ona miejsca innemu, równie niepokojącemu uczuciu. Pożądaniu. Pragnął tej kobiety, chciał wziąć ją za rękę i wyprowadzić z tego zatłoczonego pokoju w miejsce, w którym jedynym dźwiękiem byłby monotonny szum deszczu. Marzył, by znów poczuć, jak jej wargi miękną i rozpalają się pod naciskiem jego ust. - Obserwując ją, można się sporo nauczyć, prawda?

Roman drgnął i cofnął się odruchowo, gdy Bob pochylił się nad bufetem, by sięgnąć po leżącą na tacy kanapkę. - Co?

- Charity. Przyglądając się jej w tańcu, można się sporo nauczyć. - Wsunął kanapkę do ust. - Próbowала pokazać mi podstawowe kroki w nadziei, że będę obtańcowywał goszczące u nas panie. Niestety, mam dwie lewe nogi. - Z rozbawieniem wzruszył ramionami i sięgnął po następną

kanapkę.

- Uporałeś się z komputerem?

- Tak. Wystarczyło parę drobnych korekt. - Mały trójkącik chleba zniknął w jego ustach. Roman wyczuł lekkie zdenerwowanie w rytmie wystukiwanym przez palce Boba na ladzie. - Odniosłem takie same sukcesy w przyuczaniu Charity do obsługi komputera, jak ona w przyswajaniu mi samby. Jak ci idzie praca?

- Dość dobrze. - Roman obserwował, jak Bob nalewa sobie herbaty i wrzuca do filiżanki trzy kostki cukru. - Powinienem skończyć wszystko za dwa, trzy tygodnie.

- Na pewno znajdzie ci kolejne zajęcie. - Powędrował spojrzeniem na parkiet, na którym Charity tańczyła fokstrota z kolejnym partnerem. - Ma nowe pomysły na rozwój zajazdu. Ostatnio ciągle mówi o solarium i wannie z masażem wodnym.

Roman zapalił papierosa. Obserwował gości i notował w myślach spostrzeżenia do przekazania Conby'emu. Dwóch mężczyzn sprawiało wrażenie samotnych, chociaż gawędzili z pozostałymi uczestnikami wycieczki. Block stał przy drzwiach z talerzem kanapek, które pochłaniał z zadziwiającą prędkością, uśmiechając się przy tym w przestrzeli, nie do jakiejś konkretnej osoby.

- Zajazd chyba dobrze prosperuje.

- Przyzwóicie. - Bob zainteresował się ciasteczkami. - Parę lat temu pojawiły się pewne problemy, ale Charity udało się je rozwiązać. Nic nie jest dla niej ważniejsze od tego miejsca.

- Nie znam się na hotelarstwie, ale ona chyba jest w tym dobra.

- Ma wszystko w jednym palcu. - Bob zdecydował się na ciasteczko ozdobione różowym lukrem. - Zajazd to ona.

- Od dawna dla niej pracujesz?

- Dwa i pół roku. Ledwo mogła sobie na mnie pozwolić, ale zależało jej na wprowadzeniu zmian, na zmodernizowaniu księgowości. Zapowiedziała, że tchnie w zajazd nowe życie. I zrobiła to.

- Widzę.

- Pochodzisz ze wschodu. - Bob czekał przez chwilę, ale Roman nie zareagował na tę uwagę, - Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Jak długo będzie trzeba. Bob wypił solidny łyk herbaty.

- Jak długo będzie trzeba?

- Dopóki nie skończę pracy. - Roman wskazał oczami zachodnie skrzydło. - Lubię doprowadzać do końca to, co zacząłem.

- Tak. Cóż... - Bob przełożył kilka ciasteczek na talerzyk. - Poczęstuję nimi panie. Mam nadzieję, że podziękują i będę mógł sam je zjeść.

Roman obserwował Boba, który podszedł do Blocka, szepnął mu parę słów i dopiero potem

przeszedł na drugi koniec pokoju. Chciał przez chwilę w spokoju pomyśleć, więc schronił się do zachodniego skrzydła.

Kiedy po pewnym czasie wrócił, z głośników płynęła powolna, melodyjna ballada z lat pięćdziesiątych. W salonie oświetlonym jedynie płonącym na kominku ogniem i okrągłą, szklaną lampką panował półmrok. Goście już się rozeszli, została tylko Charity, która sprzątała.

- Już po zabawie?

- Tak. Nie zostałeś zbyt długo. - Rozejrzała się po pokoju i szybkim krokiem ruszyła po stertę filiżanek i spodeczków.

- Miałem robotę.

- Dziś rano byłam okropnie niewyspana, ale to absolutnie nie usprawiedliwia mojego niegrzecznego zachowania. Bardzo cię przepraszam, jeżeli w ciągu ostatnich kilku godzin nie czułeś się przeze mnie dobrze.

- Praca tutaj to dla mnie przyjemność - odparł Roman, nie zamierzając przyjmować przeprosin, na które nie zasługiwał.

Po tym stwierdzeniu Charity poczuła się jeszcze gorzej.

- Zazwyczaj nie warczę na ludzi, ale byłam na ciebie zła.

- Byłaś?

- Jestem. Ale to mój problem. Prawdę mówiąc, mam przede wszystkim pretensję do samej siebie, bo zachowałam się jak dziecko, kiedy ostatniej nocy nie dopuściłeś, by sprawy wymknęły się spod kontroli.

Zażenowany Roman sięgnął po karafkę i nalał sobie kieliszek wina.

- Nie zachowałeś się jak dziecko.

- Raczej jak wzgardzona kobieta lub tragiczna heroina.

Postaraj się nie zbijać mnie z tropu, kiedy próbuję cię przeprosić.

Roman nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Gdyby stracił czujność, mógłby zakochać się w Charity po uszy.

- Dobrze. Masz coś jeszcze do powiedzenia?

- Troszeczkę. - Wzięła jedno z nielicznych ocalałych ciastek i wsunęła je do ust. - Nie powinnam dopuścić, by prywatne sprawy miały wpływ na funkcjonowanie zajazdu. Rzecz w tym, że niemal wszystkie moje myśli i uczucia koncentrują się na nim.

- Ostatniej nocy żadne z nas o nim nie myślało. Chcesz przesunąć kanapę?

- Tak. - Kiedy kanapa wróciła na swoje miejsce, Charity pochyliła się, żeby strzepnąć poduszki. - Widziałam, jak tańczyłeś z panną Millie. Była zachwycona.

- Lubię ją.

- Wierzę. - Charity wyprostowała się i przyjrzała uważnie Romanowi. - Nie należysz do

ludzi skłonnych do wyrażania sympatii.

- Nie.

Zapagnęła nagle pogłaskać go po policzku. To śmieszne, powiedziała sobie w duchu. Pomimo przeprosin nadal tliła się w niej jeszcze pretensja do niego za poprzednią noc.

- Miałeś ciężkie życie?

- Nie.

Roześmiała się lekko i. potrząsnęła głową.

- Zresztą i tak nie powiedziałbyś mi prawdy. Muszę zapamiętać, żeby nie zadawać ci pytań. Może ogłosimy zawieszenie broni, Romanie? Życie jest zbyt krótkie, by ulegać negatywnym emocjom.

- Jestem od tego jak najdalszy, Charity.

- Kusi mnie, żeby zapytać, co do mnie czujesz.

- Nie umiałbym ci odpowiedzieć na to pytanie, bo sam nie wiem. - Dziwne, ale powiedział to zdanie na głos! Wypił wino i odstawił pusty kieliszek.

- Cóż, to chyba pierwsze wypowiedziane przez ciebie zdanie, które w pełni rozumiem. Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku. Mogę więc uznać, że zawarliśmy rozejm?

- Jasne.

Obejrzała się, kiedy kolejna płyta opadła na talerz patefonu.

- To jedna z moich ulubionych piosenek. „Smoke Gets in Your Eyes”. - Spojrzała na Romana z uśmiechem. - Nie poprosiłeś mnie dotąd do tańca.

- Nie.

- Panna Millie twierdzi, że dobrze prowadzisz. - Wyciągnęła rękę w geście, który mógł oznaczać zarówno propozycję przyjaźni, jak i zaproszenie do tańca. Roman ujął jej dłoń. Nie odrywali od siebie wzroku.

ROZDZIAŁ 5

Ogień trzaskał na kominku, deszcz bębnił o szyby. Płyta była stara, porysowana, więc jakoś dźwięku pozostawiała wiele do życzenia. Ale ich ciała pasowały do siebie jak ulał. Charity położyła rękę na ramieniu Romana, on objął ją w pasie. Włożyła pantofle na wysokim obcasie, dzięki czemu ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Ciała przylgnęły do siebie.

Charity chciała się uśmiechnąć, rzucić lekką, dowcipną uwagę, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała ściśnięte gardło. Roman patrzył na nią łak, jakby była jedyną kobietą na świecie. Zrozumiała, że nie ma szans, by pozostali tylko przyjaciółmi, choćby najbardziej się starali. Pod wpływem impulsu przycisnęła usta do warg Romana.

W jednej chwili wybuchło w nim wszechogarniające pożądanie. Charity nie spodziewała się

po nim delikatności, ale Roman wdarł się w głąb jej ust tak gwałtownie, że w pierwszej chwili się zachwiała Natychmiast zapragnęła więcej.

A więc to jest właśnie namiętność, która doprowadza ludzi do szaleństwa, pomyślała, gdy ich języki splotły się ze sobą. Kto raz zaznał dojmującej rozkoszy, len nigdy jej nie zapomni i do końca życia będzie pragnął przeżyć ją jeszcze raz. Zarzuciła Romanowi ręce na szyję i zatraciła się w pocałunku.

Roman uświadomił sobie, że to coś więcej niż tylko pożądanie. W zapamiętaniu wodził ustami po twarzy Charity, mocno przyciskał ją do siebie, jakby chciał, by stali się nierozzerwalną jednością.

Charity zadrżała i nagle coś się w nim zmieniło, choć nie potrafił zrozumieć dlaczego. Zamknięta w jego ramionach dziewczyna wydawała mu się teraz cackiem niezwykle cennym, ale kruchym, wymagającym jego ochrony i pieczy. Objął dłońmi jej twarz i zaczął ją gładzić czubkami palców z niebywałą czułością i delikatnością. Także wargi Romana, jeszcze przed chwilą zaborcze, złagodniały.

Zaskoczona Charity zachwiała się. Wypełniły ją nieznane dotychczas uczucia. Czułość dokonała lego. czego nie była w stanie zrobić namiętność. Charity osłabła. Łzy napłynęły jej do oczu. a z ust wyrwał się cichy jęk. Rozkoszowała się smakiem warg Romana, muskających delikatnie jej usta.

Wiedziała, że na zawsze zapamięta tę chwilę, w której cały jej świat uległ zmianie. Odtąd już nic nie będzie takie samo.

- Roman...

- Chodź do mnie. - Znów przyciągnął ją do siebie. - Chcę być z tobą, rozebrać się, dotykać.

- Charity, Mae przydałoby się... - Lori stanęła jak wryta. Chrząknęła i wbiła wzrok w wiszący na przeciwległej ścianie obraz, jakby nie mogła oderwać od niego oczu. - Przepraszam...

Charity odskoczyła od Romana.

- W porządku. O co chodzi, Lori?

- No, o... Mae i Dolores... Może zajrzałaś do kuchni w wolnej chwili - odparła i wycofała się.

- Powinam... - Charity wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Powinam zejść na dół.

- Zrobiła krok do tyłu. - Kiedy już zaczną, to trzeba... - Urwała. Roman wziął ją za rękę.

- Wszystko się zmieniło - powiedział, kiedy wreszcie odważyła się na niego spojrzeć.

- Tak. To prawda.

- Nie wiem, co będzie dalej, ale nie kończmy tego teraz, Charity.

- Nie. - Była pełna determinacji. - Nie zamierzam udawać, że cię nie pragnę, Romanie.

Wszystko się zmieniło. Wreszcie zdobyłam jasność w kwestii własnych uczuć i muszę się z tym

oswoić.

Odwróciła się, żeby odejść, ale mocniej przytrzymał ją za rękę.

- A jakie są twoje uczucia?

Nie potrafiłaby skłamać, nawet gdyby chciała. Nieszczerość nie leżała w jej naturze.

- Zakochałam się w tobie.

Roman natychmiast puścił jej rękę. Był najwyraźniej zaszokowany.

- Najwyraźniej oboje musimy się z tym oswoić - powiedziała ze smutkiem w głosie Charity.

Kłamała. Powtarzał to sobie raz po raz, niezmordowanie krążąc po pokoju. Oszukiwała nie jego, lecz samą siebie. Ludziom zazwyczaj z łatwością przychodzi wygłaszanie kłamstw o miłości.

Podszedł do okna i spojrzął w ciemność. Deszcz przestał padać, a spoza chmur wyjrzał księżyc. Otworzył okno i wciągnął w płuca wilgotne, chłodne powietrze.

Ależ ona na niego działa! Odwrócił się z rozdrażnieniem i podjął wędrówkę po pokoju. Ten szczery uśmiech, serdeczne powitanie, gest przyjaźni... a potem wybuch namiętności i nadzwyczajna reakcja na jego dotyk. Próbował sobie wmawiać, że to tylko fałsz, zastawiona na niego pułapka, ale zdrowy rozsądek kazał mu odrzucić ten pomysł jako absurdalny.

Przecież nie miała powodów, by go podejrzewać. Kamuflaż był udany. Charity uważała go za obiężyświata, włóczęgę, który zatrzymał się tylko na chwilę, żeby rozejrzeć się po okolicy i trochę zarobić.

Wyciągnął się na łóżku i zapalił papierosa, bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Charity nie kłamała, pomyślał, wciągając dym w płuca. Po prostu się myliła. Pociągał ją, a ona uznała pożądanie za miłość.

A jeżeli to prawda...

Nie powinien nawet dopuszczać takiej myśli. Nie mógł sobie pozwolić na marzenia o tym, by do kogoś należeć i by ktoś należał do niego. Nawet gdyby Charity Ford nie znalazła się w kręgu podejrzanych w prowadzonym przez niego dochodzeniu i tak odszedłby od niej po zakończeniu sprawy.

Dla niej miłość oznaczała związek na całe życie. Roman do niej nie pasował. Zawsze pod prąd. pomyślał o sobie z ponurym uśmiechem. DeWinter, człowiek z podejrzaną przeszłością i niepewną przyszłością, nie miał nic do zaoferowania takiej kobiecie jak Charity.

Ale tak bardzo jej pragnął! Wiedział, że była teraz u siebie na górze. Wyobrażał ją sobie na wielkim łożu z baldachimem, przykrytą białym kocem. Na nocnym stoliku paliła się pewnie świeca.

Wystarczyło wejść po schodach i otworzyć drzwi. Z pewnością by go nie odesłała. A nawet gdyby próbowała, złamanie jej oporu zajęłoby mu najwyżej parę chwil. Wmówiła w siebie miłość do niego, więc by uległa. Przyjęłaby go z otwartymi ramionami.

Charity jednak poprosiła o czas do namysłu. Nic mógł odmówić jej tego, czego sam

potrzebował. Ofiarowany jej czas powinien spożytkować na to, co naprawdę mógł i potrafił dla niej zrobić. Na udowodnienie jej niewinności.

Następnego ranka Roman obserwował wyjazd uczestników wycieczki z ustawionej w samym środku holu drabiny. Wymieniał żarówki pod sufitem. Dzień wstał pogodny, słońce zalewało olśniewającym blaskiem pomieszczenie, do którego członkowie grupy schodzili się po śniadaniu.

Charity gawędziła z Blockiem przy recepcji. Przewodnik miał na sobie świeżą białą koszulę i szeroko się uśmiechał. Wyjął z teczki kalkulator i sprawdzał, czy rachunek hotelowy pokrywa się z jego obliczeniami.

Bob wystawił głowę z biura i podał Charity wydruk z komputera. Rzucił szybkie, niespokojne spojrzenie na Romana i zniknął. To spojrzenie nie umknęło uwagi Romana.

Charity i Block porównali obliczenia. Przewodnik, wciąż uśmiechnięty, wyjął z teczki paczkę banknotów. Płacił gotówką, w walucie kanadyjskiej. Charity schowała pieniądze do szuflady i podała mu przygotowane wcześniej pokwitowanie.

- Miło cię było spotkać, Rogerze, jak zawsze.

- Twoja wczorajsza potańcówka uratowała dzień - powiedział. - Moi turyści uznali ją za ukoronowanie wycieczki.

Charity uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Ale nie zobaczyli szczytu Rainier.

- I dlatego niektórzy z nich zapewne przyjadą tu ponownie. - Poklepał jej rękę i zerknął na zegarek. - Czas w drogę. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Bezpiecznej podróży, Rogerze. - Charity odwróciła się, żeby wymienić walutę jednemu z wyjeżdżających gości, a potem sprzedała jeszcze kilka pocztówek i pamiątkowych breloczków do kluczy w formie miniaturowych wielorybów.

Roman zamarudził tak długo, aż zostali w holu sami.

- Czy to nie dziwne, że biuro podróży płaci gotówką? Oderwana od studiowania listy rezerwacji Charity podniosła wzrok na Romana.

- Nigdy nie odmawiamy przyjmowania gotówki.

- Chyba wygodniej byłoby im regulować płatności przelewem albo czekiem.

- Taka jest polityka finansowa firmy. Uwierz mi, dla małego, niezależnego hotelu taki płacący gotówką klient jak Vision to prawdziwy skarb.

- Domyślam się. Od dawna z nimi współpracujesz?

- Od kilku lat. Dlaczego pytasz?

- Z ciekawości. Block nie wygląda na przewodnika wycieczek.

- Roger? Rzeczywiście, przypomina raczej zapaśnika.

- Charity ponownie zajęta się fakturami. Trudno jej było prowadzić nieobowiązującą rozmowę z mężczyzną, który tak na nią działał. - Ale jest dobry w swoim fachu.

- Jasne. Będę na piętrze.

- Romanie... Nie uzgodniliśmy jeszcze, który dzień tygodnia chciałbyś mieć wolny. Możesz wziąć niedzielę, jeśli to ci odpowiada.

- Może być.

- Pod koniec tygodnia daj Bobowi wykaz przepracowanych godzin, bo to on przygotowuje wypłaty.

- Dobrze. Dziękuję.

Z jadalni wyszła młoda para z małym dzieckiem. Roman odszedł, kiedy Charity wyjaśniała im, jak wynająć jacht.

Rozmowa z Romanem nie będzie łatwa, ale trzeba ją przeprowadzić. Całe przedpołudnie była zajęta, dwa razy sprawdziła stan domków, odbyła wszystkie zaplanowane rozmowy telefoniczne i zamarudziła w kuchni tak długo, że wzbudziła podejrzenia Mae. Próbowwała odwlec spotkanie.

To nie było w jej stylu. Przez całe życie odważnie stawiała czoło problemom. Nie tylko w sprawach zawodowych. W równie bezpośredni sposób podchodziła do problemów natury osobistej. Zdołała się uporać z brakiem ojca. Nawet jako dziecko nie unikała niekiedy bardzo bolesnych pytań o rodziców.

Miała przy sobie dziadka, a to wiele zmieniało. Silny i bardzo ją kochający dziadek pomógł jej zrozumieć, że liczy się człowiek i jego osobowość, a nie pochodzenie. Pomógł jej również dojść do siebie po pierwszym zawodzie miłosnym w szkole średniej.

Teraz Charity nic miała przy sobie dziadka, ale nie była już naiwną piętnastolatką, zadurzoną po uszy w kapitanie szkolnej drużyny. Zresztą miała pewność, że nie należy się wstydzić szczerych, z serca płynących uczuć.

Uzbrojona w termos z kawą, z determinacją ruszyła do zachodniego skrzydła. Niestety, czuła się tak, jakby wkraczała do jaskini lwa.

Roman skończył malowanie salonu w apartamencie rodzinnym. W powietrzu unosił się jeszcze mocny zapach farby, chociaż szeroko otworzył okno, żeby przewietrzyć pomieszczenie. Należało jeszcze zamontować drzwi i polakierować podłogi, ale można już było sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać ten pokój, kiedy w oknach pojawią się franki, a podłogę przykryje pastelowy, kwiecisty dywan, złożony na czas remontu na strychu.

Z sypialni dobiegał warkot piły elektrycznej. Charity pchnęła lekko drzwi i zajrzała do środka.

Roman pochylał się w skupieniu nad ułożoną na dwóch kozłach deską. Podwinął rękawy

koszuli powyżej łokci, więc trociny pokrywały również dłonie i ramiona. Przewiązał czoło bandaną, by włosy nie spadały mu na oczy. Nie nucił przy pracy, jak zwykła to robić Charity. Nie mówił też do siebie, jak jego poprzednik. George. Widać było, że praca sprawia mu satysfakcję.

Zaczekała, aż Roman odłóż) piłę. i dopiero wtedy otworzyła drzwi szeroko i weszła do pokoju. Zanim zdążyła się odezwać, odwrócił się błyskawicznym ruchem. Odruchowo zrobiła krok do tyłu. To śmieszne, pomyślała, ale wydawało jej się, że gdyby miał broń, toby ją wyciągnął.

- Przepraszam. - Zdenerwowanie, które przed wejściem do pokoju zdołała opanować, wróciło ze zdwojoną siłą. - Nie pomyślałam, że mogę cię przestraszyć.

- Wszystko w porządku. - Roman był wściekły, że pozwolił się zaskoczyć. Może gdyby nie pogрузzył się w rozmyślaniach o Charity, zdołałby wyczuć jej obecność.

- Miałam coś do zrobienia na piętrze, więc postanowiłam po drodze podrzucić ci kawę. - Postawiła termos na drabince, ale zaraz lego pożałowała, bo z pustymi rękami poczuła się skrępowana. - Chciałam też sprawdzić, jak ci idzie. Salonik wygląda świetnie.

- Robotą posuwa się naprzód. Czy to ty oznakowałaś puszki z farbą?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Bo wszystkie napisy na nalepkach zostały wykonane tym samym kolorem co farba w puszcze. To mi wygląda na twoją robotę.

- Obsesyjna pedanteria? - Charity skrzywiła się. - Nic na to nie mogę poradzić.

- Ułożenie pędzli według ich grubości naprawdę bardzo mi się podobało.

- Podśmiewasz się ze mnie? - Uniosła brew.

- Owszem.

- Przynajmniej jesteś szczery. - Zdenerwowanie Charity gdzieś zniknęło. - Chcesz kawę?

- Tak. Napiję się.

- Masz całe ręce w trocinach. - Dała mu gestem znać, żeby się odsunął, i odkręciła korek z termosu. - Zakładam, że nasz rozejm nadal obowiązuje.

- Nie przypominam sobie, byśmy go zerwali.

Spojrzała na niego przez ramię i naląła kawę do plastikowego kubka.

- Wprowadziłam cię wczoraj w zakłopotanie. Przepraszam. Roman wziął od niej kubek i przysiadł na koźle do piłowania drewnu.

- Znow wkladasz w moje usta słowa, których nie powiedziałem.

- Tym razem nie muszę. Wyglądałeś tak, jakbyś dostał czymś ciężkim w głowę. - Niespokojnie poruszyła ramionami. - Pewnie zareagowałabym tak samo, gdyby mi ktoś ni stąd, ni zowąd oznajmił, że mnie kocha. To musiało być naprawdę szokujące, zważywszy, jak krótko się znamy.

Roman odstawił kawę, bo nagle stracił na nią ochotę.

- Po prostu uległaś nastrojowi chwili.

- Nie. - Charity odwróciła się w jego stronę. Czytała w jakimś poradniku, że takie rozmowy należało prowadzić twarzą w twarz. - Wiem, że musiałeś dojść do takiego wniosku. Zastanawiałam się nawet, czy nie lepiej zostawić cię w tym przekonaniu. Ale marna ze mnie oszustka. Powinieneś wiedzieć, że ja zazwyczaj... to znaczy, chcę ci wyjaśnić, że... ja z reguły nie narzucam się mężczyznom. Prawdę mówiąc, ty jesteś pierwszy.

- Charity... - Roman przeczesał palcami włosy, ściągając przy tym z głowy bandanę. W powietrze wzbilo się jeszcze więcej trocin. - Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Przyznam ci się, przed przyjściem tutaj ułożyłam sobie w głowie małe przemówienie. Nawet całkiem niezłe, pełne zrozumienia, okraszone iskierkami humoru, żeby złagodzić napięcie i utrzymać lekki ton. Niestety, kiedy tu weszłam, wszystko zapomniałam.

Kopnęła ze złością walający się na podłodze kawałek deski i podeszła do okna. Na kwietniku pod domem rosły orliki i dzwoneczki, których pąki lada moment miały się rozwinąć i rozblęsnąć kolorami. Otworzyła okno, żeby wciągnąć w płuca świeży, delikatny zapach.

- Problem w tym - zaczęła, zła na siebie, że mówi odwrócona plecami do Romana - że żadne z nas nie potrafi udawać, iż nie powiedziałam tego, co powiedziałam. A ja jeszcze w dodatku nie potrafię udawać, że nie czuję tego, co czuję. Co nie oznacza bynajmniej, że spodziewam się wzajemności. Wcale tego nie oczekuję.

- A czego oczekujesz?

Roman stał tuż za plecami Charity. Podskoczyła, gdy położył rękę na jej ramieniu. Odwróciła się.

- Że będziesz wobec mnie uczciwy. - Mówiła teraz szybko, nie zwróciła uwagi na to, że Roman cofnął się odruchowo. - Doceniam to, że nie udajesz. Może jestem prostą kobietą, Romanie, ale nie jestem głupia. Zdaję sobie sprawę, że czasami łatwiej jest skłamać, powiedzieć to, co inni chcieliby usłyszeć.

- Nie jesteś prostą kobietą - odrzekł Roman i pogłaskał jej policzek, - W życiu nie spotkałem równie fascynującej, skomplikowanej dziewczyny.

- Dotychczas nikt nie twierdził, że jestem skomplikowana.

- Nie zamierzałem prawić ci komplementów.

To stwierdzenie wywołało uśmiech na jej twarzy. Całkowicie odprężona, usiadła na parapecie.

- Jeszcze lepiej. Mam nadzieję, że od tej chwili będziemy mogli bez skrępowania przebywać w swoim towarzystwie.

- Sam nie wiem, co odczuwam w twoim towarzystwie.

- Roman przesunął ręce wzdłuż ramion Charity, aż do łokci.

- „Skrepowanie” na pewno nie jest właściwym określeniem.

Poruszona Charity wstała gwałtownie.

- Muszę iść.

- Dlaczego?

- Bo jest środek dnia, a jeśli mnie pocałujesz, mogę o tym zapomnieć.

- Obowiązkowa jak zawsze.

- Tak. - Położyła mu rękę na piersi, żeby utrzymać pomiędzy nimi dystans. - Muszę iść na górę po faktury.

- Wstrzymała oddech i ruszyła w stronę drzwi. - Naprawdę cię pragnę, Romanie, i nie jestem pewna, czy zdołam nad tym zapanować.

Ani ja. pomyślał, kiedy Charity zniknęła. Gdyby chodziło o inną kobietę, byłby pewien, że spełnienie fizyczne położy kres napięciu. W tym przypadku jednak władza, jaką nad nim miała Charity. stałaby się jeszcze większa. Najwyższy czas, by przyznał się do tego przed sobą i postarał jakoś z tym uporać. Przypuszczalnie dlatego tak gwałtownie zareagował na jej wyznanie, że po raz pierwszy w życiu bał się, iż sam się może zadurzyć.

- Romanie! - W głosie Charity brzmiał zachwyt. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i zobaczył ją na górnym podejściu schodów. - Chodź na górę. Szybko. Chcę. żebyś je zobaczył.

Roman wolałby, żeby wezwała go do innego pokoju, nie do swojej sypialni.

- Szybko. Nie wiem, jak długą tu będą - dobiegł go pełen niecierpliwości głos Charity.

Siedziała na parapecie, wychylona na zewnątrz. W pokoju rozbrzmiewała muzyka, jakiś wibrujący, namiętny rytm.

- Romanie, przegapisz je! Nie stój w drzwiach. Nie zwabiłam cię po to, żeby cię przywiązać do słupków baldachimu!

Poczuł się jak idiota i podszedł do Charity.

- Odebrałaś mi nadzieję na interesujące przeżycia.

- Bardzo zabawne. Patrz! - Trzymała w ręku lornetkę i wskazywała na morze. - Orki.

Wychylił się z okna i dostrzegł w oddali dwie obłe sylwetki, rozcinające fale. Zafascynowany, wyjął lornetkę z rąk Charity.

- Są trzy! - zawołał zachwycony.

- Tak, rodzice z młodym. To chyba to samo stadko, które widziałam parę dni temu. Wspaniale, prawda?

- Tak. - Skoncentrował się na młodym, wyraźnie teraz widocznym pomiędzy dwoma dorosłymi osobnikami. - Właściwie nie spodziewałem się ich zobaczyć.

- Dlaczego? Wyspa nosi przecież ich imię. - Charity zmrużyła oczy, starając się dostrzec orki. Nie miała sumienia zabierać Romanowi lornetki, - Po raz pierwszy zobaczyłam orki, kiedy

miałam cztery lata. Dziadek zabrał mnie ze sobą na wyprawę. Jeden z wielorybów wystrzelił w powietrze fontannę wody w odległości nie większej niż osiem czy dziesięć metrów od naszej łódki. Wrzasnęłam wniebogłosy. - Ze śmiechem oparła się o framugę. - Myślałam, że chce nas połączyć żywcem jak Jonasza czy Pinokia.

- Pinokia? - Roman opuścił na moment lornetkę.

- Tak, to taka marionetka, która chciała zostać chłopcem. Tak czy owak. dziadek zdołał mnie uspokoić. Wieloryb towarzyszył nam jeszcze przez dziesięć czy piętnaście minut. Od tej pory napraszałam się, żeby dziadek mnie ze sobą zabierał.

- I zabierał?

- W każdy poniedziałek po południu, przez całe lato. Nie zawsze udawało nam się coś zobaczyć, ale to były wspaniałe dni, najpiękniejsze dni mojego życia. My również tworzyliśmy wtedy stado, dziadek i ja. - Charity wystawiła twarz na wiatr. - Miałam szczęście, że tak długo byliśmy razem. Czasami, w takich chwilach jak ta, bardzo chciałabym znów go mieć przy sobie.

- W takich chwilach jak ta?

- Uwielbiał obserwować wieloryby. Nawet kiedy był już chory, godzinami przesiadywał w oknie. Pewnego dnia znalazłam go z lornetką na kolanach. Myślałam, że zasnął, ale on odszedł. - Głos jej się załamał, ale podjęła opowieść: - Na pewno tak właśnie chciał umrzeć: obserwując ukochane wieloryby. Od jego śmierci nie mogłam się zmusić, żeby wypłynąć łódką w morze. - Potrząsnęła głową. - Głupota.

- Nie. Wcale nie głupota.

- Wiesz, potrafisz być miły. Zadzwoił telefon komórkowy Charity.

- Halo. Tak, Bob. Co to znaczy, że ich nie dostarczy? Niech diabli wezmą nowe kierownictwo, współpracowaliśmy z tą firmą od dziesięciu lat. Tak, w porządku. Zaraz tam będę. Zaczekaj. - Podniosła wzrok znad telefonu. - Romanie, czy one nadal tam są?

- Tak. Kierują się na południe. Nie wiem, czy tu żerują, czy po prostu wybrały się na popołudniowy spacer.

Charity roześmiała się i ponownie przyłożyła telefon do ucha.

- Bob... Co? Tak. to był Roman. Owszem. Jesteśmy w moim pokoju. Zawołałam Romana, bo wypatrzyłam z okna sypialni stadko wielorybów. Powiedz o tym wszystkim gościom, których spotkasz. Nie, nie ma powodu, żebyś się przejmował. Niby dlaczego? Zaraz będę na dole.

- Jakiś problem?

- Nie. Bob zorientował się, że jesteś w mojej sypialni, a właściwie że jesteśmy tu razem, i zaczął się zachowywać jak starszy brat. Typowe. - Wyjęła z szuflady frotkę i związała włosy w koński ogon. - W zeszłym roku Mae odgrażała się, że otruje gościa, który się do mnie zalecał. Jakbym miała piętnaście lat!

Roman odwrócił się i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Miała na sobie dzinsy i podkoszulek z wyszywaną mapą wyspy.

- Bo na tyle wyglądasz.

- Nie uważam tego za komplement. Nie mam czasu na dyskusje. Muszę zażegnać drobny kryzys. Możesz tu zostać i nadal obserwować wieloryby. - Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w pół kroku. - O, zapomniałabym. Potrafisz zrobić półki?

- Chyba tak.

- Świetnie. Przyszło mi do głowy, że przydałaby się półka w salonie apartamentu rodzinnego. Jeszcze o tym porozmawiamy.

Roman został sam. Mógł teraz bez przeszkód przeszukać biurko i sprawdzić, czy nie znajdzie istotnych dla śledztwa dowodów. Ponownie spojrzął na morze. Powinien to zrobić bez wahania, ale nie potrafił. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przekroczył pewną granicę i nie był już w stanie nadużyć zaufania Charity. Tym samym stał się bezużyteczny dla śledztwa. Powinien więc zadzwonić do Conby'ego i pozwolić odebrać sobie tę sprawę. Jednak nic zamierzał tego robić. Zamierzał udowodnić niewinność Charity. To była kwestia lojalności.

Conby powiedziałby pewnie, że Romana obowiązywała lojalność wobec FBI, a nie kobiety, którą znał od niespełna tygodnia. Nie miałby racji, uznał Roman, odkładając lornetkę. Bywają takie chwile, bardzo rzadkie w życiu człowieka, kiedy ma on szansę zrobić coś dobrego. Dotychczas nic takiego mu się nie przydarzyło. Aż do teraz.

Nie mógł ofiarować Charity niczego poza oczyszczeniem jej z podejrzeń. Przynajmniej tyle chciał jej dać. po czym odejść z jej życia.

Wstał i rozejrzał się po pokoju. Żałował, że nie jest bezrobotnym włóczęgą, którego Charity przyjęła pod swój dach. Wówczas miałby może prawo ją kochać. W obecnej sytuacji miał jedynie prawo ją uratować.

ROZDZIAŁ 6

każdym dniem robiło się cieplej. Wiosna wybuchła bogactwem barw i zapachów. O świcie, kiedy nad wodą snuły się mgły, wyspa wydawała się miejscem magicznym.

Roman znowu zatrzymał się na poboczu drogi, tak jak przed kilkoma dniami, i obserwował wschód słońca. Wiedział, że Charity jak zwykle wyszła na spacer z psem i w powrotnej drodze będzie tędy biegła.

Poprzedniej nocy włamał się do szuflady, w której trzymała gotówkę, i obejrzał porządnie poukładane pliki banknotów. Wśród nich znalazł ponad dwa tysiące fałszywych dolarów kanadyjskich. W pierwszej chwili chciał jej o wszystkim powiedzieć, nie tylko o tym, co już wiedział, ale i o tym, co jeszcze musiał wyjaśnić. Powstrzymał się jednak. Gdyby Charity została

wprowadzona w szczegóły dochodzenia, Roman nic zdołałby przekonać Conby'ego o jej niewinności.

Miał już wystarczające dowody, by oskarżyć Blocka, a wraz z nim Boba. Nic mógł ich jednak aresztować, nie rzucając równocześnie podejrzania na Charity. Według jej własnych słów, popartych zgodnymi opiniami szczerze jej oddanego personelu, na terenie zajazdu nawet szpilka nie mogła spaść na podłogę bez jej wiedzy.

Jak w tej sytuacji udowodnić, że nie miała pojęcia o trwającym od niemal dwóch lat tuż pod jej nosem procederze szmuglowania fałszywych banknotów?

On sam mógłby za nią ręczyć, jeszcze nigdy nie był jak pewien niewinności podejrzanego. Zaciągnął się papierosem i obserwował mgłę, która rozwiewała się powoli w promieniach wschodzącego słońca. Conby'emu trzeba dostarczyć dowodów.

Mógł z powodzeniem oddać Blocka w ręce Conby'ego wtedy, gdy przywiezie na wyspę następną wycieczkę. Dzięki temu zyskiwał tydzień. Musiał mu wystarczyć na oczyszczenie Charity z wszelkich podejrzeń. Kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw, dziewczyna będzie wstrząśnięta i zraniona. Znienawidzi go, a on się z tym pogodzi. Będzie musiał.

Z oddali dobiegł warkot samochodu, obejrzał się, ale po chwili znowu wbił wzrok w wodę. Pytał się w duchu, czy przyjdzie tu jeszcze kiedyś i czy będzie czekał nawracającą ze spaceru Charity.

Fantazje, pomyślał, i rzucił na ziemię na wpół wypalonego papierosa. Zbyt często pozwalał sobie ostatnio na bujanie w obłokach.

Samochód jechał bardzo szybko. Roman znowu obejrzał się za siebie, poirytowany, że ktoś burzy spokój tego poranka. Ten gest uratował mu życie. W ułamku sekundy zrozumiał, co się dzieje. Samochód pędził wprost na niego, ale Roman rzucił się w bok i przeturlał w krzaki. Podmuch powietrza z rury wydechowej położył trawy, potem tylne koła samochodu wróciły na szosę. Roman zerwał się na równe nogi, trzymając w ręku pistolet. Zdołał jeszcze dostrzec znikający za zakrętem samochód. Nie zdążył nawet zakląć, gdy usłyszał krzyk Charity.

Puścił się biegiem, nie bacząc na ból uda i krew spływającą po ramieniu. Nieraz już stawał twarzą w twarz ze śmiercią. Również zabijał. Aż do tego momentu nie wiedział jednak, czym jest paraliżujący strach, póki nie zobaczył Charity, leżącej bezwładnie na poboczu.

Pies warował przy niej, skomlał i trącał nosem jej twarz. Odwrócił się, słysząc kroki Romana, warknął, a potem wstał i zaczął szczekać.

- Charity! - Roman uklęknął. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem wymacał puls. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedział, sprawdzając, czy nie ma złamań.

Przed oczami stanęła mu przerażająca wizja uderzonej przez samochód Charity, wyrzuconej w powietrze jak szmaciana lalka. Z największym wysiłkiem odepchnął od siebie ten obraz.

Oddychała. Uczepił się tego z nadzieją. Pies zaskomlił, gdy Roman odwrócił głowę Charity na bok, żeby obejrzeć rozcięcie na skroni. To była jedyna barwna plama na zbielełej twarzy. Próbował zatamować krwotok zdjętą z głowy bandaną i zaklął, kiedy poczuł na palcach krew, przeciekającą przez prowizoryczny opatrunek.

Schował broń i wziął Charity na rękę. Była bezwładna, jakby pozbawiona kości. Odruchowo chwycił ją mocniej w obawie, że mogłaby mu się wyśliznąć. Przez drogę do zajazdu bez przerwy mówił do białej jak płótno, nieprzytomnej Charity.

Bob zbiegł pospiesznie z frontowych schodów.

- Co się stało? Co jej zrobiłeś, do diabła?!

Roman zatrzymał się na chwilę i obrzucił księgowego ponurym, gniewnym spojrzeniem.

- Myślę, że ty najlepiej wiesz. Przynies kluczyki do furgonetki. Trzeba ją zawieźć do szpitala.

- Co się tu dzieje? - W drzwiach stanęła Mae, wycierając ręce o fartuch. - Lori twierdzi, że widziała... - Zbladła i zaskakująco szybko jak na kobietę jej tuszy podeszła do Charity, odsuwając łokciem stojącego jej na drodze Boba. - Zanieś ją na górę.

- Zabieram ją do szpitala.

- Na górę - powtórzyła Mae i przytrzymała mu drzwi. - Zatelefonujemy do doktora Mertensa. Tak będzie szybciej. Chodź, chłopcze. Dzwoń do lekarza, Bob. Powiedz, żeby się pospieszył.

Roman przekroczył próg domu z psem depczącym mu po piętach.

- Wezwij policję - polecił. - Powiedz, że została potrącona przez samochód, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku.

Mae nie traciła czasu na niepotrzebne rozmowy, prowadziła go po schodach na górę. Kiedy dotarli na drugie piętro, trochę się zasapała, ale nie zwolniła kroku, dopóki nie znaleźli się w sypialni Charity.

- Połóż ją na łóżku, ale ostrożnie. - Sprawnie odwinęła na bok koronkową narzutę, po czym stanowczo odsunęła Romana. - No, dziecinko, teraz już wszystko będzie dobrze - zwróciła się do Charity. - Idź do łazienki i przynieś czysty ręcznik - poleciła Romanowi. Przysiadła na skraju łóżka, objęła szeroką dłońią twarz Charity i uważnie obejrzała ranę. - To mniej groźne, niż się wydaje - oceniła i westchnęła z ulgą. Przycisnęła przyniesiony przez Romana ręcznik do skroni Charity. - Rany głowy zawsze mocno krwawią, nawet jeżeli nie są zbyt głębokie.

Roman ciągle jeszcze miał krew Charity na rękach i nie wydawał się przekonany.

- Dlaczego nie odzyskała przytomności?

- To trochę potrwa. Później opowiesz mi, co się właściwie stało, ale teraz muszę ją rozebrać, żeby sprawdzić, czy nie ma innych obrażeń, więc bądź łaskaw stąd wyjść. Zejdź na dół i zaczekaj

na mnie.

- Nie zostawię jej.

Mae poparzyła uważnie na Romana. Po chwili kiwnęła głową.

- W takim razie postaraj się przynajmniej być użyteczny. Podaj mi nożyczki, leżą na biurku Charity. Chcę rozciąć bluzkę.

A więc tak się rzeczy mają, Miała przed sobą mężczyznę, który niemal odchodził od zmysłów ze strachu o zdrowie ukochanej.

- Możesz zostać - zezwoliła łaskawie, kiedy Roman podał jej nożyczki. - Niezależnie od tego, co między wami zaszło, będziesz musiał się odwrócić, dopóki jej przyzwocie nie okryję.

Roman zacisnął dłonie, wepchnął je *do* kieszeni i obrócił się na pięcie.

- Chcę wiedzieć, co jej jest.

- Tylko spokojnie. - Mae zdjęła Charity bluzkę i zaczęła uważnie oglądać zadrapania i siniaki. - Zajrzyj do prawej górnej szuflady i podaj mi nocną koszulę. Zapinaną na guziki. I nie gap się na nią - dodała - bo wyrzucę cię z pokoju.

Roman bez słowa położył na łóżku białą koszulkę.

- Chcę wiedzieć, jakie obrażenia odniosła.

- Wiem, chłopcze. - Głos Mae złagodniał, gdy wkładała ramię Charity w rękaw. - Ma tylko kilka zadrapań i siniaków, to wszystko. Żadnych złamań. Rozcięcie na głowie będzie wymagało pewnego zachodu, ale zagoi się. Znacznie poważniejsze obrażenia odniosła parę lat temu, kiedy spadła z drzewa. No, teraz poznaję swoją dziewczynkę! Już odzyskuje przytomność!

Roman odwrócił się. Nic go nie obchodziło, czy Charity miała na sobie nocną koszulę, czy też nie. Z najwyższym wysiłkiem oparł się pragnieniu, by podbiec do niej. Został jednak na miejscu. Aż słabo mu się zrobiło z powodu nagłej ulgi. Kiedy jęknęła, wytarł spocone dłonie o uda.

- Mae? - Charity próbowała skoncentrować wzrok. Uniosła rękę. Nie dostrzegła niczego poza masywną sylwetką kucharki. - Co... O Boże, moja głowa.

- Cholernie obolała, co? - zawołała Mae dziarskim głosem. - Doktor zaraz się tym zajmie.

- Doktor? - Otumaniona Charity starała się unieść, ale nie starczyło jej siły. - Nie chcę doktora.

- Jak zwykle. I jak zawsze będziesz musiała go przyjąć.

- Nie zamierzam... - Klótnia wymagała jednak zbyt dużego wysiłku. Charity zamknęła oczy i próbowała zebrać myśli. Bez wątpienia leżała we własnym łóżku, ale jak, na litość boską, się w nim znalazła?!

Przypominała sobie, że spacerowała z psem i w pewnym momencie Ludwig uznał jedno z rosnących przy drodze drzew za nieodparcie pociągające. Wtedy...

- Tam był samochód - oświadczyła, otwierając oczy.

- Kierowca musiał być pijany albo niespełna rozumu. Jechał wprosi na mnie. Gdyby Ludwig nie ściągnął mnie akurat z drogi... Chyba się przewróciłam. Sama nie wiem.

- Teraz to nieważne - uspokoiła ją Mae. - Pomyślimy o tym później.

Rozległo się pukanie i do pokoju wpadł niski, zwawy mężczyzna z szopą białych włosów na głowie. Miał brudny płaszcz, zabłocone buty, a w ręku trzymał czarną torbę. Charity spojrzała na niego i zamknęła oczy.

- Proszę odejść, doktorze Mertens. Nie czuję się najlepiej.

- Zawsze to samo. - Lekarz skinął Romanowi głową na powitanie i podszedł do łóżka, żeby zbadać pacjentkę.

Roman wyszedł po cichu do saloniku. Potrzebował chwili samotności, żeby wziąć się w garść. Stracił rodziców, pochował najbliższego przyjaciela, ale nigdy jeszcze nie wpadł w taką panikę jak na widok leżącej na poboczu, nieprzytomnej, zakrwawionej Charity.

Wyciągnął papierosa i podszedł do otwartego okna. Myślał o kierowcy starego, zardzewiałego chevroleta. Z przyjemnością zamordowałby gołymi rękami człowieka, który wyrządził krzywdę Charity.

- Przepraszam. - W drzwiach prowadzących na korytarz stanęła Lori. - Przyjechał szeryf. Chciał z tobą rozmawiać, więc przyprowadziłam go na gore. - Obciągnęła fartuszek i wbiła wzrok w drzwi sypialni Charity. - Co z nią?

- Jest u niej lekarz - odparł Roman. - Nic jej nie będzie. Lori zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Powiem wszystkim. Proszę wejść, szeryfie. Roman przyjrzał się uważnie tęgiemu mężczyźnie, którego wygląd wskazywał, że został przed chwilą wyciągnięty z łóżka. W ręku trzymał kubek z kawą.

- Roman De Winter?

- Tak.

- Szeryf Royce. Co się wydarzyło?

- Jakies dwadzieścia minut temu ktoś usiłował przejechać pannę Ford.

Royce spojrzał na zamknięte drzwi sypialni.

- Jak ona się czuje?

- Poobijana. Ma rozciętą głowę i trochę siniaków.

- Był pan z nią? - Szeryf wyciągnął notes i krótki, szeroki ołówek.

- Nie, kilkaset metrów od niej. Samochód skręcił na pobocze, jakby chciał mnie przejechać, i z dużą prędkością ruszył dalej. Usłyszałem krzyk Charity. Kiedy do niej dotarłem, leżała nieprzytomna.

- Pewnie nie miał pan czasu, żeby dokładniej przyjrzeć się wozowi?

- Granatowy chevrolet. Rocznik sześćdziesiąt siedem albo sześćdziesiąt osiem. Uszkodzony tłumik. Prawy przedni zderzak przeżarty rdzą. Rejestracja waszyngtońska Foxtrot Juliet osiemset czterdzieści siedem.

Royce zanotował opis i uniósł brwi.

- Ma pan niezłe oko.

- Owszem.

- Wystarczająco dobre, by stwierdzić, czy najechał na pana specjalnie?

- Nie mam co do tego wątpliwości. Zrobił to celowo. Royce zanotował to oświadczenie.

Zapisał też, żeby rutynowo sprawdzić Romana DeWintera.

- On? Widział pan kierowcę?

- Nie - odparł Roman lakonicznie. Nie mógł sobie darować, że nie przyjrzał się kierowcy.

- Kiedy przyjechał pan na naszą wyspę, panie De Winter?

- Niespełna tydzień temu.

- Szybko narobił pan sobie wrogów.

- Nie mam wrogów, a przynajmniej nic mi o nich nie wiadomo.

- To raczej dziwne w świetle pańskiej teorii. - Royce podniósł wzrok znad notesu. - Na tej wyspie nie ma ani jednej osoby, która miałaby jakąkolwiek pretensję do Charity. Jeśli pańskie słowa są zgodne z prawdą, to mamy do czynienia z usiłowaniami zabójstwa. Roman wyrzucił papierosa przez okno.

- Owszem, właśnie z tym mamy do czynienia. Chciałbym wiedzieć, kto jest właścicielem samochodu.

- Sprawdzę.

- Pan już to wie.

Royce poklepał się notesem po kolanie.

- Tak, bez wątplenia jest pan spozstrzegawczy. Powiedzmy, że wiem, do kogo należy samochód odpowiadający pańskiemu opisowi. Ta osoba nie przejechałaby specjalnie nawet królika nie mówiąc o kobiecie. Oczywiście nie trzeba być właścicielem samochodu, by nim jechać.

Mae otworzyła drzwi sypialni, więc szeryf odwrócił wzrok.

- O, witaj, Maeflower.

W pierwszej chwili Mae uśmiechnęła się, ale zaraz surowo zacisnęła usta.

- Jak nie umiesz porządnie siedzieć w fotelu, to wstań, Jacku Roysie.

Szeryf wstał z szerokim uśmiechem.

- Chodziliśmy razem z Mae do szkoły - wyjaśnił. - Już wtedy lubiła mnie besztać. Pewnie w dzisiejszym menu nie ma gofrów, co, Maeflower?

- Może i są. Dopadnij tego drania, który skrzywdził moją dziewczynkę, a na pewno się

znajdą.

- Pracuję nad tym. - Szeryf spoważniał i wskazał głową drzwi do sypialni. - Myślisz, że mógłbym z nią porozmawiać?

- Odkąd odzyskała przytomność, mówi bez przerwy. Możesz wejść.

- Będziemy w kontakcie - rzucił szeryf do Romana.

- Doktor powiedział, że można jej dać grzanekę z herbatą. - Mac pociągnęła nosem, udając, że ma katar. - To katar sienny - wyjaśniła szorstko. - Cieszę się, Romanie, że byłeś w pobliżu, kiedy została ranna.

- Gdybym był bliżej, w ogóle nie zostałyby ranna.

- A gdyby nie wyszła z psem, leżałaby bezpiecznie w łóżku. - Kucharka zamilkła na chwilę i przyjrzała się Romanowi uważnie. - Chyba oboje chcielibyśmy dostać tego drania w swoje ręce.

- Charity pewnie nie pozwoliłaby go udusić. Roman roześmiał się, ku zaskoczeniu Mae.

- Nie byłaby też zachwycona, że stoisz tu pogrążony w posępnych rozmyślaniach. Masz zakrwawioną rękę, chłopcze.

- Trochę. - Obojętnie spojrzał na podarty, sztywny od krwi rękaw koszuli.

- Nie pozwolę ci zabrudzić krwią całej podłogi. - Mae ruszyła do drzwi i przywołała go ruchem ręki. - Chodź na dół. Przemyję ci to. Potem możesz zanieść Charity śniadanie. Nie mam czasu, żeby przez cały dzień biegać po schodach.

Charity leżała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w sufit. Wszystko ją bolało. Najbardziej głowa, ale i reszta, ciała nie chciała być gorsza. Leki mogły złagodzić dolegliwości, ale Charity postanowiła zachować jasność umysłu, dopóki nie ułoży sobie wszystkiego w głowie. Dlatego właśnie schowała podaną przez doktora Mertensa pigułkę pod język. Zamierzała ją połknąć, kiedy zdoła zebrać myśli. Widziała samochód tylko przez moment, ale wydał jej się znajomy. W czasie rozmowy z szeryfem uświadomiła sobie, że wóz, który omal jej nie przejechał, należał do pani Norton, uroczej, trochę dziecinnej staruszki, która robiła na szydełku serwetki i ubranka dla lalek, sprzedawane potem w miejscowym sklepie z rękodziełem. Charity była pewna, że pani Norton nigdy nie przekroczyła prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę.

Właściwie nie widziała kierowcy, ale miała niejasne wrażenie, że to mężczyzna, pani Norton owdowiała sześć lat temu. Charity doszła do wniosku, że da się to z łatwością wyjaśnić. Jakiś człowiek upił się, zabrał wóz pani Norton i wypuścił się na szaleńczą eskapadę wokół wyspy.

Usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem, ułożyła się wygodniej w łóżku. Reszta należała do szeryfa. Ona miała własne problemy. Z pewnością w zajeździe zapanował chaos. Lori poradzi sobie z podaniem śniadania. Pozostawała jeszcze sprawa rzeźnika - należało uzupełnić listę zamówień na jutro. Trzeba też wybrać zdjęcia do broszury reklamowej biura podróży. Gotówka nie została wpłacona do banku, a kominek w domku numer trzy dymił.

Potrzebowała notesu, długopisu i telefonu. Wszystko to znajdowało się na biurku w jej salonie. Ostrożnie opuściła nogi poza krawędź łóżka. Nie było tak źle, ale posiedziała przez chwilę, żeby przyzwycząić się do pozycji pionowej, zanim podjęła próbę wstania.

Zirytowana własną słabością, przytrzymała się jednego ze słupków baldachimu, Czuła się tak, jakby jej nogi nie były zbudowane z mięśni i kości, lecz z galarety.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?!

Charity drgnęła, słysząc głos Romana. Spojrzała w stronę drzwi.

- Nic - odparła i spróbowała się uśmiechnąć.

- Wracaj do łóżka.

- Mam parę rzeczy do zrobienia.

Roman bez słowa odstawił tacę, stanowczym krokiem podszedł do Charity i wziął ją na ręce.

- Romanie, nie. Ja...

- Cicho.

- Za chwilę miałam się położyć - zaczęła. - Jak tylko...

- Cicho - powtórzył. Ułożył ją na łóżku. - Boże, kochanie...

- Wszystko w porządku. Nie martw się.

- Myślałem, że nie żyjesz. Kiedy cię znalazłem, myślałem, że zginęłaś.

- Tak mi przykro. To rzeczywiście było okropne, ale skończyło się na kilku siniakach i zadrapaniach. Za parę dni znikną i zapomnimy o wszystkim.

- Ja nie zapomnę.

- To był wypadek. Szeryf Royce się tym zajmie. Roman wstał, żeby przynieść tacę.

- Mae twierdzi, że możesz już jeść.

Charity pomyślała o liście zamówień, którą miała uzupełnić, ale doszła do wniosku, że powinna okazać uległość, żeby uspić czujność Romana.

- Spróbuję. Co z Ludwigiem?

- Wszystko w porządku. Mae się nim zajęła. Dostał kość od szynki.

- Swoją ulubioną. - Ugryzła kawałek grzanki, udając, że jej smakuje.

- Jak twoja głowa?

- Nie najgorzej. Obyło się bez szycia. - Odsunęła włosy i pokazała mu plaster. Pod nim ciemniał już krwiak. - A może chcesz mi pokazać palce i zapytać, ile ich widzę?

- Nie.

- Szeryf twierdzi, że ciebie też potrącił samochód. - Charity wypila łyk herbatki z rumianku.

- Cieszę się, że nie zostałeś ranny.

- Do licha, Charity! - Roman odwrócił się gwałtownie, ale jakoś zapanował nad sobą. - Nie,

nie zostałem ranny. Przepraszam. To wszystko wyprowadziło mnie z równowagi.

- Rozumiem doskonale. Chcesz trochę naparu z rumianku? Mae przysłała dwie filiżanki.

Roman zerknął na pomalowany w kwiatki dzbanek.

- Nie, chyba że dolejesz mi do tego whisky.

- Niestety. - Charity uśmiechnęła się i poklepała brzeg łóżka. - Może usiądziesz przy mnie?

- Staram się trzymać ręce z dala od ciebie.

- O! - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Nie miałabym nic przeciwko twoim rękom.

- To nie najlepszy moment. - Roman dotknął dłoni Charity. - Zależy mi na tobie. Uwierz, proszę.

- Wierzę.

- Z tobą jest całkiem inaczej niż z innymi. Nie mogę ci nic więcej dać.

- Gdybym wiedziała, że zdołam wyciągnąć od ciebie aż tyle, już wcześniej rozbiłabym głowę o kamień.

- Zaslugujesz na więcej. - Roman usiadł na brzegu łóżka i delikatnie przeciągnął palcem wzdłuż rozcięcia na skroni.

- Zgadzam się z tobą. - Przyciągnęła jego rękę do ust i zauważyła, jak pociemniały mu oczy.

- Jestem cierpliwa.

- Za mało o mnie wiesz. Właściwie prawie mnie nie znasz.

- Wiem, że cię kocham. Wierzę, że kiedyś powiesz mi wszystko, co powinnam wiedzieć.

- Nie ufaj mi. Charity. Nie ufaj mi tak bezgranicznie.

- Czyżbyś zrobił coś niewybaczalnego. Romanie?

- Mam nadzieję, że nie. - Zdawał sobie sprawę, że i tak powiedział za dużo. Odstawił tacę na bok. - Powinnaś odpoczywać.

- Zamierzałam odpoczywać. Naprawdę. Chciałam tylko najpierw załatwić kilka najpilniejszych spraw.

- Dzisiaj powinnaś troszczyć się wyłącznie o siebie.

- To miło z twojej strony i jak tylko...

- Nie wolno ci wstawać z łóżka przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny.

- W życiu nie słyszałam takiej bzdury. Co za różnica, czy leżę czy siedzę?

- Zasadnicza, jeśli wierzyć słowom doktora. - Roman wziął tabletkę z nocnego stolika. - To lekarstwo, które ci podał?

- Tak.

- Lekarstwo, które miałaś połknąć przed jego wyjściem?

- Zażyję, jak tylko zatelefonuję w kilka miejsc.

- Dzisiaj nic będzie żadnych telefonów.

- Doceniam twoją troskę, Romanie, ale nie zamierzam cię słuchać.

- Jasne. To ty jesteś od wydawania poleceń.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją czule i delikatnie. Poddała się z cichym pomrukiem szczęścia. Roman uznał, że jeden pocałunek nie zaszkodzi. Kiedy zaczął się odsuwać. Charity przyciągnęła go do siebie. Potrzebowała teraz słodyczy, którą tylko on mógł jej ofiarować. Potrzebowała jej znacznie bardziej niż lekarstwa.

- Spokojnie - szepnął Roman, walcząc rozpaczliwie o odzyskanie panowania nad sobą. - Chwilowo odczuwani pewien deficyt silnej woli. a ty powinnaś odpoczywać.

- Chyba wolę ciebie od odpoczynku.

- Czy wszystkich mężczyzn doprowadzasz do szaleństwa?

- Nie sędzę. - Uszczęśliwiona Charity odgarnęła mu włosy z czoła. - W każdym razie jesteś pierwszym, który mnie o to zapytał.

- Porozmawiamy o tym później. - Roman był zdecydowany kierować się wyłącznie jej dobrem, więc podał jej pigułkę. - Weź to.

- Później.

- Nie. Teraz.

Prychnęła z niesmakiem, ale włożyła pastylkę do ust i popiła uspokajającą herbatką.

- Już. Usatysfakcjonowany?

- Od chwili gdy cię zobaczyłem, jestem daleki od poczucia satysfakcji, kochanie. Podnieś język.

- Słucham?

- Słyszałaś. No, połknij wreszcie.

Uświadomiła sobie, że tym razem przegrała. Wyjęła pastylkę z ust, po czym ostentacyjnie ją połknęła. Dotknęła warg czubkiem języka.

- Może nadal trzymam ją w ustach? Chcesz poszukać?

- Chcę - pocałował ją lekko - żebyś została w łóżku. Żadnych telefonów, żadnej papierkowej roboty, żadnego wykradania się na dół do biura. Obiecuj.

- Obiecuję - szepnęła, gdy wargi Romana musnęły jej usta.

- Świetnie. - Wstał i wziął tacę. - Zobaczymy się później.

- Ale... To było nieczyste zagranie, DeWinter.

- Owszem - spojrzał na nią przez ramię - ale pozwoliło mi cię przechytryć.

ROZDZIAŁ 7

Podczas szkolenia kładziono szczególny nacisk na dokładność i obiektywizm przy wykonywaniu zadania. Roman był pewien, że te zasady weszły mu już w krew. Teraz zamierzał

być szczególnie dokładny, ale z pobudek jak najbardziej osobistych.

Wyszedł od Charity, spodziewając się zastać Boba w biurze. Nie zawiódł się. Bob siedział przy komputerze, trzymając przy uchu słuchawkę telefoniczną, i jednym palcem stukał w klawiaturę. Wolną ręką pomachał Romanowi na powitanie, nie przerywając rozmowy.

- Z przyjemnością zrobię rezerwację dla pana i pańskiej małżonki, panie Parkington. Dwuosobowy pokój na dwie noce: piętnastego i szesnastego lipca.

- Odłóż słuchawkę - warknął Roman rozkazująco. Bob podniósł do góry rękę na znak, że Roman musi poczekać.

- Owszem, będą państwo mieli osobną łazienkę, a śniadanie jest wliczone w koszt noclegu. Z przyjemnością pomożemy państwu w wynajęciu łódki na czas pobytu u nas. Numer państwa zamówienia to...

Roman nacisnął widełki telefonu i przerwał połączenie.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?!

- Zastanawiam się, czy warto zawracać sobie głowę rozmową z tobą czy lepiej od razu cię zabić.

Bob zerwał się z krzesła i odgrodził się od Romana biurkiem.

- Słuchaj, wiem, że miałeś nerwowy poranek...

- Naprawdę? - Roman stał bez ruchu i mierzył wzrokiem pocącego się ze strachu Boba. - Nerwowy poranek! Bardzo łagodne określenie tego, co przeżyłem. No, ale ty przecież jesteś uprzejmym człowiekiem. Prawda?

Bob zerknął na drzwi, zastanawiając się, czy ma szansę do nich dotrzeć.

- Wszyscy Jesteśmy trochę podenerwowani wypadkiem Charity. Tobie przydałby się chyba porządny drink.

Roman pochylił się ku stercie poradników komputerowych i podniósł z podłogi małą, srebrną buteleczkę.

- Twoja? - zapytał. Boh patrzył na niego bez słowa. - Pewnie chowasz ją tutaj na długie, samotne wieczory, kiedy zostajesz w pracy do późna. Sam jeden. Nie jesteś ciekaw, skąd wiedziałem, gdzie jej szukać? - Odstawił flaszkę na bok. - Znalazłem ją kilka dni temu. kiedy włamałem się w nocy do biura, żeby przejrzeć księgi rachunkowe.

- Włamałeś się?! W taki sposób odwdzięczasz się Charity za to, że dała ci pracę?

- Masz rację. To prawie równie paskudne jak wykorzystywanie jej zajazdu do rozprowadzania fałszywych banknotów i przerzutu poszukiwanych osób przez granicę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Bob zrobił krok w stronę drzwi. - Wyjdź stąd. DeWinter. Kiedy powiem Charity, co zrobiłeś...

- Nic jej nie powiesz. Nie piśniesz jej ani słówka, ale mnie powiesz. - Jedno spojrzenie

wystarczyło, żeby zatrzymać Boba w pół kroku. - Rusz się w stronę drzwi, a połamię ci nogi. - Postukał w pudełko, żeby wysunąć papierosa. - Siadaj.

- Nie muszę tego tolerować. - Bob cofnął się od drzwi, ale oddalił się również od Romana. - Zadzwoń na policję.

- Proszę. - Roman zapalił papierosa i przyglądał się księgowemu przez smugę dymu. Szkoda, że Bob tak łatwo dał się zastraszyć. Chciałby mieć pretekst, by mu porządnie przyłożyć. - Już rano kusilo mnie, żeby powiedzieć Royce'owi o wszystkim, ale zepsułoby mi to przyjemność rozprawienia się z tobą i twoimi kumplami. Proszę, dzwoni do niego. - Roman przesunął telefon w stronę Boba. - Znajdę sposób, żeby dokończyć sprawę między nami, kiedy już będziesz pod kluczem.

Bob nie poprosił o wyjaśnienia. Już w chwili, gdy Roman wszedł do biura, odniósł wrażenie, że zatrząskują się za nim drzwi celi.

- Słuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowany...

- Wyglądam na zdenerwowanego? - warknął Roman. Bobowi zrobiło się słabo. Nieproszony gość robił wrażenie całkowicie opanowanego, ale musiało przecież być jakieś wyjście z tej sytuacji. Zawsze było jakieś wyjście.

- Wspomniałeś coś o fałszerstwie. Powiedz mi, o co chodzi, może razem uda się nam to wszystko wyjaśnić... - Nie zdołał dokończyć zdania, bo Roman poderwał go z krzesła.

- Przestań pleść bzdury. - Roman cisnął go z powrotem na krzesło. - Charity nie potrafi gotować i nie umie obsługiwać komputera. Nie gotuje, bo Mae jej tego nie nauczyła. Nietrudno się domyślić dlaczego. Mae chce niepodzielnie rządzić w kuchni, a Charity postanowiła jej na to pozwolić.

Roman podszedł do okna i jakby od niechcienia zasunął żaluzje. W pokoju zrobiło się ciemno, wydawał się teraz miejscem odciętym od świata.

- Równie łatwo zrozumieć, dlaczego nie potrafi obsługiwać najprostszego programu. Nawet nie próbowałaś jej tego nauczyć albo wyjaśnić w sposób tak zawiły i skomplikowany, żeby nie pojęła ani słowa. Mam ci powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś?

- Ona naprawdę nie interesowała się komputerem. - Bob z wysiłkiem przełknął ślinę, gardło wyschło mu na wiór. - Kiedy musi, potrafi wykonać podstawowe operacje, ale znasz Charity... bardziej interesują ją ludzie niż maszyny. Przedstawiam jej wydruki.

- Wszystkie? Obaj wiemy doskonale, że nie dawałaś jej wszystkich wydruków. Czy mam ci powiedzieć, co zawierają dyskiety, które schowałeś w szufladzie z dokumentami?

Bob wyjął drżącymi palcami chustkę do nosa i otarł czoło.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Trzymasz tam księgi rachunkowe zajazdu, ale także dokumentację interesu, który

prowadzisz na boku. Podejrzewam, że człowiek twojego pokroju przechowuje w tajemnicy przed współnikami dowody przestępstwa jako rodzaj polisy na wypadek, gdyby chcieli go oszukać. - Roman otworzył szufladę z dokumentami i wyjął dyskietkę.

- Zajrzemy do niej później - dodał i rzucił ją na biurko.

- Wprowadzasz za pośrednictwem tego ośrodka do obiegu dwa, trzy tysiące fałszywych dolarów tygodniowo. Przez pięćdziesiąt dwa tygodnie roku może zebrać się spora sumka. Jeśli dodać do tego twoją pensję i dochody z przerzutu przez granicę poszukiwanych osób, włączanych do grupy Bogu ducha winnych turystów, którzy wybrali się na wycieczkę krajoznawczą, to zbierze się niezły dochód.

- To jakiś obłąd! - Bob oddychał z trudem, nerwowo szarpał kołnierzyk koszuli. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że to szaleństwo.

- Wiesz, że twoje referencje nadal znajdują się w dokumentacji zajazdu? - zapytał Roman tonem towarzyskiej pogawędki. - Problem w tym, że zostały sfalszowane. Nigdy nie pracowałeś w hotelu w Fort Worth ani w San Francisco.

- Zwiększyłem tylko trochę swoje szanse otrzymania pracy. To jeszcze niczego nie dowodzi.

- Myślę, że po przejrzeniu wydruków będziemy mogli postawić ci poważniejsze zarzuty.

Bob wpatrywał się w blat biurka. Można blefować do czasu, ale potem lepiej się poddać.

- Mógłbym się napić?

Roman podał mu butelkę i zaczął czekać, aż Bob ją otworzy.

- Wykryłeś, że jestem z policji, prawda? A może nadstawiłeś ucha tak na wszelki wypadek, bo byłeś niespokojny. Usłyszałeś, że zadaję niewłaściwe pytania i przestraszyłeś się, że powiem Charity o całej operacji, więc zaalarmowałeś współników.

- Czuję się podle. - Bob pociągnął kolejny łyk whisky. - Umiem rozpoznać tajniaka, więc zdenerwowałem się na twój widok.

- Dlaczego?

- Kiedy człowiek robi to co ja, uczy się rozpoznawać policjantów. Wyczuwa ich na odległość, w supermarkecie, na ulicy. Wszędzie.

Romanowi przypomniały się lala, które przeżył po drugiej stronie barykady. On również szóstym zmysłem rozpoznawał gliniarzy, nadal to potrafił.

- W porządku. I co zrobiłeś?

- Powiedziałem Blockowi. Podejrzewałem, że jesteś wtyczką, ale on tylko się śmiał, że mam obsesję. Chciałem zawiesić naszą działalność do twojego wyjazdu, ale nie posłuchał. Wczoraj wieczorem, kiedy zszedłeś na obiad, przeszukałem twój pokój. Znalazłem pudełko naboje. Pistoletu nie było, tylko naboje. To znaczy, że miałeś broń przy sobie. Zadzwoń do Blocka, że

z całą pewnością jesteś policjantem. Spędzałeś dużo czasu z Charity, więc doszedłem do wniosku, że razem rozpracowujecie tę sprawę.

- Usiłowałaś ją zabić.

- Nie, nie ja! - Przerażony Bob wcisnął się w oparcie krzesła. - Przysięgam. Nie jestem zwolennikiem brutalnych metod. Do licha, ja przecież lubię Charity! Chciałem stad zniknąć. Mielśmy już upatrzone kolejne miejsce, w Olympic Mountains. Myślałem, że zawiesimy działalność na parę tygodni, a potem się lam przeniesiemy. Block obiecał, że się wszystkim zajmie, a ja zrozumiałem przez to, że następna grupa będzie czysta. To dałoby mi czas na zrobienie lula porządków i bezpieczny wyjazd. Gdybym wiedział, co zaplanował. ..

- To byś ją ostrzegł?

- Posłuchaj, kiedy to się stało, zadzwoniłem do Blocka. Powiedział, że wynajął kogoś do tej roboty. Nie mógł zająć się tym osobiście, bo był na stałym lądzie. Twierdził, że ten facet wcale nie miał jej zabić. Block chciał ją tylko usunąć z drogi na kilka dni. Kolejna duża dostawa była już w drodze i... - Bob urwał, bo uświadomił sobie, że sam się pogrąża.

Roman kiwnął głową.

- Dowiedz się, kto prowadził samochód.

- Dobrze - przyrzekł skwapliwie Bob, nie wiedząc nawet, czy będzie w stanie dotrzymać obietnicy. - Dowiem się.

- Przez kilka najbliższych dni będziemy ściśle współpracować.

- A... nie zadzwonisz do Royce'a?

- Royce to moje zmartwienie, ty masz nadal robić to. co umiesz najlepiej, czyli kłamać. Tylko że teraz będziesz oszukiwał Blocka. Rób dokładnie to, co ci mówię, a pozostaniesz przy życiu. Jeżeli dobrze się spiszesz, wstawię się za tobą w swoim raporcie. Może uda się pójść na ugodę z prokuratorem. - Roman pochylił w stronę Boba. - Pamiętaj, nie próbuj ucieczki, bo cię dopadnę. Wykopię cię choćby spod ziemi i kiedy z tobą skończę, będziesz żałować, że cię nie zabiłem.

Bob spojrział Romanowi w oczy i zrozumiał, że nie są to czcze groźby.

- Co mam robić?

- Opowiedzieć mi o następnej dostawie.

Charity miała dosyć. Niestety, dała Romanowi słowo, że będzie przez cały dzień leżeć w łóżku. Nie mogła nawet zadzwonić do biura, żeby zapytać, co się dzieje. Próbowwała robić dobrą minę do złej gry i zaczęła przeglądać książki i kolorowe magazyny, które przyniosła jej Lori. Przypomniała sobie, że w sądne dni, kiedy w zajeździe wszystko szło na opak, marzyła o takim właśnie wylegiwaniu się w łóżku od rana do wieczora.

Tabletka, którą pod nadzorem Romana połknęła, otumaniła ją. Raz po raz zapadała w

drzemkę. Od czytania ból głowy przybierał na sile, więc próbowała nastawić ciekawy program na małym, przenośnym telewizorze, który stał na półce w drugim końcu pokoju.

Na jednej ze stacji trafiła na film „Sokół maltański”. Szczerze się ucieszyła, bo skoro już została uwięziona w łóżku, to dobrze chociaż, że z Humphreym Bogartem. Kiedy Sam Spade sięgnął po narkotyk Grubasa, Charity zasnęła. Obudziła się, gdy w telewizji nadawano powtórkę jakiegoś sitcomu.

Wymusił na niej obietnicę, że pozostanie przez cały dzień w łóżku! Ze złością wbiła łokieć w poduszkę. Nie ma nawet tyle przyzwoitości, żeby choć przez pięć minut dotrzymać jej towarzystwa. Charity doszła do wniosku, że właściwie to dobrze, po czym zaczęła się zastanawiać nad tym, czym mogłaby się zająć, pozostając w łóżku.

Odetchnęła z ulgą, kiedy w drzwiach stanął Roman. Początkowa radość szybko ustąpiła miejsca niezadowoleniu, kiedy zapytał, co porabia.

- Ciągłe mnie o to pytasz.

- Tak? - Znow przyniósł tacę. Charity poczuła zapach popisowego dania Mae: rosółu z kurczaka z grzankami. - Więc co robisz?

- Umieram z nudów. Wolałabym chyba, żebyś mnie zastrzelił. - Na widok tacy postanowiła okazać mu jednak nieco więcej uprzejmości. Zapadał już zmierzch i od dawna nie miała nic w ustach. - To dla mnie?

- Jeśli masz ochotę. - Położył jej tacę na kolanach, ale się nie odsunął. Żadne słowa nie mogłyby w pełni wyrazić gniewu, jaki rozpałił w nim widok jej siniaków i bandaży. I żadne nie oddałyby radości, jakiej doznał, widząc w jej oczach zniecierpliwienie, a na policzkach rumieniec. - Nie masz racji, Charity. Będziesz żyła.

- Nie dzięki tobie. - Zanurzyła łyżkę w zupie. - Najpierw wymusiłeś na mnie obietnicę, że będę gniła w łóżku, a potem zostawiłeś mnie samą na cały dzień. Mogłeś zajrzeć choć na chwilę i sprawdzić, czy nic wpadłam w śpiączkę.

Roman zajrzał na chwilę. Sam Spade odpakowywał akurat tajemniczego ptaka, a Charity spała kamiennym snem. Siedział przy niej prawie pół godziny i po prostu patrzył na nią.

- Byłem trochę zajęty - oświadczył i bezceremonialnie odłamał sobie połowę jej grzanki.

- No jasne. - Charity stanowczo odebrała mu grzankę, nie była we wspaniałomyślnym nastroju. - Skoro już tu jesteś, to powiedz, co się dzieje na dole.

- Wszystko gra - oznajmił Roman, mając na myśli konfrontację z Bobem i przeprowadzone konsultacje telefoniczne.

- To dopiero drugi dzień pracy Bonnie. Ona...

- Radzi sobie znakomicie - wpadł jej w słowo Roman.

- Mae nic spuszcza jej z oka. Skąd się to wszystko wzięło?

- Wskazał rozstawione wokół wazony świeżych kwiatów.

- Stokrotki przyniosła mi Lori. razem z czasopismami. Potem przyszła panna Millie z siostrą. Naprawdę nie powinny wspinać się tak wysoko po schodach! Od nich dostałam leśne fiołki.

- Charity wymieniła jeszcze kilka osób, które przyniosły albo przysłały jej kwiaty.

Roman doszedł do wniosku, że on również powinien to zrobić. Niestety, nawet mu to nie przyszło do głowy. A przecież Charity zasługiwała na romantyczne gesty.

- Roman?

- Co?

- Czy przyszedłeś na górę tylko po to, żeby gapić się z ponurą miną na peonie?

- Nie. - Nawet nie znał nazwy tych kwiatów. Odwrócił się plecami do pełnych, różowych pąków. - Chcesz jeszcze coś zjeść?

- Nie. - Charity położyła łyżkę obok opróżnionej miseczki. - Nie chcę już nic jeść, nie potrzebuję więcej czasopism ani kolejnych odwiedzin osoby, która będzie mnie poklepywać po ręce i radzić, żebym dużo odpoczywała. Jeśli miałeś taki zamiar, to lepiej od razu wyjdź.

- Jesteś naprawdę czarującą pacjentką, Charity. - Roman opanował rozdrażnienie i wziął od niej tacę.

- Wcale nie, jestem godną politowania pacjentką! - Przestała panować nad sobą i ze złością rzuciła w Romana książkę. Na szczęście pocisk chybił celu. - Mam dosyć leżenia w samotności, jakbym cierpiała na chorobę zakaźną. Do licha, mam guza na głowie, a nie w mózgu.

- Guzy mózgu nie są zaraźliwe.

- Nie wymądrzaj się! - Nie odrywając od niego wzroku, skrzyżowała ręce na piersi.

- Postanowiłaś nie słuchać niczyich rad, prawda? Nieważne, że mają na celu wyłącznie twoje dobro.

- Muszę kierować zajazdem, a nie mogę robić tego, leżąc w łóżku.

- Dzisiaj nie musisz.

- To mój ośrodek, moje ciało i moja głowa. - Odrzuciła na bok kołdrę, ale ponownie opadła na poduszki.

Roman obserwował Charity. nie wyjmując ręk z kieszeni.

- Dlaczego nie wstałaś?

- Bo obiecałam. Wyjdź już stąd. do diabła. Wyjdź i zostaw mnie samą.

Rzuciła w niego następną książką, tym razem grubszą, w twardej oprawie. Odczuła drobną satysfakcję, kiedy tomisko z hukiem rąbnęło w zamykające się za Romanem drzwi.

Do licha z nim, pomyślała, opierając brodę na kolanach. Do licha ze wszystkim. Do licha z nią samą. Roman nie po to przyszedł na górę, żeby z nią walczyć. Nie musiał znosić jej humorów.

Roman zatrzymał się nagle w połowie schodów i zawrócił. Kiedy otworzył drzwi, Charity

plakała. Kompletnie się rozkleiła, nienawidziła się za to i chciała, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju.

- Czego znowu chcesz?

- Wstawaj.

Charity usiadła prosto i oparła się plecami o zagłówek.

- Dlaczego?

- Wstawaj - powtórzył Roman. - Ubieraj się. Na pewno jest tu gdzieś kawałek brudnej podłogi do przetarcia albo popielniczka, którą należałoby opróżnić.

- Obiecałam, że nie wstanę. - Uniosła głowę. - I nie wstanę.

- Albo wstaniesz sama, albo siłą wywlokę cię z łóżka. Oczy pociemniały jej ze złości i jeszcze wyżej zadarła głowę.

- Nie ośmielisz się. - Pożałowała tych słów, gdy tylko je wymówiła. Wiedziała przecież, że jest człowiekiem zdolnym do wszystkiego.

Roman podszedł do łóżka i złapał ją za ramię. Charity uczepiła się jednego ze słupków baldachimu. Mimo to zdołał podnieść ją na kolana, zanim dotarło do niej, co się dzieje. Zaczęła chichotać.

- Co za idiotyzm. Kompletny idiotyzm. Przestań mnie szarpać, Romanie. Upadnę i nabiję sobie następnego guza.

- Paliałś się do wstawania, to wstawaj.

- Nie, chciałam tylko poużalać się nad sobą. Świetnie mi szło. Zaraz wyrwiesz mi ramię ze stawu.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką w życiu spotkałem - odparł, ale ją puścił.

- Dałam niezłe przedstawienie. Przepraszam, że się na tobie wyładowałam.

- Nie potrzebuję przeprosin.

- Owszem, potrzebujesz. - Chętnie podałaby mu rękę na zgodę, ale wyraźnie nie był jeszcze gotów przyjąć gestu pojednania. - Nie umiem stać na uboczu, z dala od centrum wydarzeń. Prawie nigdy nie choruję, więc nie nauczyłam się dzielnie znosić takich sytuacji. - Mięła w palcach róg prześcieradła i ledwo odważyła się na niego popatrzeć. - Naprawdę mi przykro, Romanie. Nadal będziesz się na mnie złościć?

- Tak byłoby najlepiej. - Złość nie miała nic wspólnego z tym, co się z nim teraz działo. Charity wyglądała tak ponętnie z nieśmiałym uśmiechem na ustach, potarganymi włosami i w zwiewnej nocnej koszuli, wprowadzie skromnie zapiętej po szyję, ale odsłaniającej uda.

- Chcesz mnie ukarać?

Musiał się uśmiechnąć. Usiadł na łóżku, zacisnął dłoń w pięść i dotknął nią lekko podbródka Charity. - Jak już wstaniesz z łóżka, to jeszcze ci przyłożę.

- To bardzo miło z twojej strony, że przyniosłeś mi jedzenie. Nawet ci za to nic podziękowałam.

- To prawda.

- Dziękuję. - Pocałowała go w policzek.

- Proszę bardzo.

Zdmuchnęła włosy z oczu i postanowiła jeszcze raz zapytać o zajazd.

- Dużo mieliśmy dziś gości?

- Obsługiwałem trzydzieści stolików.

- Będę musiała dać ci podwyżkę. Mae zrobiła pewnie tort czekoladowy.

- Tak. - Kąciki ust Romana drgnęły.

- Nic nie zostało?

- Ani okruszka. Był przepyszny.

- Jadłeś go?

- Pełne wyżywienie mam zagwarantowane w umowie o pracę.

- To prawda. - Charity opadła na poduszki. Ponownie poczuła się skrzywdzona przez los.

- Znowu będziesz się dąsać?

- Tylko przez chwilę. Czy szeryf dowiedział się czegoś o tym samochodzie?

- Nie za wiele. Znalazł porzucony wóz szesnaście kilometrów stąd. - Roman wyciągnął rękę, żeby wygładzić zmarszczkę, która pojawiła się pomiędzy brwiami Charity. - Nie zwracaj sobie tym głowy.

- Nie zamierzam. Naprawdę. Cieszę się, że kierowca nikogo więcej nie potracił. Lori powiedziała, że skaleczyłeś się w rękę.

- Lekko. - Ich dłonie były złączone. Nie wiedział, czy to on sięgnął po jej rękę czy ona po jego.

- Byłeś na spacerze?

- Czekałem na ciebie.

- O! - Znowu się uśmiechnęła.

- Powinnaś odpoczywać. - Roman poczuł się nieswojo i niezręcznie. Żadna inna kobieta nie wprawiała go w taki stan.

- Znowu jesteśmy przyjaciółmi?

- Można tak chyba powiedzieć. Dobranoc, Charity.

- Dobranoc.

Podszedł do drzwi, ale nie umiał wyjść za próg. Stał, tocząc walkę z samym sobą. Mijały sekundy, które im obojgu wydawały się długie jak godziny.

- Nie mogę. - Odwrócił się i cicho zamknął drzwi.

- Czego nie możesz?

- Nie mogę wyjść.

Rozpromieniła się w uśmiechu, który objął nie tylko jej usta, ale i oczy. Wyciągnęła do niego ręce. Wiedział, że tak zrobi. Równie trudno było mu podejść do Charity, jak przedtem ją opuścić.

- Nic dobrego ci ze mnie nie przyjdzie.

- A ja sądzę, że dużo dobrego. - Przyciągnęła ich złożone dłonie do swojego policzka. - Z czego wniosek, że jedno z nas się myli.

- Gdybym mógł, uciekłbym z tego pokoju, gdzie pieprz rośnie.

To ją zabolalo, ale nie oczekiwała, że miłość do Romana okaże się łatwa.

- Dlaczego?

- Z powodów, których nie mogę ci wyjawic. - Spojrzał na ich połączone dłonie. - Nie potrafię odejść. W przyszłości pożałujesz, że nie odszedłem.

- Nie. - Pociągnęła go na łóżko. - Cokolwiek się wydarzy, zawsze będę zadowolona, że zostałeś. - Tym razem to ona starała się wygładzić zmarszczki na jego czole. Zrzuciła mu ręce na szyję. - Kocham cię, Romanie. Dziś stanie się to, czego pragnę.

Chciał okazać Charity czułość i delikatność, aby - broń Boże! - jej nic skrzywdzić, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał sprawić jej ból.

Tego wieczoru postanowił zapomnieć o przyszłości, choćby tylko na kilka godzin. Przy Charity potrafił być troskliwy i kochający. Przy niej mógł uwierzyć, że miłość potrafi pokonać wszelkie przeszkody.

Kochał ją. Nie wierzył dotychczas, że jest zdolny do miłości. Wkraczając w życie Charity, nie miał pojęcia, że ta kobieta sianie się dla niego wybawieniem. Pozostało mu już niewiele czasu, by jej to okazać. A przy okazji ofiarować samemu sobie to, czego nie spodziewał się od życia otrzymać.

Charity nie mogła się nadziwić delikatności Romana.

Jakby zdawał sobie sprawę, że tym pierwszym wspólnym razem trzeba się rozkoszować i uczynić go pamiętnym. Jej marzenia nie umywały się nawet do rzeczywistości. Westchnęła. Odpowiedziało jej westchnienie Romana.

Nie miała pojęcia, jakie pokłady czułości w nim się kryły. Nie mogła wiedzieć, że Roman również dopiero teraz je w sobie odkrywał. Nie pomyślał o zapaleniu świec. W bursztynowym świetle lampy widział Charity wyraźnie wpatrzone w niego pociemniałe oczy, usta wychodzące z uśmiechem na spotkanie jego warg. Nie pomyślał o nastawieniu muzyki, ale dzięki temu słyszał szelest nocnej koszulki, kiedy Charity go obejmowała. Przez uchylone okno wpadł do pokoju lekki powiew wiatru i nasycił powietrze wonią kwiatów.

Charity zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli, nie przestając patrzeć mu w oczy.

- Pragnę cię dotknąć - szepnęła, zsuwając mu z ramion koszulę. Serce zabiło jej szybciej na widok mięśni rysujących się pod napiętą skórą. Fascynowała ją jego siła, przeczuwała, że potrafi być bezlitosny. Przypuszczała, że nieraz już w życiu walczył. - Wydaje mi się, że przez całe życie czekałam, by cię dotknąć - dodała i przesunęła czubkami palców po bandażu na ramieniu Romana.

- Czy to boli?

- Nie. - Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że jednym ruchem można przynosić udrękę i ukojenie równocześnie. - Charity. ..

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Zrozumiał, że potrafi dać jej rozkosz. Ta potrzeba pulsowała gwałtownie w głębi jego ciała. Mógł rozpalic jej namietność, ale ta świadomość nie napelniła go poczuciem wszechwladzy.

Była gotowa dać mu wszystko, czego zapagnął, nie stawiając warunków. Ta silna, piękna, fascynująca kobieta oddawała się w jego władanie. To nie sen, z którego obudzi się udręczony w srodku nocy. To rzeczywistość. Charity była realna i czekała, by zaczęli się kochać.

Powoli rozpinął małe guziczki. Słyszał coraz szybszy oddech Charity, kiedy każdy kawalek odsłanianej skóry znaczył wilgotnymi pocałunkami. Wpijała palce w jego plecy, potem jej ręce opadły bezwładnie. Jęczała, kiedy wodził językiem po jej skórze. Poczula powiew wiatru na gołym cieie i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Roman ją rozebrał. Potem uniósł ją i zamknął w ramionach.

Wtuliła się w niego, podniecona do granic wytrzymałości, spragniona bliskości i spełnienia. Musiał cofnąć się na moment i odzyskać panowanie nad sobą, żeby móc ją porwać ze sobą i zaprowadzić na szczyt. Wtulił twarz w szyję Charity i walczył z pragnieniem, by jak najszybciej osiągnąć spełnienie. Trwaj w zawieszeniu pomiędzy niebem a piekłem, w zachwycie. Usłyszał, jak z łkaniem wypowiedziała jego imię. Czuł jej siłę. Była z nim razem, jak nikt dotychczas. I wtedy zagarnęła ich fala rozkoszy.

Objęła Romana ramionami, nie pozwoliła mu się odsunąć.

- Nie ruszaj się.

- Zmiażdżę cię.

- Nie. - Westchnęła przeciągle. - Nie miażdżysz mnie.

- Jestem za ciężki - odparł i przygarnął ją do siebie, po czym przewrócił się na plecy.

- Dobrze. - Z zadowoleniem położyła głowę na jego ramieniu. - Jesteś najwspanialszym kochankiem na świecie - oświadczyła z przekonaniem.

Nawet nie próbował powstrzymać uśmiechu.

- Dziękuję. - Zaborczym ruchem położył dłoń na biodrze Charity. - A ilu ich miałaś?

Tym razem to ona się uśmiechnęła. Nuta zazdrości w głosie Romana dodała jeszcze

większego uroku tej i tak już wspaniałej nocy.

Charity pożałowała, że nie umie kłamać i wymyślić na oczekaniu legionu kochanków.

- Niewielu. Co nie oznacza, że nie potrafię docenić rewelacyjnego.

- Nie zasługuję na ciebie.

- Nie bądź idiotą. - Uniosła się, żeby musnąć jego wargi pocałunkiem. - I nie zmieniaj tematu.

- Jakiego lematu?

- Jesteś sprytny, DeWinter, ale nie dość sprytny. - Przyjrzała mu się w świetle lampy. - Teraz moja kolej, żeby zapytać, ile miałeś kochanek.

Tym razem uśmiech nie pojawił się na ustach Romana.

- Zbyt wiele. Ale tylko jedna była dla mnie ważna. Rozbawienie zniknęło z oczu Charity.

- Zaraz się rozplącę - powiedziała i znów położyła głowę na jego piersi.

Jeszcze nie teraz, pomyślał Roman, gładząc jej włosy. Wkrótce rzeczywiście będziesz przeze mnie płakać, ale jeszcze nie teraz.

- Dlaczego nie wyszłaś za mąż? - zapytał. - Dlaczego nie masz dzieci?

- Dziwne pytanie. Dotychczas nikogo tak mocno nie kochałam. - Skrzywiła się, słysząc własne słowa, potem uśmiechnęła się i uniosła głowę. - To nie była aluzja.

Właśnie taką odpowiedź Roman chciał usłyszeć. Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo, ale przynajmniej przez kilka godzin pragnął wierzyć, że Charity kochała go wystarczająco mocno, by mu wybaczyć, zaakceptować i związać się z nim na zawsze.

- A co z twoimi wymarzonymi podróżami? Wzruszyła ramionami i znów ułożyła się na piersi Romana.

- Może nigdy nie wybrałam się w podróż, bo czułam, że nie warto oglądać tych wszystkich cudów w samotności? Po co jechać do Wenecji, jeśli nie mamy z kim pływać gondolą? Co nam przyjdzie z Paryża, jeśli nie mamy z kim zwiedzać?

- Możesz pojechać tam ze mną.

Już w półśnie roześmiała się. Podejrzewała, że Romanowi starczyłoby pieniędzy najwyżej na prom, i to tylko dla siebie.

- Dobrze. Daj mi znać, kiedy mam zacząć się pakować.

- Pojedziesz? - Uniósł głowę Charity, żeby spojrzeć w jej zaspane oczy.

- Oczywiście. - Pocałowała go. wtuliła głowę w jego ramię i zasnęła.

Roman zgasił lampkę przy łóżku. Przez dłuższy czas mocno tulił Charity i wpatrywał się w ciemność.

ROZDZIAŁ 8

Charity powoli otworzyła oczy, zdziwiona, że nie może się ruszyć. Jeszcze otumaniona snem dostrzegła twarz Romana tuż przy swojej. We śnie przyciągnął ją do siebie. Nawet teraz nic robił wrażenia bezbronnego. Ciekawe, czy zawsze był laki? Czy musiał taki być? Uśmiech nadawał jego twarzy ogromnego uroku. Stanowczo zbyt rzadko się uśmiechał.

Mogła to zmienić. Z czasem, powoli i stopniowo, zdoła go nauczyć, jak się odprężyć, cieszyć, ufać. Nauczy go, jak być szczęśliwym. Niemożliwe, by taka miłość jak jej pozostała nieodwzajemniona. Prędzej czy później - prędzej, jeśli Charity zdoła postawić na swoim - Roman zrozumie, że zostali dla siebie stworzeni. Wtedy przyjdzie czas na przysięgi, założenie rodziny, wspólną przyszłość.

Nie pozwolę ci odejść, szepnęła niemal bezgłośnie. Jeszcze o tym nie wiesz, ale złowiłam cię na wędkę, z której nie zdołasz się zerwać.

Miał tyle do ofiarowania. I nie chodziło tylko o seks. choć nie wstydziła się przyznać, że pod tym względem olśnił ją i zachwyił. Chciałaby wiedzieć, co sprawiło, że tak bardzo bał się miłości, że tak wzdragał się pokochać.

Za bardzo go kochała, żeby żądać od niego wyjaśnień. On sam musiał odpowiedzieć sobie na to pytanie i Charity czuła, że stanie się to chwili, kiedy jej w pełni zaufa. A wtedy pozostanie jej tylko przekonać Romana, że to dla niej bez znaczenia, bo liczy się tylko łączące ich uczucie.

Musnęła jego wargi pocałunkiem. Natychmiast otworzył oczy. W ciągu sekundy jego spojrzenie było całkowicie przytomne.

- Masz lekki sen. Ja...

Nie dokończyła, bo wargi Romana opadły na jej usta. Zdobyła się tylko na stłumiony pomruk, zanim poddała się cudownym doznanom.

Tylko w ten sposób mógł jej powiedzieć, co czuł, gdy po przebudzeniu znalazł ją przy sobie, taką ciepłą, bliską i chętną. Zbyt często budził się rano samotnie w obcych łóżkach. Latami izolował się od ludzi, którzy mogliby zanadto się do niego zbliżyć. Taką miał pracę. A przynajmniej wmawiał w siebie, że to wina pracy. Było to jednak kłamstwo, jedno z wielu. Postanowił żyć samotnie, bo bał się kolejnej straty, żałoby. Teraz, w ciągu jednej nocy, wszystko uległo zmianie.

Na zawsze zapamięta zakradające się do pokoju blade promienie świtu, śpiew ptaków, radośnie witających wschodzące słońce, zapach rozgrzanej snem skóry Charity. I jej usta otwierające się skwapliwie na przyjęcie jego pocałunku.

W mrocznych zakątkach duszy Romana kryła się głęboko skrywana potrzeba. Ona ją wyczuła. Powoli, muskając wargami twarz Charity, wszedł w nią. Przyjęła go z uśmiechem szczęścia.

Była słaba jak jagnię, ale zadowolona jak kot, który dobrał się do śmietanki. Z zamkniętymi

oczami wyciągnęła ramiona w górę, aż do sufitu.

- I pomyśleć, że do niedawna byłam święcie przekonana, że najlepiej rozpocząć dzień od spaceru z psem. - Ze śmiechem położyła się znowu na Romanie. - Dziękuję, że udowodniłeś mi, jak bardzo się myliłam.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Jego serce ciągle jeszcze waliło jak młotem. - Daj mi chwilę, a przedstawię ci najlepszy powód, by spędzić cały ranek w łóżku.

Ależ to była kusząca perspektywa! Jednak Charity potrząsnęła głową i usiadła w pościeli.

- Może po powrocie poświęcę ci jeszcze krótką chwilę. Roman złapał ją za rękę, ale uchwyt jego palców był bardzo lekki.

- Po powrocie skąd?

- Ze spaceru z Ludwigiem.

- Nie.

- Jak to: nie? - Ręka Charity znieruchomiała w powietrzu.

Roman znał ten ton. Znowu była szefową, chociaż naga i jeszcze zaróżowiona po miłości. Ta kobieta nie przyjmowała niczyich poleceń. Postanowił jeszcze raz udowodnić jej, że nie miała racji.

- Nie, nie pójdziesz z psem na spacer.

Chciała zachowywać się racjonalnie, więc przywołała na twarz uśmiech.

- Owszem, pójde. Dotrzymałam słowa i cały wczorajszy dzień spędziłam w łóżku. Oraz całą noc. A teraz zamierzam wrócić do pracy.

W pobliżu zajazdu, zgoda. Właściwie im szybciej wszystko wróci do normy, tym lepiej. Ale nie było nawet mowy, by Roman pozwolił jej spacerować po opustoszałej szosie.

- Nie jesteś w odpowiedniej formie do biegania.

- Owszem, jestem.

- Masz najwspanialsze ciało na świecie. Odsunęła jego myszkujące dłonie.

- Romanie... naprawdę?

Jego wargi wygięły się w leniwym uśmiechu. Takie najbardziej się jej podobały.

- Oczywiście, pozwól, że ci to udowodnię.

- Nie, ja... - Złapała dłonie, które zaczęły pieścić jej uda. - Gdybyśmy spróbowali zrobić to znowu, pewnie przyplącalibyśmy to życiem.

- Jestem gotów zaryzykować.

- Romanie, mówiłam poważnie. Romanie...

- Bajeczne nogi - orzekł i przesunął językiem po wrażliwym miejscu pod kolanem. - Ostatniej nocy poświęciłem im stanowczo zbyt mało uwagi.

- Tak, ty... - Charity oparła się ręką o materac. - Próbujesz odwieść mnie od moich

zamiarów.

- Tak.

- Nie możesz. - Zamknęła oczy. Mógł. Właśnie to robił. - Ludwig musi pobiegać - wykrztusiła z trudem. - Bardzo to lubi.

- Świetnie. - Roman nakrył rękami jej piersi. - W takim razie ja z nim wyjdę.

- Ty? - Odwróciła głowę, żeby uniknąć pocałunku, bo czuła, że musi złapać oddech. Zadrzała, gdy Roman przesunął wargami w dół po jej szyi. - To nie jest konieczne.

Jestem w doskonałej... - Jej głos stawał się coraz słabszy, bo Roman zataczał kciukiem kręgi wokół jej sutków.

- Tak, niesamowite ciało - stwierdził. - Silne, smukłe i piękne. Nie mogę cię dotknąć, żeby nie zacząć cię pragnąć.

- Próbujesz mnie uwieść.

- A ty nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Charity była zgubiona, pozbawiona własnej woli. Wiedziała, że potem będzie miała o to do siebie pretensje, ale teraz oparła się o Romana, pozwalając mu postawić na swoim.

- To twoja odpowiedź na wszystko?

- Nie. - Uniósł Charity i naprowadził ją na siebie. - Ale działa.

Charity nie była w stanie odmówić, otoczyła nogami biodra Romana i pozwoliła, by namiętność porwała ich oboje. Potem osunęła się bezsilnie na łóżko. Nie dyskutowała, kiedy okrył ją prześcieradłem.

- Zostań tu - powiedział i pocałował jej włosy. - Wrócę.

- Smycz wisi na haczyku pod schodami - wymamrotała Charity. - Po powrocie ze spaceru Ludwig dostaje zawsze dwie miarki psiej karmy i świeżą wodę.

- Chyba potrafię poradzić sobie z psem. Ziewnęła i podciągnęła koce pod szyję.

- Ludwig lubi ganiać kotkę Fitzsimmonsów. Nie musisz się martwić, nigdy jej nie dopadnie.

- To mi ulżyło. - Zawiązał buty. - Jeszcze o czymś powinienem wiedzieć?

- Mhm. - Wtuliła się w poduszkę. - Kocham cię. Jak zwykle zaszokowały go zarówno wyznanie, jak i świadomość, że jest szczere. Bez słowa wyszedł z pokoju.

Charity przeciągnęła się pod prześcieradłem. Wcale nie była zmęczona. Roman miał rację. Sen nie był najlepszym powodem, by pozostać rano dłużej w łóżku. Pomimo siniaków i skaleczeń nigdy nie czuła się tak wspaniale jak teraz. Postanowiła poleniuchować i, na wpół drzemiąc, wylegiwała się w łóżku, dopóki nie wygnało ją z niego poczucie winy.

Automatycznie włączyła radio i uporządkowała pościel, W saloniku przejrzała notatki i dodała kilka punktów. Potem weszła pod prysznic. Nuciała melodię z koncertu skrzypcowego Czajkowskiego, gdy nagle zasłonki kabiny zostały rozsunięte.

- Roman! - Przycisnęła dłonie do serca i oparła się plecami o glazurę. - Nie powinieneś mnie straszyć. - Związała włosy na czubku głowy, a w rękę trzymała perfumowane mydło. Mokra, namydlona skóra lśniła. Roman pospiesznie zdarł z siebie koszulę i odrzucił ją na bok.

- Czy nie myślałaś o tym, żeby nauczyć tego psa chodzić przy nodze?

- Nie. - Z szerokim uśmiechem przyglądała się, jak rozpinął spodnie. - Zgaduję, że chcesz wejść pod prysznic.

- Roman bez słowa rzucił dzinsy w ślad za koszulą. Charity przez dłuższą chwilę podziwiała go w milczeniu. - Cóż, widzę, że spacer z psem zanadto cię nie... wyczerpał.

- Roześmiała się, kiedy Roman stanął przy niej.

Mniej więcej po godzinie Charity zeszła do holu.

- Chciałabym zjeść wszystkiego po trochu! - zawołała, przyciskając ręką żołądek. - Cześć, Bob. - Zatrzymała się przy recepcji, żeby uśmiechnąć się do księgowego.

- Witaj, Charity. - Bob dostrzegł Romana i ręce zwilgotniały mu ze zdenerwowania. - Jak się czujesz? Bardzo szybko zeszłaś na dół.

- Nic mi nie jest. - Zerknęła od niechcienia na leżące na biurku dokumenty. - Przepraszam, że zostawiłam wczoraj wszystko na twojej głowie.

- Nie bądź niemądra. Martwiliśmy się o ciebie.

- Doceniam waszą troskę, ale nie ma już powodu do niepokoju. - Uśmiechnęła się do Romana. - Nigdy w życiu nie czułam się tak znakomicie.

Bob zauważył jej spojrzenie. Jeżeli ten policjant jest w niej zakochany, to sprawy przybrały zdecydowanie zły obrót.

- Miło mi to słyszeć, ale... Uniosła rękę, żeby uciszyć jego protest.

- Masz tu coś pilnego?

- Nie. - Zerknął na Romana. - Nie ma nic pilnego.

- To dobrze. - Charity odsunęła na bok papiery i przyjrzała się księgowemu. - Co się stało, Bob?

- A co miałyby się stać?

- Jesteś błąd. Chyba się nie rozchorowałaś?

- Nie, wszystko w porządku. W absolutnym porządku. Przyjąłem kilka nowych rezerwacji. Na lipiec mamy już prawie komplet.

- Wspaniale! Przejrzę wszystko po śniadaniu. Napij się kawy. - Poklepała go po ręce i ruszyła do jadalni.

Stali goście raczyli się ciastem kawowym Mae, czekając na właściwy posiłek. Bonnie przyjmowała zamówienia. Śniadaniowe menu było starannie wypisane na tablicy, a z głośników dobiegała cicha, kojąca muzyka. Na stołach stały świeże kwiaty i gorąca kawa.

- Coś nie tak? - zapytał Roman.

- Nie. Co mogłoby być nie tak? Chyba wszystko idzie jak po maśle - odparła i z poczuciem, że jest tu zbędna, pospieszyła do kuchni.

Nie trafiła na spór, który należałoby rozsądzić. Mae i Dolores pracowały zgodnie ramię przy ramieniu, a Lori ustawiała na tacy pierwsze zamówienie.

- Potrzebujemy więcej masła do grzanek francuskich!

- zawołała Mae.

- Już się robi - odparła radosna jak skowronek Dolores i zaczerpnęła trochę zgrabnych kuleczek masła. Podała napełnioną miseczkę Lori i zauważyła stojącą w drzwiach Charity. - O, dzień dobry! - Chuda twarz kucharki rozjaśniła się uśmiechem. - Nie spodziewałam się, że będziesz już na nogach.

- Nic mi nie jest.

- Siadaj, dziewczyno. - Mae ledwie rzuciła na nią okiem i wróciła do posypywania omletu tartym serem.

- Dolores zaraz poda ci herbatę.

Charity zacisnęła zęby, ale uśmiechnęła się.

- Nie chcę herbaty.

- Może nie chcesz, ale powinnaś wypić.

- Jak to dobrze, że już się lepiej czujesz - rzuciła w przelocie Lori, niosąc tacę do jadalni.

Wpadła Bonnie z bloczkiem zamówień w rękę.

- O, cześć Charity. Myślałyśmy, że zostaniesz w łóżku jeszcze jeden dzień. Lepiej się czujesz?

- Lepiej - odparła Charity lakonicznie. - Po prostu świetnie.

- To cudownie. Dwa omlety z bekonem, Mae. Jedna francuska grzanka z kiełbasą. Dwie herbaty ziołowe, jedno kruche ciastko. Zaczyna brakować kawy.

Bonnie powiesiła zamówienie na haczyku nad kuchenką, złapała podany przez Dolores dzbanek świeżej kawy i wypadła.

Charity podeszła, żeby wziąć fartuszek, ale Mae odpędziła ją machnięciem ręki.

- Powiedziałam, żebyś usiadła.

- A ja ci powiedziałam, że czuję się świetnie. Świetnie! Chcę pomóc przyjmować zamówienia.

- Dzisiaj będziesz wykonywać moje polecenia. Siadaj. - Mae pogłaskała Charity po ramieniu. - Bądź grzeczną dziewczynką. Nie martwiłabym się tak bardzo o ciebie, gdybym wiedziała, że zjadłaś solidne śniadanie. Chyba nie chcesz, żebym się o ciebie martwiła, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale...

- No właśnie. Więc usiądź. Przygotuję ci francuską grzanekę. Twoją ulubioną.
Charity usiadła. Dolores postawiła przed nią filiżankę herbaty i pogłaskała ją po głowie.

- Ale nam wczoraj napędziłaś strachu. Usiądź, Romanie. Zaraz ci podam kawę.

- Dziękuję. Jesteś nadąsana - zwrócił się do Charity.

- Wcale nie.

- Doktor wpadnie dziś rano, żeby jeszcze raz rzucić na ciebie okiem.

- Mae, na litość boską...

- Nawet palcem nie ruszysz, dopóki lekarz ci nie pozwoli - oznajmiła i wzięła się za przygotowanie zamówienia. - Zresztą dopóki nie wyzdrowiejesz, niewiele będzie z ciebie pożytku. Wczoraj mieliśmy wystarczająco dużo kłopotów.

Charity natychmiast podniosła wzrok znad filiżanki herbaty.

- Jakich kłopotów?

- Wszyscy zadawali pytania, na które nikt nie znalazł odpowiedzi. I zaginęła sterta pościeli.

- Zaginęła?

- Już została znaleziona. - Mae zrobiła Dolores miejsce przy kuchni. - Ale mieliśmy tu niezłe zamieszanie. Potem obiad... przydałaby się nam dodatkowa para rąk. - Mae mrugnęła do Romana ponad głową Charity. - Wszyscy będziemy skakać z radości, jeśli doktor pozwoli ci wziąć się do roboty. Podsmaż jeszcze ten bekon, Dolores, żeby był chrupiący.

- Jest chrupiący.

- Za mało.

- Mam go spalić?

Charity uśmiechnęła się i wypila łyk herbaty. Jak dobrze być znowu na swoim miejscu.

Dopiero po południu ponownie zobaczyła Romana. Za uchem miała zatknięty ołówek, do jednej kieszeni wsunęła notes, do drugiej ściereczkę i pospiesznie przemierzała korytarz, kierując się do swoich pokoi.

- Spieszysz się?

- O! - Zatrzymała się, żeby uśmiechnąć się do Romana. - Tak, mam w pokoju pewne dokumenty, które są potrzebne w biurze.

- A co to? - Pociągnął ściereczkę do kurzu.

- Jedna z pokojówek *złapała* wirusa. Odesłałam ją do domu. - Charity spojrzała na zegarek i skrzywiła się. Uznała jednak, że może sobie pozwolić na dwie minuty rozmowy. - Mam nadzieję, że Bob się od niej nie zaraził.

- A co jest z Bobem?

- Nie wiem. Nieszczególnie wygląda. Tak czy owak brakuje jednej pokojówki, a dzisiaj przyjadą goście do trójki i piątki. Garsonowie wyprowadzili się z piątki dopiero dziś rano, a na

pewno nie zdobyliby nagrody za schludność.

- Doktor kazał ci po południu odpocząć przez godzinę.

- Tak, ale... skąd ty właściwie o tym wiesz?

- Zapytałem go. - Roman wyciągnął ściereczkę z kieszeni Charity. - Posprzątam w piątkę.

- Nie bądź śmieszny. To nie twoja praca.

- Mam się zajmować naprawami, więc naprawię panujący w piątkę nieporządek. Jak skończę, to wpadnę na górę. Jeżeli nie zastanę cię w łóżku, to wykopię cię choćby spod ziemi.

- To zabrzmiało jak groźba. Pochylił się i mocno ją pocałował.

- To była groźba!

- Jestem przerażona - pisała Charity i wbiegła po schodach.

Nie miała zamiaru ignorować zaleceń lekarskich. Naprawdę. Po prostu w natłoku zajęć popołudniowa drzemka musiała zejść na dalszy plan. Każda rozmowa telefoniczna była dłuższa niż zwykle z powodu pięciominutowych wyjaśnień dotyczących jej obrażeń i samopoczucia.

Nie, naprawdę czuła się całkiem dobrze. Tak, to rzeczywiście okropne, że ktoś ukradł samochód biednej pani Norton i rozbijał się nim po wyspie jak wariat. Owszem, była pewna, że szeryf zdoła ująć sprawcę. Nie, nie złamała nogi... ręki... ramienia... Tak, zamierzała dbać o siebie i była bardzo wdzięczna za troskę.

To serdeczne zainteresowanie jej zdrowiem sprawiłoby nawet Charity przyjemność, gdyby nie opóźnienia w pracy. Co gorsza. Bob był kompletnie rozkojarzony i niezorganizowany. Zaczęła się martwić, że zachorował albo ma poważne problemy osobiste, więc wzięła na siebie jego robotę.

Dwukrotnie próbowała zrobić przerwę i pójść na górę odpocząć, i dwukrotnie musiała to odłożyć, by zająć się gośćmi. Przyjęła na wiarę, że Roman porządnie wysprzątał piątkę, i zaprowadziła tam parę nowożeńców.

- Mają stąd państwo piękny widok na ogród. - W rzeczywistości weszła nie po to, żeby oglądać widoki, ale by sprawdzić, czy Roman pamiętał o czystych ręcznikach. Na szczęście leżały na właściwym miejscu. Łóżko o białym wiklinowym wezglówiu w kształcie serca było zaścielone idealnie, z wojskową wręcz precyzją. Ledwo oparta się pokusie, by unieść kapę i sprawdzić prześcieradła.

- Codziennie o piątej po południu podajemy w salonie wino. Jeżeli zamierzają państwo zjeść obiad w naszej restauracji, to radzę od razu zarezerwować stół, szczególnie że dziś sobota. Śniadania podajemy pomiędzy siódmą trzydzieści a dziesiątą. Jeśli mają państwo ochotę, to... - Urwała, bo do pokoju wszedł Roman. - Za chwilę do ciebie przyjdę - powiedziała do niego i odwróciła się znowu w stronę nowo przybyłych.

- Przepraszam. - Roman powitał gości skinieniem głowy i wziął Charity na rękę. - Panna Ford jest w tej chwili pilnie potrzebna gdzie indziej. Życzę państwu miłego pobytu.

Kiedy minął pierwszy szok, Charity zaczęła mu się wrywać.

- Zwariowałeś? Puść mnie natychmiast!

- Puszczę cię dopiero wtedy, gdy się znajdziesz w łóżku.

- Nie możesz tak po prostu... - Słowa zmieniły się w nieartykułowany pomruk, kiedy wkroczyli do saloniku.

Dwóch siedzących na kanapie panów przerwało opowiadanie o swych wyczynach wędkarskich. Wracająca z wycieczki rodzina stanęła w drzwiach, wpatrując się w nich z zainteresowaniem. Panna Millie i panna Lucy, siedzące przy stoliku pod oknem, przerwały swą codzienną partyjkę scrabble.

- Jakie to romantyczne. - Panna Millie westchnęła, kiedy zniknęli w zachodnim skrzydle.

- Postawiłeś mnie w wyjątkowo krępującej sytuacji.

- Masz szczęście, że zrobiłem tylko tyle.

- Nie miałeś prawa przerywać mi rozmowy z gośćmi. A potem, co gorsza, odgrywać Rhetta Butlera.

- O ile sobie przypominam, to on miał całkiem co innego na myśli, niosąc do łóżka inną upartą kobietę. - Roman rzucił ją, niezbyt delikatnie, na materac. - Teraz odpoczniesz.

- Mam ochotę posłać cię do diabła.

Pochylił się i unieruchomił jej głowę w dłoniach.

- Nie krępuj się.

- Nie pozwala mi na to dobre wychowanie. - Niech ją Ucho, jeśli się uśmiechnie.

- Więc mam szczęście. - Pochylił się jeszcze bardziej. W jego oczach błyszczało rozbawienie. Charity musiała mocno zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać. - Przez sześćdziesiąt minut nie wolno ci opuścić łóżka.

- Albo?

- Albo... napuszczę na ciebie Mae!

- To chwyć poniżej pasa, DeWinter!

Roman musnął wargami skroń Charity, tuż nad świeżym bandażem.

- Wyłącz się na godzinę, kochanie. Na pewno od tego nie umrzesz.

Charity zaczęła się bawić górnym guzikiem jego koszuli.

- Wolalabym, żebyś dotrzymał mi towarzystwa.

- Powiedziałem, byś się wyłączyła, a nie żebyś się przestawiła na inny rodzaj... aktywności.

- Kiedy zaterkotał telefon w jej saloniku, przytrzymał ją na łóżku. - Nawet o tym nie myśl. Sam odbiorę.

Wzniosła oczy do nieba, kiedy Roman przeszedł do sąsiedniego pokoju.

- Tak? Odpoczywa. Powiedz im, że zejdzie na dół za godzinę. I do czwartej nie łącz tu

telefonów. Tak. - Zerknął na listę, którą Charity zostawiła na biurku. Na marginesie naszkicowała złotą, rzeźbioną bransoletkę ze szlifowanym czerwonym kamieniem. - Przez najbliższą godzinę sam się wszystkim zajmij. Właśnie tak.

- O co chodziło? - zawołała Charity z sąsiedniego pokoju.

- Powiem ci za godzinę.

- Do licha, Romanie! A jeśli to ważne... Zatrzymał się w progu.

- Nie.

- Skąd wiesz? - Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Wiem, że to nie jest ważniejsze od ciebie. Nic nie jest ważniejsze. - Zamknął drzwi, zostawiając ją w osłupieniu.

Trzeba trzymać Boba krótko, myślał Roman, zbiegając po schodach. Musi sprawić, by pozostawał w stałym poczuciu zagrożenia jeszcze przez kilka dni. Block powinien zjawić się tutaj z kolejną grupą turystów z Vision Tour w środę. Kiedy w czwartek rano będą opuszczać zajazd, pułapka się zamknie.

Roman pchnął drzwi biura. Bob popijał kawę, siedząc przed komputerem.

- Jak na człowieka, który żyje z oszustw, jesteś wyjątkowym flejtuchem.

Bob pociągnął większy łyk.

- Nigdy dotychczas nie musiałem pracować pod okiem policjanta.

- Traktuj mnie po prostu jak nowego partnera - poradził Roman. Wyjął mu kubek z ręki. powąchał i skrzywił się. - Wylej to świństwo, przestań się upijać.

- Daj mi szansę.

- Dałem ci już większą, niż zasługujesz. Charity niepokoi się o ciebie. Podejrzewa, że masz problemy, choć nie przypuszcza, że zamartwiasz się perspektywą spędzenia następnych paru lat w więziennej celi. Nie chcę, żeby się tobą przejmowała.

- Żądasz, bym robił to samo co przedtem. Oszukuję Blocka, pomagam ci zastawić na niego pułapkę. - Trzęsącą się ręką przeczesał włosy. - Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny. Nawet ja sam tego nie wiem. - Zerknął na kubek, który Roman postawił poza jego zasięgiem. - Potrzebuję alkoholu, żeby przetrwać kilka najbliższych dni.

- To ci nie pomoże - powiedział Roman spokojnie i zapalił papierosa. - Weź się w garść, a ja dopilnuję, żebyś nie dostał zbyt wysokiego wyroku. A teraz zrób sobie przerwę.

- Co?

- Mówiłem, żebyś zrobił sobie przerwę. Idź na spacer albo napij się prawdziwej kawy. - Roman strzepnął popiół z papierosa do małej wzorzystej miseczki.

- Jasne. - Bob wstał i wytarł spocone dłonie o spodnie. - Słuchaj, DeWinter, postawmy sprawę jasno. Oczekuję, że ochronisz mnie przed Blockiem, kiedy już będzie po wszystkim.

- Zajmę się Blockiem. - Tej obietnicy zamierzał dotrzymać. Kiedy za Bobem zamknęły się drzwi, podniósł słuchawkę telefonu. - DeWinter - powiedział, gdy uzyskał połączenie.

- Streszczaj się - warknął Conby. - Mam gości.

- Postaram się, żeby twoje martini zanadto się przeze mnie nie zagrzało. Czy namierzyłeś kierowcę?

- To pionek, a na nich najmniej nam zależy.

- Mnie zależy. Znalazłeś go?

- Człowiek odpowiadający rysopisowi został zatrzymany dziś rano w Tacoma. Jest teraz przesłuchiwany przez miejscową policję. Wykorzystaliśmy nasze wpływy, żeby maksymalnie wydłużyć normalne procedury. Polecę tam w poniedziałek. W środę po południu powinienem zameldować się w zajeździe. Powiedziano mi, że dostanę pokój z oknem wychodzącym na jezioro pełne ryb. To brzmi zachęcająco.

- Chcę, byś dał mi słowo, że Charity zostanie wyłączona z tej sprawy.

- Już ci tłumaczyłem, że jeżeli jest niewinna, to nie ma powodów do zmartwienia.

- Tu nie ma żadnego „jeżeli”. - Roman skruszył w palcach papierosa, żeby odzyskać panowanie nad sobą. - Ona jest niewinna. Zostało to potwierdzone wiarygodnym zeznaniem.

- Jeśli można wierzyć jakiemuś zastraszonemu księgowemu.

- O mało nie została zamordowana i nawet nie wie dlaczego.

- To miej ją na oku. Nie zależy nam na tym, żeby panna Ford ucierpiała czy została wplątana w tę sprawę bardziej niż to konieczne. Miejscowy oficer policji w pełni podziela twoją opinię o panie Ford. Szeryf Royce wykrył, że dla nas pracujesz.

- Jak?

- To cwany gliniarz. I ustosunkowany. Ma w FBI kuzyna czy przyrodniego brata. Nie był zachwycony, że ukryto przed nim prawdę.

- Domyślam się.

- Przypuszczam, że niedługo złoży ci wizytę. Postępuj z nim ostrożnie, ale nie daj sobie wejść na głowę.

W chwili gdy Roman usłyszał trzask odkładanej słuchawki, otworzyły się drzwi biura.

- Witam, szeryfie.

- Chcę wiedzieć, co się tu, do Ucha, dzieje, agencie DeWinter.

- Proszę zamknąć drzwi. - Roman odepchnął krzesło do tyłu, zastanawiając się gorączkowo, w jaki sposób postępować z Royce'em. - Byłbym wdzięczny, gdyby na razie darował pan sobie tego „agenta”.

Szeryf oparł obie dłonie na blacie biurka.

- Chcę wiedzieć, co robi na moim terenie zakonspirowany agent federalny.

- Wykonuje rozkazy. Usiądzie pan? - Wskazał mu krzesło.

- Muszę wiedzieć, nad czym pan pracuje.

- A co panu powiedziano? Royce prychnął z niesmakiem.

- Doszło do tego, że nawet mój kuzyn udziela mi wymijających odpowiedzi. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pańska obecność tutaj wiąże się z wczorajszym wypadkiem Charity, w którym o mało nie postradała życia.

- Przyjechałem tutaj, żeby wykonać zadanie. - Roman zamilkł na chwilę i obrzucił Royce'a przeciągłym spojrzeniem. - Bezpieczeństwo Charity jest dla mnie najważniejsze.

Royce od przeszło dwudziestu lat pracował w swoim fachu i nauczył się trafnie oceniać ludzi. Spojrzał teraz na Romana i był w pełni usatysfakcjonowany tym, co zobaczył.

- Usłyszałem z Waszyngtonu jakieś brednie, że Charity jest o coś podejrzana.

- Była, ale już nie jest. Może natomiast mieć kłopoty'. Chce pan jej pomóc?

- Znam tę dziewczynę od urodzenia. - Szeryf zdjął kapelusz i przygładził włosy. - Niech pan skończy z tymi głupimi pytaniami i powie mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Roman przedstawił mu sprawę w ogólnym zarysie, przerywając tylko raz czy dwa, kiedy Royce o coś zapytał.

- Nie mam czasu, żeby zagłębiać się w szczegóły. Chcę wiedzieć, ilu ludzi mógłby pan oddelegować do tej sprawy w czwartek rano.

- Wszystkich - odparł Royce bez namysłu.

- Chcę tylko najbardziej doświadczonych. Dostałem cynk, że tym razem Block przywiezie nie tylko fałszywe banknoty, ale i człowieka figurującego w rejestrach policyjnych jako Jack Marshall. Naprawdę nazywa się Vincent Dupont. Tydzień temu obrabował dwa banki w Ontario, zabił strażnika i zranił osobę cywilną. Block wywiezie go z Kanady jako jednego z uczestników wycieczki krajoznawczej. Zamierza zamelinować go tutaj na parę dni, a potem przerzucić do Ameryki Południowej. Od takich ludzi jak Dupont jego firma turystyczna pobiera za swe usługi nieźle opłaty. Zarówno Dupont, jak i Block są niebezpieczni. Będziemy mieli w zajeździe swoich agentów, ale są tu przecież osoby cywilne. Nie możemy usunąć ich z zajazdu, nic wzbudzając równocześnie podejrzeń przestępców.

- Planuje pan ryzykowną grę.

- Wiem. - Roman pomyślał o śpiącej na piętrze Charity. - Nie można tego rozegrać w inny sposób.

ROZDZIAŁ 9

Charity wracała do ośrodka po odwiezieniu trzech gości hotelowych na prom. Była przekonana, że to najpiękniejszy poranek w jej życiu, który nastąpił po najpiękniejszej nocy. Nie po

dwóch najpiękniejszych nocach, jakie dane jej było przeżyć.

Nie uważała się za osobę szczególnie romantyczną, ale wielokrotnie próbowała sobie wyobrazić, jak to jest być zakochana.. Jej sny na jawie nijak się miały do tego, co teraz czuła. Miłość okazała się potężnym, oszałamiającym uczuciem. Roman wypełniał bez reszty jej myśli.

Z każdą wspólnie spędzoną godziną stawali się sobie bliżsi. Wyraźnie czuła, jak stopniowo kruszyły się mury, jakie wokół siebie wybudował. Pragnęła zobaczyć, jak wreszcie rozsypują się w proch.

Zakochał się w niej. Była tego pewna, choć nie wiedziała, czy on sam już to sobie uświadomił. Dostrzegła to we wzroku, jakim na nią patrzył, w delikatności, z jaką jej dotykał, gdy sądził, że spała. Z zaborczości, z jaką tulił ją w nocy do siebie, jakby się obawiał, iż mogłaby go opuścić. Z czasem zdoła go przekonać, że nigdzie od niego nie odejdzie i że on zostanie przy niej na zawsze.

Martwił się czymś. Była tego pewna. Czasami wyczuwała jego napięcie, nawet kiedy stał w drugim końcu pokoju. Zdawał się trwać w oczekiwaniu. Na co?

Od wypadku starał się nie spuszczać jej z oka. Charity uważała, że to urocze, ale wreszcie musiało się skończyć. Kochała go, lecz nie chciała być prowadzona za rączkę jak dziecko. Była pewna, że gdyby dowiedział się o jej dzisiejszych planach, znalazłby sposób, by im przeszkodzić.

Nie pomyliła się. Roman nieprędko zdołał się uspokoić, kiedy okazało się, że nie ma Charity ani w biurze, ani w kuchni, ani w żadnym innym miejscu w zajeździe.

- Odwiozła gości na prom - poinformowała go Mae i z żywym zainteresowaniem obserwowała, jak szalał ze zdenerwowania. - No, no - mruknęła. - Nie najlepiej to przyjąłeś, chłopcze.

- Dlaczego pozwoliłaś jej jechać?

- Pozwoliłam jej jechać? - Mae wybuchnęła śmiechem. - Nie pyta mnie o pozwolenie, odkąd nauczyła się chodzić. Po prostu robi, co chce. - Przestała na chwilę ucierać krem i przyjrzała się Romanowi. - Czy znasz powód, dla którego nie powinna jechać na prom?

- Nie.

- W takim razie wszystko w porządku. Uspokój się. Za pół godziny powinna być z powrotem.

Przez cały czas nieobecności Charity Roman nie ukrywał zdenerwowania. Mae i Dolores wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Zapowiadały się nieliczne plotki, kiedy wreszcie zostaną same w kuchni.

Mae przypomniała sobie uśmiech na ustach Charity. Wpadła rano do kuchni niemal tanecznym krokiem. Rzuciła teraz okiem na Romana, który siedział pogrążony w ponurych rozmyślaniach nad filiżanką kawy i raz po raz spoglądał na zegarek. Rzeczywiście, nieźle go

wzięło.

- Masz dziś wolne, prawda? - zagadnęła go Mae.
- Co?
- Dziś niedziela - wyjaśniła cierpliwie. - To twój wolny dzień.
- Chyba tak.
- Ładna pogoda. W sam raz na piknik. - Zaczęła kroić pieczoną wołowinę na kanapki. -

Masz jakieś plany?

- Nie.
- Charity uwielbia pikniki, a już chyba od miesiąca nie spędziła dnia poza zajazdem.
- Masz może laskę dynamitu?
- A po co? - pisnęła Dolores.
- Bo bez dynamitu nie da się oderwać Charity od tego miejsca.

Po minucie Dolores zrozumiała wreszcie żart. Zaczęła chichotać.

- Słyszałaś, Mae? Pytał o dynamit!
- Oboje jesteście głupi - oceniła kucharka, krojąc hojne porcje sernika z czekoladą. - Na tę dziewczynę nie działa dynamit, rozkazy ani groźby. Moglibyście w równym powodzeniu przez cały dzień walić głową w mur.

- Próbowала ukryć satysfakcję, ale niezbyt się jej udało.

- Jeśli chcecie, żeby Charity coś zrobiła, dajcie jej do zrozumienia, że wyświadcza wam przysługę. Przekonajcie ją, że wam na tym zależy. Dolores, przynieś mi z ostatniego pokoju duży, wiklinowy kosz z pokrywą. Chłopcze, jeśli nadal będziesz tak biegać w tę i z powrotem po mojej kuchni, to doszczętnie zniszczysz podłogę.

- Powinna już być z powrotem.
- Wróci, kiedy wróci. Umiesz sterować łódką?
- Tak, a dlaczego pytasz?
- Charity uwielbia pikniki na wodzie. Od dawna już nie wypływała w morze.
- Wiem. Mówiła mi.
- Chcesz uszczęśliwić moją dziewczynkę?
- Tak. Chcę.
- W takim razie zabierz ją na cały dzień na łódkę. Nie pozwól, by ci odmówiła.
- Dobrze.
- Przynieś z piwnicy butelkę francuskiego wina. Charity lubi francuskie produkty.
- Jest szczęściarą, że ma ciebie.

Na szerokiej twarzy Mae pojawił się lekki rumieniec, ale starała się zbagatelizować pochwałę.

- My tu wszyscy jesteśmy ze sobą zżyci. Ty też jesteś w porządku - dodała. - Początkowo miałam pewne wątpliwości, ale jesteś w porządku.

Gdy tylko Charity zatrzymała samochód, Roman ruszył ku niej żwirową alejką z wielkim wiklinowym koszem w ręku.

- Cześć.

- Cześć. - Powitała go uśmiechem i lekkim pocałunkiem. Pomimo obecności dwojga nastolatków, którzy podglądali ich z położonego nieopodal kortu, Roman objął Charity ramieniem i mocno do siebie przytulił. Musiała głęboko odetchnąć i oprzeć się o furgonetkę, żeby odzyskać równowagę. Dopiero wtedy zauważyła kosz. - A co to?

- Koszyk - odparł niewinnie. - Mae zapakowała mi parę rzeczy. To mój wolny dzień.

- Racja. - Charity odrzuciła warkocz na plecy. - Dokąd się wybierasz?

- Na morze, jeżeli zgodzisz się pożyczyć mi łódź.

- Oczywiście. - Zerknęła tęsknie na niebo. - Wspaniały dzień na laską wyprawę. Lekki wiatr, prawie bezchmurnie.

- To chodźmy.

- My? - Roman już ciągnął ją na przystań. - Nie mogę. Po południu czeka mnie mnóstwo pracy. I ja - w głębi duszy musiała przyznać, że nie miała jeszcze odwagi wybrać się na morze - nie mogę.

- Odwiozę cię przed porą obiadową, kiedy jest największy ruch. - Dotknął jej policzka. - Potrzebuję cię, Charity. Muszę pobyć przez pewien czas tylko z tobą, z dala od innych.

- Może wybralibyśmy się na przejażdżkę? Nie widziałeś jeszcze gór.

- Proszę. - Postawił kosz na ziemi i ujął w dłonie twarz Charity. - Zrób to dla mnie.

Próbowała sobie przypomnieć, czy choć raz powiedział przedtem „proszę”. Chyba nie. Z westchnieniem spojrzała na łódkę, kołyszącą się lekko na falach w przystani.

- No dobrze. Na godzinkę. Pójdę na górę się przebrać.

Roman przyjrzał jej się badawczo. W czerwonym sweterku i dzinsach nie powinna zmarznąć na wodzie. Na pewno zdawała sobie z tego sprawę. Próbowała zyskać na czasie.

- Wyglądasz doskonale. - Wziął ją za rękę i zaprowadził na molo. - Przydałaby mu się porządna konserwacja.

- Wiem. już o tym myślałam. - Poczekała, aż Roman wsiądzie do łodzi. Kiedy wyciągnął do niej rękę, z wahaniem wsparła się na niej i weszła na pokład. - Klucz został w domu, na kółku ze wszystkimi kluczami.

- Mae mi go dała.

Poinformowała go także, że Charity miała jedną łódkę tylko do użytku personelu.

- Rozumiem. - Charity usiadła na rufie. - Jesteście w zмовіе.

Wystarczyły dwa szarpnięcia linki, by uruchomić silnik.

- Z tego. co mi wczoraj powiedziałaś, wynika, że twój dziadek wcale by nie chciał, byś do końca życia nosiła po nim żałobę.

- Nie. - Pełne łez oczy zwróciła na budynek zajazdu.

- Na pewno by tego nie chciał. Ale tak bardzo go kochałam. .. - Odetchnęła głęboko. - Muszę się z tego otrząsnąć.

Roman pociągnął ją lekko za rękę, żeby usiadła przy nim. Położyła mu głowę na ramieniu.

- Często pływałaś łódką?

- Czasami. Kiedy byłem mały. każdego lata wypożyczaliśmy łódź i pływaliliśmy po rzece.

- Jacy: my? - Zauważyła cień zasnuwający twarz Romana, więc szybko zmieniła pytanie: - Na jaką rzekę?

- Missisipi. - Uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

- Pochodzę z St. Louis, zapomniałaś?

- Missisipi. - Przed oczami Charity przesunęły się obrazy parowców i chłopców na tratwach. - Chciałabym ją zobaczyć. Wiesz, co byłoby wspaniałe? Popłynąć w dół rzeki od St. Louis do Nowego Orleanu. Muszę dopisać taką wycieczkę do mojej listy.

- Jakiej listy?

- Listy wymarzonych podróży. - Charity roześmiała się, pomachała ręką ludziom na przepływającej obok żaglówce i pocałowała Romana w policzek. - Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że mnie zabrałaś na morze. Zawsze kochałam popołudnia spędzane na wodzie, obserwowanie innych łódek, mijanych domów. Brakowało mi tego.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że zbyt wiele czasu poświęcasz zajazdowi?

- Nie. Nie można poświęcać zbyt wiele czasu czemuś, co się kocha. - Odwróciła się. Gdyby przesłoniła ręką oczy, mogłaby nawet z tej odległości dostrzec swój dom.

- Gdybym go tak bardzo nie kochała, sprzedałabym go i przyjęła posadę w nowoczesnym hotelu w Seattle, Miami czy jeszcze gdzie indziej. Ośmiogodzinny dzień pracy, zwolnienia w razie choroby, dwutygodniowe wakacje...

- Sam ten pomysł wywołał wybuch śmiechu Charity. - Miałabym estetyczny, służbowy uniform, dobrane do niego buty i gabinet, w którym spokojnie odchodziłabym od zmysłów. - Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. - Powinieneś to zrozumieć. Masz zręczne ręce i bystry umysł. Dlaczego nie jesteś szefem brygady budowlanej w dużej firmie?

- Może podjąłem w przeszłości niewłaściwe decyzje? Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się przez chwilę spod rzęs.

- Nie wydaje mi się. To do ciebie niepodobne.

- Za mało o mnie wiesz, Charity.

- Wystarczająco dużo. Od tygodnia mieszkam z tobą pod jednym dachem. To odpowiada co najmniej półrocznym spotkaniom na gruncie towarzyskim. Wiem, że jesteś człowiekiem uczuciowym, ale zamkniętym w sobie. Wiem też, że masz gwałtowny temperament, ale rzadko tracisz panowanie nad sobą. Jesteś doskonałym stolarzem i lubisz kończyć rozpoczętą robotę. Potrafisz zachować się z galanterią wobec starszej pani. - Roześmiała się lekko i wystawiła twarz na wiatr. - Lubisz czarną kawę, nie boisz się ciężkiej pracy i... jesteś cudownym kochankiem.

- I to ci wystarczy? Charity podniosła rękę do góry.

- Na pewno ty nie wiesz o mnie więcej. Jestem głodna - stwierdziła nagle. - Może byśmy coś zjedli?

- Wybierz miejsce.

- Widzisz ten mały cypelek? Możemy tam zakotwiczyć. Wskazany przez nią skrawek lądu wyglądał jak sterta kamieni, które wpadły do morza. Kiedy podpłynęli bliżej, Roman dostrzegł wąski pasek piachu, a za nim gęsto rosnące drzewa. Zredukował prędkość i zbliżył się do cypla. Kiedy dno łodzi otarło się o piasek, Charity zdjęła buty i podwinęła nogawki spodni.

- Będziesz musiał podać mi rękę - powiedziała i w tej samej chwili wpadła po kolana w wodę. - Boże, ale zimna! - Roześmiała się i przycumowała łódź. - Chodź.

Woda wydała mu się lodowata. Razem wyciągnęli łódkę na wąski pas piasku.

- Pewnie nie wzięłaś koca?

Roman wyjął z łodzi wypłowiały, czerwony pled, który zapakowała mu Mae.

- Może być?

- Jest znakomity. Weź kosz. - Rozbryzgując wodę.

Charity ruszyła przez płyciznę na brzeg. Rozłożyła koc pod osłoną skal i opuściła wilgotne nogawki dzinsów. - Przypływałyśmy tu zawsze z Lori. kiedy byłyśmy dziewczynkami. Zajadałyśmy kanapki z masłem orzechowym i gadałyśmy o chłopakach. - Uklękła na kocu i rozejrzała się dokoła.

Woda pieniała się, uderzając o wygładzoną przez wiatry skałę. W dali płynął jacht z wydętymi przez wiatr białymi żaglami.

- Niewiele się tu zmieniło. - Z uśmiechem wyciągnęła rękę po koszyk. - Na szczęście. - Zdjęła pokrywę i jej oczom ukazała się butelka szampana. Wyjęła ją i pytająco uniosła brwi. - Widzę, że czeka nas nie lada piknik.

- Mae mówiła, że lubisz francuskie produkty.

- Owszem, ale nigdy nie zabierałam szampana na piknik.

- Najwyższy czas, żeby to zrobić. - Roman wyjął jej z rąk butelkę i poszedł na brzeg, żeby

ochłodzić ją w wodzie. - Niech się jeszcze trochę wyziębi. - Wrócił do Charity i ukląkł. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Najpierw mruknęła z zadowolenia, a po chwili gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy pogłębił pocałunek. Objęła go, przesuwając ręce coraz wyżej, aż wreszcie dotarła do ramion. Pożądanie, jak przyływ, wznosiło się szybko i ogarniało całe jej ciało.

Musiał... musiał przygarnąć ją blisko, tak blisko, by czuć bicie jej serca, rozkoszować się smakiem jej ust. Wsunął palce we włosy Charity, niecierpliwie rozplótł warkocz. Wargami, w których nie było śladu delikatności, rozgniatał jej usta.

Był w nim niepokój, gniew, których nie potrafiła zrozumieć. Przyłgnęła do niego, bez wahania oferując mu wszystko, czego pragnął.

- Podoba mi się ten sposób rozpoczęcia pikniku - powiedziała Charity, kiedy odzyskała zdolność mówienia.

- Nie mogę się tobą nasycić.

- To dobrze. Nie mam nic przeciw temu.

Odsunął się nieco. Światło załamało się w rozhuśtanych, kryształowych kolczykach Charity. Roman pomyślał, że byłoby dla niego lepiej, a już na pewno bezpieczniej, gdyby porozmawiali o pogodzie i gościach ośrodka. O bardzo wielu sprawach nie mógł jej poinformować. Gdy jednak spojrzał jej w oczy, zrozumiał, że powinien powiedzieć jej o Romanie DeWinterze jak najwięcej, by mogła świadomie podjąć decyzję.

- Usiądź.

Jakaś nuta w jego głosie zaniepokoiła Charity. Przyszło jej do głowy, że chce ją powiadomić o swoim wyjeździe.

- Dobrze. - Zacisnęła dłonie, obiecując sobie w duchu, że znajdzie sposób, by go zatrzymać.

- Nie byłem wobec ciebie szczery. - Roman oparł się plecami o skałę. - Powinnas dowiedzieć się o mnie pewnych rzeczy trochę wcześniej, zanim jeszcze sprawy zaszły tak daleko.

- Romanie...

- To nie potrwa długo. Naprawdę pochodzę z St. Louis. Mieszkałem w dzielnicy, o jakiej pewnie nawet ci się nie śniło. Narkotyki, dziwki. Rozkosze sobotniej nocy. - Roman spojrzał w morze. Niewielki, elegancki jacht złapał wiatr w żagle. - To całkiem inny świat niż ten, który cię otacza.

Wreszcie jej zaufała. Postanowiła nie dopuścić, by tego pożałował.

- Nieważne, skąd pochodzisz, Romanie. Teraz jesteś tutaj.

- To nie do końca prawda. Pochodzenie na zawsze zostawia w człowieku ślad. - Szybko ścisnął jej dłoń i pospiesznie cofnął rękę. Uznał, że lepiej jej teraz nie dotykać. - Ojciec, w chwilach względnej trzeźwości, prowadził taksówkę. Gdy był całkiem pijany, siedział w domu i trzymał się

za głowę. Pamiętam, to jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, że wstałem kiedyś w nocy i słyszałem, jak matka na niego krzyczy. Co parę miesięcy odgrażała się, że od niego odejdzie. Wtedy brał się w karby. Żyliśmy jak w oku cyklonu, dopóki znowu nie wstąpił do baru na drinka. Matka przestała grozić, tylko zrealizowała swój zamiar.

- Dokąd wyjechaliście?

- Powiedziałem, że matka odeszła.

- Ale... nie wzięła cię z sobą?

- Pewnie doszła do wniosku, że i bez dziesięcioletniego chłopca będzie jej wystarczająco ciężko.

Charity próbowała stłumić gniew. Trudno jej było zrozumieć, jak matka mogła porzucić własne dziecko.

- Pewnie była przerażona i nie wiedziała, co robi. Kiedy ona...

- Nigdy więcej jej nie zobaczyłem - przerwał Roman. - Musisz zrozumieć, że nie wszyscy potrafią kochać bezwarunkowo. Nie wszyscy w ogóle potrafią kochać.

- Och, Romanie. - Chciała przyciągnąć go do siebie, ale powstrzymała ją, wolał zachować dystans.

- Mieszkałem z ojcem jeszcze przez trzy lata. Pewnej nocy upił się i wsiadł do taksówki. Zabił siebie i pasażera.

- Boże! - Charity znów chciała objąć Romana, ale nie pozwolił.

- W ten sposób znalazłem się pod dozorem sądowym. Nie przejmowałem się tym zanadto, pewnego dnia uciekłem i trafiłem na ulicę.

Próbowała pojąć to, co jej teraz wyznał, ale nie mieściło jej się to w głowie.

- W wieku trzynastu lat?

- Większość życia i tak spędziłem na ulicy.

- Ale jak?

Roman wyjął papierosa, zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Wreszcie zmusił się do kontynuowania opowieści.

- Podejmowałem się najdziwniejszych zajęć, brałem każdą robotę, jaka się napatoczyła. A kiedy nie miałem pracy, kradłem. Po paru latach doszedłem do takiej wprawy w złodziejskim fachu, że rzadko zawracałem sobie głowę uczciwą pracą. Włamywałem się do domów, uruchamiałem samochody, łącząc przewody stacyjki, kradłem portfele. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć?

- Tak. Byłeś samotny i zrozpaczony.

- Byłem złodziejem. Do licha, Charity, nie byłem biednym, zagubionym chłopcem. Przestałem być dzieckiem w chwili, gdy wróciłem do domu i zobaczyłem, że matka odeszła, a

ojciec leży pijany jak bela. Wiedziałem, co robię. Podjąłem taką decyzję.

Patrzyła mu prosto w oczy, walczyła z potrzebą objęcia go i ukojenia.

- Jeżeli oczekujesz, że potępię dzieciaka, który znalazł taki sposób utrzymania się przy życiu, to muszę cię rozczarować.

Charity to nieuleczalna romantyczka, pomyślał Roman i wrzucił niedopałek do wody.

- Nadal kradniesz?

- A jeśli ci powiem, że tak?

- To będę zmuszona stwierdzić, że jesteś głupcem. A nie wyglądasz na głupca, Romanie.

Milczał przez chwilę, wreszcie zdobył się na powiedzenie jej reszty.

- Znalazłem się w Chicago. Skończyłem właśnie szesnaście lat. Był styczeń. Mróz taki, że nawet łyzy zamarzały. Doszedłem do wniosku, że muszę zdobyć pieniądze na bilet autobusowy na południe. Postanowiłem spędzić zimę na Florydzie i podskubać trochę bogatych turystów. Wtedy spotkałem Johna Brody'ego. Włamałem się do jego mieszkania i nadziałem wprost na lufę pistoletu czterdziestki piątki. Był policjantem. Nie wiem, który z nas był bardziej zaskoczony. John dał mi trzy możliwości do wyboru. Pierwsza: odwiezie mnie do poprawczaka. Druga: wybije mi kradzieżę z głowy. I trzecia: da mi coś do zjedzenia.

- I co zrobiłeś?

- Trudno odgrywać twardziela, kiedy ważący blisko sto kilo mężczyzna celuje w twój brzuch. Zjadłem puszkę zupy. Pozwolił mi spać na kanapie. - Roman nadal widział siebie, kościstego, zgorzkniałego chłopaka, przewracającego się bezsennie na niewygodnej sofie. - Mówiłem sobie, że wyciągnę z niego, ile się da, a potem zwieję. Powtarzałem sobie, że to frajer o miękkim sercu i że jak tylko się ociepli, to ucieknę od niego, zabierając ze sobą wszystko, co zdołam unieść. A potem zacząłem chodzić do szkoły. - Urwał i spojrzał w niebo. - John zwykł budować wszystko od fundamentów, według zasad obowiązujących w budownictwie. Zresztą to on nauczył mnie posługiwać się młotkiem.

- To musiał być człowiek przez duże C.

- Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, kiedy go spotkałem. Dorastał na South Side. Wychowywał się na ulicy, wśród członków gangów. W pewnym momencie przeszedł na drugą stronę barykady. Postanowił przeprowadzić i mnie na tę drugą stronę. Udało mu się. Kilka lat później ożenił się i kupił stary, rozpadający się dom pod miastem. Wyremontowaliśmy go własnymi rękami, pokój po pokoju. Twierdził, że najbardziej lubi mieszkać na placu budowy. Dobudowywaliśmy do domu dodatkowy pokój, w którym miał się mieścić jego warsztat, kiedy John zginął na służbie. Dopiero co skończył trzydzieści dwa lata. Zostawił trzyletniego syna i żonę w ciąży.

- Tak mi przykro, Romanie. - Charity przysunęła się i uścisnęła jego rękę.

- Wtedy coś we mnie umarło. Nic już nie zdoła tego wskrzesić.

- Rozumiem. - Roman znowu próbował się od niej odsunąć, ale zdołała go przytrzymać. - Naprawdę rozumiem. Kiedy tracimy kogoś, kto odegrał tak ważną rolę w naszym życiu, zawsze już będziemy odczuwać pustkę. Ja też stale myślę o dziadku. Nadal mi go brak. Czasem nawet wściekam się na siebie, bo jeszcze tyle miałam mu do powiedzenia.

- Zapominasz o jednym. O tym, kim byłem, skąd pochodzę. Byłem złodziejem.

- Byłeś dzieckiem.

Roman złapał ją za ramiona i potrząsnął.

- Mój ojciec był pijakiem.

- A ja nawet nie wiem, kim był mój. Czy mam się tego wstydzić?

- To nie ma dla ciebie znaczenia? Gdzie byłem, co robiłem?

- Raczej nie. Bardziej interesuje mnie to, jaki jesteś teraz.

Nie mógł jej zdradzić wszystkiego. Jeszcze nie. Dla jej własnego dobra musiał jeszcze przez kilka dni się powstrzymać. Było jednak coś, co mógł jej powiedzieć już teraz. Nigdy dotychczas nie wyznał tego nikomu, podobnie jak nie opowiedział historii swojego życia.

- Kocham cię.

Zamknięte w jego dłoniach ręce dziewczyny jakby zmiękły. Oczy Charity stały się wielkie i okrągłe.

- Czy mógłbyś... - Zamilkła dla nabrania tchu, bo najwyraźniej zabrakło jej powietrza. - Czy mógłbyś powtórzyć?

- Kocham cię.

Ze zduszonym łkaniem padła mu w ramiona. Powtarzała sobie, że nie wolno jej się rozplakać, i mocno zaciskała powieki, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nie wolno dopuścić, żeby miała czerwone oczy i spuchnięty nos w najważniejszym momencie swojego życia.

- Obejmuj mnie jeszcze przez chwilę, dobrze? - Przytuliła twarz do ramienia Romana. - Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- W takim razie jest nas dwoje - odparł z uśmiechem. Gładził jej włosy i czuł, jak rośnie w nim pełen niedowierzania zachwyt. Ze zdumieniem stwierdził, że wyznanie miłości wcale nie okazało się takie trudne. Właściwie mógłby powtarzać to kilka razy dziennie.

- Jeszcze tydzień temu nawet cię nie znałam. - Charity uniosła głowę, żeby dosięgnąć jego ust. - A teraz nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie.

- Więc nie próbuj sobie wyobrazać. Jeszcze mogłabyś zmienić zdanie.

- Nie ma mowy!

- Obiecuj. - Gwałtownie złapał jej dłonie i poprosił: - Chcę, żebyś mi to obiecała.

- Dobrze. Przysięgam, że nie zmienię zdania i nie przestanę cię kochać.

- Trzymam cię za słowo, Charity. - Przyciągnął ją do siebie i zmacił jej szczęście szokującym pytaniem: - Wyjdiesz za mnie?

Drgnęła, spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i usiadła sztywno wyprostowana.

- Co?!

- Chcę, żebyś za mnie wyszła. Zaraz, dzisiaj. - Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo, że nie powinien tego mówić. Znowu przyciągnął ją do siebie, czuł, że za wszelką cenę musi ją przy sobie zatrzymać. - Na pewno znasz kogoś, pastora czy urzędnika stanu cywilnego, który mógłby udzielić nam ślubu.

- No... tak, ale... - Charity podniosła rękę do czoła, kręciło jej się w głowie jak na karuzeli. - Przecież potrzebne są dokumenty, pozwolenia... Boże, nie jestem w stanie jasno myśleć.

- To nie myśl. Po prostu powiedz: tak.

- Oczywiście „tak”, ale...

- Żadnego „ale”. - Roman zmiażdżył jej usta pocałunkiem. - Chcę. byś należała do mnie. I Bóg mi świadkiem, że bardzo chcę należeć do ciebie. Wierzysz, mi?

- Tak. - Bez tchu dotknęła jego policzka. - Romanie, mówimy o małżeństwie, o całym przyszłym życiu. Bo dla mnie ślub to zobowiązanie za zawsze. - Przeciągnęła dłonią po włosach. - Pewnie wszyscy tak mówią, ale ja w to wierzę. Nie wystarczy kilka słów wypowiedzianych w obecności urzędnika. Zaczekaj, proszę! - zawołała, bo Roman chciał jej przerwać. - Jestem oszołomiona. Chcę, żebyś dobrze rozumiał. Kocham cię i najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnę należeć do ciebie. Ale ślub to musi być coś więcej niż tylko wygłoszenie zwyczajowej formułki: „tak, chcę”. Nie zależy mi na wielkim, wystawnym weselu. Mogę się też obyć bez długiego, białego welonu i wymyślnych zaproszeń.

- A na czym ci zależy?

- Na kwiatkach i muzyce, Romanie, i na obecności przyjaciół. - Charity spojrzała mu w oczy z nadzieją, że ją zrozumie. - Chcę stanąć przy tobie z przeświadczeniem, że wyglądam pięknie i w obecności wszystkich bliskich mi osób powiedzieć, jaka jestem dumna, że mogę zostać twoją żoną. Jeżeli zabrzmiało to zbyt romantycznie, trudno, nic na to nie poradzę.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Dasz mi dwa tygodnie?

Roman zdawał sobie sprawę, że tak będzie lepiej. Nie udało mu się jej zatrzymać, gdyby nadal dzieliły ich kłamstwa i niedopowiedzenia.

- Daję ci dwa tygodnie, ale pod warunkiem, że potem ze mną wyjedziesz.

- Dokąd?

- Zostaw to mnie.

- Uwielbiam niespodzianki. - Uśmiechnęła się, Roman wyczuł to przyciśniętymi do jej warg

ustami. - A ty... ty jesteś moją największą niespodzianką.

- Dwa tygodnie. - Mocno przytrzymał jej dłonie. - I ani dnia więcej, choćby się waliło i paliło.

- Mówisz tak, jakby w tym czasie miała się wydarzyć katastrofa. - Musnęła jego policzek pocałunkiem i uśmiechnęła się znowu. - Będzie dobrze, Romanie. Nam obojgu. To moja kolejna obietnica. A teraz mam ochotę na szampana.

Przyniósł butelkę, a Charity naszykowała kieliszki. Usiedli obok siebie na kocu, korek wystrzelił z hukiem i sykiem.

- Za nowy początek - powiedziała i stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek.

- Będziesz ze mną szczęśliwa, Charity - obiecał, pełen nadziei, że te słowa okażą się prawdą.

- Już jestem. - Przytuliła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu. - To najwspanialszy piknik w moim życiu.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Jeszcze nic nie zjadłaś.

- A kto by myślał o jedzeniu?!

ROZDZIAŁ 10

Zakwaterowanie uczestników wycieczki wywołało w tę środę tyle samo zamieszania co zawsze. Charity, jak zwykle, doskonale sobie ze wszystkim poradziła. Przydzielała apartamenty i domki, odpowiadała na pytania, podała ciasteczko rozkapryszonemu maluchowi. Zazwyczaj rozkwitała w atmosferze gorączkowej krzątaniny, ponieważ właściwa obsługa klientów oznaczała pomyślność jej ukochanego zajazdu. Teraz jednak wołałaby, żeby wszystko szło gładko i spokojnie.

Trudno jej było skoncentrować się na interesach, kiedy myśli zaprzętały bez reszty przygotowania do ślubu. Tyle decyzji należało podjąć. Wybrać muzykę Szopena czy Beethovena? Liczyć na to, że pogoda się utrzyma i będzie można przeprowadzić ceremonię ślubną w ogrodzie czy jednak zaplanować bardziej kameralną uroczystość w salonie?

- Tak proszę pana, z przyjemnością przedstawię panu ofertę wypożyczalni rowerów. - Podała klientowi broszurkę.

Kiedy wreszcie zdoła wygospodarować wolne popołudnie, żeby wybrać suknię ślubną? To musiała być wyjątkowa suknia, jakby dla niej stworzona. Długa do ziemi, z romantycznymi koronkowymi aplikacjami. W Eastsound był butik, który specjalizował się w staroświeckich strojach. Gdyby tylko mogła...

- Nie zamierzasz tego podpisać?

- Przepraszam, Roger. - Charity wróciła z obłoków na ziemię i uśmiechem poprosiła o wybaczenie. - Jestem dziś okropnie rozkojarzona.

- Nic się nie stało. - Block pogłaskał Charity po rękę, którą podpisała fakturę. - Wiosenna gorączka?

- Można tak powiedzieć. - Odrzuciła włosy na plecy, zła na siebie, że zapomniała je dzisiaj zapleść. Kiedy myślała o dzwonach weselnych, nawet nie pamiętała, jak się nazywa. - Mamy drobny problem. Komputer znowu płata nam figle. Biedny Bob walczy z nim od wczoraj.

- Wyglądasz tak, jakbyś sama stoczyła walkę. Charity dotknęła gojącego się już rozcięcia na skroni.

- W zeszłym tygodniu miałam wypadek.

- Nic poważnego?

- Nie, to tylko draśnięcie. Jakiś idiota urządził sobie rajd kradzionym samochodem i o mało mnie nie przejechał.

- To straszne! - Block przyjrzał się jej i jego twarz przybrała wyraz powagi. - Odniosłaś poważne obrażenia?

- Nie, skończyło się na kilku skaleczeniach i siniakach, ale napędził mi stracha.

- Mogę sobie wyobrazić. Człowiek nie spodziewa się czegoś podobnego w tej okolicy. Mam nadzieję, że go złapali.

- Jeszcze nie. Prawdę mówiąc, wątpię, by go kiedykolwiek złapano. Pewnie uciekł z wyspy, jak tylko wytrzeźwiał.

- Ci pijani kierowcy! - Block prychnął z niesmakiem.

- Po takim przeżyciu bez wątplenia masz prawo być trochę rozkojarzona.

- Szczerze mówiąc, jestem rozkojarzona ze znacznie przyjemniejszego powodu. Za dwa tygodnie wychodzę za mąż.

- Coś podobnego! - Twarz Blocka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. - Kim jest ten szczęśliwiec?

- To Roman DeWinter. Nie wiem, czy miałaś już okazję go poznać? Remontuje pokoje na piętrze.

- To się nieźle składa, prawda? - Uśmiech nie schodził z twarzy Blocka. Postanowił uciąć sobie z Bobem dłuższą pogawędkę na temat wpadania w popłoch bez powodu.

- Czy on pochodzi z tych stron?

- Nie, z St. Louis.

- Mam nadzieję, że nie zabierze nam ciebie.

- Przecież wiesz, że nigdy nie opuściłabym zajazdu.

- Uśmiech Charity przybladł. Nigdy nie rozmawiali z Romanem na ten temat. - Tak czy owak, obiecuję lepiej koncentrować się na pracy. Sześć osób z twojej grupy chce wynająć łódzie. - Zerknęła pospiesznie na zegarek. - Koło południa mogłabym ich zawieźć do portu jachtowego.

- Ja ich podrzucę.

W drzwiach stanął nowy gość. Niewysoki, szczupły mężczyzna o doskonale ostrzyżonych, kasztanowatych włosach, ubrany w lekki, sportowy garnitur.

- Dzień dobry - przywitała go Charity.

- Dzień dobry - odparł i obrzucił hol szybkim, lustrującym spojrzeniem, zanim podszedł do recepcji. - Conby, Richard Conby. Mam rezerwację.

- Tak, panie Conby. Oczekiwaliśmy pana. - Charity przerzuciła leżące na biurku papiery, modląc się w duchu, żeby Bob uporał się do wieczora z awarią komputera. - Jak minęła podróż?

- Bez problemów. - Conby wypełnił dokumenty meldunkowe. Jako miejsce zamieszkania poda! Seattle. Charity z rozbawieniem, ale i pewnym podziwem patrzyła na jego starannie wymanikiowane paznokcie. - Mówiono mi, że znajdę tu spokój i ciszę. Szukam miejsca, w którym mógłbym przez dzień czy dwa odpocząć.

- Mam nadzieję, że nasz zajazd spełni pańskie oczekiwania. - Charity sięgnęła do szuflady po klucz. - Albo ja, albo Roman zawieziemy twoją grupę na przystań, Rogerze. Zbierz ich w południe na parkingu.

- Dobrze. - Block pomachał jej ręką i odszedł.

- Z przyjemnością wskażę panu pokój, panie Conby. Gdyby miał pan jakiegokolwiek pytania dotyczące zajazdu czy naszej wyspy, proszę bez skrępowania pytać mnie albo kogokolwiek z personelu. - Charity wyszła z recepcji i poprowadziła go w stronę schodów.

- Na pewno skorzystam - mruknął idący za nią Conby. - Na pewno.

Dokładnie pięć po dwunastej rozległo się pukanie i Conby otworzył drzwi.

- Jesteś punktualny jak zawsze, DeWinter. - Przyjrzał się uważnie pasowi z narzędziami. - Widzę, że ani na moment nie zapominasz o kamuflażu.

- Dupont jest w domku numer trzy. Conby postanowił porzucić sarkastyczny ton.

- Zidentyfikowałeś go ponad wszelką wątpliwość?

- Pomogłem mu nieść bagaże.

- Bardzo dobrze. - Zadowolony Conby wrócił do układania na dębowej toaletce szczotki do ubrań i łyżki do butów o hebanowej rączce. - Przystępujemy do akcji zgodnie z planem, w czwartek rano. Najpierw zdejmujemy Duponta, a potem zajmujemy się Blockiem.

- Co z kierowcą, który próbował przejechać Charity? Pedantyczny jak zawsze Conby wszedł do przyległej łazienki, żeby umyć ręce.

- Zdradzasz nieproporcjonalnie duże zainteresowanie tym drobnym gangsterem.

- Masz jego zeznanie?

- Tak. - Conby rozłożył biały ręcznik z kwiatowym szlakiem. - Przyznał się do spotkania z Blockiem w zeszłym tygodniu i zainkasowania pięciu tysięcy dolarów za... usunięcie panny Ford ze

sceny. To bardzo skromna suma za moką robotę. - Conby przewiesił ręcznik przez krawędź umywalki i wrócił do pokoju. - Gdyby Block był bardziej przenikliwy, odnosiłby większe sukcesy.

Roman złapał Conby'ego za kołnierzyk i uniósł do góry tak, że niewysoki mężczyzna musiał stanąć na palcach.

- Uważaj, co mówisz - warknął cicho.

- To raczej ty powinieneś uważać na własne zachowanie. - Conby oswobodził się i poprawił koszulę. Od pięciu lat był zwierzchnikiem Romana. Nie przepadał za nim. Oceniał jego metody jako zbyt brutalne, a zachowanie jako zdecydowanie aroganckie. Niestety, musiał przyznać, że Roman osiągał przy tym rewelacyjne rezultaty. - Skoncentruj się na sprawie, agencie DeWinter.

- Sprawa została już rozwiązana, choć zajęło mi to trochę czasu. Może nawet za dużo. Masz wystarczające dowody, żeby oskarżyć Blocka o współudział w usiłowaniu morderstwa, Duponta podałem ci na tacy. Po co dłużej czekać?

- Pozwól sobie przypomnieć, kto nadzoruje to dochodzenie.

- Obaj doskonale wiemy, kto nadzoruje to dochodzenie, ale istnieje zasadnicza różnica pomiędzy siedzeniem za biurkiem a nadstawianiem karku w terenie. Jeśli zdejmemy ich teraz, po cichu, to zmniejszymy ryzyko, że ucierpią osoby postronne.

- Nie zamierzam narażać na niebezpieczeństwo żadnego z gości hotelowych. Ani nikogo z personelu - dodał Conby, zdając sobie sprawę, że na tym właśnie Romanowi zależy najbardziej. - Mam swoje rozkazy, podobnie jak ty. - Wyjął z szuflady czystą chusteczkę. - Ponieważ to najwyraźniej szczególnie dla ciebie ważne, zdradzę ci, że chcemy zgarnąć Blocka, gdy będzie podawał pieniądze. Współpracujemy w tej sprawie z policją kanadyjską i takie zapadły decyzje. A jeśli chodzi o ewentualny zarzut współudziału w usiłowaniu zabójstwa, to mamy tylko oświadczenie faceta od mokrej roboty, z którym została zawarta umowa. Trzeba czegoś więcej, żeby przygwoździć tego drania.

- Przygwoździsz go. Ilu mamy ludzi?

- Jutro zamelduje się w zajeździe dwoje agentów, dwóch następnych będziemy mieli na terenie zajazdu. Duponta aresztujemy w jego domku, Blocka w holu przy recepcji. Gdyby Dupont zniknął wcześniej. Block bez wątpienia zacząłby się mieć na baczności. Zgadzasz się ze mną?

- Tak.

- Dzięki tobie wiemy, jak się tu wprowadza fałszywe dolary do obiegu, więc wszystko powinno pójść gładko.

- I lepiej, żeby poszło. Nie chciałbym być w twojej skórze, gdyby jej się cokolwiek stało.

Charity wpadła do kuchni z pełną tacą.

- Nie mam pojęcia, dlaczego w tym tygodniu szczyt nastąpił tak wcześnie. Czy pamiętacie, żebyśmy kiedykolwiek już w środę mieli komplet gości? - Odstawiła tacę i zajrzała do bloczka

zamówień. - Dwa razy danie firmowe z dzikim ryżem i jedno z pieczonymi ziemniakami polanymi kwaśną śmietaną, jedna dziecięca porcja żeberek z frytkami - odczytała i zaczęła w pośpiechu szykować zamówione napoje.

- Uspokój się, dziewczyno - poradziła Mae. - Nie ruszaj się stąd. dopóki się nie najedzą.

- W tym właśnie problem. - Charity ustawiała jedzenie na tacy. - Akurat teraz Lori się rozchorowała. Widocznie ten wirus wciąż krąży w powietrzu. Dobrze przynajmniej, że druga kelnerka trzyma się jeszcze na nogach. Oj!

- Cofnęła się gwałtownie, żeby nie wpaść na Romana.

- Przepraszam.

- Przydałaby ci się dodatkowa para rąk?

- Nawet dwie pary. - Charity uśmiechnęła się i pocałowała go w przelocie. - Zanieś te sałatki, które Dolores przygotowuje, do piątego stolika.

- Od samego patrzenia na tę dziewczynę czuję się zmęczona - oświadczyła Mae, filetując pstrąga. Podniosła głowę, żeby spojrzeć Romanowi w oczy. - Wydaje mi się, że ona wszystko robi w pośpiechu.

- Cztery sałatki firmowe. - Dolores podała mu tacę, nucąc „Marsza weselnego”. - Chyba jednak poradziłeś sobie bez dynamitu. - Chichocząc, wzięła się za przygotowanie kolejnego zamówienia.

W pięć minut później Roman mijał się z Charity w drzwiach.

- Mamy dziś dziwny zestaw gości - powiedziała.

- Jak to?

- Spójrz na tego mężczyznę z drugiego stolika. Jest tak podniecony, jakby przed chwilą obrabował bank. Para siedząca przy ósmym stoliku udaje, że przyjechała tu na drugi miesiąc miodowy, a tymczasem obserwuje gości na sali, nie poświęcając sobie nawzajem ani jednego spojrzenia.

Roman nie odezwał się ani słowem. Charity nie potrzebowała nawet pół godziny, żeby rozszyfrować zarówno Duponta, jak i dwójkę agentów Conby'ego.

- No i jeszcze ten mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, który usiadł przy czwartym stoliku. Wytworny garnitur i krawat. - Zerknęła przez ramię. - Twierdzi, że przyjechał do nas odpocząć. Kto odpoczywa w trzyczęściowym garniturze? - Odwróciła się i oparła tacę na biodrze. - Utrzymuje, że jest z Seattle, a ma tak twardy wschodni akcent, że można by nim pokroić szarlotkę Mae. Przypomina mi łasicę.

- Naprawdę? - Opis Conby'ego wywołał lekki uśmiezek na wargach Romana.

- Bardzo dbającą o swój wygląd łasicę - dodała Charity. Wzruszyła ramionami i weszła do jadalni.

Ale obowiązek to obowiązek, a łasica usiadła w jej sektorze.

- Czy jest pan już gotów złożyć zamówienie? - zapyła z olśniewającym uśmiechem.

Conby wypił ostatni łyk wódki z martini.

- Przeczytałem w menu, że podajecie świeżego pstrąga.

- Tak, proszę pana. - To był szczególny powód do dumy Charity. Staw hodowlany był jej pomysłem. - Jest rzeczywiście bardzo świeży.

- Świeży to znaczy, że został złowiony dziś rano, jak sędzę?

- Nie. - Charity opuściła bloczek z zamówieniami, ale nie przestawała się uśmiechać. - Podajemy własne pstrągi, tutaj hodowane.

Conby uniósł brew i popukał palcem w stojącą przed nim pustą szklaneczkę.

- Może więc wasza ryba okaże się lepsza od wódki, choć nadal mam pewne wątpliwości co do jej świeżości. Chyba to najbardziej interesująca propozycja w waszym mdłym menu, więc zdecydowałem się ją zamówić.

- Ryba jest świeża - powtórzyła Charity z niezmaconym, w jej przekonaniu, spokojem.

- Niewątpliwie pani jest o tym szczerze przekonana. Niemniej jednak nasze opinie w tej kwestii mogą być odmienne.

- Tak, proszę pana. - Charity schowała bloczek zamówień do kieszeni. - Muszę pana na chwilę przeprosić.

Może i jest niewinna, pomyślał Conby, krzywiąc się na widok pustej szklaneczki, ale jej praca niewątpliwie pozostawia wiele do życzenia.

- Gdzieś wybuchł pożar? - zapytała Mae, gdy Charity wpadła do kuchni jak burza.

- Ten... ten odrażający kurdupel uważa, że podajemy wódkę gorszą od przeciętnej, menu jest jego zdaniem mdłe, a ryby nieświeże.

- Mdłe menu! Co on jadł?

- Jeszcze nic. Jeden drink, parę krakersów z pastą łososiową i już ma czelność krytykować restaurację!

Charity rozejrzała się po kuchni, próbując się uspokoić. Żaden wielkomijski typek nie będzie kręcił nosem na jej zajazd! Jej bar był równie dobry jak wszystkie na wyspie, restauracja otrzymała najwyższe oceny, a ryby...

- Gość z czwartego stolika prosi o następne martini z wódką - oznajmił Roman, który właśnie wszedł do kuchni, niosąc ciężką tacę.

- Tak? - Charity obróciła się na pięcie. - Naprawdę prosi? Roman jeszcze nigdy dotychczas nie widział takiej miny u Charity.

- Owszem - odparł niepewnie.

- Najpierw dostanie od nas całkiem co innego. - To powiedziawszy, wypadła na dwór

kuchennymi drzwiami.

- O rany! - mruknęła pod nosem Dolores.

- Czyżbym o czymś nie wiedział? - zapytał Roman.

- Ten pan wyprowadził ją z równowagi, bo stwierdził, że jedzenie jest mdłe, zanim jeszcze go spróbował. - Mae skrzywiła się i udekorowała półmisek dzikim asparagusem. - Kusi mnie, żeby mu dosypać curry do potraw. Pełną garść! Ciekawe, czy nadal będzie uważał jedzenie za mdłe.

Wszyscy odwrócili się, kiedy Charity znowu wpadła do kuchni. Trzymała w rękach półmisek, na którym trzepotał się żywy pstrąg.

- Ojej! - Dolores zachichotała i zakryła ręką usta. - Ojej!

Uśmiechnięta od ucha do ucha Mae podeszła do piecyka.

- Charity! - Roman próbował złapać ją za rękę, ale zrobiła unik i dopadła drzwi. Potrząsnął głową i ruszył za nią.

Kilkoro gości podniosło głowy i wpatrywało się w osłupieniu na wniesioną do jadalni żywą rybę. Charity przemierzyła pędem salę i podstawiła Conby'emu tacę pod nos.

- Pański pstrąg - oświadczyła i bezceremonialnie postawiła przed nim półmisek. - Czy jest wystarczająco świeży? - zapytała z uprzejmym uśmiechem.

Stojący w drzwiach Roman wsadził ręce do kieszeni i ryknął śmiechem. Oddałby roczną pensję za zdjęcie Conby'ego, kiedy tak patrzyli sobie z pstrągiem w oczy.

Charity wróciła do kuchni i podała Dolores tacę wraz z jej pasażerem.

- Możesz go wypuścić do stawu - powiedziała. - Klient spod czwórki zdecydował się na faszerowane kotlety wieprzowe. - Pisnęła ze śmiechem, kiedy Roman uniósł ją nad ziemię.

- Jesteś rewelacyjna. - Przycisnął wargi do jej ust i nie odrywał ich jeszcze długo potem, kiedy już stopy Charity dotknęły znowu podłogi. - Najwspanialsza na świecie. - Ze śmiechem mocno przytulił ją do siebie. - Prawda, Mae?

- Chwilami byłabym skłonna się z tobą zgodzić. - Mae nie chciała po sobie pokazać, z jaką radością na nich patrzy. - A teraz przestańcie się wreszcie całować w mojej kuchni i wracajcie do roboty.

- Chyba powinnam teraz podać mu to martini. Sądząc po jego minie, bardzo by mu się przydało.

Charity nie należała do osób długo chowających urazę, więc obsługiwała potem Conby'ego z uśmiechem na ustach. Ponieważ jednak nie rozchmurzył się do końca posiłku, podała mu na deser popisowe ciasto Mae: Mroczny Bór.

- Mam nadzieję, że obiad panu smakował, panie Conby.

- Był całkiem niezły, dziękuję. - Nie przeszłoby mu przez usta, że w życiu nie jadł równie pysznego posiłku, nawet w najbardziej eleganckich restauracjach Waszyngtonu.

- Może następnym razem spróbuje pan pstrąga - powiedziała Charity z uśmiechem, nalewając mu kawę.

Nawet Conby nie potrafił się oprzeć urokowi jej uśmiechu.

- Może. Prowadzi pani interesującą firmę, panno Ford.

- Staramy się. Od dawna mieszka pan w Seattle, panie Conby?

- Dlaczego pani pyta?

- Bo ma pan bardzo silny wschodni akcent.

Conby zastanawiał się nad odpowiedzią najwyżej sekundę. Wiedział, że Dupont wyszedł już z jadalni, ale Block siedział przy sąsiednim stoliku i zabawiał kilkoro turystów ze swojej grupy raczej nudnymi, zdaniem Conby'ego, historyjkami.

- Ma pani dobre ucho. Zostałem przeniesiony do Seattle półtora roku temu. Z Maryland. Pracuję w marketingu.

- Z Maryland. - Charity postanowiła zapomnieć i darować mu wszystkie winy. - Podobno macie tam najlepsze kraby w całym kraju.

- Oczywiście, że najlepsze! - Pyszne ciasto i kawa ze śmietanką skruszyły ostatnie lody. - Szkoda, że nie przywiozłem żadnego ze sobą.

Charity roześmiała się i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jest pan dowcipny, panie Conby. Życzę miłego wieczoru - dodała i odeszła do kuchni.

Conby odprowadził ją wzrokiem. Nie pamiętał, by ktoś przed nią uznał go za dowcipnego. To mu sprawiło przyjemność.

- Zostało już tylko kilku maruderów przy trzech stolikach - oświadczyła Charity, wchodząc do kuchni. - Umieram z głodu. - Otworzyła lodówkę i zaczęła w niej myszkować w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ale Mae zatrasnęła jej drzwi przed nosem.

- Nie masz teraz czasu.

- Nie mam czasu? - Charity przycisnęła rękę do żołądka. - Mae. zdążyłam dziś złapać w przelocie tylko jedną frytkę.

- Przygotuję ci kanapkę, ale najpierw musisz zadzwonić. Chodzi o jutrzejszą dostawę.

- Łosoś. A niech to! - Spojrzała na zegarek. - O tej porze już nie pracują.

- Zostawili numer, pod którym można ich złapać po godzinach. Wiadomość jest na górze.

- Dobrze, dobrze. Za dziesięć minut wracam. - Charity obrzuciła długim, tęsknym spojrzeniem lodówkę. - Zrób mi dwie kanapki.

Wyszła na dwór kuchennymi drzwiami i wbiegła na górę po zewnętrznych schodach, żeby zyskać na czasie. Stała w progu swego mieszkania i głos jej odjął ze zdumienia.

Na przystawionym do łóżka, nakrytym śnieżnobiałym obrusem stoliku stały świece i kwiaty. Roman wyjął butelkę wina z wiaderka z lodem i odkorkował.

- Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz. Charity zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Gdybym wiedziała, co tu na mnie czeka, przyszedłabym znacznie wcześniej.

- Mówiłaś, że lubisz niespodzianki.

- Uwielbiam. - Odwiązała fartuszek i podeszła do stolika, a Roman nalał wina. W świetle świec zaśniło ciepłym, złocistym blaskiem. - Dziękuję - szepnęła, przyjmując z jego rąk kieliszek.

- Chciałem ci coś dać. - Wziął ją za rękę, starając się zapomnieć o tym, że to ich ostatni wspólny wieczór, zanim będzie musiał odpowiedzieć na szereg trudnych pytań. - Nie mam wprawy w romantycznych gestach.

- Wręcz przeciwnie. Piknik z szampanem, teraz wytworna kolacja. - Zamknęła na chwilę oczy. - I Mozart.

- To przypadkowy wybór - przyznał Roman i poczuł się idiotycznie onieśmielony. - Mam coś dla ciebie.

- Coś jeszcze? - Charity wskazała oczyma stół.

- Tak. - Podniósł leżące na krześle kwadratowe pudełeczko. - Właśnie dzisiaj przyszło. - Wcisnął jej pudełeczko do ręki.

- Prezent? - Charity zawsze lubiła przedłużać moment oczekiwania, więc przez chwilę oglądała pudełeczko i potrząsała nim. Potem wieczko odskoczyło i oczom dziewczyny ukazała się bransoletka. - Och, Romanie, jaka cudowna! - Z zachwytem obserwowała błyski światła, załamującego się na złocie i ametystach. - Absolutnie cudowna! Przysięgłabym, że już ją kiedyś widziałam. W zeszłym tygodniu - przypomniała sobie. - W czasopiśmie przyniesionym mi przez Lori.

- Leży nadal na twoim biurku.

- Tak, przerysowałam to zdjęcie. - Oszołomiona Charity kiwnęła głową. - Zawsze tak robię z pięknymi rzeczami, na które nie mogę sobie pozwolić. - Odetchnęła głęboko. - Romanie, zrobiłeś coś cudownego, słodkiego i bardzo romantycznego, ale...

- Postaraj się tego nie zepsuć. - Wyjął bransoletkę z pudełka i zapiał na rękę Charity. - Powinienem nabrać trochę praktyki.

- Nie potrzebujesz praktyki. - Objęła go w pasie i położyła głowę na ramieniu. - Poszło ci znakomicie.

Roman wziął ją w ramiona i rozkoszował się muzyką, zapachem Charity, urokiem chwili. Przy niej wszystko było inne. Nawet on sam zmieniał się nie do poznania.

- Wiesz, kiedy się w tobie zakochałam, Romanie?

- Nie. - Pocałował ją w czubek głowy. - Nie zastanawiałem kiedy, tylko dlaczego.

- To było chyba wtedy, kiedy zatańczyłeś ze mną i pocałowałeś mnie tak, że po prostu rozplynęłam się z rozkoszy.

- W taki sposób?

Odwrócił głowę i ich wargi się spotkały.

- Tak. - Przyłgnęła do niego i zamknęła oczy. - Właśnie tak. Ale to nic było wtedy. Wówczas uświadomiłam sobie tylko, że cię kocham, ale zakochałam się w tobie wcześniej. Pamiętasz, jak zapytałeś mnie o zapas?

- O jaki zapas?

- O koło zapasowe. - Z westchnieniem odchyliła głowę, żeby Roman mógł całować jej szyję. - Zapytałeś mnie, gdzie mam zapas, bo chciałeś wymienić koło. - Uśmiechnęła się na widok jego osłupiałej miny. - Chyba nie można powiedzieć, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, bo znałam cię już od dwóch czy trzech minut. Gładził jej policzki, włosy, szyję.

- Tak po prostu?

- Nie myślałam tak często o miłości i małżeństwie jak inne kobiety. Pewnie z powodu choroby dziadka i pracy w zajeździe. Sądziłam, że jeśli mi to sądzone, to stanie się pewnego dnia, bez zabiegów z mojej strony. Miałam rację. Musiałam tylko przebić oponę. Reszta poszła gładko.

Roman pomyślał, że opona została celowo przebita, a jej pomocnik nie przypadkiem wygrał na loterii wycieczkę na Hawaje. Wszystko zostało starannie zaaranżowane przez FBI. Tylko jego miłość do Charity nie była zaplanowana.

- Charity... - Roman oddałby wszystko, żeby móc jej teraz wyznać prawdę, ale niewiedza stanowiła gwarancję jej bezpieczeństwa. - Nigdy nie sądziłem, że spotka mnie coś podobnego - powiedział, starannie dobierając słowa. - Nie chciałem obdarzyć nikogo takim uczuciem.

- Żałujesz?

- Żałuję bardzo wielu rzeczy, ale nie tego, że się w tobie zakochałem. - Puścił Charity. - Kolacja stygnie.

- Gdybyśmy znaleźli sobie zajęcie na najbliższe dwie godziny, to ten wytworny posiłek mógłby się zmienić w romantyczną kolację o północy. - Dłonie Charity przesunęły się po jego piersi w górę, aż do szyi. Zaczęła bawić się guzikiem koszuli Romana. - Może masz ochotę zagrać w chińczyka?

- Nie.

Rozpięła górny guzik i powoli przesuwiała dłonie niżej i niżej.

- A w scrabble?

- Nie.

- Wiem. - Przesunęła palcem przez środek torsu Romana aż do zapięcia dzinsów. - Co byś powiedział na pasjonującą rozgrywkę w canastę?

- Nie umiem w to grać.

Z szerokim uśmiechem rozpięła guzik przy pasku spodni.

- Mam wrażenie, że zaczynasz się domyślać. - Jej śmiech zamarł pod naciskiem ust Romana.

Przylgnęła do niego i razem osunęli się na łóżko. Roman miał się zmienić tej nocy w kochanka niezmordowanego i wymagającego, choć do tej pory dał jej się poznać jako kochanek delikatny i cierpliwy. Tak samo rozpalona jak on, zdarła mu z ramion koszulę, rozkoszując się dotykiem nagiej skóry.

Wyrwał mu się z gardła urywany pomruk, gdy dłonie Charity doprowadziły go na skraj szaleństwa. Unieruchomił jej ręce nad głową. Ciężko dysząc i nie odrywając wzroku od twarzy Charity, rozerwał jej bluzkę jednym szarpnięciem.

Niecierpliwie zsunął z bioder Charity spodnie, rozkoszując się smakiem każdego centymetra odsłanianej skóry. Ta nowa, nieznana wcześniej pieszczota sprawiła, że Charity łamiącym się głosem wyszeptała jego imię i zadrżała, gdy po pierwszym spełnieniu przyszło zaraz następne.

Nieświadomie wbijała paznokcie w ciało Romana, bo spocone dłonie ślizgały się po wilgotnej skórze. W głowie miała pustkę, wszelkie myśli ustąpiły zmysłowemu doznaniu. Wydawało jej się, że Roman mówił coś do niej, ale nie rozumiała, oszołomiona namiętnością. Może to były obietnice, prośby czy zaklęcia. Odpowiedziałyby na wszystkie, gdyby tylko mogła.

Potem nakrył wargami jej usta, jakby chciał wchłonąć w siebie jej krzyk spełnienia i wszedł w nią.

Natychmiast odnaleźli wspólny rytm. Spleceni ze sobą razem przekroczyli granicę rozkoszy. Nawet kiedy wrócili wreszcie do rzeczywistości, nie przestawali się obejmować.

ROZDZIAŁ 11

Z na wpół zamkniętymi oczami i lekkim uśmiechem na ustach Charity westchnęła przeciągle.

- To było wspaniałe.

Roman dolał wina do jej kieliszka.

- Mówisz o kolacji czy o tym, co ją poprzedziło?

- O wszystkim - odparła z uśmiechem. Dotknęła jego ręki, zanim odstawił butelkę. Właściwie musnęła tylko palcem jego skórę, a mimo to puls Romana przyspieszył. - Myślę, że kolacje o północy powinny wejść na stałe do naszych obyczajów. Wiesz, na co mam ochotę?

- Na dokładkę ciasta Mroczny Bór?

- Oprócz tego. - Ponad ich złączonymi dłońmi spojrzała na Romana roześmianymi oczyma.

- Chciałabym przez całą noc kochać się z tobą, rozmawiać, pić wino i słuchać muzyki. To znacznie przyjemniejsze, niż mogłam sobie wymarzyć.

- Co z tego chciałabyś robić najpierw?

- Porozmawiać.

- Już ci powiedziałem, że mogę włożyć garnitur, ale nie smoking.

- Chodzi mi o coś innego. Chociaż muszę przyznać, że w smokingu wyglądałbyś wspaniale, to jednak garnitur wydaje się bardziej stosowny na cichy ślub w ogrodzie. Chciałam natomiast uzgodnić z tobą, co będzie po ślubie.

- To, co będzie po ślubie, nie podlega negocjacjom. Zamierzam kochać się z tobą przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

- Sądzę, że byłabym w stanie zaaprobować tę propozycję. Chciałabym przedyskutować z tobą nieco bardziej odległe plany. Chodzi mi o to, co Block wczoraj powiedział.

- Block? - Roman poczuł niepokój.

- To była taka luźna, rzucona mimochodem uwaga, niemniej dała mi do myślenia. Wspomniałam mu, że zamierzamy się pobrać, na co on wyraził nadzieję, że nie zabierzesz mnie stąd. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że może nie będziesz chciał zamieszkać na stałe tu, na Orcas.

- Tylko o to chodzi?

- To nie jest drobiazg. Możesz nie być zachwycony perspektywą zamieszkania w miejscu, do którego ciągle ktoś przyjeżdża i odjeżdża, gdzie ciągle ktoś się kręci i... Chciałabym zapytać, jak się zapatrujesz na zamieszkanie na wyspie.

- A co ty o tym myślisz?

- Teraz liczy się to, co my o tym sądzimy.

- Od dawna nie czułem się nigdzie jak w domu. Tutaj, przy tobie, tak właśnie się czuję.

- Jesteś zmęczony? - zapytała z uśmiechem.

- Nie.

- To dobrze. - Wstała i zakorkowała wino. - Wezmę tylko kluczyki.

- Jakie kluczyki?

- Do furgonetki.

- Wyjeżdżamy?

- Znam najlepsze miejsce na wyspie do oglądania wschodu słońca.

- Masz na sobie tylko szlafrok.

- Jasne. Jest druga nad ranem. Nie zapomnij zabrać wina. - Roześmiała się i po cichu wyszła na schody. - Postarajmy się nikogo nie obudzić. - Skrzywiła się, gdy na podjeździe bose stopy postawiła na wysypanej żwirem alejce.

Roman wziął ją na rękę.

- Mój bohater - szepnęła mu do ucha. Posadził ją w furgonetce na miejscu kierowcy.

- Dokąd się wybieramy, kochanie?

- Na plażę. - Charity uruchomiła silnik. Z głośników ryknęła na pełny regulator muzyka symfoniczna. Charity natychmiast zgasła odtwarzacz i z poczuciem winy zerknęła na budynek zajazdu. - Tak głośno nastawiam muzykę, kiedy jadę sama. - W zajeździe nie zapaliło się światło. Wszędzie było ciemno i cicho. Powoli wyjechała na szosę. - Jaka piękna noc. Nie starczało mi czasu na wielkie wyprawy, więc zadowalałam się małymi, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

- I to jest właśnie jedna z takich wypraw?

- Oczywiście. Będziemy pić wino na plaży, kochać się pod rozgwieżdżonym niebem i patrzeć, jak słońce wynurza się z morza. - Odwróciła głowę do Romana. - Czy to ci odpowiada?

- Chyba mogę ten plan zaakceptować.

Kilka godzin później przytuliła się do niego na kocu. Butelka wina była już pusta, a gwiazdy gasły na niebie.

- Chyba nie będzie dziś ze mnie pożytku. - Uśmiechnęła się sennie i otarła o Romana. - I nic mnie to nie obchodzi.

Naciągnął na nią koc. Poranki nadal były bardzo rzeźkie. Nieoczekiwanie wypełniona miłością noc obudziła w nim nadzieję. Gdyby udało się skłonić Charity, żeby pospała do południa, mógłby zakończyć sprawę, zamknąć ją ostatecznie i dopiero potem wszystko jej wyjaśnić. Dzięki temu zdołałby uchronić ją przed niebezpieczeństwem i zacząć wszystko od początku.

- Już prawie świta - mruknęła.

W milczeniu oglądali narodziny dnia. Niebo pojaśniało. Zamilkły nocne ptaki. Na chwilę czas stanął w miejscu. A potem powoli, z istic królewskim majestatem, horyzont zaczął nasycać się barwami, odbijającymi się w tafli wody. Ciemności ustąpiły, a wierzchołki drzew stały skąpane w złotym blasku. Pierwszy dzienny ptak obwieścił nadejście poranka.

Roman przyciągnął do siebie Charity i kochał się z nią niespiesznie pod coraz jaśniejszym niebem.

W drodze powrotnej drzemała. Niebo było już olśniewająco błękitne, ale w zajeździe panowała cisza. Kiedy Roman wyniósł Charity z samochodu, westchnęła i położyła mu głowę na ramieniu.

- Kocham cię.

- Wiem. - Po raz pierwszy w życiu gotów był myśleć o tym, co będzie jutro, za miesiąc, za rok. Byle nie o tym, co go czekało w najbliższych godzinach. Wniósł ją po schodach do środka. - Kocham cię, Charity.

Bez trudu przekonał ją, że powinna się położyć. Wystarczyło obiecać, że wyprowadzi Ludwiga na codzienny spacer.

Najpierw zszedł do swojego pokoju, zapiał kaburę na szelkach i włożył do niej pistolet.

Aresztowanie Duponta przebiegło jak na policyjnym filmie instruktażowym. Za piętnaście

ósma stojący na uboczu domek bandyty został otoczony przez najlepszych ludzi szeryfa Royce'a i FBI. Roman nie przejął się marudzeniem Conby'ego, że niepotrzebnie włączył do akcji miejscową policję, i poradził zwierzchnikowi, żeby trzymał się na uboczu.

Kiedy wszyscy ludzie zajęli swoje pozycje, Roman podszedł do drzwi domku. Oparł się ramieniem o framugę i wyciągnął pistolet. Zapukał dwa razy. Nie doczekał się odpowiedzi, więc dał policjantom znak, żeby zbliżyli się do domku z bronią gotową do strzału. Zdjętym z kółka Charity kluczem otworzył drzwi.

Wszedł, trzymając broń oburącz i rozejrzał się szybko dokoła - Poczł znajomy, miły przyływ adrenaliny. Lekkim ruchem głowy dał sygnał tym, którzy stali za nim. Ostrożnie wszedł do sypialni. Uśmiechnął się. Dupont był pod prysznicem i śpiewał.

Śpiew urwał się gwałtownie, kiedy Roman odchylił zasłonę.

- Możesz sobie darować podnoszenie rąk do góry - powiedział Roman do zaskoczonego mężczyzny. Trzymając go ciągle na muszce, rzucił mu ręcznik. - Jesteś aresztowany, chłopie. Wytrzymaj się, a ja ci odczytam twoje prawa.

- Dobra robota - stwierdził Conby, kiedy aresztant miał już kajdanki na rękach. - Jeśli reszta pójdzie równie gładko, postaram się, żeby wpisano ci pochwałę do akt.

- Daruj sobie. - Roman schował broń do kabury. Jeszcze tylko jedna przeszkoda do pokonania i wreszcie będzie mógł zamknąć za sobą przeszłość i rozpocząć nowy etap życia. - Kiedy to się skończy, odchodzę.

- Od dziesięciu lat pracujesz w wymiarze sprawiedliwości, DeWinter. Nie możesz teraz odejść.

- Przekonasz się. - Roman ruszył z powrotem do zajazdu, żeby dokończyć to, co zaczął.

Charity obudziła się późnym rankiem. Była sama. Kiedy usiadła, jej głowa, nie nawykła do nadmiaru wina i braku snu, zaprotestowała silnym bólem. Charity wygramoliła się z łóżka z przekonaniem, że to wyłącznie jej własna wina. Trafiła nogami na strzępy tkaniny, która jeszcze wczoraj była jej koszulką nocną. Warto było, pomyślała, podnosząc z podłogi sponiewieraną bawełnę. Zdecydowanie warto. Przeżyła wspaniałą, niesamowitą i wyjątkową noc, ale wstał już dzień, a na nią czekało mnóstwo obowiązków. Połknęła aspirynę i powlokła się pod prysznic.

Roman znalazł Boba w biurze. Zaszły się w kącie i popijał wzmocnioną kawę. Bez słowa zabrał mu kubek i wylał jego zawartość do kosza na śmieci.

- Potrzebowałem czegoś na uspokojenie.

Roman stwierdził, że Bob uspokoił się aż za bardzo. Bełkotał i miał maślane oczy. Nawet w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach Roman nie potrafił wykrzesać z siebie współczucia dla pijaków.

Poderwał Boba z krzesła za koszulę.

- Weź się w garść, i to szybko. Zaraz będzie tu Block, musisz wymeldować uczestników wycieczki. Jeśli go uprzedzisz, jeśli dasz mu cynk choćby mrugnięciem oka, to rozerwę cię na strzępy.

- Charity zawsze sama wymeldowuje gości - przypomniał Bob, szcękając zębami ze strachu.

- Nie dzisiaj. Dziś ty wyjdiesz do recepcji i załatwisz formalności. Będę stał tutaj, nie spuszczać cię z oka ani na chwilę.

Odsunął się szybko od Boba, bo drzwi biura zostały gwałtownie otwarte.

- Przepraszam za spóźnienie. - Pomimo opuchniętych ze zmęczenia oczu Charity rozpromieniła się na widok Romana.

- Za krótko spałaś.

- Ty mi to mówisz?! - Uśmiech Charity zniknął, kiedy spojrzała na Boba. - Co się stało?

- Właśnie mówiłem Romanowi, że nie czuję się zbyt dobrze.

- Rzeczywiście źle wyglądasz. - Zmartwiona Charity podeszła do Boba i położyła mu rękę na czole. Było mokre od potu, co jeszcze zwiększyło jej niepokój. - Pewnie złapałeś wirusa.

- Też się tego obawiam.

- Nie powinieneś w ogóle przychodzić dziś do pracy. Może Roman odwiózłby cię do domu?

- Nie, dam sobie radę. - Na trzęsących się nogach podszedł do drzwi. - Przepraszam cię, Charity. - W drzwiach odwrócił się, żeby rzucić jej ostatnie spojrzenie. - Naprawdę mi przykro.

- Nie wygłupiaj się. Dbaj o siebie.

- Pomogę mu - mruknął Roman i wyszedł za Bobem. Weszli do holu w tym samym momencie, kiedy wpadł tam Block.

- Dzień dobry! - zawołał jowialnie jak zwykle, ale popatrzył na nich czujnie. - Jakiś problem?

- Wirus - wykrztusił Bob, którego twarz nabrała zielonkawej barwy. Strach uwiarygodnił jego słowa. - Kompletnie mnie dziś rozłożył.

- Zadzwoiłam do doktora Mertensa - oznajmiła Charity, która w tym momencie wyszła z biura i zajęła miejsce w recepcji. - Jedź prosto do domu. Bob. Lekarz będzie już na ciebie czekał.

- Dziękuję. - Bob zdawał sobie sprawę, że nieprędko zobaczy dom, bo jeden z agentów już się szykował, by ruszyć za nim.

- Ten wirus sieje u nas prawdziwe spustoszenie. - Charity rzuciła Blockowi przepaszający uśmiech. - Najpierw pokojówka, potem kelnerka, a teraz Bob. Mam nadzieję, że nikt z twojej wycieczki nie skarżył się na nieodpowiednią obsługę.

- Absolutnie nikt - oświadczył uspokojony Block i położył teczkę na kontuarze. - Naprawdę przyjemnie prowadzić z tobą interesy.

Roman przyglądał się bezradnie, jak sobie mile gawędzą, rutynowo sprawdzając listy i liczby. A przecież Charity miała bezpiecznie spać w swojej sypialni na górze i śnić o wspólnie spędzonej nocy. Zdenerwowany Roman zacisnął pięści. Nie mógł już nic na to poradzić, że Charity znalazła się w samym centrum wydarzeń.

Usłyszał jej głośny śmiech, kiedy Block przypomniał, jak poprzedniego dnia wniosła do jadalni żywą rybę. Nagle wyobraził sobie jej minę, gdy agenci przystąpią do akcji i na jej oczach aresztują człowieka, którego uważała za przewodnika wycieczek i dobrego znajomego.

Charity odczytała ogólną sumę. Roman wziął się w garść.

- Rachunek nie zgadza się o... dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt centów. - Block zaczął ponownie wystukiwać cyfry na kalkulatorze. Charity ze zmarszczonym czołem przeglądała jeszcze raz wszystkie rachunki, pozycja po pozycji.

- Dzień dobry, moja droga.

- Co? - Charity podniosła wzrok znad rachunków. - A. dzień dobry, panno Millie.

- Idę na górę, żeby się spakować. Chciałam tylko powiedzieć, że wspaniale spędziłam czas.

- Zawsze nam przykro, kiedy panie wyjeżdżają. Cieszymy się, że przedłużyły panie pobyt w naszym zajeździe o kilka dni.

Panna Millie spojrzała na Romana krótkowzrocznymi oczami i ruszyła w stronę schodów. Na szczycie schodów czekał już policjant, który miał pilnować, by ona czy inny gość hotelowy nie naraził się na niebezpieczeństwo.

- Znow wyszło mi to samo, Rogerze. - Zaskoczona Charity popukała końcem ołówka w kolumnę rachunków. - Szkoda, że nie mogę dać tego na komputer, ale... - Zamilkła i nawet zapomniała na moment o bólu głowy. - To może być to! Masz na swojej liście butelkę wina zamówioną przez Wentworthów z domku numer jeden? To było przedostatniej nocy.

- Wentworth, Wentworth... - Block przeglądał listę irytująco wolno. - Nie mam nic takiego.

- Zaraz poszukam rachunku. - Charity otworzyła szufladę i sprawnie przeglądała dokumenty. Roman czuł, jak kropla potu spływa powoli po jego szyi. Jeden z agentów zbliżył się, udając, że chce obejrzeć pocztówki.

- Mam tu obie kopie! - zawołała i potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Ten wirus naprawdę dezorganizuje nam pracę. - Wyjęła jeden z rachunków i podała Blockowi jego kopię.

- Nic się nie stało. - Pogodny jak zawsze przewodnik wprowadził nowy rachunek i jeszcze raz podliczył wydatki. - Teraz się zgadza.

Z łatwością wynikającą z praktyki Charity przeliczyła rachunek na walutę kanadyjską.

- Dwa tysiące trzysta trzydzieści dolarów. - Odwróciła kartkę z wyliczeniem, żeby Block rzucił na nią okiem.

Głośno odskoczył zamek jego aktówki. Odliczył żadaną sumę w banknotach

dwudziestodolarowych. W chwili gdy Charity przybiła na rachunku stempel: ZAPŁACONY, Roman przystąpił do akcji.

- Ręce do góry. Powoli. - Przystawił lufę do pleców Blocka.

- Roman! - wykrzyknęła Charity. - Co ty wyprawiasz, na litość boską?!

- Wstań z biurka - rozkazał - i wyjdź z budynku.

- Oszalałeś?! Romanie, do licha...

- Zrób to!

- Czy to napad? - Block nerwowo oblizwał wargi, trzymając ręce uniesione do góry.

- Jeszcze się nie domyśliłeś? - Wolną rękę Roman wyjął odznakę. Rzucił ją na biurko i sięgnął po kajdanki. - Jesteś aresztowany.

- Pod jakim zarzutem?

- Planowanie zabójstwa, fałszerstwo pieniędzy i szmuglowanie przestępców przez granicę.

To na początek. - Opuścił jedną rękę Blocka na dół i zatrzasnął na niej kajdanki.

- Jak mogłeś? - zapytała Charity ledwo dosłyszalnym głosem. Trzymała w ręku jego odznakę.

- Ależ ze mnie idiotka! - zawołała panna Millie, wpadając do holu tanecznym krokiem. - Byłam już prawie na górze, kiedy przypomniałam sobie, że zostawiłam...

Jak na mężczyznę swojej postury Block potrafił poruszać się błyskawicznie. Przyciągnął pannę Millie do siebie i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przyłożył jej nóż do gardła. Kajdanki wisiały na jednym tylko nadgarstku Blocka.

- Wystarczy jeden ruch ręki - powiedział, patrząc Romanowi prosto w oczy. Pistolet wycelowany był teraz w sam środek czoła Blocka. - Zastanów się. - Omiótł spojrzeniem hol, w którym zaroilo się od uzbrojonych policjantów. - Poderżnę tej staruszce gardło. Nie ruszaj się - ostrzegł Charity. Przesunął się, żeby zagrozić jej drogę.

Panna Millie wisiała na ramieniu Blocka, patrzyła szeroko otwartymi, przerażonymi oczami i cicho zawodziła.

- Nie rób jej krzywdy! - Charity zrobiła krok do przodu, ale zatrzymała się, bo Block mocniej przycisnął do siebie starszą panią. - Proszę, nie krzywdź jej! - To musi być zły sen, powtarzała sobie w myślach. - Niech mi ktoś powie, co się tutaj dzieje.

- Dom jest otoczony. - Roman nie odrywał wzroku od Blocka, nie przestał też w niego celować. Na próżno czekał, by któryś z jego ludzi wyłonił się zza pleców bandyty.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę, nic poprawisz swojej sytuacji.

- Ty swojej też nie. Pomyśl o tym. Chcesz mieć na koncie zamordowaną babcię?

- A czy ty chcesz mieć na koncie jeszcze i morderstwo. Block? - zapytał Roman.

- Wszystko mi jedno. A teraz wynocha. Wszyscy! - Block podniósł głos, omiatając

wzrokiem hol. - Rzućcie broń. Zostawcie ją i wyjdźcie na dwór, zanim zacznę ją kroić na plasterki.

Już! - Lekko przesunął ostrzem noża po chudej szyi panny Millie.

- Proszę! - Charity znowu zrobiła krok do przodu.

- Puść ją. Ja ją zastąpię.

- Do Ucha, Charity, cofnij się!

Nie zaszczyliła Romana spojrzeniem.

- Proszę, Rogerze - powtórzyła, robiąc jeszcze jeden krok w jego stronę. - Ona jest stara i wątła. Jeszcze dostanie ataku serca. - Zrozpaczona Charity stanęła pomiędzy Blockiem a pistoletem Romana. - Ze mną nie będziesz miał żadnych problemów.

Block w jednej chwili podjął decyzję. Złapał Charity i przytknął jej do gardła czubek noża. Panna Millie osunęła się na podłogę.

- Rzuć broń. - Dostrzegł strach w oczach Romana i uśmiechnął się. Najwyraźniej zamiana zakładniczki okazała się dobrym posunięciem. - Za dwie sekundy będzie za późno. Nie mam nic do stracenia.

Roman podniósł ręce do góry i wypuścił broń.

- Porozmawiajmy.

- Ja zdecyduję, kiedy będziemy rozmawiać. - Block przesunął nóż w taki sposób, by całą długością ostrza dotykał szyi Charity. - Teraz wszyscy na zewnątrz. Jeśli ktoś spróbuje wejść do domu, będzie po niej.

- Na dwór. - Roman gestem wskazał drzwi. - Trzymaj ich na zewnątrz, Conby. Wszystkich. Tu leży moja broń - zwrócił się do Blocka. - Jestem czysty. - Powoli rozchylił marynarkę, żeby pokazać mu pustą kaburę. - Może mógłbym tu zostać? Miałbyś dwoje zakładników zamiast jednego. Agent federalny byłby dla ciebie niezłą kartą przetargową.

- Tylko kobieta. Opuść sobie, DeWinter, bo poderżnę jej gardło, zanim zdążysz choćby pomyśleć o zbliżeniu się do mnie. Wynocha!

- Na litość boską, Romanie, zabierz ją stąd. Ona potrzebuje pomocy lekarskiej. - Charity głośno wciągnęła powietrze, kiedy czubek noża ukłuł jej skórę.

- Nie rób tego. - Roman znowu podniósł ręce, pokazując Blockowi puste dłonie i podszedł do postaci leżącej na podłodze przy recepcji. Unikając gwałtownych ruchów, wziął na ręce szlochającą kobietę. - Jeśli zrobisz jej krzywdę, nie pożyjesz nawet tak długo, by tego pożałować.

Z tą groźbą wyszedł z zajazdu, zostawiając Charity samą.

- Trzymać się z daleka! - zawołał, przekazał pannę Millie w czyjeś wyciągnięte ramiona i szybko zbiegł z ganku. Za wszelką cenę starał się zachować przytomność umysłu. - Nie zbliżać się do drzwi ani do okien. Dajcie mi broń. - Zanim któryś z policjantów zdążył zareagować, wyjął pistolet z ręki jednego z podwładnych Royce'a.

- DeWinter... - zaczął Conby.

- Cofnij się.

Schował broń do kabury i obrócił się na pięcie.

- Zablokujcie drogi we wszystkich kierunkach w odległości półtora kilometra. Wolno przepuszczać tylko funkcjonariuszy. Otoczcie zajazd pierścieniem w odległości stu pięćdziesięciu metrów od budynku. Niedługo wróci mu zdolność myślenia - wycodził powoli - a wtedy zrozumie, że jest otoczony.

Zdarzało mu się już mieć do czynienia z desperatem, który wziął zakładnika. Wiedział, jak należy się zachować. Tyle że teraz zakładniczką była Charity, a to zwiększało ryzyko.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Agencie DeWinter, mam poważne wątpliwości, czy nadaje się pan na dowódcę tej operacji.

- Spróbuj mi tylko stanąć na drodze, Conby, a powieszę cię na twoim własnym jedwabnym krawacie. Dlaczego, do cholery, za plecami Blocka nie było naszych ludzi?

- Uznałem, że lepiej zostawić ich na zewnątrz, na wypadek gdyby podjął próbę ucieczki.

- Kiedy ją stamtąd wyprowadzę - powiedział złowieszczo spokojnym głosem - rozprawię się z tobą. Potrzebne mi środki łączności - zwrócił się do Royce'a. - Może pan to załatwić?

- Proszę mi dać dwadzieścia minut.

Roman kiwnął głową i znów wbił wzrok w budynek zajazdu. Systematycznie rozpatrywał i odrzucał kolejne pomysły dostania się do środka.

Charity doznała ulgi, gdy ostrze noża przestało dotykać jej szyi. Wycelowany w nią pistolet wydawał jej się z jakichś względów mniej groźny.

- Roger...

- Zamknij się i daj mi pomyśleć. - Otarł spocone czoło. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Do tej chwili działał pod wpływem instynktu. Jak przewidywał Roman, właśnie wracała mu zdolność myślenia. - Osaczyli mnie, znalazłem się w pułapce. Cholerna wyspa! Nie da się stąd nawiać samochodem.

- Myślę, że gdybyśmy...

- Zamknij się! - wrzasnął i wycelował broń w Charity. - Ja tu jestem od myślenia. Ten tchórzliwy gówniarz miał rację - rzekł Block do siebie, mając na myśli Boba. - Rozszyfrował DeWintera już kilka dni temu. A ty?

- Nie wiedziałam! Nadal nic nie rozumiem. - Wydała zdławiony okrzyk, kiedy Block przyparł ją do ściany. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła w oczach człowieka żądzę mordy. - Pomyśl, Rogerze. Jeśli mnie zabijesz, nie będziesz miał żadnego atutu w ręku. Jestem ci potrzebna.

- Tak. - Rozluźnił uchwyt. - Dotychczas byłaś użyteczna. Musisz nadal być użyteczna. Ile

jest wejść do budynku?

- Ja... właściwie nie wiem. - Wstrzymała oddech, kiedy mocno szarpnął ją za włosy.

- Przecież znasz nawet liczbę gwoździ.

- Jest pięć wejść, nie licząc okien. W holu. w salonie, zewnętrzne schody prowadzące do mojego mieszkania i do apartamentu rodzinnego we wschodnim skrzydle, no i kuchenne wyjście.

- Tak lepiej. Zajmiemy kuchnię. Tam będę miał wodę i jedzenie na wypadek, gdyby potrwało to nieco dłużej.

- Nie puszczając włosów Charity, przyłożył lufę pistoletu do jej karku.

Roman chodził niezamordowanie wzdłuż rzędu samochodów policyjnych, nie odrywając wzroku od budynku. Powtarzał sobie, że Charity jest bystrą dziewczyną Bystrą i rozsądną. Nie wpadnie w panikę. Nie zrobi głupstwa.

Boże, jakaż ona musi być przerażona!

- Gdzie ten cholerny telefon?

- Prawie gotowy. - Royce, który przyglądał się pracy łącznościowca, zakładającego tymczasową linię, zsunął kapelusz z czoła i wyprostował się. - To mój siostrzeniec - wyjaśnił Romanowi z lekkim uśmiechem - Chłopak zna się na swojej robocie.

- Ma pan liczną rodzinę.

- Sam się gubię. Słyszałem pogłoski, że zamierzacie się pobrać z Charity. To element kamuflażu?

- Nie. - Roman wrócił pamięcią do pikniku na plaży. - Nie.

- W takim razie przyjmij moją radę. Mylisz się - powiedział pospiesznie, zanim Roman zdążył się odezwać.

- Powinieneś się uspokoić, zanim podniesiesz słuchawkę telefonu. Schwytane w pułapkę zwierzę reaguje na dwa sposoby. Albo się poddaje, albo rzuca się na wszystko, co znajduje się w jego zasięgu. - Royce wskazał ruchem głowy budynek. - Block nie wygląda na takiego, który poddaje się bez walki. A Charity z całą pewnością znajduje w jego zasięgu. Linia gotowa, synu?

- Tak, wujku. Można dzwonić.

- Nie znam numeru. Nie znam przecież tego cholernego numeru.

- Ja znam.

Roman odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Mae.

- Royce, miałeś oczyścić teren.

- Chyba łatwiej usunąć czołg niż Maeflower.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie zobaczę Charity. - Mae zacisnęła drżące wargi. - Będzie mnie potrzebowała, kiedy stamtąd wyjdzie. Szkoda czasu na dyskusje - dodała.

- Chcesz ten numer?

- Tak.

Podyktowała mu. Roman odrzucił na bok papierosa i wystukał numer.

Charity drgnęła, kiedy rozległ się dzwonek. Siedzący po przeciwnej stronie stołu Block wpatrywał się w aparat. Kazał jej zgromadzić wszystko, co nadawało się do zabarykadowania dwóch par drzwi. Dodatkowe krzesła, dziesięciokilogramowe pojemniki mąki i cukru, okrągły klocek rzeźniczy, żelazne rondle - to wszystko zostało ułożone w stosy blokujące obydwie wejścia.

- Zostań tu - polecił Block i przeszedł na drugi koniec kuchni, żeby podnieść słuchawkę. - Tak?

- Mówi DeWinter. Pomyślałem, że może dojrzałeś już do rozmowy o układzie.

- O jakim układzie?

- O tym właśnie powinniśmy pogadać. Najpierw chcę się upewnić, czy nadal masz Charity.

- A widziałeś, żeby wychodziła? Doskonale wiesz, że jest ze mną.

- Muszę mieć pewność, że żyje. Daj mi ją do telefonu.

- Idź do diabła.

Romanowi cisnęły się na usta pogrożki, przekleństwa, wyzwiska i oskarżenia. Kiedy jednak się odezwał, w jego głosie nie było śladu emocji.

- Procedury policyjne wymagają, żebym zweryfikował fakt zatrzymania przez ciebie zakładniczki. Block. Inaczej możesz zapomnieć o układzie.

- Chcesz z nią mówić? - Block machnął ręką z pistoletem - Chodź tu - rozkazał. - Pospiesz się. To twój chłopak - poinformował Charity, kiedy stanęła obok niego. - Chce wiedzieć, jak sobie radzisz. Powiedz mu, że wszystko w porządku. - Przesunął lufę pistoletu wzdłuż jej policzka i zatrzymał na skroni. - Rozumiesz?

Kiwnęła głową i pochyliła się nad telefonem.

- Roman?

- Czy nie zrobił ci krzywdy?

- Nie. - Zamknęła oczy i starała się powstrzymać łkanie. - Nie, nic mi nie jest. On pozwoli mi nawet przygotować coś do jedzenia.

- Słyszałeś, DeWinter? Nic jej nie jest. - Block z rozmysłem wykręcił rękę Charity, żeby zmusić ją do krzyku. - Ale to się może w każdej chwili zmienić.

Roman bezsilnie zaciskał w ręku słuchawkę i wsłuchiwał się w łkania Charity. Z największym wysiłkiem zachował spokój.

- Nie musisz jej krzywdzić. Przecież powiedziałem ci, że możemy podyskutować o warunkach.

- Porozmawiamy o warunkach, czemu nie. O moich warunkach. - Block puścił ramię Charity, która zatoczyła się na Ścianę. - Dostarczysz mi samochód. Żądam swobodnego przejazdu

na lotnisko. DeWinter. Charity poprowadzi. Na pasie startowym ma czekać gotów do drogi, zatankowany samolot. Dziewczyna poleci ze mną, więc żadnych sztuczek. Kiedy znajdę się tam, gdzie chcę, puszcę ją wolno.

- Jak duży ma być ten samolot?

- Nie próbuj przeciągać rozmowy.

- Czekaj! To naprawdę ważne. Na wyspie jest małe lotnisko. Zresztą sam wiesz. Jeżeli planujesz dłuższy lot...

- Po prostu podstaw mi samolot.

- Dobrze. - Roman nie słyszał już łkania Charity, ale cisza wydawała mu się równie groźna jak poprzedni szloch. - Muszę załatwić to przez Waszyngton. Takie są procedury.

- Do diabła z twoimi procedurami!

- Słuchaj, nie mam takiej władzy, żeby od ręki spełnić wszystkie twoje żądania. Muszę wystąpić do swoich zwierzchników o zgodę. Potem trzeba jeszcze oczyścić lotnisko i znaleźć pilota. Daj mi trochę czasu.

- Nie przeciągaj struny, DeWinter. Masz godzinę.

- Muszę skontaktować się z Waszyngtonem. Znasz przecież naszą biurokrację. To może zabrać trzy, może nawet cztery godziny.

- Do diabła z tym wszystkim! Daję ci dwie godziny. Potem zacznę przysyłać ci ją w kawałkach.

Charity zamknęła oczy, oparła głowę na złożonych ramionach i rozplakała się.

ROZDZIAŁ 12

Mamy dwie godziny - powiedział Roman, studiując uważnie dostarczony mu przez Royce'a plan budynku.

- Block nie jest tak sprytny, jak sądziłem, albo wpadł w panikę i nie potrafi trzeźwo myśleć.

- To może działać na naszą korzyść - stwierdził Royce - ale równie dobrze na naszą niekorzyść.

Dwie godziny. Roman wpatrywał się w zamknięty naглуcho zajazd. Nie mógł znieść myśli, że Charity będzie tak długo zdana na łaskę bandyty.

- Zażądał samochodu, wolnej drogi na lotnisko i samolotu - zwrócił się do Conby'ego. - Chcę, żeby był święcie przekonany, iż jego warunki zostaną spełnione.

- Znam zasady postępowania w wypadku wzięcia zakładnika, DeWinter.

- Który z pańskich ludzi jest najlepszym strzelcem?

- zwrócił się Roman do Royce'a.

- Ja - odparł szeryf. - Gdzie mam stanąć?

- Są w kuchni.

- On to panu powiedział?

- Nie, Charity. Powiedziała, że Block pozwoli jej przygotować coś do jedzenia. Raczej mało prawdopodobne.

żeby w obecnej sytuacji myślała o posiłku, chciała więc dać mi w ten sposób do zrozumienia, gdzie jest przetrzymywana.

Royce spojrział w stronę Mae, nerwowo spacerującej po alejce.

- Dzielną dziewczyną. Nie straciła głowy.

- Na razie - odparł Roman, któremu ciągle jeszcze brzmiał w uszach jej szloch. - Musimy przesunąć dwóch ludzi na tyły budynku. Niech się trzymają w pewnej odległości, muszą pozostać niezauważeni. Zobaczmy, jak blisko zdołamy podejść. - Ponownie odwrócił się do Conby'ego. - Daj nam jeszcze pięć minut i zadzwoń do niego. Powiedz mu, kim jesteś. Umiesz przecież przemawiać napuszczonym głosem, jak waźniak. Zatrzymaj go przy telefonie tyle, ile potrafisz.

- Masz dwie godziny, DeWinter. Możemy wezwać oddziały antyterrorystyczne z Seattle.

- My mamy dwie godziny, Charity może nie wytrzymać tak długo.

- Nie wezmę na siebie odpowiedzialności...

- Owszem, weźmiesz - wpadł mu w słowo Roman.

- Agencie DeWinter, gdyby to nie była kryzysowa sytuacja, udzieliłbym ci nagany za niesubordynację.

- Doskonale. Wpisz mi ją do akt. - Spojrział na broń trzymaną przez Royce'a. To był pistolet z celownikiem teleskopowym. - Idziemy.

Charity doszła do wniosku, że nic jej nie przyjdzie z zalewania się łzami. Podobnie jak jej prześladowca, uznała, że trzeba ruszyć głową. Podniosła się z podłogi, na której leżała skulona. Block nadal siedział przy stole. W jednej ręce trzymał pistolet, a palcami drugiej monotonicznie bębnił w wyszorowany do białości, drewniany blat. Wiszące u jego nadgarstka kajdanki podzwaniały przy każdym ruchu. Charity zrozumiała, że jest przerażony. Może nawet tak samo jak ona. Bez wątplenia mogła to wykorzystać.

- Roger... masz ochotę na kawę?

- Tak, to niezły... to dobry pomysł. - Mocniej zacisnął palce na broni. - Nie bądź za cwana. Nie spuszcza cię z oka.

- Dadzą ci samolot? - Zdjęła ze ściany zapalarkę. W tym momencie uświadomiła sobie, że w kuchni jest pełno broni - noże, tasaki, tłuczki. Zamknęła oczy i zadała sobie w duchu pytanie, czy miałyby odwagę ich użyć.

- Dopóki mam ciebie, dadzą mi wszystko, czego zażądam.

- Dlaczego chcą cię aresztować? Tylko spokojnie, powtarzała sobie.

- Nic nie rozumiem. - Wlała kawę do dwóch kubków.

- Mówili coś o fałszowaniu pieniędzy.

Block pomyślał, że to właściwie bez znaczenia, ile będzie wiedziała. Włożył w to przedsięwzięcie dużo pracy i chciał się pochwalić.

- Od przeszło dwóch lat szmugluję przez granicę fałszywe dwudziestki i dziesiątki kanadyjskie. Drukuję je jak etykiety. Znasz mnie, jestem ostrożny. - Wypił łyk kawy.

- Tu parę tysięcy, tam parę tysięcy, pod płaszczykiem legalnej firmy turystycznej Vision. Zresztą organizowaliśmy naprawdę ciekawe wycieczki, klienci byli zadowoleni.

- Płaciłeś mi fałszywymi banknotami?

- Tobie i w paru innych miejscach. Ale tobie najdłużej i najbardziej systematycznie. Ten zajazd to wyjątkowe miejsce, spokojne, położone na uboczu i w dodatku w prywatnych rękach. Pieniądze wpłacasz do niewielkiego, lokalnego banku. Pasuje jak ulał.

- Tak. - Spojrzała na swój kubek i zrobiło jej się niedobrze. - Rozumiem. - Roman nie przyjechał tutaj po to, żeby obserwować wieloryby, tylko żeby rozwiązać sprawę. Tym właśnie dla niego była. Sprawą.

- Zamierzaliśmy ciągnąć to jeszcze przez kilka miesięcy - kontynuował wyjaśnienia Block - ale ostatnio Bob zrobił się nerwowy.

- Bob? - Spoczywająca na kolanach ręka Charity zacisnęła się w pięść. - Wiedział?

- Zanim go spotkałem, był drobnym oszustem. Robił mizerne przekręty i politowania godne defraudacje. Ulokowałem go tutaj i zrobiłem z niego bogatego człowieka. Zresztą ty także sporo mi zawdzięczasz - dodał z uśmiechem. - Twoje finanse były w opłakanym stanie, kiedy odkryłem ten zajazd.

- I przez cały ten czas... - wyszeptała.

- Postanowiłem kontynuować naszą działalność jeszcze przez pół roku. ale Bob dostał prawdziwej obsesji na punkcie twojego nowego pomocnika. Okazało się, że nie bez przyczyny. - Block odstawił kubek. - Zawarł układ z federalnymi. Powiniennem się zorientować, kiedy po tym wypadku z samochodem zaczął mnie unikać.

- Ten wypadek... próbowałaś mnie zabić?

- Nie. - Charity aż się skuliła, kiedy pogłaskał jej rękę. - Prawdę mówiąc, zawsze cię lubiłem. Chciałem tylko usunąć cię z drogi na pewien czas, żeby się przekonać, co zrobi DeWinter. Dobry jest - dodał Block z mimowolnym podziwem. - Naprawdę dobry. Zdołał mnie przekonać, że mu na tobie zależy. Ten romans to było świetne posunięcie. Zamydlił mi oczy.

- Tak. - Załamana Charity wbiła wzrok w rysunek słójów drewna na blacie. - To było sprytne posunięcie.

- Przyłapał mnie. Wiedziałem, że ty mnie nie zwodzisz. Nie jesteś do tego zdolna. Ale

DeWinter... Przypuszczalnie aresztowali już także Duponta.

- Kogo?

- Nie ograniczaliśmy się do szmuglowania pieniędzy. Ludzi też przerzucaliśmy przez granicę. Takich, którzy musieli w pośpiechu opuścić swój kraj i byli w stanie słono zapłacić za nasze usługi. Wygląda na to, że stałem się teraz własnym klientem. - Wybuchnął śmiechem i opróżnił kubek. - A może byśmy coś zjedli? Najbardziej będzie mi brakowało tutejszej kuchni.

Charity bez słowa wstała i podeszła do lodówki. To wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Wszystko, co Roman, mówił, co robił... Zrobił z niej idiotkę, tak samo jak Roger Block. Wykorzystali ją obaj, ją i jej zajazd. Nigdy im tego nie wybaczy i nie zapomni.

- Może został jeszcze kawałek wczorajszego tortu bezowego z kremem cytrynowym? - Odprężony i pełen zachwytu nad samym sobą Block postukiwał lufą pistoletu o stół. - Tym razem Mae przeszła samą siebie.

- Owszem, jeszcze trochę zostało. - Charity bardzo wolno wyjmowała ciasto z lodówki.

Block zaciągnął zasłony w oknie, ale została pomiędzy nimi szeroka szpara. Roman widział, jak Charity sięga do kredensu po talerz. Ze swojego miejsca nie mógł dostrzec Blocka.

Najwyraźniej Charity wyczuła jego obecność, bo ich spojrzenia się spotkały. W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Charity drgnęła.

- Prawie punktualnie - oznajmił z satysfakcją Block i energicznie podszedł do aparatu. - Tak? Kto mówi, do licha? - Słuchał przez chwilę i roześmiał się z zadowoleniem. - Przyjemnie mieć do czynienia z takimi ważniakami. Gdzie mój samolot, inspektorze Conby?

Charity odważyła się poszerzyć szparę w zasłonach.

- Tutaj - rozkazał Block.

- Co? - Charity opuściła rękę i talerz zabrzączał o blat.

- Powiedziałem: tutaj. - Machnął pistoletem. - Chcę, by wiedzieli, że ja dotrzymuję umowy. - Złapał ją za rękę o wiele mniej brutalnie niż poprzednio. - Powiedz mu, że dobrze cię traktuję.

- Nic złego mi nie zrobił - powiedziała głosem bez wyrazu. Starła się nie patrzeć w stronę okna. Wiedziała, że Roman robi wszystko, żeby ją stąd wydostać. To przecież jego praca.

- Samolot będzie za godzinę - poinformował ją Block, odkładając słuchawkę. - Mamy czas na ciasto i jeszcze jeden kubek kawy.

- Dobrze. - Charity wróciła do kuchennego blatu i znów zerknęła w stronę okna. Ogarnęła ją panika, bo nie dostrzegła tam nikogo. Roman odszedł. Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła ukroić ciasta. - Roger, zamierzasz mnie wypuścić?

Zawahał się tylko na moment, ale to wystarczyło, by zrozumiała, że zaraz usłyszy kolejne kłamstwo.

- Oczywiście. Jak tylko znajdę się w bezpiecznym miejscu.

A więc to tak. Postawiła przed Blockiem talerz z tortem i przyjrzała się jego twarzy. Zauważyła na niej wyraz samozadowolenia i natychmiast ogarnęła ją fala nienawiści.

- Przyniosę ci kawę. - Ruszyła w stronę kuchni. Jeden krok, potem następny. Szumiało jej w uszach. Teraz to już nie strach, pomyślała i zapaliła gaz pod garnkiem. Teraz to wściekłość, rozpacz i przemożny instynkt przetrwania. Automatycznym ruchem wyłączyła gaz. Potem przez fartuch podniosła garnek za ucho.

Block nadal trzymał w prawej ręce pistolet, lewą niósł kawałek tortu do ust. Miał ją za idiotkę. Za kogoś, kogo można wykorzystać i oszukać, kim można manipulować. Głęboko nabrała powietrza.

- Roger?

Podniósł wzrok. Charity spojrzała mu prosto w oczy.

- Zapomniałeś o kawie - powiedziała spokojnie i chlusnęła mu wrzątkiem w twarz.

Nigdy jeszcze nie słyszała takiego wrzasku. Block zerwał się z krzesła i po omacku szukał broni, która wypadła mu z ręki, Wszystko stało się w ułamku sekundy. Kiedy później Charity próbowała przypomnieć sobie te wydarzenia, nie miała pewności, co nastąpiło najpierw.

To ona pierwsza złapała pistolet. Block, na wpół ślepy, zdołał uderzyć ją w twarz. Charity zatoczyła się do tyłu i usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

Roman wskoczył przez okno. Gwałtowny podmuch powietrza rzucił ją na ziemię. Jacyś mężczyźni roznieśli barykadę przy drzwiach i wpadli do kuchni. Ktoś podniósł ją z podłogi i wyprowadził na zewnątrz.

Roman przyłożył pistolet do skroni Blocka.

- Romanie. - Royce położył mu rękę na ramieniu. - Już po wszystkim.

Trwoga nadal ścisnęła go za gardło. Palec sam zsunął się na spust. Powoli, jakby niechętnie, odsunął się i schował broń do kabury.

- Tak. Już po wszystkim. Zabierz go stąd, do diabła. - Wstał i poszedł szukać Charity.

Znalazł ją w holu, w ramionach Mae.

- Nic mi nie jest - zapewniała, - Naprawdę. Muszę teraz zamienić kilka słów z Romanem.

- Dobrze, powiedz mu wszystko, co ci leży na wątrobie. - Mae ucałowała ją w oba policzki.

- Przygotuję ci wspaniałą, gorącą kąpiel.

- Zgoda. - Charity ścisnęła rękę Mae. - Myślę, że na górze będziemy mogli rozmawiać swobodniej, bez świadków - powiedziała do Romana. Odwróciła się i wspięła na schody. Nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem. Miała nogi jak z waty. Próbowwała walczyć ze słabością, która była jak najbardziej naturalną reakcją po tym, co przeszła. Charity obiecała sobie, że rozklei się dopiero wtedy, gdy zostanie sama.

Zatrzymała się w saloniku. Nie mogła przecież rozmawiać z nim w sypialni.

- Pewnie powinieneś teraz siedzieć i pisać raport - zaczęła. Czy to naprawdę jej głos?
Wysoki i chłodny, obcy.

Odchrząknęła. - Powiedziano mi, że będę musiała złożyć zeznanie, ale pomyślałam, że najpierw powinniśmy sobie wszystko wyjaśnić.

- Charity... - Roman wyciągnął ramiona, ale ona się szybko cofnęła.

- Nie dotykaj mnie. Ani teraz, ani nigdy. Ręce Romana opadły bezwładnie.

- Przepraszam.

- Dlaczego przepraszasz? Wypełniłeś przecież zadanie. O ile zdążyłam się zorientować, Roger i Bob prowadzili znakomicie funkcjonującą firmę. Twój szefowie powinni być z ciebie zadowoleni.

- To nieważne.

Wyjęła z kieszeni odznakę Romana.

- Owszem - powiedziała, podając mu ją. - Ważne. Roman schował plakietkę do kieszeni. Za wszelką cenę starał się zachować spokój. Obojętnym wzrokiem spojrzał na swe pokrzwawione dłonie.

- Nie mogłem ci powiedzieć.

- Nie powiedziałaś.

Zauważył siniec na twarzy Charity.

- Uderzył cię!

- Niełatwo mnie złamać.

- Chciałbym ci wytłumaczyć.

- Naprawdę? - Odwróciła się do niego tyłem. - Chyba już się wszystkiego domyślam.

- Posłuchaj, kochanie...

- Nie, to ty posłuchaj... kochanie! - Nie była w stanie dłużej zachować spokoju. - Wykorzystałeś mnie, od pierwszej chwili oszukiwałeś! To wszystko było jednym wielkim kłamstwem!

- Nie wszystko.

- Nie? No to zastanówmy się, jak odróżnić jedno od drugiego? George, stary szczęściarz George. Pewnie warto było poświęcić kilka tysięcy dolarów, żeby usunąć go z drogi, a tym samym umożliwić ci dostanie się do zajazdu. I Bob... ale przecież ty wiedziałeś o Bobie, prawda?

- Nie mieliśmy pewności, przynajmniej na początku.

- Czy byłeś całkiem pewien mojej niewinności? A może podejrzewałeś, że ja też maczałam w tym palce? - Roman nie odpowiedział, więc podjęła: - Rozumiem. Przez cały czas byłam jedną z podejrzanych. A ty znalazłeś się w samym sercu wydarzeń, bardzo to dogodne. Musiałeś się do mnie zbliżyć, co zresztą sama ci ułatwiłam. - Ukryła twarz w dłoniach. - Boże, ja po prostu się na

ciebie rzuciłam!

- To po prostu się stało. Zakochałem się w tobie. Kocham cię.

- Nie używaj tych słów. - Charity opuściła ręce. Była bardzo blada. - Nawet nie wiesz, co one znaczą.

- Nie wiedziałem, dopóki nie spotkałem ciebie.

- Nie ma miłości bez zaufania, Romanie. Ja ci ufałam. Oddałam ci nie tylko ciało. Oddałam ci wszystko.

- Powiedziałem ci tyle, ile mogłem! Do licha, nie miałem prawa zdradzić ci reszty. Ale wszystko, co ci mówiłem o sobie, o swoich uczuciach, to wszystko jest i było prawdą!

- Mam panu uwierzyć na słowo, agencie DeWinter? Roman zaklął i jednym skokiem przemierzył pokój.

Złapał ją za ramiona.

- Nie znałem cię, przyjmując tę sprawę. Kiedy wszystko się zmieniło, najistotniejsze stało się dla mnie udowodnienie twojej niewinności i zapewnienie ci bezpieczeństwa.

- Gdybyś mi powiedział, potrafiłabym sama dowieść swojej niewinności. - Charity wyrwała się z jego rąk. - To mój zajazd i moi ludzie. To jedyna rodzina, jaka mi została. Czy myślisz, że ryzykowałabym dla marnych pieniędzy?

- Nie. Byłem o tym przekonany już po pierwszych dwudziestu czterech godzinach tutaj. Już wtedy ufałem ci bez zastrzeżeń, ale musiałem podporządkować się rozkazom, Charity. Gdybym powiedział ci, kim jestem i co tutaj robię, mimowolnie mogłabyś się zdradzić.

- Masz mnie za kompletną idiotkę?

- Nie. Za osobę prostolinijną. - Z największym wysiłkiem odzyskiwał panowanie nad sobą. - Wiele przeszłaś. Pozwól mi zawieść cię do szpitala.

- Wiele przeszłam - powtórzyła Charity i o mało nie wybuchnęła śmiechem. - Czy wiesz, jak się czuje człowiek, który dowiedział się właśnie, że od dwóch lat był wykorzystywany przez ludzi, których, jak mu się wydawało, dobrze znał? Zawsze uważałam, że potrafię właściwie ocenić człowieka. - Odwróciła się i zacisnęła palce na parapecie. - Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co czuję, gdy sobie uprzytomnię, że uwierzyłam w twoją miłość.

- Jeśli to było kłamstwo, to dlaczego jestem tu teraz i przysięgam, że naprawdę cię kocham?

- Nie wiem. To zresztą nieważne. Jestem kompletnie wykończona, Romanie. Przez chwilę byłam przekonana, że Block mnie zabije.

- Charity... - Przygarnął ją do siebie, a kiedy go nie odepchnęła, wtulił twarz w jej włosy.

- Myślałam, że mnie zabije - powtórzyła głosem bez wyrazu. Jej ręce zwisały bezwładnie po bokach. - Nie chciałam umierać. Nic nie wydawało mi się tak ważne jak pozostanie przy życiu. Kiedy moja matka zakochała się i została zdradzona, poddała się. Nigdy nie byłam do niej podobna.

- Uwolniła się z jego ramion i cofnęła o krok. Uniosła dumnie głowę. - Może jestem łatwowierna, ale nigdy nie byłam słaba. Kiedy ten koszmar się skończy, zacznę wszystko od nowa. Będę nadal prowadzić zajazd. Zrobię co w mojej mocy, żeby wyrzucić z pamięci ciebie i ostatnie tygodnie mojego życia.

- Nie zrobisz tego, bo cię kocham. Przyrzekłaś mi coś, Charity. Obiecałaś, że cokolwiek by się działo, nie przestaniesz mnie kochać.

- Złożyłam tę obietnicę innemu mężczyźnie. A tego, który tu stoi, nie kocham. Zostaw mnie samą.

Roman nawet nie drgnął, więc weszła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz.

Mae starannie zmiatała szkło z kuchennej podłogi. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat zajazd został zamknięty. Przypuszczała, że niedługo znów otworzy podwoje, na razie jednak była zadowolona, że jej dziewczynka leży bezpiecznie w łóżku, a wypijająca hektolitry kawy policja zbiera się do odjazdu.

Kiedy Roman wszedł do kuchni, wsparła się na miotle. Mae przeszło godzinę kołysała w ramionach Charity, która zalewała się przez niego łzami. Zamierzała więc być zimna i odpychająca, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by zmieniła zdanie.

- Jesteś wykończony.

- Ja... - Był kompletnie zagubiony. Rozejrzał się po kuchni. - Chciałem tylko zapytać przed wyjazdem, jak ona się czuje.

- Jest nieszczęśliwa. - Mae pokiwała powoli głową, najwyraźniej zadowolona z udręki, jaką dostrzegła w spojrzeniu Romana. - I uparta. Zraniłaś ją.

- Przekażesz jej mój numer? - Położył na stole wizytówkę. - Może mnie złapać pod tym telefonem, jeśli... Może mnie zawsze pod tym numerem złapać.

- Siadaj. Przemycę ci skaleczenia.

- Nie, to drobiazg.

- Powiedziałaś: siadaj! - Mae podeszła do kredensu po płyn odkażający. - Ona przeżyła okropny wstrząs.

- Wiem. - Stał mu przed oczami obraz Blocka, przytykającego nóż do szyi Charity.

- Szybko dochodzi do siebie. Ona cię kocha. Roman skrzywił się, kiedy dezynfekowała jego skaleczenia, ale nie z bólu.

- Kochała.

- Kocha - powtórzyła dobitnie Mae. - Choć chwilowo bardzo nie chce cię kochać. Od dawna jesteś agentem?

- Od zbyt dawna.

- Dopilnujesz, żeby ten ośliszły robał Roger Block dostał za swoje?

- Tak - zapewnił ją krótko Roman, a dłonie same zacisnęły mu się w pięści.

- Kochasz Charity?

- Tak.

- Wierzę, więc dam ci radę. Charity została zraniona, i to głęboko. Należy do ludzi, którzy muszą się sami ze wszystkim uporać. Potrzebuje na to trochę czasu. - Wzięła leżącą na stole kartę i schowała ją do kieszeni fartucha. - Na razie jej tego nie oddam.

Charity biegła za Ludwigiem. Była w coraz lepszej formie. Koszmarne sny zdarzały się coraz rzadziej. Obiecała sobie, że odbuduje swoje życie, i robiła to z powodzeniem Charity wspierała się na trawiaste pobocze, gdzie z zapalem myszkował Ludwig. Dzisiaj w samo południe, w zalanym słońcem ogrodzie, przy cichych dźwiękach muzyki, miała złożyć przysięgę małżeńską i związać się z Romanem na dobre i złe.

Mrzonki, pomyślała i ściągnęła psa na drogę. To były zwyczajne mrzonki. I wtedy, i teraz. A jednak... Z każdym dniem coraz lepiej pamiętała spędzone z nim chwile. Jego niechęć i gniew. Czułość i troskę. Spojrzała na bransoletkę połyskującą na przegubie jej ręki. Zamierzała zapakować ją do pudełka i schować w najciemniejszym zakamarku najrzadziej otwieranej szuflady. Nie chodziło tylko o złotą bransoletkę, lecz o wszystko, co symbolizowała. Roman powtarzał, że ją kocha. Przed wyjazdem błagał wręcz, by w to uwierzyła.

Przyspieszyła kroku. Zmieniła się w słabą, sentymentalną idiotkę. To przez ten dzień... przez ten cudowny, wiosenny poranek, który miał być dniem jej ślubu. Powinna wrócić do zajazdu i zająć się pracą. Ten dzień upłynie podobnie jak wszystkie inne.

Kiedy spostrzegła Romana, w pierwszej chwili podejrzewała, że to wytwór jej wyobraźni. Stał na poboczu drogi i patrzył na wschód słońca nad morzem. Charity potknęła się. Z mocno bijącym sercem, na miękkich nogach podeszła do niego. Szła bardzo wolno, choć rozradowany Ludwig ciągnął ją na smyczy. Modliła się, żeby jej głos nie zdrzał.

- Czego chcesz? - spytała obcesowo.

Roman pochylił się, żeby pogłaskać piszczącego z radości psa.

- Przejdziemy do tego. Jak się czujesz?

- Świetnie.

- Męczą cię senne koszmary. Zauważył cienie pod oczami Charity.

- Mae za dużo gada.

- Przynajmniej ona ze mną rozmawia.

- Powiedzieliśmy już sobie wszystko. Wziął ją za rękę i ruszyli obok siebie.

- Nie. Ostatnim razem to ty mówiłaś, ja prawie się niej odzywałem. Teraz moja kolej. -

Pochylił się i odpiął smycz. Oswobodzony Ludwig pomknął do domu jak? strzała. - Mae na niego czeka - wyjaśnił, zanim Charity przywołała psa do siebie.

- Rozumiem. - Owinęła smycz wokół dłoni. Przez chwilę szli w milczeniu. - Związałaście przeciwko mnie spisek, tak?

- Zależy jej na tobie. Mnie też.

- Mam dużo roboty.

Przyciągnął Charity do siebie i przełamując jej opór, przycisnął usta do jej warg. Ten pocałunek był jak łyk wody po kilku dniach na pustyni, jak ciepły ogień po kilku długich, zimnych nocach. Wbrew sobie Charity starała się odsunąć, ale Roman trzymał ją mocno.

- Kiedy się jest tajnym agentem, trzeba oszukiwać i wykorzystywać nadarzające się okazje. Przyjechałem tutaj z konkretnym zadaniem. Od dawna już nie pozwalałem sobie na snucie dalekosiężnych planów.

- Rozmawialiśmy już o tym, Romanie.

- Nie. Czulaś się zraniona. Zawiodłem twoje zaufanie. Nie byłaś w stanie mnie wtedy wysłuchać. Mam nadzieję, że teraz będziesz już mogła, bo dłużej bez ciebie nie mogę żyć.

- Poprzednio potraktowałam cię zbyt surowo. - Charity musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby zdobyć się na uśmiech. - Byłam rozgoryczona i znacznie bardziej wstrząśnięta tą historią z Rogerem, niż mi się wydawało. Kiedy złożyłam zeznanie, inspektor Conby dokładnie mi wszystko wyjaśnił. Powiedział, jak została przeprowadzona cała operacja, jaką ja ponoszę odpowiedzialność i co powinnam zrobić.

- Jaką znowu odpowiedzialność?

- Finansową. Powstały przecież niedobory, ale na szczęście będziemy musieli spłacić wyłącznie odsetki. Przedsiębiorca ponosi odpowiedzialność za straty firmy.

- Charity przechyliła głowę na bok. - Nie wiedziałeś o porozumieniu, jakie z nim zawarłam?

- Nie.

- Przecież dla niego pracujesz.

- Już nic. Złożyłem rezygnację zaraz po powrocie do Waszyngtonu.

- Niepotrzebnie, Romanie.

- Doszedłem do wniosku, że stolarka bardziej mi odpowiada. Masz może dla mnie jakieś propozycje?

Charity patrzyła w wodę, bezwiednie przesuając w palcach smycz.

- Nie poświęcałam ostatnio zbyt wiele czasu na planowanie remontów.

- Nie wezmę drogo. Wystarczy, że za mnie wyjdiesz.

- Przestań.

- Charity, spójrz na mnie. Kocham cię. Uwierz w to wreszcie.

- Boję się - szepnęła.

Po raz pierwszy zaświtała mu nadzieja.

- Uwierz. Odmieniłaś moje życie nie do poznania. Nie mogę już wrócić do przeszłości. A nie ma dla mnie przyszłości bez ciebie. Jak długo mam trwać w zawieszaniu? Charity, jak długo?

Skrzyżowała ręce na piersi i odeszła kilka kroków. Rosnące nad wodą wysokie trawy nadal jeszcze pokryte były rosą. Czula ulotny zapach traw i dzikich kwiatów. Domagała się od niego szczerości, nie mogła więc odmówić mu tego samego.

- Straszliwie za tobą tęskniłam. - Pokręciła szybko głową na znak, że nie chce, by jej dotykał. - Próbowałam nie zastanawiać się, czy wrócisz. Wmawiałam sobie, że wcale nie pragnę twojego powrotu. Kiedy zobaczyłam cię dziś na drodze, w pierwszej chwili chciałam podbiec do ciebie. O nic nie pytać, niczego nie wyjaśniać. Jednak to nie takie proste.

- Nie.

- Kocham cię. Romanie. Nie mogę przestać. Próbowałam. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Może niezbyt usilnie, ale jednak próbowałam. Chyba pomimo gniewu i cierpienia, jakiego mi przysporzyłeś, czułam, że nie kłamałeś, mówiąc o swej miłości do mnie. Nie chciałam ci wybaczyć, ale... Właściwie to była tylko urażona duma. - W tym momencie przyszło jej do głowy, że może jednak to wszystko nie jest takie skomplikowane. - Jeśli muszę dokonać wyboru, chyba jednak zdecyduję się na miłość. - Uśmiechnęła się i szeroko rozłożyła ramiona. - Jesteś zatrudniony.

Roześmiała się głośno, kiedy Roman porwał ją na ręce i zakręcił nią w powietrzu.

- Na pewno nam się uda - zapewniał, okrywając jej twarz pocałunkami. - Zaczynamy od dzisiaj.

- Mieliśmy się dzisiaj pobrać.

- Mamy się dzisiaj pobrać - poprawił.

- Ale my...

- Mam zezwolenie.

Zamknął jej usta pocałunkiem i znów zakręcił się z nią dokoła.

- Pozwolenie na ślub?

- Jest w mojej kieszeni wraz z dwoma biletami do Wenecji.

- Do... - Ręce Charity zsunęły się bezwładnie z jego ramion. - Do Wenecji? Ale jak... ?

- Mae kupiła ci wczoraj sukienkę. Nie pozwoliła mi jej zobaczyć.

- Cóż, jesteś pewny siebie.

- Nie. - Znowu ją pocałował, po czym powiedział: - Byłem pewny ciebie i naszej miłości.